

IZABELA SZOLC

Połowa nocy

2005

Wyobraźnia to ciało Boga w każdym człowieku.

William Blake

ALEO HE POLIS!

Głucho bije gdzieś duchów godzina:

Jakby życie zaczęło się dla niej,

Chciwie chłepce ze dzbana dziewczyna

Krwawe wino bladymi ustami.

Johann Wolfgang Goethe, Narieczona z Koryntu

Moja krew.

Kiedy wesprę dłonie na brzegach marmurowej wanny i uniosę ciało trochę ponad tafłę wody, widzę miejsce, z którego się sączy. Jest ciemnoczerwona. I gęsta, przynajmniej dopóki nie spotka się z wodą i nie rozpuści, barwiąc ją kolorem świeżo rozkwitłej róży. Pachnie oszalamiająco. Nie przestaję poruszać nozdrzami w poszukiwaniu tego zapachu. Chłonę go tak silnie, że aż zanurzam głowę i rozchyłam usta...

Parskam. I zaczynam wrzeszczeć. Wbiegają przestraszone służące.

- Nie wolno tak krzyczeć.

Jedna z nich uważnie spogląda.

- Pójdę zawiadomić megaduksa - mówi. - To wiele zmienia.

Ale ta pierwsza krew przysłała za późno. Nic nie zdołała zmienić. Nie będę bazyliisą. To w pewien sposób przykre, bo wychowano mnie na cesarzową. Posiadam zasób zupełnie niepotrzebnej, niewykorzystywanej poza tronem wiedzy. Smutny jest też fakt, że cesarz mnie nie pragnie. Nie może dłużej czekać, tracić czasu dla niedojrzałego dziecka. W obecnej sytuacji szybko potrzebuje następców. Ja jeszcze nie nadaję się do małżeństwa, pozostanę więc tylko narieczoną cesarza. Ta odmiana, porzucenie, z początku nie dotknęły mnie bardzo. Zresztą znam ich przyczyny i potrafię je zrozumieć.

„Narieczona cesarza”. Mężczyzn to onieśmiela, choć znalazło się wielu, którzy chcą mnie mieć za żonę, oczywiście za darmo.

Dla bazyleusa też jest za późno. Moja następczyni - starsza, zdatna do łoża i rodzenia córka księcia Gruzji - nie przybędzie do miasta Konstantyna. Nie przyplynie. Turcy zdołali w ciągu czterech miesięcy zaryglować Bosfor. Wzniesli Rumeli Hisar, twierdzę Europy.

Żaden statek nie prześlizgnie się do Konstantynopola. Wszyscy o tym mówią i brakuje wiary, by nie przyznać im racji.

Sprawy, które opisuję, rozgrywają się w roku 1453.

Dla nas, Greków, rozpoczął się 6961 rok od Stworzenia Świata.

Osiemset pięćdziesiąt sześć lat temu Prorok uciekł do Medyny.

Jest gorący maj. Czas upadku miasta.

Przerywając wspominki, wyłażę z wanny.

Służba gdzieś się rozpierzchła i nie ma nikogo, kto podałyby mi ręcznik. Nie to mnie jednak denerwuje, tylko lodowata pod moimi stopami posadzka. Na wiosnę cesarz zakazał ogrzewania. Boi się o drewno, którego może nie wystarczyć do pieców piekarskich i do reperacji murów niszczonych tureckim ostrzałem.

To ciągnące od fundamentów zimno jest teraz dla mnie największym okropieństwem wojny.

Moja podgrzewana łazienka mieści się w domu, który na zewnątrz przypomina twierdzę. Dla niewprawnego oka, nienawykłego do wyczuwania luksusu to ascetyczna budowla. Na parterze pozbawiona okien, odgradzona od świata grubym murem, zapieczętowana żelazną bramą. Dopiero od pierwszego piętra kusi wąskimi łukami kamiennych wnęk, transennami: ażurowymi, wyszlifowanymi do grubości pancerzyka młodego żółwia płytami alabastru, zasłaniającymi okienne otwory.

Ponieważ wznosi się na skalnym wzgórzu, wysuniętym hen ponad miasto, z ostatniej kondygnacji spoglądać można wprost na rozległą panoramę Konstantynopola. Na morze, wiecznie gorejące złocistymi refleksami. Na port, największy klejnot „Nowego Rzymu”, w spokojniejszych czasach wypełniony dziesiątkami łacińskich statków. Teraz jest zamknięty, zagradza go łańcuch przeciągnięty od wieży Eugeniusza do Galaty w Perze. I jest pusty, nie licząc zaledwie paru zagarniętych Wenecjanom jednostek.

W tym domu wychowuję się ja, wychowują moi bracia. Kiedy przestanie istnieć, kiedy wszyscy będą martwi, i tak nie zdołam go zapomnieć.

Wystraszona nagłym szelestem, podskakuję nerwowo jak pustynny skoczek. Obracam się.

- Na co patrzysz, eunuchu?

Mierzi mnie jego nalane oblicze przypominające księżyc w pełni i ten wielki jak bęben brzuch, opięty ściśle cienką suknią.

- Przyniosłem ręcznik, pani.

- Wytrzyj mnie. Wysusz plecy. I stopy. - Zadzieram nogę, opierając się o jedną z wąskich kolumn. Paznokcie są czerwone. Na ten sam kolor maluję usta. Skubię brwi, kreśląc w ich miejscu niebieski łuk. Już wolno mi to czynić, już zdołałam się tego nauczyć. - Gdzie moja kąpielowa?

- Charykleja poszła się modlić, pani. - Wprawnymi, okrężnymi ruchami ściera z mego ciała wilgoć. - Wie, że ją ukarzesz, ale zrobiła to w imię swej nieśmiertelnej duszy... Widziano - ściszył głos, sprzedając wiadomość niczym cudzoziemski kupiec - Najświętszą Dziewicę Panaghię w Blachernach. To Ona trzydzieści lat temu ocaliła miasto przed Muradem... I ikony, ikony ronią łzy w klasztorze Pantokratora. To znak! Może ten płacz przyniesie nam nadzieję.

Może - nieruchomieje - tylko łagodny koniec.

- Dokładnie trzyj! Cuda, cuda... - Uśmiecham się pogardliwie.

- Przyznaj, że ta urocza Charykleja wpadła ci w oko?

- O nie, pani!

- A ja - pytam, muskając go stopą - czy jestem ładna?

Pomimo swego „nierozwinięcia” piersi od zawsze mam wielkie.

Nieważne, w jaki sposób podwiązuję je chustą, i tak są zbyt okrągłe. Nie układają się kusząco w dekolcie. Prą do przodu, zawsze przede mną, przed moją wąską i arystokratyczną głową. Piersi mam jak grecka wieśniaczka, przepocona zbieraczka oliwek.

- Tak, pani.

- Czy podobałabym się Konstantynowi?

- To już nieważne, pani. Trzeba o wszystkim zapomnieć! - Kurczy się, jak garbus żebrzący przed świątynią. - Cesarz jest skończony. Ale tak... Podniecałabyś go, pani.

Taaa... Co mnie obchodzi Konstantyn, rozpaczliwie stary, znużony życiem bazyleus. Mam nowego oblubieńca. To sprawa bardzo dla mnie intymna. Tajemna. Kiedy poczuję, że przyszła odpowiednia pora, będę łączyć się z nim tak, jak kobieta łączy się z mężczyzną. Tłumię uśmiech.

- Eunuchu, a jak u ciebie z tymi sprawami?

- Świat się kończy, pani. Gdybym potrafił być teraz przy kobiecie...

Odprawiam go.

Eunuchowie są mądrzy. Niekiedy nie można z tej mądrości korzystać, bo zapobiegliwi greccy mężczyźni oprócz jaj usunęli im języki.

Jak już nadmieniałam, mam dwóch braci.

Młodszemu, Teodozjuszowi, wyraźnie brakuje matki. Kiedy na niego patrzę, wciąż widzę ogromne, wilgotne jak u cielaka oczy. Teodozjusz ma pięć lat i zbyt wiele nie rozumie. Co innego ten drugi. Sama walczę z obłądem swojego bliźniaka. Choroba Teodora, mojego prześlicznego Teodora, przyszła tak niedawno. Rozkład, jaki poczyniła w jego głowie, przekonuje mnie, iż kryła się tam od dawna. Może od zawsze.

- Zrób coś! Zrób! - Dopada mnie ze swym szaleństwem.

Milczę.

- Nie potrafię! Nie umiem się jej przeciwstawić! - Zamyka czaszkę w dłoniach i naciska. Naciska tak silnie, że boję się, iż ją zgruchocze.

- Módl się. Stał się cud. Matka Boża jest pośród nas. Ona cię wysłucha.

Nie słyszy mnie.

- To wiedźma! Wiedźma! - Zanosi się urywanym szlochem.

- Nie - mówię. - Nie, Teodorze. Ona nie jest wiedźmą. To Zło. Ojciec przywiózł zło do naszego domu.

Mam lat dziesięć i pięć.

Jestem przekonana, że niedługo umrę. Tak po prostu. Jeszcze mnie to nie przeraża. Jestem za młoda, żeby cokolwiek mnie przerażało. Harda. Przyjmuję zło, jak nigdy niespełnione marzenie - oczywiście, wcale go sobie nie życzę.

Mam na imię Irena. Jestem dziewczyną z obleżonego miasta.

Szepcze się, że megaduks pragnie oddać Konstantynopol Turkom.

Wszystko po to, aby nie przejęli go łacinnicy. Ci heretycy od niekwaszonego chleba. Nasi wątpliwi obrońcy.

Megaduks to bojownik za wiarę. Najprawdziwszy. Najgorszy.

A jednak dotyczą go nieszczęścia: żona go opuściła, w czasie wojennej odwilży umknęła na Moreę. Co prawda powiadają, że sam ją tam wysłał, z braku miłości. Nas zatrzymał przy sobie. Pięć cesarskich dromonów wciągnięto na mieliznę, aby nie przeszkadzały w walkach.

Ich burty nabierały wody jak sita do wyrobu sera. Megaduks ma teraz bronić „morskiego muru”. To żadna obrona, żadne stanowisko.

Chcą mieć go na oku. Na wypadek, gdyby spróbował...

Oczywiście, ojciec jest pierwszym człowiekiem po cesarzu. Najpotężniejszym dostojnikiem. Wielkim Księciem, głównodowodzącym floty, megaduksem.

Aha, nasza rodzina znajduje się od niedawna we władaniu sił nieczystych. Możliwe, że dzięki temu ocaleję z pogromu.

Twierdzą, że okręty dowodzone przez ojca są niezdatne do użytku. Wiem, że kłamią. Widzieli, że dromony są sprawne. Dały popis siły. Nie pamiętam dnia, w którym wypłynęły. Nie pamiętam tego całego odjazdu, pożegnań megaduksa, czekania nań w pustym domu. A przecież wspomniane wydarzenia rozgrywały się tak niedawno.

Popłynęli aż do Gallipoli. Splądrowali parę wiosek na azjatyckim wybrzeżu, coś tam spalili. Zniszczyli turecki statek transportowy.

Wszystko nasi marynarze! Nasza flota!

Pamiętam jednak twarze ludzi, którzy przyплыnęli z nimi. Wyraz ich oczu.

Całe to polowanie na niewiernych to zupełna strata czasu! Transport - strata miejsca! Mieszkańcy Konstantynopola nie chcieli ich kupować. Odrobinę ze współczucia, więcej z lisiego sprytu: czy aby warto niewolić sułtańskich poddanych w czasach, kiedy sułtan mówi o mieście jak o swojej własności?

Ona jedna była inna, ani przerażona, ani harda. Tak, jakby chciała się znaleźć pośród nich, niewolników płynących do Konstantynopola.

Podobno walczyła o wolność równie pięknie, jak mało skutecznie. Zupełnie jakby tańczyła.

A ona wabiła. Wabiła, choć to nikomu nie przyszło do głowy.

Megaduks wziął ją na kochankę. Nie sypia z nią zbyt często. Przez to bywa głodna.

On nie wie o niczym, nie wyczuwa w niej obcej istoty. Jakby rzuciła na niego jakiś czar. Zaledwie wczoraj kazał wybić wszystkie psy. Szczekały na nią, wściekle ujadaly, wiedziały, co się święci.

Zabił je i powrócił na mury. Pachnąc psią posoką i kobiecą wilgocią, broni miasta. Podobno nieźle mu idzie.

A ona po jego wyjściu wciąż szuka pokarmu. Nie jest w domu sama. Jesteśmy jeszcze my: mały Teodozjusz, Teodor i ja. Szczególnie upodobała sobie Teodora. Chłopak nie ma już siły. Wygląda gorzej, niż gdyby obcował ze wszystkimi nierządnicami Konstantynopola.

Nie znam swojej matki. Tak naprawdę to nikt jej nie zna. Moja matka jest Zapomnianą. Oczywiście potępiam ją za zamknięcie się w sobie, za obcość, ale przecież jestem w tym wieku, w którym nienawiść do matki stanowi dyrektywę nadrzędną.

Nienawidzę swojej matki za wszystko i za nic. Za cały świat po trochu. Za to, że jest Serbką. Nigdy nie nauczyła się mówić w naszym języku, nie chciała się nauczyć. I za to, że tak łatwo przyszło jej nas porzucić. Porzucić to przeklęte miasto. Nic dziwnego, za bramami

Konstantynopola bliżej jej do swoich. Wszyscy wiedzą, że sułtan przywiózł ze sobą serbskich górników. Robią podkopy pod murem, może już są pod miastem?

Nic nie rozumiem z tej wojny. Z tego upadku, nawet do końca nie wiadomo czyjego.

Nie pożegnałam matki, kiedy płynęła na Moreę. Nie mogła mieć mi tego za złe. Właśnie ze względu na tę nienawiść tak jestem ciekawa kochanki ojca. Jestem ciekawa tej, której obecność ma upodlić moją matkę, jej pamięć.

Opiszę ją wam, spoglądając oczami mego ojca, oczami mężczyzny.

Kibić ma wąską, pupę zaokrągloną, bezwstydnie wypiętą do tyłu, zapraszającą. Jej piersi są małe, za to bezbożnie obnosi je skryte jedynie pod przejrzystą jak mgła tkaniną. Sutki o kolorze palonej kawy sterczą dumnie do przodu.

W Konstantynopolu nie powiedzą, że jest piękna. Możliwe, że przykleją jej żargonową etykietkę interesującej osoby.

Na wspólnym posiłku ojciec wciąż i wciąż wpatruje się w tę okrągłą i tajemniczą twarz. Wyobraźcie sobie: megaduks zasiada do wieczerzy z kobietami - z córką i kochanką! Imperium upada.

Kiedy Mara się kocha, lubi śpiewać. No, może raczej nucić. A jest w jej głosie jakaś niewysłowiona rozkosz.

I tęsknota.

Namiętność.

Słyszę w tym zawodzeniu coś jeszcze, dziki i pierwotny zew natury. Megaduks dzieli łożę z wilczycą.

Zdołałam zaobserwować, że po zaznaniu rozkoszy z moim ojcem zostawia go śpiącego i wychodzi. Daleko, poza dzielnicę. Wraca jednak przed świtem, aby megaduks sam mógł ją odprawić. Pamiętam, jak pierwszy raz za nią poszłam. To było po owym poranku, gdy ujrzałam na jej ustach zaschniętą krew. Wybiegłam za nią jednej z tych ciemnych nocy, podczas których ulice są naprawdę opustoszałe; właściwe oblężenie jeszcze się wtedy nie zaczęło - obrońcy spali, albo robili inne rzeczy przysługujące żołnierzom przed walką.

Zdawało mi się, że śledząc ją, idę lekko i bezszelestnie. Niczym zjawą, której nie można dostrzec. Mara jednak przystawała co parę kroków i... węszyła. Rozglądała się tak, jakby zasłona ciemności w niczym jej nie przeszkadzała. Wtem zatrzymała się i skręciła w boczną ulicę. Byłam pewna, że wie już o mojej obecności, ciekawość jednak była silniejsza.

Szłyśmy wzdłuż muru, w kierunku nabrzeża. Nie miałam gdzie się skryć, ale ona przestała okazywać najmniejszy niepokój. Dotarliśmy do opuszczonego portu Bukoleon,

który roztoczył przed nami widok na morze Marmara, podobno najbardziej błękitne wody świata. Już wiedziałam, dokąd zmierza kobieta. Stopy niosły ją na wzgórze krzyżowców.

Mówią, że usypano je na kościach zachodnich rycerzy, którzy „szerząc wiarę”, porwali się na autonomię Konstantynopola. A było to, wedle ich kalendarza, w roku 1204. Mówiono, że tu straszy, toteż gdy usłyszałam dziwny i niehumaniczny skowyt, pierwszym moim odruchem było zawrócić i uciec. Ale przemogłam się, a wtedy doszedł mnie odgłos szamotaniny i straszny, urywany bełkot.

Nigdzie nie dostrzegam Mary, więc pnę się w górę jak wariatka.

Kiedy docieram na płaskie wzniesienie, taką oto scenę oświetla mi złowrogi sierp księżyca: rozciągnięty na ziemi mężczyzna, z rękami szeroko rozrzuconymi na boki, ona nad nim, stopę obutą w drogocenny, złocisty sandał opiera na spazmatycznie unoszącej się piersi ofiary. Pochyla się niżej i niżej, fałdy jej cieniutkiej koszuli zaczynają pieśczośliwie otulać jego ciało.

- Nie! - krzyczę. - Proszę, zostaw go! - Twarz leżącego wydaje mi się znajoma.

Ależ tak, to Lysanias! Wytrzeszcza oczy ze wszechogarniającego przerażenia. Jego usta poruszają się bezdźwięcznie.

Oprawczyńni odwraca się ku mnie, widzę gorejące czarnym ogniem oczy, rozdęte nozdrza. Widzę usta i zęby... Nie, kły. Kły, które rozchylają jej czerwone, rozkoszne wargi, spijające co wieczór siły mojego ojca.

- Wapierz... - mamrocze, kreśląc znak krzyża.

Lysanias szarpie się targany przedśmiertnym skurczem i nieruchomieje.

Mara syczy na mnie, ale w obawie, że krew zmarłego zbyt wystygnie, że stanie się niezdatna, zwraca twarz ku jego tętnicy.

Do dzisiaj nie wiem, dlaczego ją ostrzegłam. Dlaczego wykrzyczałam te słowa, które prawdopodobnie ocaliły jej życie. Być może owo wrażenie potęgi wiecznego życia, przełamującego nadchodzącą nad miasto śmierć, skłoniło mnie do tego? Nigdy nie będę pewna...

- Nie pij! To trucizna!

- Megadusiątko... - jej głos brzmi w moich uszach jak obietnica.

W sekundę Mara stoi tuż przy mnie. Czeka.

- To jeden z producentów greckiego ognia. Zobacz, jaki żółty na twarzy. I bezzębny. Spójrz na jego włosy... Cały jest przesiąknięty jakąś alchemiczną trucizną. Jego krew to też trucizna.

Jej świdrujące spojrzenie zadaje mi bezgłośnie pytanie: „Skąd wiesz?”.

- To człowiek z arsenału. Kiedyś... Przypadkiem dostrzegłam go, gdy przebywałam tam z ojcem. - Nie mówię jej o swoich dziecięcych zabawach z Lysaniasem, tym więźniem cesarstwa.

Wiedza, którą posiadał, pozbawiła go języka. Został mu wyrwany dla bezpieczeństwa wojskowych tajemnic. A potem zamknięto go, aby - tak jak kreślił ze mną litery na piasku - nie wykreślił wrogom tajemnic greckiego ognia. Jego obecność nocą, na wzgórzu, dobitnie wskazywała, iż dowódcy są prawie pewni rychłego upadku Konstantynopola. W takiej sytuacji Lysanias i jemu podobni będą zamordowani z rozkazu Konstantyna, przysługuje im więc prawo do wieczornych spacerów. Jesteśmy humanitarni.

Odsuwam się od niej; ziemia umyka mi spod stóp i padam jak kłoda.

- Skąd wiesz, co ja piję? - Jej twarz znajduje się tuż przy mojej.

Klatka piersiowa rytmicznie unosi się i opada, ale ja nie czuję człowieczego oddechu.

- Matka mi powiedziała. Wszystko. O takich jak wy. Opowiadała mi to jak bajki.

- Mądra była ta serbska księżniczka - powiada. I dodaje: - Muszę pić. Jestem głodna. -

Po czym rzuca się na mnie.

- Nie zabijaj mnie! - skowyczę. - Nie!

A potem wszystko rozmywa się w narastającej ciemności. Myślałam wtedy, że właśnie umieram.

Cuciła mnie długo i nieskutecznie.

Mówiła, że kurczowo trzymałam się nieświadomości. Ocknęłam się wyczerpana, ale nie było to spowodowane ubytkiem krwi, nie wypła jej zbyt wiele.

- Dlaczego mnie nie zabiłaś? - To pierwsze, o co zapytałam.

- Tylko ty możesz zaprowadzić mnie do Konstantyna - odparła, jakby nigdy nic.

A przecież tym zdaniem zaczęła mnie od razu wprowadzać w swoje sekretne plany.

- Nie obawiasz się, że wszystkim opowiem?

- Przecież zostawiłam ci język. - Wybuchnęła wtedy śmiechem, ale jej oczy pozostały poważne. Nie lśniły już tak, jak przed paroma godzinami. - Jesteś córką dzikiej Serbki. Wiedzę o nas masz we krwi, dlatego się nie lękasz.

- To nieprawda.

- Jest w tobie namiętność. Potrafisz mnie zrozumieć.

- Kłamiesz.

- Ufam ci. Ty też pragniesz. - Uśmiecha się. - Jesteś predysponowana do dłuższego życia. Dłuższego niż życie śmiertelników.

- Nie! - Prerażona, zamierzam się na nią pięściami, ale odrzuca mnie jak piłkę.

- Umyj się - szepcze. - Czuję jeszcze krew...

A potem wyszła, pozostawiając mnie osłupiałą i przestraszoną.

Nic się nie zgadzało! Później dotarło do mnie, że nie wspomniał o niej ani mój ojciec, ani bracia, choć wtedy zaczęła ich już „odwiedzać”.

Zastanawiam się, skąd pochodzi jej moc. Ze śmierci czy z potrzeby życia?

Znalezienie zwłok jest szeroko komentowane w niektórych kręgach. Ludzie dopatrują się jakiegoś ukrytego sensu w samej śmierci, w tym złowrogim miejscu, gdzie wyzionął ducha biedny Lysanias. I w przerażeniu, jakie malowało się na twarzy nieboszczyka.

Tak więc mamy następny zły omen.

Część mieszkańców udała się do klasztoru Pantokratora po religijny komentarz. Zapewne dla nabrania otuchy. Mnich Gennadios po raz kolejny nikogo nie rozczarował. Winą za wszystkie terazniejsze i przyszłe nieszczęścia ponownie obarczył ów pamiętny dzień 12 grudnia, dzień Świętego Spirydiona, dzień haniebnego sojuszu z łacinnikami, dzień odsunięcia się od wiary przodków. Jak zwykle to samo. Z tą różnicą, że od kilku miesięcy owe mniszkie gromy podawane są w innej formie. Ponieważ Konstantyn zakazał Gennadiosowi ukazywania się publicznie i wygłaszania jakichkolwiek przemówień, mnich szarpie cesarski kaganiec, śląc do wiernych obszerne listy, przybijane do wrót klasztoru.

Dzień Świętego Spirydiona. Mówią, że to największa klęska Konstantynopola, że po tym, co stało się tego dnia, miasto już nie powstanie. To gniew Boga, klątwa nałożona przez nas samych.

Nie wzdramam się twierdzić, iż my, Bizantyńczycy, nigdy nie zapomnimy tej feralnej daty. Nieważne, czy należymy do tych, którzy wówczas bronili tradycji, czy też jesteśmy odstępcami od wiary i spożywamy niekwaszony chleb. Ten dzień był świętem jedynie dla golibrodów, którzy obłowili się znacznie, kiedy to utrefiona broda grecka musiała w ciągu paru godzin ustąpić gładkim łacińskim policzkom. Podobno pierwszym, który się ogolił, był sam Konstantyn.

Na trwałe zapadły nam w pamięć słowa listu unijnego, który w kościele Mądrości Bożej odczytał kardynał Izydor.

I kto się musiał ukorzyć? My, prawowierni.

Zraniło mnie i zaskoczyło, że akurat Izydor należał do tak gorących zwolenników Unii. To on zdołał ostatecznie przekonać cesarza, to swoim zabiegiem właśnie zawdzięcza kardynalski kapelusz - „psią zapłatę” od papieża Eugeniusza IV.

Poznałam go, kiedy byłam dzieckiem ledwo jeszcze odrosłym od ziemi. A nieco później często dyskutowałam z nim, czerpałam wiedzę, ucząc się od tego teologa

wszystkiego, czego potrzebowałam w przyszłym życiu bazyliissy. Przekazywał mi dogmaty naszej prawowiernej religii. Mówił o niej, jak o twardej opoce, ostoi; miała być naszą wizytówką, naszymi prawami, czymś niezłomnym, charakteryzującym mieszkańców Konstantynopola. W swych wypowiedziach łączył religijną ekstazę pierwszych uczniów naszego Pana z przenikliwością starożytnych greckich filozofów.

Był człowiekiem swoich czasów. Zapytałam go kiedyś o Pismo, o podane w nim sposoby rządzenia, o dziesięcioro przykazań.

Dociekałam, czy nam to wszystko dzisiaj wystarcza? Tak wiele się przecież zmieniło od czasów Chrystusa. Pytałam o dogmaty i o Kościół zachodni, który wciąż reguluje ich ilość i wymyśla nowe.

- Dogmatów nie można zmieniać. Dogmatów nie można poszerzać ani zwiększać ich liczby! - rzekł kategorycznie. - To herezja.

- To, co mówisz, to też dogmat. Nowy!

Rozbawiłam go wówczas.

- Przecież możemy rozmyślać nad nimi, uwypuklać ich treści, szukać ściślejszych określeń. To kształtuje umysł, umacniając jednocześnie wiarę. W końcu jesteśmy Grekami - tłumaczył.

- Jesteśmy Rzymianami, którzy uważają się za Greków!

W tej samej rozmowie powracam do zasad życia, do dzisiejszych czasów. Żalę się, że tak naprawdę nie wiemy, kim jesteśmy. Że przez tę mieszankę krwi, kultur i religii nie potrafimy się dostosować.

Możemy egzystować wyłącznie w tej oazie, którą stworzyliśmy sobie w naszym już jedynym mieście.

Stwierdziłam, że jesteśmy niereformowalni.

Izydor poradził, abym po prostu zwróciła się do Boga. Dodał jednak: „Ślepa wiara porządkująca rzeczywistość i niosąca nadzieję nie bardzo nadaje się dla władców”.

- Wierzysz w Unię? - spytałam.

Zastanawiał się długo.

- Musiałyby zaistnieć pewne czynniki. Wielu stanęłoby przed koniecznością wyboru: pewność Boga czy pewność samego siebie.

- A ty? Co byś wybrał?

- Ja jestem Konstantynopolem. Wybrałbym to, co dla niego najlepsze.

Podobno obiecano Izydorowi, że kiedy wieść o zawarciu Unii dotrze do Rzymu, flota papieska natychmiast ruszy z odsieczą miastu Konstantyna.

Czy odniosło to jakiś skutek? Ta religijna prostytutka, która ogarnęła Konstantynopol, stanowiący raptem całe Cesarstwo? Czy będzie z tego jakaś korzyść, czy tylko gromy boże ściągnęliśmy na swoje głowy?

Pod koniec grudnia posiadamy dwa okręty weneckie. Pięćdziesięciu najemników przysyła papież Mikołaj, następca Eugeniusza IV; marzenia o zbrojnej flocie papieskiej powoli wałają się w gruzy.

Mija jeszcze miesiąc i znów odzyskujemy nadzieję, przebiło się ku nam siedmiuset żołnierzy: zawodowych, wyszkolonych, dzierżących dwuręczne miecze. Przewodzi im genueńczyk, Giovanni.

MOJ Giovanni! Wkrótce obwołują go protestratorem, będzie kierował obroną miasta. Upokorzono megaduksa, aby jego wywyższyć.

Protestratorowi obiecano mitrę książęcą i wyspę Lemnos w dziedziczne lenno, jeśli zwycięży. Przestaje nas obchodzić, że Mahmed ma dwanaście tysięcy samych tylko janczarów. Miłość i podziw są ślepe.

Nikt już nie pozostał przy zdrowych zmysłach. Konstantynopol oszalał przez jednego łacinnika.

Jestem skonana, umieram z pożądania.

Myślę o tym, skąd się bierze to wycieńczające uczucie. Czy z wiosennego, rozgrzanego promieniami słońca powietrza? Czy może ze mnie? Z mojego wnętrza?

Moje ciało dojrzewa, pęcznieje, skóra syci się wilgocią, staje się zaróżowiona. Moje ciało szuka spełnienia.

Znajduje je w osobie Giovanniego, pierwszego, który znalazł się tak blisko. Poznam genueńczyka jak mężczyznę, to już postanowione.

Pojawiły się myśli, nieprzyzwoite, bezbożne. Takie słodkie, podsycane nieświadomością. Spoglądam w tego mężczyznę bez obaw.

Raz jeden mnie zrani i na ten ból jestem przygotowana, o innych nie wiem. W czasie największego okrucieństwa, wojennej zawieruchy, jestem chora z miłości.

Wokół mnie wszystko zostało powiedziane i nikt nie oczekuje niespodzianek. Cudów mamy bez liku i wszystkie są gównem warte.

Na razie - z obiektywnych przyczyn - miłość upływa mi pod znakiem niezaspokożenia. Dlatego jestem tak silna. Dlatego wierzę, że się nie skończy. Nie będę cierpieć, widząc, jak mnie opuszcza.

Turcy o to zadbają.

Na łożu mym nocą szukałam umiłowanego mej duszy

szukałam go, lecz nie znalazłam.

Wstanę, po mieście chodzić będę

wśród ulic i placów

szukać będę ukochanego mej duszy.

- Nie mogę cię wypuścić, pani. - Eunuch zatrzymuje mnie przy wyjściowych drzwiach pałacu. - Straciłbym za to głowę.

- I tak ją stracisz - mówię zimno. - Tu czy na ulicach, to nie ma najmniejszego znaczenia.

- Muszę iść z tobą, pani - upiera się.

- Nie masz ważniejszych rzeczy do zrobienia? Tych... odłożonych na ostatnią chwilę?

Wtedy opada z sił. Jego wyprężona dotąd, tłusta sylwetka wiotczeje pod moim spojrzeniem. Wzrok schodzi gdzieś ku moim stopom, błądzi po posadzce.

- Jeślibyś, pani...Jeśli zwolniłabyś mnie z odpowiedzialności...

- Nie ma już czegoś takiego jak odpowiedzialność. Gdybyż zrozumieli to ci na murach! - Macham dłonią. - Gdybyż odstepili od obrony. Może chociaż nielicznym udałoby się przeżyć.

Spogląda na mnie jak na zbrodniarkę.

- To nie odpowiedzialność, pani, tylko godność. Pamiętaj, pani. - Patrzy na mnie srogo. - Godność! Tym jest właśnie Cesarstwo!

Dziwię się, że słyszę to właśnie od niego, a nie choćby od ojca.

Zapominam, że ludzie lubią mówić.

- Nie będę tu tkwić w nieskończoność! Potrzebuję powietrza. Zresztą, skąd wiesz, że megaduks jeszcze wróci?

- Przyjdzie do niej - mówi z niezachwianym przekonaniem.

- A co ona...

- Śpi. Śpi z Teodozjuszem. Wydaje mi się, pani, że nie masz już braci.

- Wynoś się! Wycofuje się tyłem, wystraszony, że karcę go za okazaną śmiałość.

Dodają jeszcze cicho: - Wszystko powinno zostać w rodzinie.

Mój brat Teodozjusz od samego początku uśmiechał się do Mary. Jest nią owładnięty, zupełnie jak ojciec, chociaż w niczym innym ojca nie przypomina. Jest cięty i dziki jak matka. Obcy.

Z naszym gościem łączy go dziwne pokrewieństwo. To się daje zauważyć, czuję, jak dojrzewa pod kierunkiem Mary. Jego światem są teraz atawistyczne instynkty i pragnienia. W tym wieku obca jest mu jeszcze cielesna żądza, kierująca wapierzem.

Teodozjusz śpi w dzień, opity krwią jak pijawa.

Nie dalej jak wczoraj zaczął z nagłą kąsać mnie po kostkach.

Gdyby nie Mara... Odciągnęła go i włożyła potężnego klapsa. Ona wie, jak wychowywać krnąbrne dzieci.

Spójrzcie na tego wróbla. Cóż go to wszystko w ogóle obchodzi!

Podskakuje pod nogami przerażonych przechodniów, odbijając w pyłe nikłe ślady małych pazurków. Potem jednym sprężystym ruchem wybija ciało ku górze i frunie wysoko ponad budowle, ponad mury. Niewiarygodne, że te skromnie opierzone skrzydełka potrafią go wznieść tak wysoko! Na jego lot patrzy mała i chuda dziewczynka, zadziera głowę i z zapartym tchem śledzi ekwilibrystyczne popisy ptaka.

Dzieciak pociąga za szatę idącej obok matki, ale otepiała kobieta zdaje się nie dostrzegać córki, a coś dopiero wróbla.

Patrząc na małą, coś sobie przypominam.

- Dzieci pragną fruwać...

- Och - mówi Mara - zawsze chcą latać! To ich marzenie.

Pomimo chłodu panującego w ogrodzie przyglądam się już dobry kwadrans jej i Teodozjuszowi. Musiała wyrwać go z łóżka, jest przecież środek nocy.

Kiedy dobrze pobudzam wyobraźnię, oboje wyglądają jak matka i syn. Coś w spojrzeniu Mary mówi mi, że wychowywała już dziecko.

Teodozjusz unosi się dobre cztery metry nad ziemią, zupełnie jakby stąpał po granatowym niebie.

Wapierz obserwuje go z zadowoleniem.

- Matka mówiła, że aby latać, zamieniacie się w nietoperze.

- W nietoperze?!

- Po co tu przybyłaś? - pytam zadziornie. Mój brat jest coraz bliższy opuszczenia szeregów rodu ludzkiego.

- Mówiłam ci, po Konstantyna. - Patrzy mi w oczy, głęboko, sięga do samego dna.

- Ale...

- Nie wypytuj. - Na powrót odwraca się do wirującego w powietrzu malca. - Powiem ci wszystko w swoim czasie.

Stoję za nią i mówię tak cicho, że sama ledwie się słyszę:

- Czy naprawdę nigdy nie umieracie?

- Nigdy? - Nawet nie domyślam się wyrazu jej twarzy. - No przecież ja umarłam, nawet dawno temu. Przed wieloma laty.

- Zabili cię?

- Któż chciałby mnie zabijać! Umarłam, rodząc dziecko. Ono oczywiście przeżyło. A ja... chciałam mieć je na oku.

Przerywam jej, bo Teodozjusz ma wyraźną ochotę przepłynąć nad ogrodzeniem.

- On...

Uspokajająco kładzie dłoń na moim ramieniu.

- Spójrz. Ma wielki talent. Ma go we krwi.

Czy on jest już wapieniem? Co ona mu jeszcze zrobi? - telepie się po mojej głowie.

- Od urodzenia, siostrzyczko. Ale jeszcze zbyt słaby, aby mógł umrzeć. Nie potrafiłby wrócić.

- To przez matkę, prawda? Przez matkę... Dlatego opowiadała nam to wszystko!

- Tak, dzięki niej - odpowiada spokojnie.

- Dlaczego on? Dlaczego nie Teodor?

- Mężczyźni z tą krwią są bardzo silni. Wszechwładni. Dysponują ogromną mocą. Nie może ich być zbyt wielu. Tak działa regulacja samej Natury.

Kręcę głową. Nie wierzę.

- Czy zastanawiałaś się, dlaczego nie jesteś taka, jak Teodozjusz?

- pyta poważnie.

- Zaczarowałaś go, wiedźmo! - syczę.

- Zostaw te brednie dla łacinników, Ireno! Spójrz na siebie! Odnajdź wreszcie tożsamość, dziewczyno.

- To jest jak choroba! - Uciekam stamtąd, potykając się. - Jak zaraza!

Wychodzę z domu, by wmieszać się w tłum. Po raz pierwszy z odkrytą twarzą, bez honorów. Tym razem gawiedź nie rozstąpi się przed moją lektyką. Pył ulicy brudzi mi

trzewiki, głośne nawoływania ranią uszy, a zapach potu drażni nozdrza. Tak dawno nie widziałam z bliska tyłu ludzi. Mam wrażenie, że nie przestają się na mnie gapić, ale to tylko złudzenie, stary nawyk. Na córkę megaduksa każdy patrzył, tym bardziej że do niedawna sądzono, iż zostanie cesarzową. Teraz nikt zapewne mnie nie pozna. Zabawna staje się ta wyprawa incognito, jestem bliższa duszy miasta niż jakakolwiek bazyliśsa.

Mija mnie procesja ortodoksyjnych mnichów i ubogich. Tylko oni trawią czas na modlitwach; ci pierwsi zostali do tego stworzeni, a biedakom już nic innego nie pozostało. Nie mają pieniędzy na ostatnie uciechy ani na ewentualne próby ucieczki.

Powtarzałam sobie, że powinnam wejść do kościoła. Niech płaczące ikony natchną mnie otuchą. Niech uwierzę w życie wieczne.

Nie, nic z tego.

Przed siedzibą protostratora zatrzymują mnie strażę.

- Jak śmiecie! - Marszczę groźnie swoje ubarwione na błękitno brwi bizantyńskiej arystokratki.

Dwóch żołnierzy wpatruje się w moją twarz. Potem ten łagodniejszy rzecze:

- Nie ma go, pani.

Powstrzymuję się, aby nie spytać: „Dokąd poszedł mój ukochany? Kiedy wróci?”.

- Znajdę go - stwierdzam hardo.

- Nie wątpimy, pani. - Drugi z nich krzywi się złośliwie. - Wszystkie go znajdują.

Resztki godności sprawiają, że nie obrzucam go wyzwiskami.

Zaciskam usta i odchodzę.

Gapią się na mnie, dopóki nie zniknę im z oczu.

Boże! Czy patrzysz na moje zepsucie?

Żołnierze są uzbrojeni w rusznice i kusze. Oczywiście większość z nich woli te ostatnie, są skuteczniejsze.

Na murach stoją ocalone z dawnych oblężeń balisty i katapulty, dziw, że jeszcze się nie rozsypały. Nie lepiej jest z bombardami i hakownicami. Prawdę powiedziawszy, tych pierwszych jeszcze nie wypróbowano.

Oczywiście sułtańskie bombardy działają bez zarzutu. W dodatku mur trzeszczy pod naporem ognia kolubryn i serpentyn. No i jest jeszcze działo zdrajcy Orbana, Greka, odlane w Adrianopolu i przywleczone przed bramy Konstantynopola przez pięćdziesiąt par wołów - przynajmniej ludzie tak gadają. Stoi teraz naprzeciwko Bramy Kaligaryjskiej. Jeszcze milczy, ale technicy cesarscy przekonali się na własne oczy, że istnieje.

Na szczęście lub nieszczęście Konstantyna, Nowy Rzym to jedno z najlepiej umocnionych miast ówczesnego świata. Trudno się temu dziwić, wszakże tu Wschód spotyka się z Zachodem. Obie strony bezwzględnie próbowały to miasto przejąć, zawłaszczyć.

Trwa nieustanna walka o wpływy. Jest tak, jakby to miejsce nigdy nie miało zaznać pokoju.

Bronią go potężne fortyfikacje, fosa z murem obronnym, niskie wały, mur zewnętrzny wiecznie obsadzony załogami obrońców, na końcu najpotężniejszy Wielki Mur, niebotycznie wysoki. Teraz most zwodzony jest już zerwany, a potężne bramy miasta trwale zamurowano.

Na razie wojna kojarzy się tylko z hałasem; ludzie przyzwyczaili się już do jednostajnego huku wystrzałów. Jest równie znajomy, jak dźwięk dzwonków kapłańskich.

Była to jednak wizyta prawie oficjalna.

Przyniesiono mnie w lektyce, ufryzowaną i umalowaną, wprost do komnat protostratora. Przypominałam martwą lalkę.

- Wyglądasz, pani, jak nasze anioły - rzecze Giovanni na mój widok.

- Obawiam się - odpowiadam - że nie ma we mnie nic anielskiego. Nic - mrużę oczy - z wyjątkiem urody.

Wybieramy się na spacer przy zewnętrznym murze, obok bramy Świętego Romana. Nikt ze służby mi nie towarzyszy, ojciec o to zadbał. Zależy mu na tej wizycie.

- Megaduks wysłał do mnie rozkosznego szpiega... - Giovanni boleśnie ścisną moją dłoń. - Cóż za daleko posunięta nieostrożność! Wszakże mówią, że twoja cnota strzeżona jest dla cesarza.

Trzęsę się z oburzenia: jak on śmiał tak szybko przejrzeć cel mojej wizyty! Prawdziwy cel.

- Już nie.

- No tak, dziewictwo szybko traci na wartości, tak jak monety.

- Megaduks chce się dowiedzieć czegoś o planowanej obronie, o obsadzeniu murów - ciągnę niezrażona.

- Mur obstawiam najemnikami. W każdym razie staram się... Chcę, żeby moi ludzie zatrzymali pierwszy atak. Wy, Grecy z Konstantynopola, nadajecie się bardziej do ksiąg i naukowych dysput niż do broni.

Patrzę, jak tłumaczy, skrobiąc patykiem na rozmokłej ziemi, plany obrony miasta.

- To już wszystko. Nie jestem w stanie powiedzieć megaduksowi nic więcej, nawet jeśli dałby mi ciebie do łóżnicy.

- Jesteś chamem, łacinniku!

- Moja księżniczko! Jestem cynikiem. Cynikiem. Nie uczono cię o nich? To potworne zaniedbanie, a mówią o tobie jako o najmądrzejszej kobiecie w Konstantynopolu!

Ta szorstka, racjonalna mowa ujarzmiła mnie. Już widzę, że nie będę romantyczną kochanką, ale czy chcę być więźniem racjonalności?

Decyduję się odejść.

- Przecież nie wrócisz sama, odprowadzę cię. Nie widziałem jeszcze waszego kościoła. Kościoła Mądrości Bożej. Czy on rzeczywiście taki boski?

- Tak - mówię. - Ktoś powinien cię po nim oprowadzić. Ja...

- Ach, ty! Możesz oprowadzić mnie i ty. Nie cenię u kobiet godności. Zupełnie do was nie pasuje.

- Ten kościół bardziej ci się spodoba. Główną świątynię i tak ujrzysz podczas jakiejś oficjalnej wizyty - mówię.

- Nie boisz się samotnie odwiedzać takich miejsc?

- W tym zakapturzonym płaszczu nikt mnie nie poznał. Zresztą ludzie tutaj nie przychodzą.

- Do Świętej Ireny...

Sztormowy wiatr szarpie na nas ubrania, wciska pod nie lodowate krople wody, przygnane od spienionego morza. Często zmienia kierunek i kiedy tylko nieznacznie wychylam się w stronę Hagia Eirene, rzuca w moją twarz ceglany pył zdzierany z tej zdewastowanej, pięciokondygnacyjnej budowli.

Kilka metrów dalej jest znacznie spokojniej.

- Widziałem już jej wizerunek. Ta twoja imienniczka... Cesarzowa Irena ma twarz w kształcie serca. I jest piękna, ale bardzo smutna.

- Myślisz, że mogłam być dobrą cesarzową?

- Nie wiem. Zresztą, ostatnio bazyliissy w waszym kraju szybko umierają. Dwie żony Konstantyna...

- Och, daj spokój. Powiedz lepiej, po co szukałeś tego miejsca.

Patrzy beczelnie w moje oczy.

- Żebyś przyszła tu ze mną. Sama. - Lekko muska palcami moją pierś.

Nie odpycham go. Zamykam oczy, a moje serce głośno bije.

Od czasu owego nieszczęsnego wydarzenia na górze krzyżowców myślałam, że jedynie ciągła obecność Boga może mnie ochronić przed Marą. Wyszperałam różnorodne

dewocjonalia i po paru godzinach pracy urządziłam w sypialni prawdziwą świątynię. Cóż z tego? Paraliżuje mnie strach, kiedy widzę, jak Mara przekłada z ręki do ręki święte ikony.

- Myślałam, że nie wolno wam tego dotykać. Że nie wolno wam zbliżać się do Boga.

- To tylko obrazy - stwierdza.

- Bóstwo jest w obrazie. Choć nie przez zjednoczenie fizyczne. Tak mawiał Teodor ze Studion. A patriarcha Nicefor zwykł twierdzić, że święty obraz naszego Zbawiciela ma udział w swym pierwowzorze. Jan z Damaszku...

- Nie zatykać mi ust słowami filozofów, Ireno. Nie stajesz się przez to mniej przerażona. Przestań drzeć i posłuchaj: Bóg nas nie wyklął, bo i czemu miałby to robić? Sam zmartwychwstał, a czy ten mój żywot to coś innego niż zmartwychwstanie?

- W umieraniu nie ma nic wielkiego - mówi Teodor.

- Bzdura! Wielu ludzi umierało w wielki sposób - protestuję.

- W umieraniu nie ma nic wielkiego, Ireno. To zwalnianie sceny dla innych artystów, opuszczenie sztuki przed jej końcem. Dymisja.

- Więc po co się zabijamy? Po co ta wojna?

- Och, ona musiała być. Zawsze będą wojny, dopóki znajdzie się wystarczająca liczba osób, które myślą tak jak ty, jak inni. Dopóki człowiek sam nie zajmie się swoim umysłem, z nudy będzie się wtrącał w sprawy innych. Nie znając swojej głowy - stuka palcem po ogolonej czaszce - nawet nie wie, co traci. Nie wolno tracić siebie, bez względu na wszystko.

- A dla Boga?

- Siostrzyczko! Zapomnij na chwilę o tym Bogu.

- Ależ On jest w nas samych! Jest we mnie, w tobie!

- Nie, ty sama jesteś Bogiem dla siebie.

- Błędnie.

- To mój porządek świata.

- I nic go nie zachwieje, Teodorze?

Długo myślał nad odpowiedzią.

- Nie wiem. Widzisz... Boję się, że mam rację. Boję się odkrycia niezbitych dowodów na to, że jesteśmy sami. Że śmierci naprawdę trzeba się bać i panicznie przed nią uciekać. Taka świadomość może zabić. Nawet mnie.

- Nie pójdziesz z megaduksem na mury? - Patrzę na jego przygarbioną postać, na książkę, którą trzyma pod pachą. Na oczy, identyczne z tymi z wiekowych obrazów.

- Nigdy.

- Może jednak udałoby ci się przeżyć.

- Nie, nie udałoby mi się, Irenko. Ale czy to ma teraz jakieś znaczenie? Myślę, że w Konstantynopolu nikt nie ocaleje, niezależnie od miejsca, w którym się znajduje. A my... Czy myślisz, że darują życie dzieciom megaduksa? Ponadto ty jesteś kobietą, a kobiety...

- Przestań, proszę.

- Nie potrafię się z tym pogodzić, siostrze.

- To ucieknij stąd! Użyj pieniędzy i próbuj uciekać! - Boże, jak ja się wstydzę, że to mówię. Mówię o zdradzie. O zdradzie naszego miasta, naszego kraju.

- Nie. - Uśmiecha się. - Mnie brakuje brawury. Co innego ty... Ty, siostrzyczko, pewnie zdołałabyś uciec.

Delikatnie głaszcząc moją głowę.

- Zresztą, jeśli Bóg istnieje... Może pozwoli, by papieska flota dopłynęła na czas. Gdybyśmy tego bardzo chcieli. Gdybyśmy chcieli my wszyscy...

Tak, Konstantynopol zdecydowanie jest pełen cudów. Wpatruję się w rozgrzaną wiosennym słońcem kopułę naszej najwspanialszej świątyni, to bez wątplenia budowla natchniona przez Ducha Świętego.

Swoją drogą Anthemios z Tralles i Izydor z Miletu musieli być mędrkami. Najrzęczniejsze rzemieślnicze ręce nie wykonałyby tego projektu, trzeba było giętkiego umysłu.

Kościół połączony jest trwale z pałacem, a to świadczy o władzy, jaką zawsze miał cesarz. Zastanawiam się, czy te wszystkie płaczące obrazy to jego wymysł, by udowodnić tłuszczy, że Bóg się nie odwrócił od tego miasta, że jest ze swym Konstantynopolem. Mnich Gennadios tłumaczy to oczywiście odwrotnie, ale on ma swoje własne cuda i objawienia.

Wchodząc do świątyni i spoglądając w oczy ikon, przypominam sobie starą lekcję.

Nie myli się ten, kto mówi, że boskość jest w obrazie... Obraz ma formę wspólną z pierwowzorem i ta wystarcza, aby pierwowzór przeniósł swą moc na obraz. Dlatego istnieją obrazy cudowne.

- Kardynał Izydor?

Mężczyzna wzdryga się gwałtownie. Wypowiedziane przeze mnie imię smagnęło go jak rozpalony bicz. Kaptur, dotąd odsłaniający tylko rąbek jego oblicza, gwałtownie zsuwa się w tył. Nie, nie pomyliłam się - ta chuda, pokryta pergaminową skórą twarz należy do kardynała Izydora.

- Czy i ty mnie przeklinasz? - Maskuje się pośpiesznie.

Stoi przygarbiony, wśród wiernych w bocznej nawie, a wpadające przez otwory kopuły „boskie” światło zachodzącego już słońca opromienia go na równi z innymi. Oboje mówimy szeptem.

- A dlaczego miałabym to robić?

- Wielu mnie przeklina.

- Wybrałeś własną drogę. Nie mogę cię potępić, bo jej nie znam i nie rozumiem.

- Twój ojciec mnie nienawidzi.

- Mój ojciec nienawidzi Konstantyna. Ponad wszystko.

- Moje dziecko, tak bardzo zraniło cię to niedoszące małżeństwo?

- Nie jestem już dzieckiem!

Do kościoła wkracza grupa łacinników. Przewodzi im Giovanni.

- Masz rację. Dobrze, że tak czujesz.

Genuńczyk odrywa się od swej grupy, podchodzi wprost do nas. Staje przy mnie i kładzie mi dłoń na ramieniu.

- Ale pamiętaj, że zawsze możesz zwrócić się do Boga. Zawsze. Nieważne, jakie zło zdoła cię znęcić - dodaje Izydor.

Drzę z przejęcia. Giovanni przy mnie! Tak blisko! To szczególny wieczór, wiele par staje obok siebie. Tym razem zostaje złamany zwyczaj nakazujący, by w kościele kobiety i mężczyźni przebywali oddzielnie.

- Kardynale. - Genuńczyk skłania głowę. - I ty tutaj? W tym niebezpiecznym mieście? Trzeba było przedrzeć się do Ojca Świętego, do Rzymu. To nie wstyd dla kapłana. Chociaż słyszałem, że ostatnio Unia traci w tobie zwolennika. Twój lud...

- Poprosiłem cesarza o przydzielenie mnie do obrony jednej z wież. Po mszy zamknę się w niej z małym oddziałem i będę walczył do upadłego. Krwią zmyję z siebie grzechy.

- Bardzo to szlachetne. - Nikły uśmiezek błąka się na wargach Giovanniego. - Męstwem można tyle naprawić! - Naszym zwyczajem ufarbował brodę na rudo; światło wewnątrz nawy nadaje jego pancerzowi krwawy odcień. W tej czerwieni wygląda jak starożytny heros.

- Pamiętaj. - Izydor przenosi na mnie skupiony wzrok. - Pamiętaj, że zawsze można zawrócić na drogę bez grzechu. Zło to tylko nieobecność dobra. A przynajmniej - bierze w nim górę grecka natura - jest tak w ogólnym zarysie.

Wygłasza to i odchodzi. Przegrany kapłan i przegrany człowiek.

Kiedy dotyka mnie ręka Giovanniego, wszystko wydaje się tak absurdalnie odległe - ostatnia modlitwa ginącego miasta, ten spór o religię, który dzisiaj tak prosto dało się rozwiązać, odczytując zarówno greckie, jak i łacińskie wyznanie wiary.

Kieruję wzrok ku stojącym bliżej ołtarza ojcu i bratu. Spojrzenie megaduksa jest martwe, jak z kamienia, oczy Teodora znów spoglądają w krainę obłędu.

Pod dłonią genueńczyka nie przeraża mnie ta raptowna utrata rodziny. I nie przeraża mnie coraz silniejszy brak wiary. A przecież wcześniej ateizm, sama myśl o nim, przyprawiał mnie o drżenie.

„Nie wierzyć w Boga?! Czyste szaleństwo! Przecież to wieczna śmierć!”.

Ze spokojem spoglądam w smutne oczy Madonny, w rozgniewane, wszechwładne oblicze Pantokratora, w uwzniośnione twarze świętych. Oni wszyscy są poza mną. Poza czasem, poza istnieniem.

Nie są już potrzebni, moja miłość wystarczy za ich łaskę i przychyłność.

Przynajmniej teraz.

Ojciec już nie może się mną zająć, nie ma do tego głowy. Nawet gdyby zdołał, próbował, nie pozwoliłabym mu na to. Już nie.

Giovanni wyrywa mnie z odrętwienia, z tej melancholii i rozpaczki tkwiącej we wszystkich mieszkańcach miasta. Miasta nie będącego niczym więcej, jak nagrobną stelą wielkiego Imperium, którego nikt już nie pamięta. Rozsypało się w proch dawno temu. Teraz ta niepamięć sięga powoli po sam potężny, kamienny i wydawałoby się niezniszczalny Konstantynopol.

Przez moment lękam się, że nasze subtelne pieszczoty zwrócą czyjąś uwagę, ale to płonne obawy. Wszyscy zebrani są wpatrzeni w siebie samych.

Zapomniałam nawet o Marze.

Wychodzimy ze świątyni po zmroku.

Tej nocy miasto nie usypia, nie milknie. Wokół kościoła zgromadził się tłum, jakby wszyscy mieszkańcy opuścili swe domy.

Swoje rekwiem Konstantynopol zapisuje przytłumionym gwarem ich głosów.

Idę z genueńczykiem w kierunku ich kwatery.

Tłum rozstępuje się przed nami i śledzi nas łakomym wzrokiem, ocenia żołnierzy. Czy ocalą miasto? Czy podejmą starania, aby nas ocalić?!

Moja obecność pośród mężczyzn nie budzi wielkiego zdziwienia.

Ci, którzy mnie nie znają, pomyślą, że jestem albo dziwką, albo zakochaną. Obie postawy budzą zrozumienie; nie czas teraz na oceny innych.

Giovanni mówi, że bramy wypadowe muru zewnętrznego zamknięto, a klucze do nich przekazano Konstantynowi. Teraz nie można już uciec, trzeba walczyć do upadłego. Mosty zostały spalone.

- Będę trzymał bramę Świętego Romana. To najtrudniejszy odcinek, na niej opiera się cała obrona. Jeśli ten bastion zostanie przerwany, miasto upadnie.

Pytam go o port, o „mur morski”, którego broni megaduks.

Twierdzi, że tam jest bezpiecznie, i przyznaję mu rację. Właśnie dlatego ojciec czuje gorycz. Miejsce, na które go po prostu wygnano, nie pozwoli mu się wykazać.

- Cesarz obawia się zdrady. Dlatego oddelegował go tam, gdzie to niemożliwe! - Gestykuje przy tym silnie i podnosi głos.

- Twój chłop to pyszałek - rzuca wzgardliwie pijana kobieta.

Żółte włosy mówią wszystko o jej profesji, to prostytutka. Nawet nie spostrzegłam, który z towarzyszy Giovanniego doskoczył do niej. Kobieta upada, przekrzywiona peruka barwi się krwią. Nikt nie występuje w jej obronie.

Przy wejściu dwaj gwardziści oddają dowódcy honory. Giovanni poklepuje ich po ramionach.

Potem zostajemy sami. Podają nam wino. Leje się strumieniem, nie trzeba go już oszczędzać. Jest mocne. Oszalamiające. Zwykle pijałam rozcieńczone, do uczty. Mówiono mi, że jeszcze nie nadszedł czas, abym pijała je do rozmowy. Teraz jednak odpowiada mi jego cierpki smak i to, co ze mną robi, więc się upijam. Cały pokój, cała rzeczywistość blaknie i ucieka gdzieś w tło. Za to Giovanniego widzę z niezrównaną ostrością.

Pozwalam mu się dotykać, pozwalam mu prowadzić swoje ręce.

Sięga do ust, raptem przerywa pieszczotę, uśmiecha się.

- Mówiłem ci, że wszystkie klucze od bram dostał cesarz. Patrz, twój kochanek jest mądrzejszy. - Sięga do dużej szkatuły. - To klucz od bramy Świętego Romana.

Ostro zabiera się do mnie, a ja milczę, zupełnie oszołomiona tym wyznaniem. Mężczyzna wyczuwa przepaskę w moim kroczu.

- Twoja krew wybrała sobie złe dni, Ireneo. Co za marnowanie czasu.

Jest silny jak tur, ale i bardzo pijany. Przetacza mnie na brzuch, odsłania pośladki.

- Nie - mówię głucho.

Ogarnia mnie nagła panika. Wiję się jak piskorz, próbuję uciec.

Jego uścisk zelżał, gdy sięgnął jedną ręką do spodni. Kopię na oślep, ale celnie: zsuwa się z łoża na podłogę. Przyklęka. Gapi się spode łba przekrwionym wzrokiem.

- Dziwka! - ryczy.

Kilkanaście minut później błędzę sama po ulicach. Jestem już skłonna wracać. Chcę błagać o przebaczenie.

Interpretuję wszystko opacznie i irracjonalnie. Moje wyobrażenia rozmywają się, rozczarowują.

Wielki egoizm gdzieś się ulatnia i oskarżam siebie za wszystko i za wszystkich. Przepraszam naturę, że żyję, że jestem taka nieporadna, że nie rozumiem. To śmieszne, jak los nie oszczędza mi ciosów. A ileż z nich pochodzi ode mnie samej!

Widzę sceny rozdzierające serce, sceny upadku i zwątpienia. Widzę rzeczy szlachetne i gorzkie. Takie, które powinny były pozostać w ukryciu, w najtajniejszych myślach. Chcę mi się płakać.

Młoda para, małżeństwo albo kilkuletni kochankowie. On jest żołnierzem wysokiej rangi. Żegna się z nią, musi odejść, iść na mury. Zginać. Kobieta nie pozwala mu na to. Przytrzymuje jego dłonie na swych piersiach, mówi, że nie zniesie tego rozstania, rozłąki. Jej twarz, zapłakaną i napuchniętą od rozpacz, przepelnia kusząca mężczyznę namiętność. Żołnierz nie potrafi znieść tej mieszaniny przywiązania, pożądania i bólu. Może zdezerteruje i zostanie przy swojej kobiecie, będzie leżał przy jej rozgrzanym boku, jak setki razy wcześniej. Lecz noc minie jak z bata strzelił.

Rano zabiją go swoi, żołnierze cesarza. Za niesubordynację. Kobieta będzie krzyczeć i okładać ich pięściami. I ją zgładzą, z litości.

Idę dalej. Bezmyślnie wchodzę na opuszczone podwórze i stoję jak wryta.

Eunuch - mój eunuch! - jest osobą, której nie spodziewałam się tutaj zastać. A jednak spotykam, w jednoznacznej sytuacji: podryguje na dwóch kobietach lekkich obyczajów. Dużo musiał im zapłacić, i to naszym złotem. Wykastrowano go za późno, kobiety śmieją się, kiedy zaspokaja je palcami.

Patrzę zgorazona na tę niepojętą tragedię. Dostrzega mnie, bo unosi ciało. Odkrywa przed moim wzrokiem swój grzech. Grzech Konstantynopola - to tradycja miasta okaleczyła go na całe życie.

- To ona! - wrzeszczy. - Ona! - Ślini się i pluje.

Jest szalony, więc uciekam przed jego krzykiem.

Pomimo upału, który rozpanoszył się za dnia, noc jest zimna, wręcz lodowata. Jestem już przemarznięta do szpiku kości, lecz wciąż kluczę po mieście, zniewolona jakimś wewnętrznym nakazem.

W żaden sposób nie potrafię uciec od rzeczywistości, od tego miejsca upokorzenia. Nie mogę pogodzić się z tym, że to koniec, klęska, że niczego nie da się naprawić. Błąkam się wzdłuż zewnętrznego muru. Przy niektórych jego partiach rozstawiono kadzie wypełnione po brzegi wodą. Stoją tak jedna za drugą, na pozór nieruchome. Czasem jednak ciecz ni stąd, ni zowąd marszczy się i faluje, co oznacza, że wrogowie kopią chodnik pod murami.

Kiedy nadejdzie czas i wychyłą głowy ze swej kreciej pułapki, stracą je natychmiast. Inni zginą w oparach siarkowego dymu, a najodporniejszych niedobitków zgładzi się ogniem, zapalając cały wykuty przez nich korytarz.

A przecież wiem, że nie są to Turcy, tylko serbscy górnicy na usługach sułtana. Serbowie zupełnie tacy sami jak matka. Noszę w sobie kwartę ich krwi, chcę czy nie chcę.

Temat dziedziczności intrygował mnie, kiedy byłam małeńka.

Spoglądałam na rodziców, tak niedobranych, i zastanawiałam się, czym jestem ja? Co przyszło na świat po tym nienaturalnym zespoleniu? Kształciłam swój umysł, swoje obyczaje pod okiem ojca, ale rozwijające się ciało i gniew, jaki odnajduję w sobie, rozbijają w pył moje nawyki, nieustannie spychając mnie ku narodowi matki.

Kiedy docierają do mnie pierwsze jęki palonych, kiedy staję się mimowolnym świadkiem masowej rzezi górników, którzy prawie spod moich stóp wyczołgują się na powierzchnię, pragnę biec w ten tumult i bronić ich. Zabijać naszych żołnierzy.

Więzy krwi coraz bardziej krępują mi umysł. Jeszcze nie podejrzewam istnienia przeznaczenia.

Mężczyzna wyłania się z mroku, jest obcy. Z tą obcością potrafię się pogodzić, jest dla mnie przychylna. Nie obciąża umysłu dodatkowymi rozterkami i zbędnymi faktami, jak choćby imieniem. Nie wiem i nie dowiem się, jak miał na imię. To dobrze, bo to oznacza mniej wspomnień. Będą krótsze i będą mniej bolały. To jakiś łacinnik, jak wszyscy nabuzowany strachem i pożądaniem. Tacy są nasi obrońcy. Cios ścina mnie z nóg i uderzam głową o bruk, poddaję się temu kojącemu przytłumieniu świadomości.

Nie będę pierwszą gwałconą tej nocy, zajmuję miejsce pośród całej rzeszy pozbawionych czci cór Konstantynopola. Przymykam oczy, ulegając tępemu bólowi.

Wtem jakaś siła podrywa go ze mnie. Jego ciało jest miażdżone i rozdzielane na strzępy, stanowi doskonałą zabawkę dla niszczycielskiej mocy, którą dysponuje Mara. Obrzydliwie powykręcany i pokrwawiony trup nieruchomieje na kamiennej ulicy.

- Nie myślałaś o tym, by przeżyć?

- Nie, nigdy tak nie myślę - odpowiadam. - Nie wypada nawet o tym marzyć.

Dygoczę ze strachu i płaczę. Płaczę z upokorzenia. Bać będę się jeszcze wiele razy - tej nocy dorosłam do lęku - ale nic więcej mnie nie upokorzy.

- Zabierz mnie do domu - szepczę i Mara spełnia moją prośbę.

Otworzyłam ukochanemu memu,
lecz ukochany mój już odszedł i znikł;
Życie mię odeszło, iż się oddalił.
Szukałam go, lecz nie znalazłam,
wolałam go, lecz mi nie odpowiedział.
Spotkali mnie strażnicy, którzy obchodzą miasto,
zbili i poranili mnie,
płaszcz mój zdarli ze mnie strażnicy murów.

- Teodor?

Dom jest cichy, nie ma w nim prawie nikogo. Teraz, kiedy jazgot służących umilkł, kiedy nie słyhać muzyki (musicie wiedzieć, że Bizantyńczycy zawsze kochali muzykę), dom jakby zasypia, wraca do korzeni, do Boga, szum morza wypełnia go, przenika ściany.

Odgłos toczących się fal nie napotyka już żadnych przeszkód, jest wszechmocny.

Zatrzymałam się, aby posłuchać. Czas nie ma odtąd najmniejszego znaczenia. Kilka skąpych kaganków oświetla przestronną salę, nadając sylwetkom wygląd bardziej cieni z Eremu niż żywych ludzi.

- Czy to ty, Ireno?

- Teodor, mój biedny Teodor! Kto ci to zrobił? - Dotykam jego opuchniętej twarzy, docieram delikatnie w miejsca, które najbardziej cierpią.

Przebiegam po nich palcami, ale ponieważ są to palce siostry, zamiast bólu przynoszą ukojenie.

- Teodozjusz... Nasz mały braciszek nie żyje.

Pokazuje zwłoki, rozkrwawione, leżące nieco z boku na przepięknej mozaice.

- On... nie może tak leżeć. Dlaczego leży? Trzeba... zanieść go...

- Nie. Ireno, ja się boję! To nasz ojciec go zabił.

- Megaduks - szepczę, a to słowo staje się zapowiedzią jego wejścia.

- Miałeś sprzątać to ścierwo!

- Po co?!

Pięść megaduksa błyskawicznie spada na twarz Teodora.

- Żaden z was nie był godny zostać synem megaduksa. Choć ty możesz jeszcze to odkupić! - Potrząsa chudym ramieniem chłopaka.

- Pójdiesz ze mną na mury, twoja śmierć może zmyć tę hańbę. Zakop to dziecko i wynoś się! - Popycha go mocno.

- Ojcze! - krzyczę.

Megaduks nie potrafi się opamiętać, chodzi po komnacie jak zagonione w pułapkę zwierzę. Mówi do siebie, gestykuluje, przeinacza, usprawiedliwia. Jakby mnie tu wcale nie było. Jakby moja obecność przeszła niezauważona.

- Wszystko układa się inaczej, niż nas zapewniano. Sami odwróciliśmy się od Boga Konstantynopola. Teodozjusz... Nic nie dało się z tym zrobić - rwie wątki jak rozgorączkowany szaleniec. - Siedziało w nim, od zawsze! Po matce... Ty i Teodozjusz jesteście do niej podobni.

Zbija mnie z tropu, nagle odwracając się i podchodząc do mnie.

- Córko - mówi.

To słowo jest napęczniałe uczuciami; wyszeptane tak cicho przez spuchnięte wargi tego mężczyzny, ojca, z taką nieśmiałością. Słyszę je po raz pierwszy i ostatni. Przez chwilę jego wzrok, szalony wzrok megaduksa, staje się bystry, rzeczywisty. Omiata mnie nim od stóp do głów.

- Widzę, że i ty jesteś pohańbiona. Cóż... Niegodna... On się teraz na to nie zgodzi... Za późno - wypowiada słowa, które nieuchronnie stają się mottem mojej historii, mojego życia.

Doznaję nagłego olśnienia, dziwaczne fragmenty przeszłości składają się w całość, zasklepiają. Dlaczego ten dobry ojciec nie posłał mnie z matką na Moreę? Dlaczego tak bardzo potrzebował mnie tutaj, w mieście? Dlaczego nie chciał ocalić mnie przed tym wszystkim? Po cóż tak mnie strzeżono, jeśli zostałam odrzucona przez Konstantyna? Czy ten przeklęty, zacięty wróg łacinników chciał...

- Zostawiłeś mnie dla Mahmeda.

Nie patrzy na mnie, nigdzie nie patrzy.

- Tak. Lepszy turban turecki niż tiara papieska. Widzisz? - Prowadzi mnie do okna. Jego twarz się ożywia. - To gdzieś tam, forum Konstantyna Wielkiego. Jego pomnik - konny pomnik cesarza! - obalili łacinnicy. Dziesiątki lat temu. Pozostał tylko cokół, lecz tak wysoki, że stojąc na nim, masz cały Konstantynopol pod stopami. Zrucano z niego zdrajców, roztrzaskiwali na dole parszywe głowy.

- Po co mi to mówisz? Wiedzą o tym wszyscy.

- Wiedzą... Strącali zdrajców, ale megaduks - ścisła do bólu moje ramię - megaduks nie jest zdrajcą!

- Ojciec...

- Już świta. - Jest ciągle ożywiony, jakby ta świadomość nadchodzącego dnia, rychłej klęski, końca złych wydarzeń, upokorzeń i bólu pompowała w niego nowe siły. - Spróbuj uciec z miasta. Nie umieraj. Nie warto, żeby wszyscy umierali. Noś Konstantynopol w sobie. On musi przetrwać.

Kąpię się. Niespiesznie i dokładnie. Robię to tylko z braku lepszego zajęcia. Woda jest lodowata. Musi być taka skoro nie chcę usnąć, rozmarzać się ani płakać. Jestem zdruzgotana. Przygniata mnie uczucie wszechogarniającej pustki. Bezcelowości. Nie próbuję tamować krwi, jest jej zresztą niewiele. W ogóle nie dotykam tego miejsca. Jest inne, nieczyste, nie moje.

- Boli cię?

Mara pojawia się przy mnie jak cień. Zapewne przeszła przez ścianę, do tej pory nie przyzwyczaiałam się do tego.

- Boli mnie tu. - Uderzam się w pierś.

- Serce - mówi.

- Tak, to złamało mi serce.

- Będzie jak z kamienia. - Sięga dłonią do wody, do ciała. - Żar i lód. Sprawia, że się zahartuje jak w najlepszej kuźni.

- To dobrze.

Kręci głową.

- Nie, to fatalnie. Ale lepsze to niż śmierć z przyczyny byle łajdaka. Naucz się nienawiści - ciągnie. - To też siła. Czasem myślę, że potężniejsza od innych.

Przysiada na brzegu wanny i opowiada, co odkryła.

- Cesarz to tania dziwka. Jednocześnie obiecał Lemnos królowi Katalonii i Giovanniemu. Nie muszę dodawać, że Katalończycy wzięli już wyspę w posiadanie. Czy to nie dramat, że nasz genueńczyk walczy za darmo?

- Nie zamierzam mu tego powiedzieć. - Zaciskam szczęki.

- Ja powiem. A ty musisz na to patrzeć. Patrzeć z ukrycia, jeśli wolisz. I sycić się tym. To, co poczujesz, będzie lepsze niż świeża krew. Jego wściekłość i gniew. Jest dumnym człowiekiem. To twoja zemsta.

Obie milczymy przez dłuższą chwilę, aż Mara dodaje:

- Megaduks zdecydował się oddać Turkom Kerkoportę. Uczyni to na znak dobrej woli.

Kerkoporta to furta wypadowa postawiona w miejscu, gdzie Wielki Mur i mur zewnętrzny łączą się z murem Blachern. Prowadzi na ulicę ciągnącą się między obydwoma murami miejskimi. Można było nią przejść od pałacu do cyrku, poza miasto. Oczywiście zdobycie jej przez Turków nie przesądza jeszcze o całkowitym upadku miasta. Gdyby jednak wywiesić na niej krwawe chorągwie sułtana ze srebrnym półksiężycem, gdyby wyciągnąć je aż na wybudowane obok wieże, poważnie osłabiłoby to morale zdeorientowanych obrońców. Mahmed doceniłby taki gest, niezależnie, od kogo by pochodził.

Tej nocy śpiew Mary przeraża mnie bardziej niż zwykle, jest w nim wielka żałość. To śpiew o pożegnaniu wojownika. Pieśń kogoś, kto zna potworność śmierci, kto przeszedł przez nią, kto wydarł się z jej objęć.

Klękam przed drzwiami sypialni, opieram na nich głowę, zamieniam się w słuch. Chcę, aby ta melodia spłynęła do mnie, we mnie znalazła ujście. Chcę być oratorem rozpacz.

Zazdroszczę mojemu ojcu, zazdroszczę megaduksowi tej miłości - czy choćby jej złudzenia - którą obdarza go Mara. Wiem, że skąpany w tym uczuciu dzielnie spisze się na murach i choć część ludzi zapamięta go jako bohatera.

- On już wyszedł. - Głos Mary jest przytłumiony.

- Nie pożegnał się?

- Z nikim. Wyszedł, kiedy spałam.

Odwraca się i przywdziewa lekki płaszcz.

- Dokąd idziesz? - pytam.

- Ty idziesz ze mną. Pamiętasz, dlaczego darowałam ci życie? W zamian za Konstantyna.

Za Konstancyne! Za tego słabego, nieszczęsnego człowieka. Poronionego władcę i dwukrotnego wdowca, niepotrafiącego żadnej z młodziutkich żon obdarować swym nasieniem. Za tego zdrajcę, a może bardzo zagubionego monarchę, odpowiedniego tylko na czas pokoju i dobrobytu. Za niewłaściwego człowieka na niewłaściwym miejscu. Za byłego narzeczonego, za fałszywego, niedoczekanego męża!

Mara wpatruje się we mnie uważnie. Jej twarz prawie muska moją. Gorące spojrzenie obnaża kłębiące się myśli i uczucia.

- Jest w Pantokratorze - mówi do mnie.

- A cóż on może robić w klasztorze? Gennadios nienawidzi go z całej duszy.

- Och, to przez sumienie. Tej nocy wszystkim bardzo ciężą sumienia.

- Co ty możesz o tym wiedzieć?

- Nie oddychamy, Ireno, ale sumienia działają u nas niezgorzej. I rozsądniej niż u śmiertelników.

- Ale po co ja?

- Sama nie mogę wejść do tego miejsca.

Popycham ją lekko.

- Chodźmy zatem do Pantokratora - mówię. - I nie próbuj więcej tego, co zrobiłaś. Już nigdy nie pozwolę sobie spojrzeć prosto w twoje piękne oczy.

Odcięty od miejskiego gwaru klasztor Pantokratora to dziwna budowla, miejsce pobytu dawnych eremitów, a jednocześnie centrum zawołowanych, politycznych przepychanek.

- Jak chcesz tu wejść?

- Myślę, że ciebie wpuszczą, córko megaduksa. Twój ojciec jest filarem ich polityki. Ja podążę za tobą. Nierozpoznawalna, jako twój cień.

- I co dalej?

- Powiesz, że przybywasz do Konstancyne. I chcesz, aby zostawili cię z nim sam na sam.

- Ale...

- Dzisiaj ceremoniał jest rzeczą, która liczy się najmniej. Uwierz mi.

Jeszcze się waham. Jeszcze...

- No idź - ponagla. - Nie spędzę całej nocy obok tych świątobliwych mnichów.

Podchodzę do wrót i stukam - oto zapowiadana wizyta śmierci.

Drzwi otwierają się po długim oczekiwaniu, po długotrwałym hałasie wywołanym moim dobijaniem się.

- To miejsce ciszy - mówi człowiek, który mi otworzył.

- Jestem Irena, córka megaduksa.

- Wiemy, kim jesteś.

- Prowadź mnie do bazyleusa.

- Jak sobie życzysz, bazylisso - rzecze poważnie.

Rozglądam się dyskretnie za Marą, ale nikogo obok mnie nie ma.

Jest tylko mgła, która srebrzystym woalem powoli otula okolicę.

- Nie powinni cię tu wpuszczać - mówi Konstantyn.

Siedzi skupiony w drewnianej ławie. Kiedy podchodzę bliżej, unosi głowę, opuszczoną dotąd na złożone dłonie. Jest stary.

Zielony klejnot w ciężkim, rozciągającym płatek ucha kolczyku połyskuje w skromnym oświetleniu. Czuję woń stopionej parafiny i kwiatów. Nie wiem, skąd wziął się tu zapach kwiatów.

- Jestem Irena, twoja Irena.

- Widziałem cię kiedyś... Choć nie byłem pewien, czy ty to właśnie ty. Przysłała cię megaduks? Powinien być tutaj. Dzisiejsza noc przeznaczona jest na skrucę.

- Przyszłam sama, Konstantynie.

Marszczy brwi.

- Ale po co, na litość boską? Po co przyszedłeś do swojego cesarza?

- Żeby zobaczyć cię takim, jakim jesteś naprawdę. Aby pozbyć się złudnych wyobrażeń.

Podnosi się. Ciało ma jeszcze silne, męskie. Znacznie przewyższa mnie wzrostem.

- I co widzisz?

- Nic. Nic nie widzę. Spodziewałam się słabego kaleki albo głupiego tyrana. Może po prostu zagubionego człowieka. A tu... nic.

- Jednak jestem bazyleusem. Cesarzem Konstantynopola.

- To też nic. Całe to cesarstwo, twój urząd, to nędzne odbicie Imperium, które dawno się skończyło. Tam, za murami jest przyszłość. I sama rzeczywistość.

- Boli słyszeć to z twoich ust.

- A czym są moje usta? - Uśmiecham się. - Nie chciałeś moich ust, Konstantynie.

- Wyjdź, Ireno. Odprawiam cię. Byłabyś strasznie gadatliwą żoną.

Stoi odwrócony do mnie plecami, w końcu komnaty.

- Ja kochałam...

- Kochałaś mnie?

- Kochałam swoje wyobrażenie, kochałam siebie jako cesarzową, jako bazyliisę. Poświęciłam na to dzieciństwo i młodość. A ty złamałeś mi życie! - wyrzucam z siebie gorycz, która od dawna szukała ujścia. - Przyszłam zobaczyć tego, który to wszystko zrujnował. I powiem ci, cesarzu, że gdybym zobaczyła kogoś innego... Kogoś innego niż cesarskiego wypierdka! Monarchistycznego szaraka!... Zabiłabym się. Zabiłabym się z żalu... Za tobą i za Ireną bazyliisą.

- Nienawidzisz mnie, nienawidzisz - mówi cicho.

- Nienawidzę, dlatego przyprowadziłam ją. Jej nienawiść jest doskonalsza niż moja.

Kątem oka dostrzegam cień, który materializuje się w postać kobiety.

- Mam dzisiaj dzień odwiedzin. - Wzdycha.

- Nie. Dzień procesu.

- Boże, jakie to patetyczne. I właśnie ty wypierasz się Konstantynopola?

Odchodzę od niego. Z rozpaczą usuwam się w cień.

Szybki, koci ruch...

Wygląda potwornie, po raz pierwszy widzę Marę tak brzydką; dostrzegam w niej dziedzictwo śmierci.

Zbliża się ku niemu. Konstantyn próbuje się odsunąć, wejść w światło. Usiłuje krzyknąć. Ale krzyk rozmywa się w powietrzu, pożarty przez klasztorną ciszę. Podobnie jak syczący głos Mary, która mówi coś do niego. Coś mu tłumaczy, wskazuje na siebie, wskazuje na mnie.

Jest w tym wielka tajemnica. Tajemnica, której nie potrafię przeniknąć. Nie dzisiaj, nie teraz.

Rzuca się na niego. Drapieźnie obejmuje i przewraca na ziemię.

Słyszę obrzydliwe młaśnięcie rozdieranego ciała i przytłumiony, wibrujący krzyk.

Ciało Konstantyna nie przestało jeszcze drgać, kiedy z mroku, z tajemnego klasztornego przejścia wybiega ku nam skurczona, ciemna sylwetka. Mnich Gennadios.

Nie zwraca na mnie uwagi, całkowicie skoncentrował się na Marze. Wlepia w nią wzrok i koślavo podrygując, omija obojętnie zwłoki cesarza.

- Podśluchiwałaś, mnichu. - W jej głosie nie ma śladu jakichkolwiek emocji.

- Wampir! Prawdziwy wampir! - wrzeszczy tamten, wymachując rękami. - Wy istniejecie! - Łapie się za głowę. - A ja, ja nie chciałem wierzyć księgom! Pani, jestem niewiernym Tomaszem! - Przypada do nóg Mary.

Ta odsuwa się od niego, szybko i zdecydowanie. Na jej twarzy maluje się wyraz potwornego obrzydzenia. Cedzi przez zaciśnięte usta:

- Odsuń się ode mnie, człowieku. I natychmiast przynieś mi ostry miecz. Jest mi potrzebny ostry miecz! Słyszysz?!

- Już pędzę, już pędzę, pani. Tylko nie odchodź. Doprawdy, to jak nawiedzenie. Nie odchodź, błagam!

Błyskawicznie wrócił z cesarskim ostrzem o inkrustowanej rękojeści.

Drżąc, podał je Marze.

- Odsuń się, mnichu. Muszę odrąbać głowę. To moje trofeum.

- O, pani! O, pani! - Gennadios pojękuje, przyjmując postawę pełną oddania i pokory niespotykanej u tego człowieka.

Zdumiewa mnie prawdziwy obraz mnicha Gennadiosa, tego przewodnika tłuszczu, wzoru mojego ojca. Czy jest nią ta przeklęta kreatura? Gdzie mieliśmy oczy, my, którzy przez długie lata daliśmy się prowadzić takim ludziom jak Konstantyn czy mnich z Pantokratora?

- Pani, przysłaś po mnie! Weź mnie ze sobą, uczyni mnie takim, jak wy.

Mara spogląda na niego uważnie, obwijając odciętą głowę w swoją chustę. Patrzy, jakby dopiero w tej chwili w pełni uświadomiła sobie obecność tego człowieka.

- Zabijesz go? - pytam cicho.

- Nie.

- Pani, tyś moją jedyną nadzieją! Jedyną ucieczką przed Turkami!

- Zostaniesz tutaj, śmiertelniku - mówi dobitnie.

Tamten rozpaczliwie protestuje, błagając i prosząc.

- Przecież opowie o nas - szepczę.

Mara uśmiecha się pogodnie. Nareszcie.

- Pomyślą, że jest obłąkany. Tylu tu teraz wariatów, nieprawdaż, moja droga? Ale to przez tę wojnę, przez tę krwawą rzeź.

Łagodnie ujmuje mnie pod ramię.

- Chodźmy.

- Nie!!! - Mnich rzuca się na nas z pięściami, ale zostaje odrzucony jak pusta łupina. Ciężko uderza o podłogę. Leżąc, zawodzi i skowycze: - Wilczyce! Przeklęte wilczyce!

Dzień wstaje prześliczny. Jego urok ostro kontrastuje z otaczającym nas morzem wojennej pożogi. Dziwne jest to wiosenne zmartwychwstanie, ta rozkwitająca obfitość natury w umierającym mieście. Soczyście zielone liście migoczą w słońcu, a ich granatowo-różowe cienie tańczą po płytach ulic.

Mara nie rozstaje się ze swym obrzydliwym zawiniątkiem nawet wtedy, gdy podchodzimy pod bramę Świętego Romana.

- Pomożesz mi? - pytam.

- Tak jak obiecałam.

Nigdzie nie dostrzegam Giovanniego, jego błyszczącej srebrem pancerza sylwetki. Może siedzi w ponurej kwaterze nad strategicznymi szkicami, jakby wciąż nie mógł pogodzić się z tym, że to już koniec?

Zatrzymuję się nagle i biorę głęboki oddech.

- Nie. Ja mu powiem.

- Ty?

- Znalazłam w sobie odwagę.

- 1 nienawiść.

- 1 nienawiść.

Dowiaduję się, że „mój” Giovanni jest ranny. Turecka strzała przeszła jego płuco i teraz protestator ledwie zipie.

- Czy przeżyje?

- Przeżyje - odpowiada z niezachwianą pewnością jeden ze strażników. - Nie ma rzeczy, która mogłaby zabić Giovanniego Genuńczyka.

- No to prowadź do niego.

Ułożyli go, jak wszystkich rannych, pod gołym niebem, na tyłach walczących. Pragnie obserwować rozwój sytuacji, jakby jego konająca krwiożerczość ciągle domagała się czynnego działania.

- Święta Irena - szepcze na mój widok.

Zaczynam opowiadać o Lemnos, o tym, że nigdy jej nie dostanie, że nigdy by jej nie dostał, że mają ją Katalończycy.

- Umierasz za darmo.

Gdyby mógł, gdyby zdołał się podnieść, rozdarłby mnie swoimi niedźwiedzimi łapami.

- Nie powinienem był cię wypuścić - mówi tylko, spoglądając pośpiesznie. - Ale ja nie umrę, Ireno. Nie umrę!

Zacisnął pięść na rąbku mojej szaty. Szarpnęłam się w tył i kawałek tkaniny pozostał mi w ręku.

- To na pamiątkę - syczę. - Weźże sobie na pamiątkę, Giovanni!

Odwracam się na pięcie.

Wtedy dociera do mnie ogromne poruszenie w szeregach obrońców. Słyszę głosy pełne rozpacz i zwątpienia, jęk zawodu, jaki wydają setki gardeł. Żołnierze pokazują sobie nawzajem wieże Kerkoporty i wciągane na nie tureckie sztandary.

Patrzę na owoc zdrady megaduksa, na to, jak się dokonuje.

I zaczynam rozumieć. Teraz czuję zapewne to samo, co i on: niewysłowioną ulgę. Pragnę powiedzieć: „Dokonało się”. To oczywiście nie koniec. Nie koniec, lecz jeden z ostatnich etapów agonii Nowego Rzymu.

Bóg zagniewał się na Konstantynopol i w swej potędze już dawno wyznaczył kres jego istnienia. Mieszkańcom kilkakrotnie udało się odwlec wykonanie bożego wyroku, lecz z każdą ucieczką spod nadprzyrodzonego topora miasto traciło na godności i prestiżu.

Aż wreszcie stało się takie, jak ostatni cesarz, małe i nieudolne.

Kerkoporta poddana. Historia na pewno będzie oceniać ten czyn. Raz dobrze, raz źle, w zależności od sytuacji. Jeśli rządzić będą łacinnicy, megaduks zyska przydomek Judasza Iskarioty. Jeśli Grecy... Grecy może go zrozumieją.

Mahmed pozwala zachować niektórym swoim poddanym wiarę, podobno dzwonki prawosławnych kapłanów można usłyszeć na podbitych ziemiach równie często jak nawoływania z minaretów.

Jest pewne, że kiedyś na świecie pozostaną tylko wyznawcy Allacha i ci, którzy pragną, by Duch Święty pochodził od Ojca i Syna - bolesne to bardzo, że wschodni bracia w Chrystusie oparcie mogą znaleźć jedynie pod skrzydłami tych pierwszych.

Teraz uświadamiani sobie, że dusza Konstantynopola tkwi już tylko w jękliwej nucie obrzędowego dzwonienia.

Z trudnością przeciskam się przez barykadę postawioną przed wewnętrzną częścią bramy Świętego Romana.

- Aleo hepolis! Miasto jest stracone! - rozlega się za mną.

Część Turków rozpierchła się po zdobytym mieście, aby z nakazu Mahmeda wyłapać arystokrację, no i oczywiście zebrać trochę złota do własnych kieszeni. Są oddziały, które

dobijają rannych, i takie, które nawracają, darowując życie za imię Allacha na ustach - wszakże po wypowiedzeniu formułki: „Nie ma innego Boga poza Allachem, a Mahomet jest jego prorokiem” zostaje się już muzułmaninem.

Wielu mieszkańców Konstantynopola chwytą się tego, ta krótka modlitwa jest dla nich jedyną szansą przeżycia.

Inni obrońcy wciąż walczą. Nie padł jeszcze broniony odcinek portu, część żołnierzy i mieszkańców biegnie w tamtym kierunku.

Nikomu to już nie pomoże.

Widzę orszak sułtana zbliżający się do kościoła Mądrości Bożej.

Oszalania zapach pachnidła, które rzucają przed zwycięzcą laufrowie. Pod orientalną wonią olejków niknie nawet ostry odór krwi.

- Czy to... przez ojca? Przez nas? - pytam Marę.

- Zastanawiałaś się, ilu jeszcze mieszkańców wywieszało sztandary sułtana? Ile otworzono przed nim drzwi? To przez ludzi. Oni chcą spokoju. Chcą żyć, pracować, rodzić i spokojnie umierać.

Przynajmniej większość z nich.

- Co teraz?

- Nie bój się, nikt cię nie ruszy.

Przed zsiadającym z konia sułtanem, pod wyrwaną spiżową bramą janczarowie uprzętają zwłoki chrześcijanek. Tu i ówdzie spomiędzy ciał wyciągają strzaskane ikony. Smolisty dym rozchodzi się od dogasających świec, wyniesionych ze świątyni.

Mam wreszcie obejrzeć oblicze Pana Stu Słońc, Mahmeda. Z fascynacją zauważam, że nie ma w niej nic piekielnego. To ładna, ogorzała męska twarz o szerokim czole i delikatnie zarysowanej szczęce, namiętych ustach i zmęczonych, głęboko osadzonych oczach. To twarz, którą potrafi pokochać każda kobieta.

- Spójrz, to mógł być twój Pan - mówi Mara głosem pełnym uwielbienia, wodząc wzrokiem za znikającym w kościele Mahmedem.

Muszę się przyznać do pewnego ukłucia żalu, jakie pojawiło się po usłyszeniu jej słów.

Strzała mknie ku sklepieniu. Lśniący grot wbija się głęboko w zaprawę, a roztrzaskane fragmenty mozaiki spadają na posadzkę jak różnobarwne płatki kwiatów. Upierzenie strzały drga ekstatycznie.

- Emir Turków, Mahmed, syn Murada przybył, aby poświęcić największy kościół chrześcijaństwa Jedynemu Bogu!

- Nie ma innego Boga poza Allahem, a Mahomet jest jego prorokiem!

Jeszcze długo nie umilkną ostatnie okrzyki janczarów.

Mara jest jedyną osobą, którą dopuszczają do sułtana. Przechodzi pomiędzy szpalerami wiwatujących wojowników. Spoglądam na to z kościelnego chóru.

Wyciąga z poplamionego krwią zawiniątka odrąbaną głowę Konstantyna. Martwy cesarz ma oczy zamknięte, zapadłe głęboko w siniejącej już twarzy.

Mara szepcze coś, Mahmed milczy zasłuchany, jakby czas zatrzymał się dla tych dwojga. Przypatruję się, próbuję czytać słowa z ruchu jej krwistoczerwonych warg, oczywiście bezskutecznie.

Dopiero teraz dostrzegam łączące Marę i sułtana podobieństwo - rysy twarzy, gesty. Mahmed jedną ręką odbiera trofeum, a drugą przygarnia kobietę do piersi. Nie jak kochankę czy przyjaciółkę.

A później wszystko się urywa. Za sprawą jakiejś potężnej magii w następnej sekundzie Mara stoi tuż przy mnie.

- Umieszczę ją na cokole pośrodku miasta! Na cokole zniszczonego pomnika cesarza!

- mówi Mahmed, potrząsając przed oczami stłoczonej w świątyni armii martwym czerepem.

Janczarowie wyją, wyrzucając ku górze zaciśnięte na broni pięści.

- Chodźmy. - Mara wyprowadza mnie stamtąd niepostrzeżenie.

Przez nikogo nie zatrzymywane, bardziej przypominając mgliste cienie niż zwykłych ludzi, maszerujemy w stronę portu. Kilka razy Mara odwraca się jeszcze ku kościołowi Mądrości Bożej, ku nowej świątyni Allacha. Jej wzrok błądzi po niebie ponad kopułą, jakby potrafiła dostrzec nieistniejące jeszcze szczyty minaretów.

- Mahmed to twój syn.

- O tak. Najważniejsze dla mnie jest to, że wyszedł z mojego brzucha.

- To czemu przy nim nie zostałeś?

- Och, zabiłby mnie.

Mówiąc dalej, uprzedza kolejne pytanie.

- Zrobiłby to z ciekawości. Z ciekawości, która przywiodła go pod mury Konstantynopola. Chciałby sprawdzić, jak to jest, kiedy się umiera po raz wtóry.

- Ale pomogłeś mu zdobyć miasto.

- Przybyłam do Konstantynopola za swoimi sprawami - odpowiada stanowczo. -
Mahmed nie miał z tym nic wspólnego.

- Jesteś więc wdową po Muradzie. Szeptano kiedyś, że zostaniesz żoną Konstantyna.

- Wezyr Halil tego chciał. Pragnął za wszelką cenę utrzymać pokój. No cóż...
Bazyleus nie miał na mnie ochoty, wtedy w perspektywie miał ciebie.

- Byłaś zła.

- Nie potrafiłam cię zabić. Pozostawała śmierć Konstantyna.

- A ja miałam być dla Mahmeda.

- Teraz to wykluczone. Nie jesteś dziewicą!

Wybucham śmiechem, a Mara mi wtóruje.

Skromna część „morskiego muru” jest jeszcze w rękach łacinników, przeżywa on nieustanne oblężenie ludzi pragnących za wszelką cenę wydostać się z miasta. Są roznoszeni na mieczach.

Ogromna genueńska jednostka próbuje sforsować łańcuch zamykający port. Za nią, w karnym szeregu ustawiły się trzy małe statki weneckie.

Ze wzgórza, na którym stoimy, widać je jak na dłoni.

- Odpływam jednym z nich - informuje Mara.

- Nikt nie ruszy w pościg?

- Nikt - odpowiada.

Wierzę jej. Oczywiście, że wierzę. Wyteżam wzrok.

- Na żadnym nie widzę szalupy.

- A po co? - pyta z rozbajającym uśmiechem.

Lekko przemykamy przez tłum. Nie przywykłam jeszcze do tego, że nikt nas nie widzi. Zwalniam, z niepokojem myślę o swoim dalszym losie.

Zagapiłam się. Omiatam spojrzeniem niereagujących na mnie strażników i dostrzegam, że Mara stoi już na nabrzeżu. Wstępuje na wodę i idzie po niej, ku wyzwoleniu.

Widzę w tym diabelskie parodiowanie naszego Pana. Nie... ich Pana! Pana miasta Konstantyna.

- A ja? Zostawiasz mnie tutaj?! - krzyczę. - Miałaś odejść razem z miastem. Tak twierdziłaś.

- Nie chcę umierać - mówię.

- No to płyn. Zabiorę cię ze sobą. Jeśli tylko los tak mówi, płyn...

Zabierze mnie ze sobą! Dokąd? Do czego?

Całe moje życie upłynęło w Konstantynopolu. Cała przeszłość wiązała się jedynie z tym miastem. Nie nauczono mnie niczego, poza ukrytą w jego murach i ginącą teraz tradycją. Nie liczę na ojca, na brata - zapewne są martwi. Dla mnie są martwi, nawet jeśli przeżyli. Nie należą już do mojej rzeczywistości. Za nikim nie tęsknię, a Mary nigdy już nie chcę oglądać. Nawet nie rozumiem dlaczego, moje zarzuty drastycznie straciły na aktualności.

Chyba ostatni raz w życiu odnajduję w sobie tyle siły. Wyciągam ramiona i rzucam się w wodę. Słyszę krzyk, pewnie teraz mnie zauważono.

Budzę w sobie dzikość. W szalonym jak na mnie tempie pruję fale. Jestem lekka, jestem wolna, jestem w euforii. Nawet celnie wystrzelony belt, który przeszywa mi plecy i wtrąca pod wodę, nie jest w stanie zabić tych obudzonych nadziei.

Niesłuchanie powoli i spokojnie wypływam na powierzchnię.

Sięgają po mnie jej cudownie bezpieczne ramiona...

Owego dnia, w maju 1453 roku, roku upadku mojego miasta, umieram i rodzę się na nowo. Sama z siebie, sama z głębi swego serca i umysłu. Obudził mnie szept dawno zapomnianych pokoleń, Mara nie musi już zaszczepiać mojego ciała swoją martwą krwią.

Łagodne kołysanie. Ten miarowy ruch czuję każdym nerwem, doznanie przedziera się przez ścianę paralizującego bólu, płynącego z rany pod łopatką.

- Naprawdę sądzisz, że ona przeżyje? - słyszę obcy głos. - Spójrz na nią, jest konająca.

- Tak, jest prawie martwa - rozlega się głos Mary. - Ale będzie żyła. Będzie żyć zupełnie jak ja.

- Podziwiam twoją pewność, kobieto. Zaraz zniosę dziewczynę do kajuty. Tu masz wenecki paszport. Z drugim, dla małej, będzie więcej kłopotu i myślę...

- Będzie potrzebny. Wiesz, panie, że dobrze zapłacę.

Chrząknięcie.

- Tak. Spróbujemy dogonić genueńskich marynarzy. Być może oni...

- Nie - jęcę. - Nie genueński.

- Co?!

- Nie słyszysz, człowieku? - pyta Mara. - Ona nie chce genueńskiego paszportu.

- A co w nim złego?

- Ona nie przepada za genueńczykami. Gotowa ich wszystkich pozabijać.

Długie milczenie, słysząc jedynie fale uderzające o burty. Przez półprzymknięte powieki wdziera się oślepiająco jasne, słoneczne światło.

- Hm, jednak możemy się z nimi spotkać. Nie chciałbym...

- Nie martw się, kapitanie. Mówię ci, że mając Irene, masz przy sobie pokój. [Greckie imię Irena (Eirene) oznacza, „pokój”.]

W tekście wykorzystano fragmenty Pieśni nad Pieśniami w tłumaczeniu Piotra Rostworowskiego oraz tekstu Izydora kardynała Konstantynopola w tłumaczeniu Władysława Tatarkiewicza (cytat za Historią estetyki Władysława Tatarkiewicza).

ZAMORDOWANA DUSZA

Jeśli istnieje piekło, to Rzym jest na nim zbudowany.

Marcin Luter

Zabierz me serce, chore od pragnień i wrośnięte w umierające zwierzę.

William Butler Yeats

RZYM, 1475

Jestem. Żyję. Trwam.

RZYM, 1480

Klucz, chrobocząc, przekreca się w zamku. Drzę i czekam.

RZYM, 1485

Mój Pan.

Jest potężny jak niedźwiedź i jak niedźwiedź owłosiony - mimo że nie pierwszej młodości ani nawet nie drugiej; w innych okolicznościach nazwałabym go starcem. Dotyka moich czarnych włosów i wzdycha, mówiąc, że rzymianki swoje loki farbują na blond. Odpowiadam, że nie jestem rzymianką. Bardziej Greczynką.

Ciągnie mnie za loki - ich kolor przypomina mu Hiszpanię. Tam się urodził, w Walencji, 1 stycznia 1431 roku.

Oparł moje stopy na swoich ramionach. Pozwalam kolanom rozchyłać się na boki. Mój Pan wbija się pomiędzy uda. Leżę na włosach. Miłosne zapasy szarpią ciałem, głowa odgina się coraz bardziej do tyłu i czuję ból.

Mała dziewczynka, cierpiąca na bezsenność, nuci coś na ciemnych korytarzach zamku. Wtórjuje jej starszy brat, jego głos jeszcze nie przeszedł mutacji, wznosi się i wznosi coraz wyżej. Rozkosz pozostaje nieuchwycona, poza zasięgiem...

Opuszczam nogi i kochanek pada na moją pierś. Chłopiec i dziewczynka to dzieci mojego Pana.

Ofiarowuje mi perłę. Jedną. Starą. Ta perła jest martwa, matowa.

Układa mi ją głęboko w pępku. Należała do cesarzowej Teodory, mówi, myślałem, że cię ucieszy. Rzeczywiście cieszy mnie. Mój Pan nigdy się nie myli.

RZYM, 1492

Mój Pan, Rodrigo Borgia, przechodzi przemianę - zostaje wybrany na papieża. Jego nowe imię to Aleksander VI. Przewozi mnie po kryjomu do Watykanu.

Kochaj się ze mną, proszę mojego Pana. Odmawia mi. Czuję się samotna. Czuję się niepotrzebna. Nic nie znam poza nim. Nic, do czego chciałabym się przyznać.

Panie? Pożądanie zwycięża i wtedy on rzuca się na mnie i gryzie me piersi i rozkosz jest wielka, ale zaspokojenie znowu zostało za drzwiami. Mój Pan gładzi moją głowę, chodź, przekręca klucz w zamku i wychodzimy w noc pałacu. Jesteśmy jak dwa duchy.

Straże uważają, by nas przypadkiem nie zobaczyć. Stajemy przed drzwiami biblioteki. Popycha je lekko, a potem mnie. Mówiłaś, że umiesz czytać, to czytaj, może coś tu znajdziesz.

I pozostawia mnie, i klaszcze w dłonie na strażnika, by nie pozwolił mi wyjść. I aby przypomniał mi, że po nocy przychodzi śmiercionośny świt.

Teodora wezwała do Bizancjum Teodozjusza i natychmiast po przyjeździe ukryła go u siebie w Pałacu. Nazajutrz każe przyjść Antoninie i rzecze: „Patrycjuszko najmiłsza, wczoraj wpadła mi do ręki perła, jakiej nie oglądały dotąd ludzkie oczy. Jeśli chcesz, nie pożałuję ci tego widoku i pokażę ci ją”. Ta, nic nie rozumiejąc, zaczęła gorąco prosić, by mogła zobaczyć perłę, a wtedy Teodora pokazała jej Teodozjusza, którego wyprowadziła z pokoju jednego z eunuchów. Antoninę tak bardzo oszołomiła radość, że w pierwszej chwili po prostu oniemiała; potem dopiero zaczęła wylewnie dziękować Teodorze za tak wielką łaskę, nazywając ją swoją wybawicielką, prawdziwą władczynią.

- Co czytałaś? - Pytanie wisi w powietrzu.

Rodrigo je kandyzowane owoce, nie częstuje mnie nimi. Skubię palec u jego stóp. Nasze ciała oświetla poświata księżycyca. Biel i ochra. Papież ma ciało żołnierza, ja jestem jak nocna mgła.

- Giasone del Maino twierdzi, że masz „genitalny i heroiczny wygląd”. Gaspare de Nerona pisze: „Wystarczy, że rzuci spojrzeniem na piękną kobietę, by rozgorzała ona miłością; przyciąga on kobiety jak magnes żelazo”.

Rodrigo śmieje się.

- Czytałaś coś jeszcze?

- „Nigdy nie widziano bardziej zmysłowego człowieka...” - przytaczam odczytane słowa z pamięci. - „Już w wieku trzynastu lat zaczął uganiać się za kobietami. Opowiadał wielu swoim przyjaciółom, że gdy skończył dwadzieścia lat, miał już za sobą stosunki cielesne z przeszło dwustu kobietami. Kiedy został kardynałem, lubił sypiać między dwiema kobietami i gdziekolwiek wyjeżdżał, zabierał ze sobą jedną w męskim przebraniu”.

Sięga pieszczotą do mojego chłodnego karku.

- Czemu nigdy nie próbowałaś uciekać?

Ja, Irena, niedoszła bazyliissa Konstantynopola, zostałam zabita pod murami obleżonego miasta - i odrodziłam się do tego, czym teraz jestem. Był upalny maj 1453 roku, krew i bez pachniały tak, jak nigdy potem. Dziewczyna, lat piętnaście i pół - z jej ciałem weszłam w Wieczność i tak już pozostanie.

Moja towarzyszka w Przemianie, matka emira Turków, Mahmeda Zdobywcy, przywiodła mnie do znienawidzonej Genui. Genui, która była piękna. Która budziła w moim cichym sercu lęk i pożądanie.

Pozostawiono mnie na pastwę tych uczuć. Tyle lat próbuję nauczyć się żyć sama i od tyłu traktuję to jako przekleństwo szarpiące moją duszę (o ile dusza jest dana takim istotom jak ja).

Widać nie mam jeszcze dość siły, by zmienić swoje Przeznaczenie.

Pisząc to, bluźnię przeciwko wysławianej w Piśmie wolnej woli, ale jak ja mam mieć wolną wolę, kiedy nie miał jej Jezus opiewany przez starożytnych proroków, kiedy jego istnienie było tylko wymysłem ducha. Ja istnieję. Nie poddam się śmierci, choć jestem śmierci urzeczywistnieniem... Oraz śmierci największą porażką.

Ja, Irena.

W Genui Mara powiedziała, że jestem dla niej zbyt wielkim ciężarem. Zniknęła. Rozumiałam ją, ja sama dla siebie byłam za wielkim ciężarem. W dodatku nie mogłam się zabić, zabić! Po co, do diaska, błagałam, by mnie uratowała? Czy nie lepiej byłoby utonąć, wrócić do miejsca, skąd wszyscy pochodzimy? Do Pramatki Wód, łona matki? Może i lepiej. Zawsze najpierw kierowałam się emocjami, nie rozumem, i miało to pozostać dla mnie przekleństwem, a dla świata zniewagą. Miałam lat piętnaście i pół, i przed sobą całą Wieczność. Zwierzyna, którą łowiłam, spacerowała całymi stadkami po genueńskim porcie. Zaprzętała mnie inna sprawa, uporczywy brak pieniędzy i brak zacisznego gniazda, gdzie nie docierałyby promienie słoneczne. Do głowy przychodziła mi tylko jedna myśl, jedno rozwiązanie - sama się sprzedałam jako niewolnica do genueńskiego burdelu. Nie był doskonały, ale i ja byłam wyniszczona chorobą. Kiedy doszłam do siebie i zyskałam na wartości, mój pan oddał mnie innemu alfonsowi za długi. Ten za czas jakiś, już piękną i biegłą w najstarszym rzemiośle, przegrał mnie w karty. Zostałam nawet zapisana w testamencie, aż wreszcie trafiłam do Rzymu i sprzedano mnie Rodrigowi Borgii, który sprezentował mi sekretny pokój i swoją ciekawość.

Tkwię w bibliotece, jak zamknięta pomiędzy oceanami przeszłości i przyszłości zapisanymi w księgach. Historia i prorocstwo.

Ktoś podgląda mnie przez dziurkę od klucza świeżo założonego zamka. Słyszę kaszel i szuranie stóp po marmurze. Wiem, że strażnika można przekupić, zamek otworzyć wytrychem. Nie martwi mnie to. Niech los zadecyduje za mnie, czy pragnę odpoczynku, czy przygody.

- Jesteś dla mnie dowodem na istnienie Boga - mówi Rodrigo.

Mięsistym językiem, bodąc dużym nosem moje podbrzusze, wysysa z moich sekretnych warg perłę Teodory, jakbym była małżą, jakbym cała nadawała się do zjedzenia - a ja znowu jestem głodna.

Taka głodna, że aż strach!

Przyprowadza zwyczajną nierządnicę z dzielnicy Zatybrze. Jest jednak jeszcze młoda i jędrna.

- Kogo tu ukrywasz, panie? - pyta, kiedy mój Pan otwiera sekretną komnatę, zapala kaganek. - Ha! Oto i pączek róży! - Pieści Rodriga po twarzy. - Ile masz lat? - zwraca się do mnie.

- Piętnaście i pół - odpowiadam.

- To cudzoziemka - mówi Rodrigo.

- Nie przeszkadza mi to. - Kurwa zaczyna rozpinąć swoją sukienkę, rozwijać zapaskę.

- Do naga?

Oboje z moim Panem kiwamy głowami.

- Jakie jest wasze życzenie?

Bierzemy ją do łóża, w środek pomiędzy nas. Spija pocałunki z moich ust i pieści piersi, a druga jej dłoń odnajduje męskość Rodriga. Rodrigo bierze najpierw ją, a potem mnie. To jednak jeszcze nie koniec. Kiedy robię mu fellatio, on zajmuje się tamtą.

Jego usta, moje usta lśnią. Ona krzyczy.

- Pokaż mi - szepcze Rodrigo.

Jego oddech pachnie winem i goździkami. Włosy mirra, olejkiem sandałowym. Dziękuję Panu skinieniem głowy i rzucam się na wspólną kochankę. Rozdzieram jej szyję, nim zdołała się zorientować.

Serce zatrzepocze jeszcze raz czy dwa w klatce piersiowej, a potem zaśnie snem wiecznym. Po tym, że ciało stało się ciężkie i niezgrabne, jakby nagle nieforemne, wiem, że dusza kobiety odeszła. Rodrigo czyni znak krzyża.

- Odpuszczam wszystkie ziemskie grzechy. Przyjmą ją wody Tybru. Trzeba tu będzie zmienić pościel.

Obgryzam paznokcie. Papież patrzy na mnie skuloną w cieniu, wyglądam jak dziecko.

- Lat piętnaście i pół - mówi. - Taka drobna. Taka chuda. Taka obca.

Mój Pan próbuje mi opowiadać o Konstantynopolu sprzed mojego pierwszego urodzenia. Wreszcie złości mnie to i nudzi.

Co on tam wie?

Całą noc miałam torsje i bolał mnie brzuch. Czasem to się zdarza, czasem krew okazuje się niedobra. A tymczasem znów słyszę historię o morskim olbrzymie, płetwalu imieniem Poryfion, który oswojony żył w wodach pomiędzy pałacem bazyleusa a Heraionem, letnią rezydencją bazyliissy, Teodory. Potrafił swoim ogonem zatapiać statki.

Zamykam zimną ręką usta Rodriga.

- Kiedy byłam dziewczynką, bawiłam się na jego kościach. Wchodziło się w jego sklezione zebra jak do ażurowej komnaty. Nie obchodzi mnie już Teodora. Panie, daj mi książki, które i ty przeczytałaś. Pisma o takich, jak ja: „cudzoziemcach”, wzytych z ludzkiego rodu.

Mój Pan to robi.

Są to żarłoczne ptaki; nie te, które wyrwały Pokarm z gardła Fineusa, choć od nich pochodzą. Mają wielkie głowy, wytrzeszczone oczy, dzioby dobre do chwytania łupu, Białe pióra i haczykowate szpony. Latają nocą i szukają chłopców, pozbawionych opieki mamki, By okaleczyć ciała porwane z łóžeczek. Podobno dziobami wrywają wnętrzości oseskom I napęlniają gardziele wyssaną krwią.

A zowią się strzygi, imię ich stąd się bierze, Że mają w zwyczaju nocą okropnie skrzeczeć.

RZYM, 1493

Mój Pan ma inną kochanicę.

Znowu noc. Tylko noc. Wysilam oczy nad zwojami, które w palcach zachowują się podobnie do skrzydeł motyla. Ćma wpadła w płomień świecy i usmażyła się. Wzdycham głęboko nad nią i nad sobą. Biedne istoty!

Skrzypią biblioteczne drzwi i nie mogę opanować drżenia, myśląc, że to idzie mój Pan. To nieprawda. Prawdą jest to, że Pan ma już inną bogdanę. Odwracam się, w ciemności oczy lśnią mi na czerwono. Mężczyzna nie boi się. Ma zapach mojego Pana, a jednak inny. To chłopak, choć już brodaty.

- Kim jesteś? - pytam.

- Nazywam się Cezar. Cezar Borgia.

- Ach. - Kiwam głową. - Jesteś jego synem. Słyszałam cię, kiedy byłeś mały. Teraz twój głos się zmienił. Zakonnicy załamują nad tym ręce. Kobiety się cieszą. Syn papieża.

- Sam już jestem kardynałem.

- Więc po co tu przyszedłeś, kardynale? Odejdź! Czy nie widzisz, że czytam?

- Byłem zazdrosny i chciałem wiedzieć, co on ukrywa.

- Twój ojciec...

W trzech krokach podchodzi do mnie. Całuje moje wargi.

Pyszny ma uścisk. Manuskrypty idą precz, ściągnięte twardym ramieniem ze stołu, na którym kokosimy się połączeni miłością do tego samego.

- Mój Pan. Cezar.

Choć jest środek nocy, muzyka gra w najlepsze. Lukrecja Borgia ma ślub, wesele w Watykanie. Cezar z wdziękiem próbuje wprowadzić mnie pośród gości. Wzrusza ta jego dworność, czarne włosy, które poznałam palcami, hiszpańskie wystające kości policzkowe,

które niczym świeży owoc opina smagłą, młodzieńcza skóra. Cezar pragnie podarować mi aksamitną maseczkę, bo za nią „można ukryć smutną twarz”.

- Po co się bawić, jeśli jest się smutnym?

- Bo jeszcze się żyje, dziecko.

- Dlaczego nazwałś mnie dzieckiem? Ty, który powinienes być moim synem.

Pragnęłabym tego.

- A więc nie pragniesz niczego innego?

- Nie.

- Przykro mi o tym słyszeć. - Podnosi roześmianą maskę do twarzy.

- Per pianto la mia carne si distilla - cytuję Jacopa Sannazaro. - „Od łez niszczeje moje ciało”.

Potem jednak przychodzi pora na inny wiersz:

On raduje się, lekkim muśnięciem
dotykając jej pięknej dłoni i płonie ogniem nieznanym;
a w przeczuciu szczęścia mającej nadejść nocy
na usta cisną mu się słodkie wyrazy,
ku miłej zwrócone oblubienicy.
Uśmiecha się świeża dziewczeczka
z różowym obłokiem zawstydzienia na białych licach.

W rzeczywistości lica panny młodej są pokryte grubą warstwą gładzika, a rumieńce namalowane farbą na białej powłoce, która czyni z oblicza oblubienicy twarz kościelnej figury. Pod wszytą w suknię gorgeriną, białą gazą zasłaniającą piersi i podkreślającą karnację, nie ma nic.

- Moja siostra ma trzynaście lat i nadaje się do małżeństwa.

- Zazdroszczę jej - mówię.

Widzę, że mała blondynka opiała się słodkiego wina, najadła owoców. Będzie z tego albo wielka namiętność, albo wielki sen.

Nigdzie nie dostrzegam szczęśliwego pana młodego, o którym wiem, że nosi w herbie smoka. Giovanni Sforza. Smok i jałówka: osobliwe to będą uściski.

Ludzie wydają mi się pokrzywionymi kukłami, podrygującymi na niewidzialnych sznurkach. Niby przypadkiem mężczyzna ubrany na hiszpańską modłę i roślejszy od Cezara, ale podobnej figury, trąca kieliszek kardynała, tak że buty pierwszego i kościelna szata

drugiego zostają oblane winem. Nie ma słów przeprosin. Cezar blednie pod kapeluszem. W ustach mamle przekleństwo, ale sparaliżowany nieznaną mi siłą, nieświadomym uczuciem, pozwala tamtemu odejść. Kogo się boi?

- Nienawidzę... - rzuca.

Odwracam się i patrzę za Hiszpanem.

- Idę do kurtyzan, niech mi spiorą to wino. Ireno, nie bawisz się... - spogląda oskarżycielsko.

- Kto to był?

- Nasza największa tajemnica, głęboko skrywana i ukochana w ramionach papieża. Nasz brat, Juan, hiszpański książę Gandii. Dowódca Gwardii Papieskiej. Pierworodny, pierwszego serca. Gardzi nami i trzyma się z daleka.

- A papież?

- Widzisz go gdzieś tutaj? Pobiegł za tamtym synem, mimo że powinien świętować ślub córki.

- Nie wiedziałam.

- Wiele nie wiesz, ale to nieważne. Wybacz. - Klaszcze na służącego, który przynosi mu wodę różaną w złotej misce.

Nie zawracam sobie dłużej głowy tym problemem, bo widzę, jak Bella Giulia, papieska kochanka, znika z wielkiej sali w wąskich drzwiach, które prowadzą do prywatnych komnat. Tam znajduje się całe wywyższone towarzystwo. Tu została tylko rzucona na pożarcie panna młoda. Pociągam nosem - czuję sól i wiem, że czas krwi donny Lukrecji jeszcze nie przyszedł. Oszustwo. Błogosławieni ci, co potrafią oszukiwać!

Skoro kardynał mnie opuścił, muszę się zająć sama sobą - co za odmiana po tylu latach! Chłodną pierś rozpala gniew. Okraść kogoś z krwi, okraść kogoś z życia, ciepła, dobrej zabawy! Zaciskam usta, ale maska, którą noszę, wciąż się uśmiecha. I ktoś uśmiecha się do niej. Okropny widok!

Twarz weselnego gościa przecina okropna blizna. Ściąga w dół kącik oka i żłobi ciało. Powieka pofałdowana na brzegach zakleja zniekształcony oczodół. Pusty. Łyskający kością i pozbawiony nerwów.

Żaden miecz by tego nie dokonał, żaden konował. Nie czuję wokół mężczyzny smutku ani zgorzknienia (może gniew? Pogodzenie z losem, którego smak jest mi taki obcy?)

- i nie dziwota.

Urodził się z tym pustym oczodołem, tak jak niektórzy chłopcy przychodzą na świat z jednym jądrem. Bitewna rana nie mogła go skrzywdzić, co najwyżej zajadłość bogów rozśmieszyła.

Lukrecja próbuje tańczyć hiszpański, gorący taniec, ale panny przerywają jej, bo jest zbyt pijana, i Cezar, przyciskając do piersi to kruche, śmiertelne ciało, zanosí je do dziewiczego łóżka. Żeby ukryć blamaż, muzycy zapraszają do kolejnych, skoczniejszych tańców.

Potrzeba do nich wiele śmiałości, szczególnie że gościom nie staje równowagi. Nagle, w tej komnacie, postanawiam zatańczyć do melodii tłukących się w skrzyniach żeber serc. Któraś kolejna wymiana partnerów prowadzi mnie do mężczyzny z blizną. Nim zdołał się zorientować, ściągám mu z palca luźno schodzący pierścień. Odskakuję i uciekam, wiedząc, że nikt nie będzie mnie gonił. Jestem małą dziewczynką i doskonale sobie radzę! Najpierw mój cień, a potem ja zderzam się z piersią Cezara, który drugi raz cierpliwie znosi kąpiel w winie.

- Czy wiesz, z kim tańczyłaś? - pyta swym wszystkowiedzącym głosem.

Kręcę głową.

- To Orsini. Jednooki i rogaty mąż Giulii Farnese. Naczelne dziwadło dworu. Zaraz po mnie i... po tobie - dodaje z pijackim uśmieszkiem. - Moja bibliotekareczko, żądzo papieża.

Nie zamykano już mojej komnaty; już nie. Zawsze było to bezcelowe, mogłam przecież przybrać postać mgły i wyjść dziurką od klucza. Spacerować po ścianach pałacu niczym po zgrabnym chodniku. Wymagałoby to ode mnie wysiłku, bo jestem młoda i czarna noc wciąż dojrzewa we mnie, ale byłoby możliwe. Niedługo po ślubie małej Lukrecji Borgii wybieram się na nocny spacer po Watykanie, do prywatnych komnat papieża. Nikt mnie nie niepokoí, żaden strażnik, żaden duch, żaden nocny marek. Zresztą jestem widzialna jak cień, jak chłodne powietrze poruszające zasłonami w oknie. Opieram palce na drzwiach, na herbie Borgiów, na którym szarżuje czerwony byk. Uśmiecham się samymi kącikami spieczonych ust, kiedy przypominam sobie, jak papież lubi korridę. Sprowadził ją do Włoch z Hiszpanii. Ten odór schnącej w pyle bydłcej krwi. Rodrigo śpi teraz czy pracuje? Nie potrafię go usłyszeć, nie czuję jego serca. Freski w prywatnych komnatach Borgii wykonał niejaki Pinturicchio. Łączą w sobie harmonijny, czysty rysunek i świetlisty kolor. Chłodna analiza kształtów, połączona z namiętnością barw... Nie dziwi mnie, że Pinturicchio jest ulubionym malarzem Rodriga. Ach, ta ich Madonna. Ma Donna - patrzę na wyświęcony pędzlem portret

Giulii Farnese. Mogłabym tę fałszywą Najświętszą Dziewicę rozedrzeć pazurami. Nie zrobię tego, nie jestem głupia. Już nie.

Czuje, że temperatura w komnacie się podnosi, to papież podgrzewa ją oddechem.

- Nie możesz spać? - Stoi obok.

Oboje patrzymy na Giulie, nie-Giulie. Oczy błyszczą.

- Ja nigdy nie śpiam. Nie pamiętasz już?

- Rzeczywiście.

Cisza. Ktoś pokałuje za oknem.

- Brzydzisz się mnie, Rodrigo?

- A ty się sobą brzydzisz?

- Nie. Jestem dumna z tego, że jestem wampirem. Zresztą nie mogłabym być już nikim innym.

Uśmiecha się. Zmarszczki-śmieszki zaznaczają mu się przy policzkach, krzyżują nad kośćmi policzkowymi.

- Rodrigo, czy ty się mnie boisz?

Milczy przez chwilę.

- Nie zmusisz nikogo do miłości, Ireno.

- A kiedyś...

- Niegdyś kochałem cię, tak. Nadal mnie fascynujesz, ale i spalasz. Zresztą twoja obecność świadczy o istnieniu i Boga, i diabła, a z tą prawdą Kościół, którego jestem głową, jeszcze sobie nie poradził.

- Jestem samotna.

- Ja też. I Bóg również. Oraz Cezar. Wszyscy jesteśmy. Między wampirami a ludźmi nie ma znowu takiej różnicy.

- Powiedziałeś: Cezar...

- Przysłałem go do ciebie. Czy podobało ci się?

- O tak. A najbardziej ślub Lukrecji.

Giulia Farnese, Królowa Nieba i Ziemi, patrzy na nas.

Odbywało się to w maju, miesiącu nazywanym na cześć przodków, Który przechował do dzisiaj część dawnych obyczajów.

O północy, kiedy cisza zaprasza do snu, I milczycie już, psy i wszelkie ptaki, Kto pamięta stary obrzęd i boi się bogów, Zrywa się z łóżka i nie zakładając sandałów, Robi znak kciukiem i środkowym palcem, Aby mu, milczącemu, cień złudny nie zastąpił drogi.

Myje potem ręce do czysta w źródlanej wodzie, Odwraca się i wzięwszy czarny bób, RzUCA go za siebie, mówiąc: To rzucam wam, Siebie i moich wykupuję tym bobem.

Mówi te słowa dziewięć razy i za siebie nie patrzy, Wierzy bowiem, że cień zbiera pokarm i kryje się Za jego plecami, gdy tego nie widzi. Znowu myje ręce, I mocno bije w temezyjskie brązowe naczynia, Prosząc, by duchy opuściły jego domostwo.

Mój świat jest poza Watykanem. Jak każdego wyrzutka z rodu człowieka, ciągnie mnie w miejsce najbardziej plugawe i najbardziej tajemnicze; w miejsce, gdzie wszystko jest możliwe z wyjątkiem godnego, dostatniego życia - nad Tyber. Pośród mieszkańców Zatybrza widzę różne dziwy, kurwy starsze od Matki Ziemi, całe rodziny karłów. Syjamskie bliźniaczki zrosnięte głowami, mężczyzn mających po jednym jądrze, pokręcone syfilityczki bez nosów, z dziobami na twarzy, które niefortunnie zarazili kochankowie z takich mieszczańskich dzielnic jak Parione, rozciągająca się pomiędzy Piazza Navona i Campo di Fiori. Nie dotykam tych nieszczęść. Dozwalam żyć potworkom i ich matkom. Czatuję na paserów i na sprawców rozbojów. Wiem już wtedy, że o ile krew kobieca jest smaczniejsza, to częściej bywa trefna. Krew mężczyzn daje więcej siły, może za sprawą dziwnych substancji, które w niej krążą, a świadczą o tym, że mężczyzna jest mężczyzną, a kogut kogutem. Unikam krwi chłopców, bo parzy usta i prowokuje do gniewu, oraz posoki starców, która sprowadza na mnie otępienie.

Lubię spijać najemnych żołnierzy, wielu ich się tu kręci. Bywa, że ich nie zabijam, a nawet łączę się z nimi w krótkiej rozkoszy, wciąż pamiętając o Giovannim. Masochizm lepi się w jedno z sadyzmem, bo potrafiłam żołnierza przez zrodzoną ze wspomnień furie obić tak, że zostawał powłóczącym nogi kaleką. Okradałam z broni i sakiewki, fundując mu śmierć gorszą niż ta, którą przynosiły wampirze kły. Śmierć od pogardy i bezduszości ludzi. Jeść muszę często, moje ciało wciąż się zmienia. Nie jest to potrzeba codzienna, piję co dwa, trzy dni. Poza tymi okresami nie jestem głodna, ale nie zaszywam się nigdzie, jak zrobiłby to zwierzęcy drapieżnik. Ja chodzę, szukam... Marzę, by udało mi się natrafić na coś, co by sprawiło, żebym przestała żyć z dnia na dzień, ale jest to chyba niemożliwe.

Chciałabym kiedyś wrócić do Konstantynopola, usłyszeć śpiew Mary i znaleźć grób matki, lecz wiem, że jestem jeszcze za słaba, by zmierzyć się z demonami mej duszy. Nie nastąpi to w tym stuleciu, nie nastąpi i w kolejnym. Nad Tybrem zwietrzyłam nowy zapach, ostrą woń moczu połączoną z łajnem i z nieuchwytną nutą zła Furii. I z zapachem mokrego psa. Nie znoszę psów, z wzajemnością.

Za to koty mnie ignorują, żyjemy nocą koło siebie. Zwierzęta gospodarskie drżą przede mną. Psy i rumaki bojowe o podciętych dla groźniejszego wyglądu uszach chciałyby mnie ugryźć, rozszarpać, skopać.

Wietrzę krew... Poroniony, duży płód z nieobciętą pępowiną płynie Tybrem, nieruchomy i jednostajny jak puszczone na wodę dziecięca łódka. Jest już poza zasięgiem mojego wzroku, kiedy słyszę plusk i drapieżny mrok wciąga ciało pod wodę, by się nim nażreć. Będą kłopoty, jeśli tamten mokry, bezdomny pies wyjdzie z wody pełnej odpadków i zaczai się na brzegu.

RZYM, 1494

Kardynał Cezar Borgia upodobał sobie moje nocne spacerunki po Zatybrzu. Nosi w sobie ducha przygody i wie, że na tych wycieczkach nic nam nie grozi. On świetnie włada mieczem, ja wierzę sile zębów. Na te okazje porzuca purpurę i przedzierzga się w zwykłego wojaka. Jednakże muskularna sylwetka, obycie oraz zapach perfum, który mu towarzyszy, od razu robi zeń wyjątek pośród innych kręcących się w tej dzielnicy żołnierzy.

- Kogo nam przyprowadziłaś, signora? - zaczepiają nas syjamskie bliźniaczki Mazzafira i Lizabella Canatei.

Zrosnięte płaskimi głowami, brane są za jedną istotę, szczególnie że Mazzafirze brakuje ramienia, a jedna z jej nóg jest sucha i skarłowaciała.

- Robiłeś to, panie, z dwiema kobietami naraz? Skuś się, raz w jedną będziesz przechodził jamkę, raz w drugą... - Kuszą, zadzierając kiecki, pokazując światu brudne uda.

Jest lipiec. Tyber śmierdzi.

- Wynoście się, jeśli nie chcecie zaznać mego gniewu! - syczę i czuję, że moje ciało jakby rośnie. Jeszcze chwila, a stopy uniosą się nad ziemię.

Muszę nad tym zapanować. Cezar wie tylko, że cierpię na chorobę, która sprawia, że promienie słoneczne są dla mnie druzgocące, a oczy pod wpływem emocji nabiegają krwią. Nie ośmieliłam się powiedzieć chłopcu nic więcej.

- Biedne istoty!

Siostry Canatei oddalają się pośpiesznie, wstrząsanym drgawkami truchtem, chichocząc. Co zdumiewające, ich splatające się w kolejną jedność śmiechy brzmiały jak u uradowanego latem, szesnastoletniego dziewczęcia. Wiele jest dziwów na tym świecie, na pewno więcej niż na tamtym.

Nagle Cezar, gestem, który niepodobna znaleźć u takiego mężczyzny, opiera głowę o moje ramię.

- Jesteś tym, czym chciałaś być, Ireno?

Nabieram powietrza w płuca. Mówię z ociąganiem:

- Tak.

Kiwa głową. Patrzy w niebo, jasne, gwiazdziste, wydawałoby się, że zawieszono niżej niż zwykle. Wystarczy sięgnąć ręką...

- Nie wierzę w Boga, Ireno. Ani w Kościół. Od dziecka chciałem walczyć i prowadzić miłosne zapasy. Chciałem być dowódcą Gwardii Papieskiej, a nie kardynałem. Papież to zlekceważył. Ludzie w ogóle nie słyszą słów, które się do nich mówi. A ty, Ireno?

- Jesteś synem, Cezarze, ale nie ojcem.

- Nie swoim ojcem! - Kopniakiem posyła kamień w wodę.

Plusk wydaje się głośniejszy, niż być powinien.

- Co się stało? Co cię niepokoi? - pyta kardynał.

Nie potrafię powiedzieć.

Czuję mokrą psią sierść.

Giulio, niewdzięczna i perfidna. Twój list otrzymaliśmy za pośrednictwem Navarica. W tym liście powiadamiasz nas i oświadczasz, że nie jest twoim zamiarem przybyć tu wbrew woli Orsina. Dotychczas bardzo dobrze rozumieliśmy twoją złą duszę i dusze tych, którzy służą ci radą; biorąc jednak pod uwagę, że twoje słowa są udawane i sztuczne, nie możemy wcale uwierzyć, żebyś mogła okazać nam tyle niewdzięczności i perfidii po tym, jak tyle razy przysięgałaś nam wiarę i dawałaś dowody, że słuchasz naszych rozkazów i nie zamierzasz zbliżyć się do Orsina. Nie możemy uwierzyć, że teraz chcesz zrobić coś odwrotnego i jechać do Bassanello wystawiając na niebezpieczeństwo swoje życie; nie możemy też uwierzyć, że czynisz to w innym celu, niż jeszcze raz dać się zapłodnić przez owego kiepskiego ogiera z Bassanello.

I mamy nadzieję, że wkrótce ty i bardzo niewdzięczna madama Adriana spostrzeżecie swój błąd i okażecie należną skruchę. Tak więc pod karą wyklęcia, daleko sięgającego wyroku i wiecznego potępienia rozkazujemy ci, abyś nie wyjeżdżała z Capo delMonte lub z Marta i nie udawała się do Bassanello, a to z powodu spraw dotyczących naszego państwa.

Aleksander VI, papież. Wikariusz Chrystusa Mój Pan gnany niepokojem biega niczym rozwścieczone zwierzę w ciasnej klatce. Szarżujący byk na korridzie. Byle nie zrobił sobie

krzywdy! Nakazał zakryć parawanem święty wizerunek La Belli, swej Giulii. Tenże sam parawan połamał, kiedy dowiedział się, że kochanka, wracając do niego, wpadła w ręce Francuzów. Jak mogła być taka nieostrożna! Oto szaleńcza miłość. Piętnastowieczne Włochy podzielone są na liczne księstwa i ksiąstewka: Mediolanu, Bolonii, Neapolu, Florencji, Wenecji, Watykanu. Co rusz jakiś tyran, który próbuje zjednoczyć włoski but lub po prostu ograbić sąsiada, wzywa na pomoc skoligaconego monarchę z sąsiednich, wielkich i mocnych państw. Bywa, że jest to Hiszpania, częściej Francja, której królem jest Karol VIII. Ten garbus i anemik wyobraził sobie, że może poprowadzić nowożytną wyprawę krzyżową, tyle że droga do kraju niewiernych prowadzi przez Neapol - do którego zresztą zgłasza dziedziczne roszczenia. No i przydałoby się błogosławieństwo papieża.

Mój Pan, blady i spocony, widzi, że przyszedł go pocieszyć.

- Czy słyszysz jej oddech? Czy z moją Giulią wszystko w porządku? - pyta.

- Nie wiem. Jak mogłabym to wiedzieć?

- Ty strzygo! - ryczy. - Stało się wszystko po twojej myśli!

- Panie... Pragnę twego szczęścia, lecz nie usłyszę krwi Giulii, jej śpiewu. Jest za daleko.

- Wynoś się!

Kiwam głową mojemu Panu. Zastanawia mnie, z jaką łatwością miłość przechodzi w nienawiść. Świerzbą mnie dziaśła, krew umarłych szybciej krąży w stwardniałych żyłach.

Przykładam tętniącą opuszkę palca do oka. Za chwilę patrzę: jest czerwona.

Giulia Farnese, siostrzenica i konkubina papieża, odnajduje się.

Dowódca francuskiej konnicy otrzymuje trzy tysiące dukatów. Rodrigo wyprawia ucztę. Przeprasza mnie i nawet całuje spierzchniętą, suchą wampirzą dłoń, tak jak to ja powinnam ucałować papieski pierścień.

- Wybacz mi - prosi mój Pan.

Tamto mu przebaczę, w końcu jestem strzygą, nie zwyczajną dziewczyną. Jednakże nigdy nie wybaczę mu dzisiejszej radości, która niczym kaleczący oścień będzie tkwiła w sercu Ireny.

Zdziczałe psy spotykają się z hienami i kozły przyzywać będą się wzajemnie; co więcej, tam Lilith przycupnie i znajdzie sobie zacisze na spoczynek.

Stoję przed świeckim pałacem. Drobną postać otulona ciemnogrnatową peleryną, którą ściskam pod szyją bladą ręką, gdyż po drodze zgubiłam spinającą broszę. Mała to strata. Mój skarb wciąż tu jest... druga dłoń sięga do aksamitnej sakiewki. Widzę, że najemni strażnicy mnie zauważyli (już dałam się zauważyć) i lustrują dziewczęcą sylwetkę, tak samo uważnie, jak baczą na zamiary.

- Czego chcesz? - Szlachetne donny raczej nie chodzą same po nocy, chyba że są trucicielkami albo pragną cudzołożyć.

Ignorując tych prostaków, podchodzę do klapki odźwiernego.

Stukam, baczną uwagę zwracając na pewne dwie halabardy. Kiedy pojawia się starca twarz, błyskam pierścieniem, który w gnieździe ma oprawiony rubin.

- Zanieś to swojemu panu. Będzie wiedział, co czynić. Powiedz mu, że nie mam za dużo czasu.

Nie przesypie się piasek w małej klepsydrze, kiedy szczeka zamek we wrotach i podjazdem, a dalej wewnętrznym ogrodem wzorowanym na atrium, jestem prowadzona do arystokratycznej siedziby. Służący otwierają podwójne odrzwia nocnej komnaty.

Cieszy blask dziesiątek świec, które młody hrabia Orsini zapalił na powitanie.

- Signora. - Całuje kobiece policzki. - Już straciłem nadzieję.

- Nadziei czas musi sprzyjać. - Przebieram palcami po smolście czarnych, kręconych włosach gospodarza. Są natarte oliwą.

RZYM, 1496

Na wpół siedzimy, na wpół leżymy na łożu Orsiniego pod złocistym baldachimem. Czarowne, latające węże patrzą hebanowymi oczami z rzeźbionych kolumniek mebla. Młody Pan przesuwa palcami po mojej twarzy. Bawi się wargami, pozwala, bym śliniła mu palec, obgryzała ukrwioną opuszkę, która nęci smakiem soli i nikłym metalicznym aromatem. Dla młodego Pana jestem kurtyzana, w której się zakochał albo która go fascynuje - jest mi wszystko jedno.

Orsini przesuwa paznokciem po moich brwiach.

- Wiedziałem, że będziesz piękna i nie pomyliłem się.

Całuje czubek nosa. Wybucham szczerym śmiechem, który zdołał zardzewieć od tyłu dziesięcioleci, i opadam na goły brzuch mężczyzny. Za oknem gra muzyka.

- Śnią mi się koszmary - mówi Cezar. - Wciąż ten jeden koszmar. Jestem w ogromnej komnacie, tak ogromnej, że wydaje mi się, iż nie ma ścian, a jej sklepienie to niebo. Jest szaro od dymu. Istnieje jeszcze pamięć światła i za chwilę spowije je mrok. Zza ścian, których nie ma, słyszę pokrzykiwanie ojca. Jest wściekły. Chce mnie zabić. Ten sen śni mi się od dzieciństwa. Nie ma w nim mojej matki, jakby nigdy nie istniała.

Kiedy pot leje się z ciała jak niezdrowa woda, zmienia się mroczna sceneria. Pole. Dwór. Jestem bykiem. Potem mam wizję pewnej bitwy. Kto z kim? Widzę sztandar Borgiów, mój sztandar - czerwony byk na czarnym tle, jak zostaje wytracony z pancernej dłoni jeźdźca.

Drzewce się łamie, jedwabne sukno pada na ziemię. Błoto. I słyszę głos: „W wieku dwudziestu sześciu lat. Od broni z bronią w ręku”.

Patrzy w oczy wampirowi, który musi zachować milczenie.

- A ty, Ireno?

- Ja nie pamiętam już swoich snów. Czasem wydaje mi się, że w ogóle nie sypiam.

- To niemożliwe. - Śmieje się.

- Niemożliwe - zgadzam się łaskawie.

- Kiedy byłem chłopcem, cierpiałem na bezsenność. I ktoś mi pomógł.

- Ktoś ci pomógł, by mógł przyjąć ten sen?

- No tak. - Marszczy czoło. - Rzeczywiście, tak.

Pod portretem Giulii Farnese stoi kufer. Dar od Giovanniego Sforzy, wykonany na jego osobiste zamówienie przez Leonarda da Vinci. Mówi się, że jego zamek stawi opór nawet najbardziej biegłemu w swym rzemiośle złodziejowi. W każdym razie papież go nie zamyka. Sprawdziłam. Odmykam wieko... Rodrigo trzyma w kufrze Złote Róże. Wyglądają jak prawdziwe, ścięte srebrnym mrozem, który nie omija Rzymu, i umoczone w pozłocie niczym ciało Łazarza namaszczone olejkami. Mają kolce, ale spiłowane, żeby nie skaleczyć delikatnych dłoni. Te Złote Róże uchodzą za nagrody Matki Kościoła dla pięknych i szlachejnych. Są też symbolem radości. Taką ma Cezar. Taką ma Giulia. Pusty śmiech.

Jest gorące, niezdrowe lato i gwiazdy źle wskazują. Wzywa mnie Sternik Kościoła, Biskup Rzymu. Mój Pan. Nie ośmielałam się pozwalać mu czekać.

Dygam na powitanie; cofa stopę obutą w sandał, bym nie mogła pocałować szlachejnego, dużego palca. Nie chce, bo za rąbką paznokcia zebrała się zaschła krew. Nie dziwota zresztą, skoro przed Piotrowym Tronem leży rozszarpany trup.

- Żył jeszcze, kiedy go przynieśli...

Krew już się nie sączy. Usnęła.

- A więc to prawda? - pytam. - Prawda o tych legendarnych mordercach, których boją się dziwolągi Zatybrza?

- Tak.

- Mówią, że to potwór.

Przestępuje ciało i łapie mnie za pierś. Ból.

- Czy to ty?

Milczę.

- Każę cię torturować, a potem zabiję, bestio, jeśli to ty!

Odwracam głowę.

- Oczy często cię widzą, jak spacerujesz po Zatybrzu.

- Z Cezarem.

- Cezar chce wszystko to, co ja. Tylko szybciej, łatwiej.

- Twierdzi, że ma mało czasu.

- Przesady.

- Ireno...? Nie chcesz chyba rozczarować mojego syna?

- A ty?

- To tylko syn. Miecz i krzyż w rękach ojca. Beze mnie byłby nikim, wychowanym przez ciotkę, kurewską matkę. Zobaczysz jego upadek, kiedy mnie zabraknie.

- Nie chcę.

- Ale czy to coś znaczy? Twoja żądza krwi i cudzych nieszczęść dorównuje twojej urodzie. Weź. - Kopie martwego. - Daję ci. Oto krew. Oto ciało.

- Za późno. Umarłabym.

- Rzeczywiście. - Odprawia mnie.

Dygam głęboko.

- Rodrigo. Jak ty to znosisz? Mnie, ciało, Rzym?

- Mam wiarę w Boga, Ireno. Wiarę w Boga. A teraz idź...

Idę więc. Mój Pan pożegnał mnie.

Orsini to nie miłość, ale człowiek, który pozwala mi zapomnieć, jakie życie miałam. Nie wierzyć w to, co mnie jeszcze czeka. Ten mężczyzna to czysta łagodność, wiem o tym tylko ja i jego żona, a inni mają go za głupca. Czysty spokój. Nigdy nie będę należeć do niego, potrafię jednak cieszyć się chwilą, w której wodzę palcami po ramionach i pachach mężczyzny, a on się śmieje, bo ma łaskotki jak dorastający chłopiec. Tak, też jestem przy nim beztroska. Orsini to mój odpoczynek. Tylko przy nim rozgrzewam się i pozwalam, by z

naszych istnień narodziła się nowa intymność. Takiej Ireny jeszcze nie znacie. Nie podaruję wam tego zrelaksowanego obrazu, tej dobrej ciszy bez tajemnic. Jeszcze minutę... Jeszcze minutę niech ten niemożliwy sen trwa. Blizna Orsiniego opalizuje od śliny, którą w niego wpuszczam, kiedy okraczam biodra kochanka i schylam się, by scalać z jego oblicza błogość. Wampirze pocałunki to piekący jad, nawet jeśli nie wydają się śmiertelne. Ludzie oraz Bóg nie chcą szczęścia i spoczynku istot takich jak ja. Tym, którzy drwią sobie z tej niechęci i próbują ukoić wampirzą duszę na własnej piersi, przynoszę zło. Ciągnie się ono za mną jak psi smród za wilkołakiem. Czasem nie od razu uchwytne, ale zawsze obecny. Liczy się czas. Czas. Jednakże sama wiedza o chorobie nigdy nie jest lekarstwem. Do tego potrzeba coś więcej. Czegoś jak błysk. Piorun.

Nie chcę już... Jeszcze minutkę... Boże!

Okazuje się, że Cezar zna Tyber równie dobrze jak ja. Jak mogłam być taka naiwna? W ciele piętnastolatki z rozmiękłym z braku wyobraźni mózgiem? Czy za dużo widziałam, by błądzić myślami za możliwymi obrazami?

Cezar Borgia prowadzi mnie do oblepionej gliną chaty stojącej w oddaleniu, tuż nad kanałem, jakby ten dom o ślepych oknach, z garbem na grzbiecie, zamieszkiwali trędowaci. Wejście jest sprytnie schowane za naturalnym załomem podmokłego gruntu.

Nora. Jak to się stało, że ktoś tu żyje? Nie umarł na malaryczną gorączkę? Wchodzimy, zginając karki. Ledwo co da się odróżnić w cieniu nocy. Na solidnym jak w domu rzemieślnika stole stoi koźła czaszka. Wygląda, jakby to ona nam się przyglądała. Różki sterczą frywolnie. To, co w pierwszej chwili biorę za kupkę szmat, jest starą kobietą. Starucha najwyraźniej zna Cezara, ale na mój widok czyni na wyschniętej piersi znak krzyża i syczy:

- Strega! Strega!

- Spokojnie, Nonni. - Cezar dotyka pochylonego, chudego jak kijek ramienia. - Ta donna nie może spać. Powiedziałem, że moja Nonni jej pomoże.

- Sny przychodzą z woli Boga - syczy Nonni. - Kamień nie śni. Nie śni miecz.

Choć zła i przestraszona, drugą ręką podaje miarę proszku.

- Nic innego nie pomoże.

Cezar, doskonale rozeznany w tym miejscu, wyciąga skądś butelkę i obmyty kielich.

- Wrzuć do wina. - Wskazuje na proszek. - Zabije gorzki smak. Wszystkie mikstury tej czarownicy są gorzkie niczym popiół. Pij. Jestem przy tobie.

- Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz - mamrocze, pijąc.

Z ostatnią kroplą na języku moja głowa zostaje wprawiona w oszalały taniec. Cezar bierze mnie w ramiona.

- Śpiąca królewna...

Słyszę jeszcze, jak mówi, że kiedyś Nonni była sławną na cały Rzym kurtyzaną, która z dnia na dzień zrezygnowała z wachlarzy i klejnotów i zamknęła się w malarycznej chatynce nad Tybrem, jakby dotknęło ją przekleństwo albo - przeciwnie - doznała olśnienia.

Mówią też, że przemieniła się, bo jej upragnione dzieci umierały.

Och! Mam sucho w ustach... Coś dzwoni w moich uszach...

Czerń.

Pomóżcie mi!

Powiedzą mi, że mój sen trwał trzy dni. Nazajutrz po tym, jak się ocknę, nawiedzam staruchę. Jest godzina duchów i potajemnych spotkań spiskowców. Stara nie chce mnie wpuścić, ale obnażam kły i syczę wszelkie łacińskie przekleństwa, jakie przychodzą mi na myśl. W końcu kapituluje. Nie mam zamiaru jej zabić. Potrzebuję wiedzy, znowu, zawsze.

- Co to był za proszek? Co mi podałaś?

Płomień kaganka oświetla pobrużdżoną twarz wiedźmy. Śmierdzi tak, jakby kopał się na tłuszczu z ulicznego trupa. Może kota? Choć raczej psa. Stara rozchyła usta, pokazując ciemne dziąsła i czarne podniebienie.

- Nazywamy to cantarella. To biały arszenik, który zażyty powoduje natychmiastową śmierć. Oraz zmielony kamień księżycowy.

- Ale ja...

- Śmierć i potępienie.

- Więc...?

- Tak - odpowiada.

- Ale przecież jestem. Trwam. Żyję.

- Nie, nie żyjesz.

- Cantarella - powtarzam powoli. - Żeby usnąć, muszę znowu zostać skrzywdzona.

- Życzysz go sobie, pani? - Proszek lśni w srebrnym naparstku, który wiedźma trzyma drewnianymi szczypcami.

- Nie. Wiem, co chciałam wiedzieć.

Wychodzę i zadzierając głowę, spoglądam w oblicze Srebrnego Globu. Oto Planeta Umarłych. Grecy wierzyli, że przebywają tam ludzkie dusze.

Dalej idę w mrok podnieconego Zatybrza. Wydaje mi się, że jest tu głośniejsze, hałaśliwiejsze niż zwykle, że ściany rozsypujących się domów, ulepionych z rzeczno-szlamu i przegniłych desek, drżą z podniecenia. To jest złe miejsce. Na granicy zasięgu wzroku biegnie rachityczny chłopak i coś wykrzykuje. Odwracam głowę niczym sowa i nasłuchuję. Wiatr od rzeki niesie głos i smród. We wszystko już uwierzę, nawet w to nieszczęście, co wpływa falsetowym krzykiem w moje uszy:

- Książę Orsini nie żyje! Otruty!!!

Te zioła i te w Poncie zbierane trucizny Dał mi sam Mens - w różne płody Pont jest żyzny - Przez nie, widziałem często, jak w wilka zmieniony Krył się w lasy, na pola z pól przynosił plony, Często duchy z grobowych wywoływał ciemnic.

Zdradzona. Zdradzona. Zdradzona. Zdradzona w imię Ojca.

Zdradzona w imię Syna. Zdradzona w imię Ducha.

Łacinnicy!!! Psy Pańskie!!!

RZYM, 1497

W jasny dzień, umierając, wielkooka sowa spada papieżowi pod nogi. W Rzymie odbiera się to jako bardzo zły znak. Zły omen.

Omeny mrowią się bez liku, bez dramatycznego wyczucia. Piorun letniej burzy wpada do szczęśliwie pustej komnaty Aleksandra VI i doszczętnie ją niszczy. Niebiosy są złe na Borgiów! Ale papieżowi nic nie dolega z wyjątkiem szoku. Dodatkowo złości go, że w żywiole utracił parę cennych ozdób, relikwiarz z Drzazgą Krzyża Świętego i małą etruską rzeźbę z watykańskich wykopalisk. Nie składam Borgii życzeń i hołdu z powodu cudownego ocalenia od niechybnej śmierci. Nie jest między nami najlepiej. Za to on jedna się z Bogiem. We wszystkich kościołach bez wyjątku rozbrzmiewa „Te Deum”.

W Rzymie wczesne lato z gwałtownymi burzami, bez ulewnego deszczu, za to ze zdrażliwymi piorunami, jest na porządku dziennym.

Symbol Rzymu - Wilczyca Kapitołińska, jak utrzymywał Cynceron, w 63 r. p.n.e. została uszkodzona od uderzenia pioruna.

W ogniu zniknęły figurki rzymskich bliźniąt Romulusa i Remusa.

To Rodrigo kazał na nowo odlać sylwetki chłopców spijających mleko z sutek wadery i przymocować do etruskiego oryginału.

Ponoć piorun dwa razy nie uderza w to samo miejsce. Mogę zaświadczyć, że to nieprawda.

Ja, Mgła, nie widzę przed sobą ludzkich przeszkód, ścian i drzwi. Czasu i wysokości. A jednak można mnie zranić i są to rany śmiertelne, choć już jestem martwa. Stoję przy umajonym płatkami kwiatów łożu Giulii Farnese i powoli się materializuję. Kły przebijają język, czuję czarną krew. Pamiętam i pragnę. Wystarczyłoby jedno głębokie ugryzienie w to miejsce leżące w połowie drogi od szczęki do mostka, by zamordować kochankę papieża. Mogłabym też odrzucić jedwabne prześcieradło i wgryźć się przez krągłą pierś, aż do wrót śmierci. Giulio! Giulio! Gdybyś wiedziała, że stoję tej nocy nad tobą, nie wzdychałabyś rozkosznie przez rozchylone usta, kolorowe sny nie barwiłyby twych policzków rumieńcem.

Jasne, niemal białe włosy kobiety są rozrzucone na haftowanej poduszce i spływają w dół niczym woda życia. Nigdy takich nie widziałam. Dopiero teraz. Nawet złote włosy małej Lukrecji, opiewane w poematach, są przy tym cudzie niczym. Czy mogę być zła na Rodriga, że wolał światło zamiast mroku? Że chciał je mieć na własność? Przecie człowiek nie wybiera swej natury, wszystko już jest wiadome w dniu, w którym się rodzi - pod władaniem jakiej planety, jakiego boga. Smyram cofnięty podbródek śpiącej, który wygląda tak samo jak mój i to czyni z niej moją siostrę, bardziej niż wspólni mężczyźni. Zachwycam się sama nad sobą.

W suchym wazonie obok łoża stoi papieska Złota Róża. Rodrigo, co byś zrobił, gdybym jednak napiła się z gardła Giulii? Sprofanowała czarę twej róży mistycznej? Nie. Już nawet nie mam na tę krew ochoty. Lituję się, a może me przywiązanie do ciebie, Panie, słabnie? Nieustannie modłę się o to ostatnie. To też jakiś znak. To, że ani ja, ani Giulia nie mamy wypisanych na ciałach, odwrotnie jak twe srebrne czary i złote talerze, słów: ALEXANDER SEXTUS PONTIFEX MAXIMUS.

La Bella Giulia! Wsuwam błady, zimny kciuk w śniade gniazdko jej dłoni, a ona przez sen zaciska palce wokół mnie, gestem dopiero co urodzonego dziecięcia.

Jestem Mgłą. Umykam temu uściskowi. Odlatuję w noc, w której się rozwieję. Stanę się oparem wodnym nad Tybrem; moje oczy - złudnymi bagiennymi ognikami. Amen.

Rosa, nata tiki solo...O, różo, coś wyrosła na ziemi szczęśliwej, żwawą dłonią zerwana, skąd bierzesz kolor swój niezwykły, który cię czyni piękniejszą od innych róż? Czy sama Wenus udzieliła ci swej barwy?

Kiedy je znajduję, Lizabella, ta ładniejsza, jeszcze żyje. Nie umiera przez kły i pazury drapieżcy, zabija ją śmierć siostry. Trupi jad.

W świetle ogromnego księżyca kropla krwi lśni jak wilgotny ślad gorącego pocałunku.

- Kto ci to zrobił? - Ściskam bezradną dłoń, która przestaje należeć do tego świata.

Umierająca kręci głową.

- Zabił moją siostrę. - Płacze.

- Ciii...

„Nie chcę być sama” - słyszę głos leżącej w swojej głowie. - „Nigdy nie byłam. To okropne. Dobrze, że już się kończy”. Wyrrywam rękę z uścisku Lizabelli, kiedy czuję, że płomień życia siostry Catanei gaśnie, nakryty agonią, jak płonąca świeca srebrnym kapturkiem.

Podnoszę się z kolan. Suknię mam przemoczoną i uplamioną od wód Tybru, pokrytych o tej porze roku grubą rzęsą, mnożącą się w upały. Która milczy. Ciemnieje.

Wiem, że w tych okolicach nie ma miejsca na dwóch drapieżników.

Albo przeżyje on, albo ja. Spoglądam w okrągłą tarczę księżyca - jednej chwili brakuje jej do pełni. Płyny w ciele wezbrały.

Włosy zaczęły szybciej rosnać. Obnażam kły. Czuję zapach mokrej, psiej sierści. Zwichrowany, szorstki klaczek wbił się pod paznokieć Mazzafiry. Teraz wiem. Teraz czekam.

Ryzyko ma dla mnie czar. W życiu stąпам cienką ścieżką leżącą nad głębokim wąwozem. Nie wiem, czy szukam unicestwienia, czy ocalenia. Instynkty są we mnie silne. W korytarzach Watykanu zdarza mi się zmitrężyć czas do krawędzi świtu. Staję wtedy przed wąskim oknem i czekam, aż pierwsze słoneczne promienie zaczną pieścić wewnętrzny gzyms. Posadzkę. Szarość robi się srebrna.

Cofa się o krok przed ciepłym światłem, które próbuje smugą sięgnąć mego pantofla. Wreszcie, kiedy strach jest zbyt duży, a meble migocą lekko na konturach, uciekam. W korytarzach nadal panuje noc. Dopadam do swej komnaty, w której swego czasu Rodrigo nakazał zamurować okno. Przekręcam klucz, a koźlimi skórąmi zakrywam prześwit przy dolnej framudze. I tak bolą mnie oczy, i tak pali twarz. Czuję, że plamy oparzeń wstępują mi na całe ciało, na policzki. Ten ból jest nową zdobyczą. Nowym smakiem, który oferuje mi życie wampira.

Jednej nocy, spacerując po galerii audiencyjnej komnaty, spostrzegam kłócących się mężczyzn. To mój Pan i ten w ogóle nie znany mi, tajemniczy książę Gandii. Księstwo i żonę ma w Hiszpanii, ale latem przebywa na dworze Maximusa, szczególnie że jest nominalnym dowódcą Gwardii Papieskiej. Szczególnie że ma małego syna, potrafiącego drewnianymi mieczami krzesać iskry i nie dawać spokoju, a żona chodzi rozdęta w kolejnej ciąży.

O co mogą się tak kłócić? Nie słyszę. Tak jak architekci potrafią uczynić, że słowo niesie się po całej świątyni i grom je uświęca, tak potrafią też zbudować miejsce, które spiski zdań utajnia i zadusza.

Nalana twarz Aleksandra płonie oburzeniem, ale nagle książę Gandii, wcale nieprzejęty tym ojcowskim napomnieniem, odwraca się i unosi głowę, jakby ujrzał mój cień na galerii.

- Juan, Juan!

Znikam. Odchodzę. Nie chcę mieć z Juanem Borgią nic do czynienia. Ludzie są dla mnie jak pył. Ruchome obrazy. Nieliczni jednak, tacy jak książę Gandii, budzą moje obrzydzenie. Nie chcę mieć z nimi nic do czynienia, bo ich obecność potrafi przejąć mnie dreszczem. Jakby byli nieczyści. Jakby byli święci. Dualizm mych odczuć wciąż nawraca. Rzadko się myślę, jeśli tylko zaufam pierwszemu wrażeniu. Czasami jednak tego nie robię, w końcu jakaś część mnie ma lat piętnaście i pół.

Juan dopada te lat piętnaście i pół tuż przed porą świtu, przy oknie, w którego złudny cień wpatruję się jak zahipnotyzowana.

- Więc?

- Nie znam cię. - Jest bardziej podobny do Rodriga niż Cezar, za to jego jasnobrązowe oczy mają w sobie jakiś nieludzki wyraz.

- To Watykan. Tu nie wolno wchodzić kobietom, chyba że są mniszkami albo kurtyzanami.

- Albo córkami papieża, albo księżnym. Nikim zwyczajnym.

Śmiech ma gardłowy, niski.

- Jak to się stało, że cię przeoczyłem, gołąbeczko? - Chwyta mnie za ramię.

- Widzieliśmy się na ślubie donny Lukrecji.

- Ach, tak. Kochanka jednookiego Orsiniego. Czy pamiętasz, że on umarł?

Zaraz ty umrzesz, myślę. Mój Pan by mi tego nie wybaczył.

Juan wzmacnia uścisk. Trzyma mnie, dłonią przywykłą do szermierki, tuż nad łokciem. Krew przestaje płynąć. Podnoszą mi się włosy na grzbiecie. Zaraz nadejdzie czas łez, czas rosy.

- Cezar! - krzyczę. - Cezar!!!

- Mojego braciszka tu nie ma. - Obnaża mocne zęby. - Zadziiera kieckę w mięście.

Dźga swoim wyświęconym drzewcem. Krótką halabardą.

- Nie ośmielisz się - syczę.

- Pachniesz strachem i zepsutym mięsem.

- Brudny pies!

Jutrzenka stąpa po schodach swego pałacu. Schodzi na ziemię, niosąc pochodnię.

Muszę zaryzykować przemianę.

- Nie zapomnieliście czasem, gdzie jesteście? - pyta Aleksander VI, którego ciężka sylwetka materializuje się na zakręcie korytarza.

Jak na komendę uścisk rozluźnia się. Korzystam z tego i uciekam co prędzej.

- Piękna Giulia już cię nie podnieca? A może to jakaś moja siostrzyczka z lewego łóża? - pyta Juan.

- To mniszka, ale jej boga nie poznasz. Jest równie obcy, jak twój.

Zabijam dla jedzenia. Nie dla zemsty. Nie z poczucia sprawiedliwości. Nie dlatego, by śmiercią ulżyć życiu. Muszę zabić tego, kto pachnie mokrą psią sierścią, aby samotnie trwać z wonią obcej krwi na ustach. Z wonią bzu w pamięci.

W papieskiej zbrojowni wybieram najbardziej pasujący do mojej dłoni miecz. Nigdy nie ćwiczyłam walki, ale wiele, tylko opowiadając, nauczyli mnie kochankowie. Wiele, broniąc się, nauczyły mnie ofiary. Jestem silna. Szybka i zwinna. A co ważniejsze, co jest najistotniejszą cechą wojownika, którego serce się nie lituje, nie wzrusza: moje serce milczy.

Wiem, że na to, na co wpadłam ja, wpadł i wilkołak, jeśli tylko zdołał uwierzyć we mnie, jak ja w niego. Stąd nasza gatunkowa nienawiść, która opiera się na głodzie. Nie ma gorszych rzeczy niż głodny wampir i głodny wilk. Nieśmiertelność nie ma tu nic do rzeczy. Głód i chłód potrafią być wieczne w jednej tylko sekundzie.

Nawet do bólu można się przyzwyczaić, ale do nich nie.

Tyber. Woda jest cicha pod grubym kożuchem wodorostów i brudu. Okolica opuszczona, wampir musi zmrużyć oczy, by zobaczyć chatynkę Nonni.

Czas mi się nie dłuży. Potrafię znieruchomieć jak grobowa stela. Wieczór zapada teraz późno, czuję się obrabowana z Matki Nocy. Nie czas jednak na myślenie. W Watykanie dzwony biją północ. Niemal z ostatnim uderzeniem zrywa się deszcz. Ciepły i rześisty.

Krople rozrywają trzewia rzeki. Moczą moje czarne włosy, które oblepiają twarz. Przylepiają suknię do nóg. Zlizuję krople z ust i nie czuję nic. Daleki horyzont rozjaśnia burza. Światło jest białe, nie z tego świata. Burza jest niema.

Słyszę bieg. Potężne łapy pokryte grubym czarnym włosem rozbijają namokłą ziemię. Coś jest ciągnięte po ziemi. Szuranie.

Krople toczą piasek, coraz głębiej. Tworzą się małe kraterzy kałuż. Czuję sól i wodę, i krew, i sierść. Wilkołak przecina mi drogę.

Jest potężny, zawiera w sobie ze trzy moje postacie. Trzyma w pysku bark nierządniczy, reszta - tłumoczek ubrań i przerożenie - ciągnie mu się gdzieś pod brzuchem. Wilkołaki potrafią biegać wyprostowane jak ludzie, ten tutaj jednak rozkoszuje się postacią wilka. Otwiera pysk. Przerazona ofiara próbuje odpęznąć w bok.

Błoto. Ona wygląda jak robak w błocie. Widzę, że ma przetrącony kręgosłup, bezwładne nogi.

Wilkołak patrzy na mnie. Znam te oczy. Unosi głowę i pachnący burzą tlen przesywa wycie, które mogłoby podpalić powietrze.

Pierwsze wycie, jakie słyszę nad Tybrem. Wilkołak, choć preferuje czworonożny chód, jest dyskretny. Nie oznajmia się wszem wobec, widać jego rodzina musi żyć tu od dawna - w żarłoczności i godności - może od czasów Wilczycy Kapitolińskiej. Jego wizytówką, zdracją, jest woń sierści, zupełnie jak u tych psów-niemów, które wystawiają niedźwiedzia. Wyciągam miecz. Wilkołak podnosi się i pośród nocy okrywa mnie cieniem. Czuję podniecenie, bo wilk ma godne uwagi przyrodzenie mężczyzny. Piękna, szeroka pierś. Nogi jak kolumny. Wspaniale sklezione uda. Okolice jego pępka są nagie. Pazury jak noże, kły większe od moich. Rusza, warcząc, pobudzony.

Z krzykiem wyskakuję w górę. Czuję ból w nadgarstku. Ranie! Krew o smaku ludzkiej, nie zwierzęcej. Czuję sierść brzucha na twarzy. Popuszczony mocz. Miecz wchodzi w ciało drugi raz. Mam wybity bark. Nasze oczy - wilkołaka i wampira - spotykają się. Książę Wilków jest zdumiony moim istnieniem. Chwyta za kobiecą pierś, a ja kłami trzymam ucho. Deszcz przybiera na sile. Wyślizguję się basiorowi z pazurów. Piorun oślepia mnie, a poraniony wilkołak wskakuje do Tybru i zanurkowawszy, odpływa.

Powinien umrzeć. Powinien, ale... Klęczę, dalej podnoszę się i przewracam. Wszystko boli. Och! Och! Jestem tylko samicą.

Uwiedzioną samicą. Wampirem! Za pomocą gnijącego drzewka rachitycznej oliwki udaje mi się pewnie stanąć na stopy. Głód rwie trzewia.

Wtedy słyszę płacz. Sparaliżowana nierządnicą odczołgała się jak najdalej od miejsca walki i teraz cichutko łka, bacząc na swój los. Nie ścierając z ust krwi wilka, idę do niej. Porzucam miecz, kły rozwierają szczękę. W brzuchu burczy. Krew mnie wzmocni, krew ukoi. Krew mnie przywróci. Amen.

Upuszczony miecz wpada w głuchą ciemność - plusk! Nie spodziewam się tego wilczego pazura, który wyłania się z czarnej wody i zaciska na mojej kostce. Tracę równowagę, spadam w dół, w Tyber.

Plecy eksplodują bólem, kiedy rozbijam się o dno łódki. To pomiędzy dwiema przymocowanymi do brzegu łodziami ukrył się wilkołak czatujący na mnie. Czuję wilgoć. Potylicę mam skapaną we własnej krwi. Wilkołak nie puszcza, nie przestaje ciągnąć, tak że stara łódź nabiera wody. Kopię! Kopię! Kopię!

Przekręcam się na brzuch i prę do góry. Czarna noc. Księżyc przegląda się w mroku czarnej wody i duszy. Łapię za gałęzie rosnące na brzegu. Paznokcie podwijają się i pękają jak pancerzyki mordowanych żółwików. Czarna jucha. Wilkołak już nie trzyma się brzegu łódki i teraz wisi całym swym ciężarem na mych stopach, by ściągnąć mnie w dół. Z nową siłą powraca ból w krzyżu, kiedy się zsuwam. Błoto wpada mi za dekolt. Żrę błoto i nienawidzę.

Ryzykuję, puszczam jedną dłoń i nożykiem ukrytym w rękawie dżgam powietrze. Czuję opór. Zbyt krótki, by brać go na poważnie.

Podciągam się. Nagle orientuję się, że wilkołak próbuje wspiąć się po moim ciele na brzeg i stamtąd rozbić mój mały czerep. Pazur zahacza o jedną z sakiewek przy pasku, czarny aksamitny woreczek, w którym trzymam perłę Teodory; prezent od kochanka odbija się od ramienia wilka i koniec z nim... Tyber.

Koniec z wilkiem.

W drugiej sakiewce, skórzanej i mniejszej, przechowuję niewykorzystane sny.

Wpadam do łodzi, szarpiąc się z paskiem. Z rzemieniem, którego supeł zacisnął się i nie chce puścić. No, dalej. Wilkołak siedzi na mnie i tłucze moją głowę o deski. Gwiazdy eksplodują w głowie, robię swoje i łamię sobie palec, który zaplątał się w pasek wyprawionej skóry. Obity bark ścierplł i zniknął z mego postrzegania. Wilk otwiera paszczę, gorąca ślina kapie mi na policzki. I nagle...

Sypię cantarellą prosto w rozwartą pysk i błyskawicznie przetaczam się na bok - nie chcę spać. Wilk odskakuje do tyłu, musiał poczuć ten gorzki, srebrzysty smak. Jednocześnie odruchowo wciąga resztki wirującego w powietrzu proszku do nozdrzy. Resztę zmywa deszcz.

Skopuję wielkie cielsko z powrotem w trzewia rzeki. Sierść zdołała się już przerzedzić na ramionach. Trup ma ludzkie oblicze.

Znam go. Oczywiście.

To musiało się tak skończyć, więc gołębiczka nie powinna żałować.

Po raz ostatni wracam do sekretnej komnaty. Dziewczyna lat piętnaście i pół...

Nie ma mnie przy tym, kiedy w południe Cezar wraz z swoimi ludźmi wylawia bosakami ciało Juana, księcia Gandii. Jak się czuje, widząc śmierć starszego brata? Wiedząc, że na stanowisko dowódcy Gwardii Papieskiej otwiera się wakat i że będzie musiał porzucić stan duchowny? Nie dowiem się tego. Wiele rzeczy pozostaje poza percepcją, a jeśli nawet są widziane, to zrozumienie nie ima się ich niczym ogień lodu.

Zresztą Cezar to nie Rodrigo, takich dusz na swej drodze spotkam jeszcze wiele. Zdaży mi się to znudzić, a potem zapragnę wszystkiego od początku. Życie wampira biegnie po kole.

RZYM, 15 CZERWCA 1497

Obmyte i zabalsamowane, młodzieńcze ciało Juana Borgii, księcia Gandii, zostaje w otoczeniu stu dwudziestu pochodni przeniesione do prowizorycznej kaplicy nagrobnej w kościele Santa Maria del Popolo. Papież nie celebruje uroczystości pogrzebowych Najukochańszego Syna, jest na to za bardzo zdjęty boleścią. Jednocześnie zostaje wysłany do Hiszpanii posłaniec, by pewnej brzemiennej kobiecie zaniósł wiadomość, że została wdową i przez rok może spożywać Dary Pana tylko z glinianych naczyń.

Wdowa będzie przekonana, że mord powstał z przyczyny Cezara Borgii, i zaprzysięgnie zemstę, która jak każdy niepotrzebny gwałt na tym świecie dopełni się.

Dotkliwszy cios nie mógł w nas uderzyć, bowiem kochaliśmy księcia Gandii ponad wszystko w świecie... Siedem tiar oddalibyśmy z radością, by mu życie przywrócić... Za nasze to grzechy Bóg nas pokarał, bowiem księżę Gandii nie zasłużył sobie na taką straszliwą śmierć...

Aleksander VI

Niepostrzeżenie podchodzę do papieża. Bosy, w rozmamłanym ubraniu siedzi na wysokim krześle i płacze. Na linii jego zamglonego wzroku jest ustawiona mała, brązowa kopia Wilczycy Kapitolińskiej.

Kopia niedokładna - zwierzę karmi jednego chłopca.

Kładę chłodną dłoń na papieskim ramieniu, wychodzącym z obdartej, poluźnionej koszuli. Jest chude jak skrzydło ptaka.

Mężczyzna wzdryga się na ten dotyk.

- Rodrigo...?

Odpowiada mi tylko cisza.

- Od kiedy wiedziałeś? - Całuję wygoloną papieską tonsurę.

- Lepiej go rozumiałeś? Do tego ci byłam potrzebna?

W końcu, nie obracając się, chwytam moje palce. Ścisną je, prawie za słabo, bym mogła to odczuć. Rodrigo jest starym człowiekiem.

- Odejdź na zawsze.

Opuszczam głowę. Istotnie, może i pora na mnie. Och.

- Rodrigo, kto go wykarmił? Kto wykarmił księcia Gandii?

- Nonni.

Odbijam się od podłogi i wzlatuję na chór. Rzucam słowa w dół, do pochylonego papieża, starca:

- Dbaj o Cezara. Kocha cię.

Kiedy mężczyzna podrywa głowę, by popatrzeć na mnie po raz ostatni, jestem już niematerialna. Na to spojrzenie odpowiadają postacie Sybill wymalowane w lunetach; bardziej podobne do chaotycznych czarownic niż biernych prorokiń.

Rodrigo pozostaje sine luce, sine cruce, sine Deo. Bez światła. Bez krzyża.. Bez Boga.

Zaraz potem odwiedzam chatkę Nonni. Patrzą na mnie puste oczodoły koźlej czaszki. Fiolki i próbówki, nienagannie wyszorowane, lśnią w świetle kaganka - widać gospodyni bardziej boi się ciemności niż zaproszenia ognia. Nonni najwyraźniej wzięła jakąś swą nasenną miksturę, bo śpi kamiennym snem jak dziecko.

Oglądam jej opuchnięte płaczem oczy. Cóż, wiadomości szerzą się w Rzymie jak złe powietrze. Popalone od żrących trucizn opuszki palców. Popalone od srebra...

Zza pazuchy wyciągam papieską Złotą Różę, która jest utwardzona od wewnątrz srebrzystym rdzeniem, i wbijam metalową łodygę śpiącej w samo gardło. Pojawia się parę kropel krwi, bąbelki powietrza i to jest koniec. Śnij na wieczność, mała Nonni.

Wychodząc, nie omieszkam przewrócić kaganka z kociego łaju; ożywione płomienie uczynią nimb wokół koźlej głowy i kość spali się na proch. Tak chcę ja.

Cyganie są jeszcze czymś nowym w Rzymie, obozują za murami miasta. Śniada dziewczyna najwyraźniej odłączyła się od grupy i wyszła na trakt, by coś zarobić. Z wahaniem i fascynacją zagają do mnie:

- Widzę twoją aurę. Jest srebrzyście biała jak stara blizna. Ta aura byłaby martwa, gdyby nie miękkie fioletowe zabarwienie, wokół twej głowy, podróżniczko, które świadczy o tym, że wiesz rzeczy zakazane.

Zachęcam ją uśmiechem: chodź, podejdź. Nic złego ci nie zrobię.

Tacy jak ja nie krzywdzą dzieci... Pokazuję dłoń, a kiedy mała wróżka próbuje odskoczyć, przerażona, nie pozwalam na to i biorę ją w żelazne objęcia. Pochylam się. Okrągły kolczyk muska mój policzek. Czuję zapach łożu i pieczonego mięsa. Kły łatwo wchodzą w gładką, cienką skórę. Cyganeczka wzdryga się jeszcze tylko raz. Strumień gorącej, tętniczej krwi spływa mi wprost do gardła.

Smakuje tak samo przerażająco i podniecająco jak pierwsza. Fenomen jeden w postaci z miłością.

Mówią także, jakoby matka Justyniana, świekra Teodory, opowiadała komuś bliskiemu, że cesarz nie jest synem jej męża Sabbatiosa, ani w ogóle żadnego mężczyzny, ponieważ nim zaszła w ciążę, nawiedził ją demon. Był niewidzialny, ale dał jej odczuć, że przebywa z nią jak mężczyzna z kobietą, potem zaś rozwiął się jakby we śnie.

To zabawne, ale wciąż umieram. Ostatnio zaczęła umierać moja dusza.

W tekście wykorzystano fragmenty Historii sekretnej Prokopiusza z Cezarei w tłumaczeniu Andrzeja Konarka, Fasti Owidiusza w tłumaczeniu K. Bociana, poezji Tito Vespasiano Strozziiego i Ercole Strozziiego oraz listów papieża Aleksandra VI w tłumaczeniu Barbary Sieroszewskiej, Księgi Izajasza w tłumaczeniu Józefa Paściaka, Bukolik Wergiliusza w tłumaczeniu K. Koźmiana.

ST.-GERMAIN L'AUXERROIS

Niebo nic dla mnie nie znaczy, wygląda jakby było puste.

Chciałabym być nikim, nawet dla Boga.

Błogosławiona Matka Teresa z Kalkuty

Paryż wart jest mszy

Henryk IV

Oblany księżycową poświatą ogród był niezbyt odpowiednim miejscem do zabawy dla dziecka. Ono jednak się bawiło. Ogród pełen gęstych, znużonych zapachów kwiatów i snów. Wibrujący dziecięcym śmiechem.

Chłopcu towarzyszyła kobieta. Niewysoka, jakby utworzona w miniaturze, sylwetkę miała gibką i dziewczęcą. Twarz bardzo jasną, otoczoną czarnymi włosami. Szlachetna skóra świeciła jakąś wewnętrzną, czarodziejską mocą. Najbardziej niesamowite były jednak, obok regularnych rysów, oczy. Raz zielone, raz żółte, potrafiły się rozjarzyć ukrytą czerwieńią syjamskiego kota. Były to oczy dziewczynki wiekiem odpowiedniej do zabaw z rozradowanym dzieckiem. A równocześnie były to oczy, które wiele widziały, ale potrafiły to ukryć tak, jak woda w studni kryje kamień. Bez hałasu. Echo snute szeptem.

- Jesteś moją wróżką! Nikt się o tobie nie dowie!

Zakręcili się. Z wirującymi zmysłami zlegli na chłodnej trawie.

- Tylko przy pani jest taki spokojny. I nie rani się - powiedziała śniada, potężna kobieta, która nie potrafiła już dłużej kryć się po krzakach.

Temperament jej nie pozwolił. Zazdrość. Była Włoszką i królową Francuzów. Wdową. Regentką syna.

- Mamo?

- Kim pani jest?

Błada brunetka zerwała się z kolan i zebrała ciemną suknię w garści. Łokciem odepchnęła chłopca, który rozpaczliwie czepiał się jej ciała. Pobieгла. Nocna mgła.

- Niech pani nie ucieka!

Wróciła tydzień później. Głęboką nocą zjawiła się przed drzwiami sypialni księcia.

Chłopiec, celowo, ze złości, okaleczył się. Nie miał czucia w prawej ręce, jeden palec fatalnie pociemniał, a krew nie chciała przestać płynąć z rozciętej dłoni. Stygmat miłości.

Za szybko, niepomna ostrożności, ujawniła się, i strażnicy wzbronili jej wejścia do chłopca, który gorączkował i jęczał przez sen.

Wrzasnęła.

- Co to za krzyki? - Zmizerniała regentką wyszła z komnaty obok. - To pani...?

- Muszę tam wejść. Proszę.

- On umiera.

Królowa pchnęła drzwi. Śmierdziało ropą i kościelnym kadzidłem, które mały księżę lubił, a które nie przyniosło mu uzdrowienia.

Stary medyk, bezradnie siedzący u wezglowia łoża, skinął głową kobietom, mówiąc:

- Wykrwawia się. Nie pomogło ani przypalanie, ani cudowne kości świętej Katarzyny Sienieńskiej.

- Widać niebo dla niej jest puste - rzekła matka po włosku.

- Mistrzu, pora na pana. Zostawimy ich samych.

PÓŹNIEJ

Ranny władca spoczywał w wielkim łożu. Jego twarz miała barwę popiołu.

- Loches chciał ci przystawiać pijawki.

- Stary cap! Nie sądzi, że wiem, iż jest na usługach hugenotów. Gdyby liczyli na to, że mogę zbyt długo pożyć, już bym napotkał truciznę w swoim pucharze, a tak ona sama z siebie płynie w moich żyłach.

Usłyszałam gardłowe warczenie.

Spod łoża wychynął chudy, czarny pysk drapieży. Królewski ogar myśliwski.

- Spokój, Cezar. - Karol próbował uspokoić psa.

- Poczul kota - skłamałam.

Odkryłam pościel. Nie spodobało mi się to, co zobaczyłam, ale potrafiłam coś jeszcze z tym zrobić.

- Nie powinieneś polować.

Zmilczał.

- Nastawię ci rękę, a potem zajmiemy się krwotokiem wewnętrznym.

- Tylko ty potrafisz mnie uleczyć.

- Uleczyć, nie. Ukoić, tak. Tyle że nie możesz być wiecznie ze mną, nie jesteś już chłopcem.

- Kobiety się mnie brzydzą. I ta choroba.

- Hemofilia. Wojuj jednak w łożu zamiast w polu.

Wrzasnął, kiedy nastawiałam mu bark. Usłyszałam, że strażę pod drzwiami poruszyły się niespokojnie.

- Ireno?

- Tak, króliku?

Potrafiłam zdiagnozować miejsce wewnętrznych ran i zająć się nimi tak, jak uczono na Wschodzie. Zresztą zadawanie śmierci uczy życia; interesujący, obrzydliwy paradoks. Łoże boleści to łoże agonii oraz rodzenia. Oba jednakie. Wiele radości potrafi sprawić czyjś zgon, przyczyną nienawiści bywają narodziny - mogłabym tak zrównywać górę i dół w nieskończoność. Nie chciałam.

- Jaki jest Bóg?

- Miłosierny i dobry - odpowiedziałam.

ST.-GERMAIN L'AUXERROIS

Karol odrzucił włosy do tyłu i okrakiem usiadł na klęczniku.

Byłam obok, próbowałam się modlić. W przeciwieństwie do niego już dawno dałam sobie spokój w walce z bezsennością. Nie włóczyłam się nocami po kaplicach lub po lupanarach, by w zapachu kadzidła, w ciepłej piersi szukać zapomnianego snu. Oczy Karola były głęboko podpuchnięte, ale rozpieierała go energia. Porzucił swoje dotychczasowe miejsce i wspiął się na ołtarzowe podwyższenie. Metal stuknął o metal, kiedy upierścienioną dłonią chwycił kieliszek.

- Czy wiesz, że ponoć protestanci nie wierzą w przeistoczenie się wina w krew Najjaśniejszego Pana naszego, Chrystusa?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Ani w dziewictwo Maryi.

Wzruszyłam ramionami.

Splunął winem, które ktoś pozostawił nierozważnie w naczyniu.

- Nie wiem, jak ma się intymna sprawa Królowej Niebios, ale to kwaśne wino na pewno nie stanie się Świętą Krwią. Czy sądzisz, że krew Chrystusa uzdrawiała? Niosła nieśmiertelność?

- Zadajesz za dużo pytań jak na króla.

- A ty, wróżko, nie chcesz być moim najszlachetniejszym doradcą! - Obnażył zęby. -

Pokaż mi cud!

- To nie cud.

- Proszę. - Był już przy mnie i krył twarz w dekolcie.

Uległam.

- Ale nie na ołtarzu. To świętokradztwo. Pokażę ci tutaj. - Ukucnęłam na posadzce.

Zrobił to samo.

Złapałam go za kolczyk i szarpnęłam tak, że upuściłam trochę krwi. Krople padły na kamień.

- To zawsze boli! - jęknął.

Potrzymałam chłopięcą głowę w ramionach, żeby krwawienie ustało. Krew na posadzce nie krzepła. Ugryzłam się w palec i moja jucha poznańczyła kościół. Nie było jej więcej niż substancji Karola, ale była ciemniejsza, znacznie ciemniejsza. Zachowywała się też inaczej, jak gdyby prowadziła świadomy żywot. Choć kaplica stała na prostym gruncie, wampirza krew, przybierając postać kulek, jakby była rtęcią, potoczyła się ku czerwieni boskiego pomazańca.

Objęła ją, jak obejmuje się kordonem zwierzęta przeznaczone do zglądzenia, a później jedna wchłonęła drugą. Spuchła i napowietrzyła się. Powiększyła swoje rozmiary niczym morska piana. Wampirza krew połączona z krwią chorego przybrała osobliwą barwę szmaragdu, a potem zamieniła się w pył. Proch.

- O la, la. Nie będzie zmartwychwstania - powiedział Karol.

Lubił zadawać sobie ból, tak jak ja.

- Jak myślisz, Ireno, czy mogłaby się bezpiecznie połączyć krew katoliczki i hugenota?

- Wszystko zależy od proporcji. - Zamyśliłam się.

- Martwi mnie Małgorzata. Perła Walezjuszy. Jeszcze chwila i gotowa przynieść bękart. Trzeba ją będzie ożenić szybko, z kim się nawinie - i tak królewski przyrodnik orzecze cud: żywo urodzone dziecko po czterech miesiącach ciąży!

Roześmiałam się.

- Małgorzata ma dziewiętnaście lat, nie jest już dzieckiem.

- Ale rozumu jej brakuje.

- Jest ładna.

- Do czasu. Zmieni się rychło, jak i jej matka. Klaczka w kobyłę.

- Karolu, nie bądź zazdrosny.

- Nie jestem zazdrosny. Chcę, żebyś ją chroniła, ją i tron Francji. Gotuj ją do ślubu.

TUILERIES

Noc. Ogród. Śpiew wybudzonego ptaka, pełen przerażenia. Wiary i nadziei, wszystko w jednym.

Karol leżał na jedwabnym hamaku, rozwieszonym pomiędzy drzewami morwy, które urosły w okolicach pałacu, ale nie chciały owocować. Ich liście były cienkie i małe, wyblakłe na brzegach. Ot, botaniczna ciekawostka.

Huśtałam się na wietrze, tak że mogłam spokojnie rozmawiać z Karolem. Moje stopy unosiły się metr nad ziemią. Gdyby nawet jakiś gorliwy strażnik zobaczył to, i tak by nie uwierzył. Wależjusz mu zabronią. Amen.

- Pani Elżbieta skarży się, że z nią nie sypiasz. Poskarżyła się nawet królowej matce.

- To niech jej królowa matka wygodzi. Mierzi mnie już ta Niemka.

- Austriaczka - sprostowałam.

- Co za różnica. Kocham inną. To nie jest księżniczka krwi... ani wróżka.

- Nie wolno ci.

- Jestem królem. Ożenię się z nią, kiedy tylko Elżbieta umrze. Nie mogłabyś zatrzymać jej serca?

- Nie. Tego nie mogę zrobić - powiedziałam. - Ani z tego przyjemności, ani pożytku.

Udał, że nie słyszy. Przymknął oczy, przeciągnął się leniwie i niebezpiecznie jak kot.

- Opowiedz mi bajkę.

- Mogę zacytować ci rozprawę Pierre'a de Bourdeille, opata Brantóme. Czytałam go niedawno, całe fragmenty mam w pamięci...

Klasnął ponagłajaco.

- Oby coś się działo!

...słyszałem twierdzenie, że tak y że godzi się im to czynić, nie wedle Boga, bowiem każde zaboystwo iest zabronione, iako to rzekłem, ale wedle świata: w czym wspierają się na porzekadle, że lepiej iest uprzedzić niżli być uprzedzonym; bowiem wreszcie każdemu należy troszczyć się o swoje życie: wždy skoro Bóg ie nam dał, należy go strzec, aż dopóki nas nie powoła przez śmierć naszą. Inaczey rzekłszy, widząc swoją śmierć rzucać się w nią y nie chronić się iey, kiedy mogą to znaczy zabiiąć się samey, rzecz, którey Bóg barzo

nienawidzi; dlatego to jest najlepszy sposób wyprawić ich przed sobą w poselstwiey uchronić się od ich zamachu.

Ode mnie miało zależeć, czy zamach się powiedzie, czy nie.

Trzy uderzenia nożem w tors. Wylewająca się rzeka krwi niczym przeklęty, biblijny potop. Przemoczyła ubranie króla i służących, którzy, wystraszeni i głupi, ponieśli go z powrotem do Luwru, zostawiając za sobą krwawy ślad, zlizany już przez uliczne kundle.

Krew w butach. Karol tonął, miał przebite płuco. Sprawa wyglądała na beznadziejną. Królobójcę - rychło go uchwycono - miano rozwlec końmi. Wycięty język nie pozwolił mu powiedzieć, czy jest katolikiem, czy hugenotem. Ktoś życzliwie powiesił go w celi.

Karol był nieprzytomny. Jego ukochanego ogara ubito, bo nie przestawał wyć, nie chciał odejść od rannego i pogryzł kogoś. Ta głupia decyzja najlepiej świadczyła o tym, że dwór spodziewa się rychłego zgonu władcy. Ja zaś lubiłam czasem rozczarowywać ludzi.

Zostałam w komnacie, w której brakowało księdza, a płomyk gromnicy zgasł. Świetnie się czułam. Królewski nocnik przepełniało wszelkie paskudztwo. Odsunęłam go stopą i uklęknęłam. Wyciągnęłam ręce tak, że dotykały wilgotnego płótna na piersiach leżącego.

- Śpij, Karolu. Musisz odpoczywać. Ale nie próbuj zrywać srebrnej nici, która łączy ciało z duszą. Jestem strażniczką twych snów. Strażniczką bezsenności. I nie skończyliśmy jeszcze z tym Brantómem.

Zaczęłam nucić, żeby dodać sobie odwagi przed tym, co mnie czekało. Potrzebowałam skupienia. Dziwnym trafem szeptałam pieśń weselną. Krzywo mi szło. Nigdy nie miałam słuchu do melodii, kalectwo tym dotkliwsze, że wielbiłam muzykę. Czerwony bąbelek powietrza pojawił się na wargach króla i pękł.

Przestałam zwracać na wszystko uwagę.

Myślą rozmawiam z cudzą krwią. Przemawiam do niej. Potrafię sprawić, że popłynie gorącym strumieniem ze wszystkich otworów ciała. Oczywiście wymaga to wysiłku. I nie lubię tego. Oto „mała śmierć”, uczucie spadania w żołądku, smutek. Potrafię wygonić dziecię z kryjówki ciała matki. Potrafię też powiedzieć krwi, by zamilkła.

Nie popłynęła. Oczywiście nie jestem Jezusem Chrystusem, Bogiem. Moje umiejętności są umiejętnościami wampira i chyba moc boska bardzo od nich odbiega. Nie myślę się. Jestem świeckim felczerem. Dopuszcza się mnie do króla.

Przysłano po mnie. Przewodnik, który niósł kaganek, co rusz obracał się i zerkał w moją twarz; miłosiernie, mocniej nasunęłam kaptur.

Stanęliśmy przed zwyczajną, mieszczańską kamienicą.

- Czekają na madame. Pierwsze piętro.

Skinęłam głową.

- Zostanę i poczekam tutaj. - W jego głosie usłyszałam pewną ulgę.

Obcasy butów głośno stukwały po drewnianych schodach. Balustrada drżała. Śpieszyłam się.

Służąca skłoniła się, cała zaczerwieniona z podniecenia, i wprowadziła mnie do pokoju. Podłoga została świeżo zmyta, ale i tak śmierdziało porodem, choć akuszerka już dawno zabrała krzesło z dziurą w siedzisku. Były to czasy, kiedy grawitacja pomagała rodzącym, a noworodek wypadł na rozścieloną na deskach słomę.

Zobaczyłam, że świeżo upieczona matka głęboko śpi na wygodnym łożu. Głowę zakryła poduszką, jakby raziło ją światło dnia, które miało nadejść niebawem. Spod pościeli wystawało tylko ramię. Było piegowate.

Karol powstał z taboretu, który ustawiono w półmroku, pod zamkniętymi okiennicami. Wyjął dziecko z kołyski i niezdecydowany przystanął z nim w objęciach przy stole, na którym dopalała się świeca.

- Niedługo zacznie świtać.

- Proszę...

- Karolu?

Włożył noworodka w moje ramiona.

- To chłopiec. Czy mogłabyś...? Czy mogłabyś sprawdzić?

Zmrużyłam oczy. Podniosłam dziecko wysoko ponad głowę i potrząsnęłam nim tak, że ciasno zawinięte pieluszki rozwiązały się i spadły na podłogę. Karol ani drgnął. Obwąchałam małe stopki uderzające mój nos. Dziecko nie kwiliło, było zmęczone jak matka. Palcem przesunęłam wokół węzła pepowiny i oblizałam opuszkę.

- Mój chłopiec...?

- Jest zdrowy.

Karol, uradowany, zaklaskał na służącą. Wzięła chłopca, który zapłakał, a potem nagle obsikał jej fartuch.

Karol zaśmiał się.

- Temperament!

- Twój służący czeka na mnie - powiedziałam.

Popatrzył w stronę łoża.

- Poczekam, aż się obudzi.

- Karolu. - Zebrałam fałdy sukni w dłonie, gotując się, by ruszyć ku schodom. - Tę osobliwość krwi dziedziczy się najpewniej po matce.

Pogłaskał wierzch mojej dłoni - błękitne żyłki pod cienką, białą skórą - a potem pochylił się i złożył na nich pocałunek.

- Idź z Bogiem, Ireno.

JESZCZE PÓŹNIEJ

Małgorzata nie wróciła ani nocą, ani za dnia. W końcu, kiedy się zjawiała, nakazała bystro przynieść do swoich komnat balię pełną gorącej wody.

- Co za ulga! - powiedziała, zanurzając się po szyję.

Włosy, jasne i długie, miała spięte na czubku głowy.

Nie czekając wiele, rozebrałam się i w bieliźnie weszłam do wody, która rozstąpiła się pode mną, omywając falami piersi Małgorzaty.

- Protestanci kąpią się w koszulach - powiedziała księżniczka.

- A ty jesteś protestantką?

- Nie, ale nie będę się obnażać przed głupią służbą. - Chłapnęła tak, że zmoczona pomocnica łaźiebnej umknęła, by się wytrzeć.

Mierzyłyśmy się wzrokiem.

- Wiedziałaś, że on mnie wacha.

-Kto?

- Karol. Król. Brat. On i jego psy. Jakbym była uliczną suką.

Woda zabarwiła się na różowo. Małgorzata popatrzyła pytająco na mnie, a kiedy na miejscu mojej twarzy zobaczyła maskę, jęknęła i przycisnęła rękę do brzucha.

Nie pozwoliłam jej zemdleć w kąpieli.

- Nie płacz, będziesz miała następne.

- A jeśli nie? - Łkała.

- To i tak nie mogło być. Jego bękarcstwo było zapisane w gwiazdach.

- Skąd wiedziałaś, że to był chłopiec?

- Tak chce Mars.

- Wenus chciała inaczej! - krzyknęła.

- Nie mieszaj Wenus do tej głupoty rzyci - powiedziałam, podając jej miskę z ziołami i drugą z cielecą wątroba, dobrą na upływ krwi.

Okryłam roztrzęsione ciało kocem i odeszłam, by zapolować na swój posiłek. Było we mnie poczucie dobrze spełnionej misji. Och, tak. Tak, tak. Jak mawiał Cezar Borgia: rzecz poniechaną w porze obiadu dokończy się w czasie kolacji. Pogwizdywałam okropnie.

Stałam przy oknie, prawie dotykając twarzą szyby, pełnej malutkich bąbelków powietrza, teraz niewidocznych. Sierp księżycy skryły chmury. Usłyszałam, jak odsunęła się ciężka aksamitna kotara rozwieszona wokół łoża, wyobraziłam sobie bladą, półsiedzącą postać.

- Jest ciemno. Nic nie zobaczysz.

- Zawsze jest zbyt ciemno - odpowiedziałam.

- Jest zbyt ciemno. Zimno mi. - Po chwili dodała władcym głosem urodzonej księżniczki: - Chodź i rozgrzej mnie.

Westchnęłam.

Zdażyła zrobić mi miejsce, ale twarz zwróciła w moją stronę. Zrzuciłam buty i usiadłam na miękkim materacu.

- Bliżej. Chodź bliżej.

Kiedy się położyłam, oparła głowę na moim ramieniu. Nie potrafiła sobie znaleźć miejsca, wierciła się jak kot szykujący się do drzemki.

- Masz lodowate stopy - rzekła karcącym tonem.

Nim zdażyłam odpowiedzieć, przerzuciła mi rękę przez szyję i w mgnieniu oka zasnęła. Krępowała mnie ta bliskość, ale w końcu znalazłam ukojenie, licząc oddechy, które były tak odległe od istoty, jaką się stałam. Dawno temu. Bardzo dawno. Ile może żyć pamięć? - zastanawiałam się. Śpiąca księżniczka złapała mnie za ucho.

Rano krawcowe przyniosły jej manekin z suknią ślubną.

Wieczorem wciąż stał smętnie pod ścianą. Jego cień - ludzki, ale bezgłowy - tańczył. Ściągnęłam zasłonę z płótna. Błysk błękitu.

- Piękna - powiedziałam i obróciłam się do równie pięknej Małgorzaty, najpiękniejszej kobiety swoich czasów.

Piękna, piękna, piękna. Wampiry kochają piękno. Wolą je od krwi.

Podeszła i pogłaskała niebieski jedwab stanika. Wkładała dłoń to w jedną, to w drugą miseczkę.

- Miękkie.

Przymknęła oczy, a drobne palce powędrowały wyżej, w srebrne futro kołnierza.

- Biedny lisek. Podkreśli moją karnację. Spłynę potem na niego. Powinni mnie wystawić naga. - Paznokcie drapały cienki włos. I wtedy nagle uciekła. - Nie wyjdę za hugenota! Nie wyjdę za mąż!

Biegła z krzykiem wyludnionymi korytarzami, z jasno oświetlonych miejsc do ciemnych zaułków. Odpowiadały jej kryształowe lustra. Straż nie śmiała przeszkodzić. Można było wziąć księżniczkę za upiora Luwru; poniekąd nim była. Jak wszyscy tutaj, schwytani w cztery ściany dworu. Poza nim nie było nic, plebs. Oraz Niebo - daj Boże - gdzie mieszkał Stworzyciel i Ostateczny Sędzia.

- Co cię opętało? - rzekł półnagi król, który wybiegł jej naprzeciw. - Ty głupia dziewczucho! Nawarra ma na dworze pełno szpiegów!

- Zostaw mnie! Zostawcie mnie wszyscy! - Upadła na kolana, zanosząc się szlochom nie do opanowania. Ukryła rozgorączkowaną twarz w rękach.

Głosy w ciemnościach. Młodzieńcze i podniecone.

- Ireno, chyba się w tobie zakochałam.

Położyłam palec na jej ustach. Ciii... Były spierzchnięte.

- Nie wolno tak. Wychodzisz za mąż za Henryka Nawarrę.

Przytrzymała mnie. Uścisk miała silny, widać było, że wychowała się pośród mężczyzn. Że mężczyźni byli jej uniwersytetem.

- Ale chyba nie muszę go kochać? - szepnęła.

- Powinnaś. To łatwiejsze, niż ci się wydaje.

Spoliczkowała mnie. I jeszcze raz! Tym razem z drugiej strony.

Popchnęłam ją.

Całowała moje usta. Przechyliła się i przesunęła językiem po szyi. Odgięłam głowę, pozwalając, by mnie pieściła, badała „solniczki” obojczyków i to czarowne miejsce, gdzie szyja łączy się z mostkiem, a na które cała literatura nie znalazła jeszcze nazwy.

To za trudne.

- Twój pierścionek - jęknęła, kiedy niechcący ją zadrapałam.

Pochyliłam się i przesunęłam po spoconym ciele jak wąż. Łono Małgorzaty porastał rudy puch. Błady róż. Rosa.

Wgryzłam się w nią, jakbym wgryzała się w kwaśne jabłko. Małgorzata właśnie taki miała smak. Przebiegł ją niekontrolowany dreszcz, brzuch i pośladki pokryły się gęsią skórką, a ja odetchnęłam z ulgą - czuła coś. Czuła coś dobrego. Boże święty!

Tamtej nocy, której kochałam się z Małgorzatą, zostawiłam ją śpiącą i weszłam na jeden z dachów pałacu. Przebudowany Luwr - dawna twierdza króla krzyżowca Filipa Augusta - z tej perspektywy wydał mi się większy, niż mogłam przypuszczać, i dostojniejszy.

Jakbym stała na dachu świata. Spojrzałam poza niego.

Paryż gdzieniegdzie oświetlała luna ognisk, widziałam barki na Sekwanie. Luwr i Paryż. Pan i jego sługa. Bożek i wyznawcy. Prości Francuzi zawsze byli bardziej krnąbrni od Włochów, ale nic wtedy jeszcze nie wskazywało na katastrofę, która miała przyjść za dwieście lat. Ani nawet na tę, od której miasto i pałac dzieliło parę tygodni.

Otworzyłam usta, żeby posmakować nocy. Czułam spokój. Pora uniesienia już minęła. Przez chwilę do kogoś należałam, a ktoś należał do mnie, i to się liczyło. Podeszłam do krawędzi dachu, by uczynić pierwszy krok w chmury.

Lekkość ponad wszelkie wyobrażenia. Ciężar krwi w palcach nóg - wreszcie miałam gorące stopy. Cisza w głowie. Mocne serce.

Mile Irene.

Wschodził dzień. Bogaty w doznania zmysłów, tak jak mogą być tylko dni sierpnia. Jutrzenka biegła niebem, rozsypując za sobą serpentyny różu i bieli. Gdzieniegdzie błyskała kiść złota.

- Znikniesz - powiedziała Małgorzata. - Znikniesz jak sen. A potem zniknę ja... Cała.

Zdjęła coś z prostego, czarnego kołnierza wampirzej sukni.

Rudy włos.

- Należał do kochanka? - Uśmiechnęła się przekornie.

Pokręciłam głową, ale nie do końca zdecydowanie, bo moje myśli były przy Teodorze. Tym, który ostatnio ociera się o moje piersi. Pewnie teraz biegał z innymi kotami po podwórkach Paryża, ścierając krew z pyszczka i chłonąc pierwsze promienie słońca.

Pożądane, bo zapraszające do odpoczynku.

- Nie wiedziałam, że masz kociaka - odgadła.

- Lubisz?

- Lubię psy. Jak mój brat.

Rozdzwoniły się paryskie dzwony. Łowiła ich dźwięki i coraz bardziej wchodziła w rolę, którą jej przeznaczono.

- Pora na mnie. Zaraz ktoś przyjdzie, żeby ubrać skromną dziewicę. - Zaśmiała się fałszywie. - Dzięki tobie... Kłamstwo... Dzień królewskiego ślubu. 14 sierpnia 1572 roku. Lud pewnie pości od siódmego, by bardziej napchać brzuchy wyśmienitym, darmowym jadem. Udziec za zdrowie pana młodego! Pasztet z gęsich wątróbek za płodność panny młodej! -

Wycisnęła mi dziarski pocałunek na policzku. - Idź, Ireno, bo zmienisz się w proch, a ja nie chcę prochu. Dzisiejszej nocy będę myślała o tobie! Taka brudna i nudna, kiedy będę leżeć pod ciałem tego śmierdzącego Nawarczyka.

-Jeśli chcesz.

Nie potrafiłyśmy nic więcej sobie powiedzieć. Dzwony zamilkły.

Nie na długo. Tego dnia ich serca miały być cały czas rozbujane.

PARYŻ, 24 SIERPNIĄ 1572. Noc ŚWIĘTEGO BARTŁOMIEJA

Mężczyzna nie odrywał od niej wzroku. Widziała go doskonale w ciemności: ogorzała od uprawiania sportów na wolnym powietrzu twarz, orli nos ponad wąskimi wargami, przerzedzone już pomimo młodego wieku włosy. Siedział na wąskim łóżku, a raczej pryczy, z rękami pod głową i silił się na spokój. Tyle że jego klatka piersiowa unosiła się i opadała znacznie szybciej niż zwykle. Puls przyśpieszył. Serce biło w piersi jak uwięziony ptak, rozbijający się o klatkę żeber. Można było jednym szybkim ruchem rozplatać skórę, kości i je uwolnić. Biłoby jeszcze na dłoni. Dla mężczyzny wymalowana wampirzyca, która z nim siedziała w jednym pokoju, była zwyczajną kobietą. Zgadza się, urodą znacznie odbiegała od przeciętności, ale jeszcze nie dopatrywał się w niej niczego wyjątkowego.

Może tylko usta kusily tak jak u żadnej, chód był bardziej sprężysty. I była bardzo szybka i zwinna. Zbyt szybka jak na kurwę.

Zza drzwi dobiegały śmiechy, jęki i wygłupy nierządnic. Tym razem w burdelu nie było żadnego mężczyzny.

- Masz mnie zabić? - zapytał.

Udała, że tego nie słyszy. To niedorzeczne.

- Słyszałem o takich jak wy. Tajna broń mojej srogiej świekry.

Piękni szpiegowie. Uwodzicielki, które po stosunku dodają do wina trucizny, ukrytej w tajemnej skrytce w rubinowym pierścieniu. Zabijają szpilami schowanymi we włosach. Ich krew jest śmiercią, bo od niemowlęstwa karmione były minimalnymi dawkami arszeniku, tak że są nań uodpornione, ale ten, kto je rozkosznie ukąsi w alkowie, pada trupem. Panny o zdradzieckich barwiczkach na wargach...

Zza okna dobiegł nagle przeciągły, a dla wrażliwych ludzkich uszu prawie niekończący się krzyk i szcęk żelaza. Później ujadanie psów: walczyły ze sobą o zdobycz, póki ich ktoś zdecydowanie nie odwołał.

- Nawarczyku, nie jestem tu po to, żeby cię zabić - powiedziała.

- Kiedy moi szwagrowie proponowali mi wypad do domu uciech, nie wyobrażałem tego sobie w ten sposób.

- Nie podobam ci się? - zakpiła.

- A opłacono cię, żebyś ze mną poszła? Jak masz na imię?

Przysiadła na brzegu łóżka.

- Irene.

Pogładził jej wystające kości policzkowe, nawinął na palec lok, który wysunął się z misternej fryzury. Chciał ją przyciągnąć i pocałować.

Nie pozwoliła mu.

- Pachniesz czosnkiem.

Jej dłoń odnalazła rzemienie męskich spodni, poluzowała je i wsunęła się w szparę. Pot.

- Tak będzie przyjemniej.

Spróbował się rozluźnić.

- Irene? To greckie imię? Oznacza pokój? A Małgorzata? To po grecku: perła, prawda?

- Mów, jeśli chcesz - rzekła. - Jeśli nie, to zamilknij.

„Zabić! Zabić ich wszystkich!”.

Rzeź hugenotów dokonana katolickimi rękoma (mój Jezus przeciwko twemu Jezusowi!) miała rozpocząć się, kiedy o trzeciej nad ranem rozlegnie się dzwon Pałacu Sprawiedliwości. Do tego czasu bramy Paryża miały być zatrzaśnięte przed obozującymi na przedmieściach wojskami hugenotów wezwanymi na ślub Małgorzaty Walezjuszki i Henryka z Nawarry. Artyleria królewska miała zająć pozycję na placu Greve, a milicja obywatelska obsadzić inne place, skrzyżowania ulic oraz nabrzeże. To wszystko po to, by utrzymać jako taki porządek. Nie stracić kontroli nad zabijaniem.

O pierwszej trzydzięści usłyszano dzwon kościoła St.-Germain l'Auxerrois bijący na trwogę. Polowanie było rozpoczęte. Wcześniej, biorąc pod uwagę okoliczności, znacznie wcześniej, niż przewidywano.

Kto komu dał sygnał?

Henryk zdjął koszulę. Pierś miał gładką, tylko wokół sutków rosło parę kudełków, skromnych nawet jak na dziewiętnastolatka, ale Irena lubiła gładkie piersi.

- Gorąco tu.

- Nie chciałabym otwierać okna - powiedziała, płucząc ręce w misie stojącej na toalecie, obok dzbana, a służącej paniom do podmywania się i mycia klientów. Po

powierzchni pływały liście jakichś ziół, które miały działanie antykoncepcyjne. - Będzie za dużo hałasu.

Wypaliła rusznica. Henryk wstał, podszedł do okna i jednym szarpnięciem je otworzył.

Nie...

- Moi ludzie będą się bronić! Czemu mnie tam z nimi nie ma?! - Uderzył głową o parapet, który miał na wysokości czoła.

Ktoś w pokoju obok zaczął czytać świństwa Brantóme'a.

- Po co się dręczysz? Nie decydujesz o swoim losie - powiedziała Irena.

Narastała w nim chęć, by ją uderzyć, poniżyć, ale ona była jedynym kluczem do rozwiązania zagadki.

- Kto mnie ochrania? Po co?!

- Należysz do rodziny - rzekła cicho.

- Zapomniałem, w końcu to są moje gody. Moje radosne wesele! A Małgorzata? Gdzie Małgorzata? To ona wymogła na braciach, by mnie ocalili.

- Nie zbiera ci się na sen?

- Dlaczego ty? Kim ty jesteś?

- Kurwą - skłamała. - Już wiesz.

- Moja żona... - Poszperał w sakwie, z którą go tu przyprowadzono.

- Taki medal kazano wybić na nasz ślub. Było to dziesięć dni temu. Wiek!

Zaklął przeraźliwie. Stał przy oknie, by mogła wyraźniej zobaczyć okrągły kawałek brązu.

- Oto ciemność.

Z jednej strony wybite były skrzyżowane ze sobą inicjały Małgorzaty i Henryka oraz łacińska sentencja: Constricta hoc discordia vinclo. Niezgoda skrepowana tymi więzami.

Pokazała mu, żeby odwrócił medal na drugą stronę.

Wizerunek Baranka Ofiarnego i napis: Vobis annuncio pacem. Zwiastuję wam pokój.

- Nie znasz ciemności - powiedziała wampirzyca, odwracając głowę. - Będą nowe medale, z okazji tej nocy. Zobaczysz. Pietas excitavit Justitiam. Pobożność zrodziła sprawiedliwość.

- Dlaczego mam oglądać?

- Nie wiem - skłamała.

Przyglądała mu się i, przełamując wstręt i ból, pocałowała go, jakby chcąc przez jego istotę dotrzeć do kogoś lub czegoś innego, co ich łączyło. Cofnął się zaskoczony.

- Moja żona... Moja żona przez całą noc poślubną nie pozwoliła mi się do siebie zbliżyć. Kiedy świtało, wyjęła nożyk, jaki zabiera się na polowanie do oskórowania zajęcy, i zraniła się w łydkę. Żeby krew była na prześcieradle.

- Noce sierpniowe są krótkie. Co nie udało się w porze obiadu, dokończy się w porze wieczery.

- Mam wrażenie, że wszyscy o tym wiedzą.

- Podsadź mnie na okno - poprosiła. - Chcę widzieć.

Kiedy to zrobił, poczuł jej żywiczny i cierpki zapach, a chłodny dotyk ciała ocucił go. Jednak wciąż był chłopcem. Uwielbiała chłopców i młodych mężczyzn. Przebywać z nimi. Byli dla niej życiem, witalnością, wszystkim tym, co - jak myślała - straciła.

- Przesuń się trochę, Ireno!

Nie odpowiedziała. Patrzyła wprost zza okno. Zielone oczy były nieruchome, w twarzy bledszej niż zwykle.

- Dzwon... Dzwon... - powtarzała.

Próbował się wdrapać, ale półświadomie odepchnęła go. Poczuł ból, krótki, za to przenikliwy. Jakby smagnął go mróz. Nocna zmara.

Zeskoczyła i zaczęła się ubierać, mówiąc gorączkowo:

- Zostań tu. Nie ruszaj się.

- Nie wolno ci tego robić.

Wiedział, że chce wyjść.

- Naprawdę chcesz iść ze mną? - Wahala się. Instynkt a obowiązek.

- Tu jest bezpiecznie.

- Nie jestem tchórzem.

Zobaczył, że przypina krótki sztylet do pasa; zrobił to samo ze swoją szpadą, którą łaskawie mu podarowano, by mógł nią wywijać w burdelu, jeśliby chciał.

- Nie jestem tchórzem.

- A potrafisz to znieść?

- Co?

- Bezradność.

- Będę nienawidził.

- Jak chcesz. W takim razie chodź.

Wyszli z pokoju do ciemnego, wąskiego korytarza, po którego bokach stały drzwi identyczne jak te, które się za nimi zatrzasnęły.

Wampirzyca nie pozwoliła pójść mężczyźnie przodem. W pewien sposób go to ubodło, ale nie okazał tego. Jeszcze nie pora...

Zeszli w dół schodami do oświetlonej, sporej komnaty. Biesiadujące tam dziwki opadły ich jak kapryśne stado rajskich ptaków, ale cichych i niepokojących. Zbiły się w grupę i pojedynczo się cofając, przepuszczały ich. Na Irene nie zwracały uwagi. O Henryka każda musiała się otrzeć. Ramieniem, biodrem, piersią. Nawarczyk jeszcze nigdy nie widział tylu piersi, w całej ich różnorodności, jakby były eksponatami - ale żywymi - zgromadzonymi w jakimś muzeum.

W swoim życiu, odkąd włosy porosły jego podbrzusze, sypiał z kobietami tylko dlatego, że tego oczekiwano od mężczyzny. Był bardzo akuraty, bo od wielu zależny. Konformista w każdym calu.

Konformista posiadający wiedzę, że nadejdzie czas, w którym ukaże światu swe prawdziwe oblicze, bo to, co czynił dotąd, nie wynikało ze słabości charakteru, lecz z przebiegłości, którą pokolenia arystokratycznych przodków zasiły jego krew. Irena wzięła od którejś dziewczyny szmaragdową, letnią pelerynę, uplecioną z matowego materiału i skryła się pod nią w dobrze wystudowanym geście. Westchnęła. Henryk pomyślał, że obie kobiety, Irena i bezimienna dziwka, nie były szczęśliwe. Brały, co im los przynosił, ale w przeciwieństwie do niego straciły wiarę w przyszłe życie. Co do jednej na pewno w tym osądzie się mylił.

Noc przyjęła ich do swojego łona.

Irena prowadziła tak, by podeszli pod okno, z którego wyglądała.

Nic tu nie było! Nic. Skrzywiła się i zamiotła suknią, a wtedy zobaczyła. Schyliła się - pod czubkiem pantofla miała szare, gołębie pióro, ciemniejsze u końca. Wzięła je do ręki. Dutka była brudna. Wyrwano je, kiedy ptak żył. Gołąb skalniak. W Konstantynopolu, w którym się wychowała, dominowały inne ptaki - o piórach koloru kremu, z brązową obwódką wokół szyi i oczami, które łatwo podchodziły czerwieni. Upuściła pióro z powrotem w pył ulicy, wsunęło się w szparę między kamieniami. Ruszyła.

- Dokąd idziemy? - spytał Henryk.

- Do Luwru.

- Oszalałeś.

- Może ty oszalałeś, panie, że chciałeś iść ze mną. Nie ma dla ciebie lepszego miejsca niż Luwr.

- Nie kpj ze mnie! - Henryk starał się nadażyć za nią.

- Zarzuć chustkę na głowę - syknęła, podając mu kawałek czerwonego jedwabiu.

Sama, wyjątkowo jak na nią, ubrana była na kolorowo. Od stóp do głów w pożyczonych rzeczach.

Nie od dziś francuskim katolikom było wiadome, że francuscy protestanci - hugenoci noszą się na czarno, jakby w żałobie po Najświętszym Sercu, które przecież, rozsieczone rzymską włócznią, zmartwychwstało. Dziś było to ważniejsze niż kiedykolwiek, chociaż widzieli parę nagich ciał, zasieczonych we śnie i wyrzuconych przez okno. Paryż zabijał. Paryż i król.

Pomyślała o piegusce króla, hugenotce, i celowo skręciła w boczną uliczkę, by ominąć jej dom.

- Nie zabłądzimy? - Cofnął się gwałtownie, kiedy zobaczył oczy swej towarzyszki o źrenicach rozszerzonych tak, że tęczęwki prawie zniknęły.

Powietrze niesło ciężki, metaliczny zapach, który z łatwością przebijał się przez woń odpadków i uryny z rynsztoka. Wampirzyca z trudnością nad sobą panowała. Niczym kukielka prowadzona na nitce tak naprężonej, że bliskiej przerwania. Irena popatrzyła na kolejne ciała i zbadała językiem kły. Zaczynały sterczeć.

I wezmę krew baranka, i pokropię nią odrzwia i progi domu, w którym będę go spożywać. (...) Tej nocy przejdę przez Egipt, zabiję wszystko pierworodne w ziemi egipskiej od człowieka aż do bydła i odbędę sąd nad wszystkimi bogami Egiptu - Ja, Pan. Krew będzie wam służyła do oznaczenia domów, w których będziecie przebywać. Gdy ujrzę krew, przejdę obok i nie będzie pośród was plagi niszczycielskiej, gdy będę karał ziemię egipską.

- Nie oglądaj się! - krzyknęła.

Nie usłyszała kroków Henryka, więc sama się obróciła. Pusto. I tupot, krzyki, żelazo na ulicy, którą szli wcześniej.

- Merde! - zakląła i zawróciła.

Walczył. Otaczało go dwóch mężczyzn, trzeci leżał powalony. Ranny Henryk próbował na czworakach odejść w zaułek budynku, by skryć się na czymś kamiennym progu. Irena w kilku skokach była przy nich. Podjęła z ziemi szpadę trupa, gwizdnęła przeciągle. Ostrza przestały się krzyżować, a potem znowu zaczęły kreślić srebrne linie na obliczu nocy. Katolicy nie chcieli walczyć z kobietą, biorąc ją za histeryczkę lub wariatkę. Tym łatwiej jej poszło. Jeden z morderców zobaczył jeszcze, jak czubek metalu wychodzi jego pierś. Drugiego hugenot, świetny w białym orężu, ciał zniecała po niby hiszpańskiej kryzie, drąc ją i poprzez krochmal przebijając szyję nad jabłkiem Adama. Napastnik wypuścił broń, kaszląc.

Irena czekała na niego, stojąc nad hugenotem. Tamten to składał, to krzyżował ręce, jęcząc:

- Pani! Mój Panie...

Pewnym ruchem przebiła leżącemu gałkę oczną. Ta wypłynęła na policzek, kiedy był już martwy.

- Zrobię z każdym następnym to samo - powiedziała cicho i do nikogo.

Henryk zobaczył, że odrzuciła broń, ale coś podpowiadało mu, by nie zbywał na próżno słów kobiety.

- Nie jesteś kurwą - powiedział.

- Nie? - Droczyła się.

- Nie. Jesteś mordercą.

Zatrzymała się.

- Ani jednym, ani drugim.

- Więc kim?

- Nie uwierzyłbyś. Córką żołnierza i nierządniczy. - Zachichotała i wycisnęła mu pocałunek na ustach. Ścierpły.

- Miałaś rację.

- W czym?

- Nie odpowiem ci.

- Czekaj... - warknęła. - Tam mieszkam. - Pokazała w głąb ulicy.

- Ale niedługo stąd odchodzę. Jak zawsze po takich straconych dniach i nocach.

- Nie mieszkasz w Luwrze?

- Nie jestem księżniczką.

Pomyślał o swojej pięknej i delikatnej Małgorzacie, której drobne piersi widział przez dekolt lnianej koszuli, a kędzierzawe, jasne włosy gładził, kiedy na łożu obróciła się do niego tyłem. „Przestań. Nie jestem klaczą, żeby głaskać mnie po grzywie” - powiedziała wtedy.

- Biegnijmy do Luwru - rzekł.

Niemalże podcięła ich grupa dzikich kotów, prowadzona przez potężnego, rudego kocura o wielkim łbie. Jemu jednemu lśniła sierść i wyglądał dostatnio. Inne zwierzęta miały zapadnięte boki, drobne łapy. Kości sterczały im pod skórą zadu. Spojrzała za nimi.

Szli szybkim krokiem. Kawalek dalej katolicy otoczyli ciasnym kręgiem grupę hugenotów, którzy podpierali się nawzajem plecami i starali się nie oddawać pola. Henryk nawet się nie obejrzał.

- Żeby to było takie proste - burknęła. - Lubię prostotę.

Uzbrojony po zęby i śmierdzący potem strażnik zagroził im drogę przed samym wejściem do pałacu. Irena otrząsnęła się i wymruczała hasło:

- Pietas excitavit Justiham.

- Vobis annuncio pacem - odpowiedział.

Henryk parsknął. Obydwoje jednocześnie pomyśleli o Małgorzacie.

Smutek i żal. Smutek i nadzieja.

- Czemu się dziwić, że ludzie są tacy, jacy są - rzekł Nawarczyk.

- Skoro wiedzą, że po krótkim życiu czeka ich mniej niż ciemność.

Znaleźli się na dziedzińcu pałacu.

- To nie może być. Boże, nie pozwól na to! - jęknął, patrząc na piętro.

Irena pomyślała, że w tym młodzieńcu z łatwością mieszczą się co najmniej dwie natury.

Później oczy wampira powędrowały za wzrokiem Nawarczyka. Balkon był sążnście oświetlony, jak łoża w teatrze podczas antraktu. Karol siedział na ciężkim, drewnianym fotelu.

- Zabić! Zabić ich wszystkich! - pokrzykiwał, a jego twarz wykrzywiła się szaleńczo, przybierając oblicze kogoś znacznie starszego i okrutniejszego. Nie - głupszego. Nie - pokornego.

Strzelał do czarnych, hugenockich kubraków; przerażonych zamętem i wizją niechybnej śmierci, podganiano na wpół rozbrojonych pod balkon, jak w czasie polowania z nagonką. Obok kręciło się królewskie rodzeństwo. Raz - w oknie - ujrzała przelotnie królową matkę we wdowim stroju. Włoszka stała nad grobem, ale nadal miała ogień w żyłach zamiast krwi. Żuła tytoń i piła. Pani Małgorzata, jej młodsza, doskonalsza wersja, czatowała przy bracie.

Błękitną suknię ślubną miała powalaną czymś, co z tej odległości wyglądało jak błoto, ale błotem być nie mogło. Noc była sucha i piękna. Posklejany w strąki lisi kołnierz nie nadawał się już do niczego. Należało go odpruć i wyrzucić. Wątpliwe jednak, czy i najlepsze królewskie praczki dałyby radę doprać pamiątkową suknię. Pani Małgorzata przejęła nabitą rusznicę, którą niesiono dla jej brata.

Celowała długo i dokładnie. Nie przestawała przy tym oddychać jak ktoś niedoświadczony. Płuca syciły się nocą. Pach! Odrzut sprawił, że kolba zawadziła o jej małą pierś. Nawet tego nie zauważyła.

Jakiś chłopak w samej koszuli i - na nieszczęście - czarnych pantalonach nad czarnymi pończochami złapał się za kwiat zakwitły na swej piersi i przewrócił. Zapewne zdołał już pokochać młodą, piękną władczynię Nawarry. Miłość bywa ślepa i śmiertelna.

Śmiertelnie niebezpieczna.

Henryk miał twarz białą jak papier. Wampirzyca popatrzyła na niego uważnie. Jego spojrzenie biegło po feralnym balkonie.

Zagryzła usta. Na wargach pokazała się kropla krwi, zbyt ciemna, żeby mogła należeć do człowieka, ale on nie zwrócił na to uwagi.

- Chciałam ci tego oszczędzić.

- Ty?! A kim ty jesteś, żebyś móc to uczynić? Kto? Kto wniósł o uniewinnienie dla mnie?

Wampirzyca już się nie wahała odpowiedzieć:

- Król.

- Ale dlaczego?

Do Ireny powróciło wspomnienie jej ostatniego spotkania z Karolem. Odbyło się ledwo wczoraj, w wigilię tej przeklętej nocy.

Rozmazane cienie od nowa rozpoczęły rozmawiać ze sobą:

- Dlaczego chcesz ocalić Nawarczyka? - spytała wówczas.

- Przepowiedziano mi, że to on zajmie po Walezjuszach tron Francji.

- Jeśli to prawda, to dlaczego chcesz zgładzić jego ludzi?

- O nich horoskop milczy.

Huknął wystrzał z rusznicy. Poczuli proch i swąd spalonych włosów.

- Chodź - pociągnęła Henryka - bo jeszcze cię zabiją i wszystko na nic.

Coś głęboko w sercu mówiło jej jednak, że może zostawić go samego sobie. Czy gdyby było inaczej, brałaby go w sam środek jatki, czy raczej nadal pieściła w bajzlu, opowiadając dyrdymały?

Nie, gwiazdy się nie mylą.

Wepchnęła go w klomb róż. Pierwszy, otwierający aleję tych kwiatów. Wszystkie, co do jednej, były żółte. Zastanawiała się, dlaczego królewscy ogrodnicy zdecydowali się na ten kolor, oznaczający w kwiatowo-sekretnej nomenklaturze zdradę, odrzucenie, trefność. Ktoś musiał je lubić, ktoś wysoko postawiony.

Z drugiej strony pośród otwartej czerwieni dzisiejszej nocy ten pastelowy kolor, choć oziębiony przez światło księżyca, koił zmysły Ireny.

- Nie zechciałaś mi odpowiedzieć! - przypomniał Henryk.

Szybko wyciągnęła sztylet i tępym końcem mocno uderzyła Nawarczyka w skroń. Upadł na trawnik. Jego ubranie podrapały kolce.

- Bo nie mogę, panie - mruknęła.

Wciągnęła bezwładne ciało głębiej w ogrodową aleję, a dla pewności upozowała na nieboszczyka. Błede ręce biegały szybko.

Spieszyła się. Pora na jej sprawy, za którymi tu przyszła. Paznokcie miała poobgryzane do krwi. Obróciła się, szukając tropu, i wrażenie przeszywania ciała przez tysiące małych igieł wróciło. Tak!

Byli tu. Jakże zresztą inaczej, przecież widziała ich maszerujących w zwartym szyku, przez okienko tego szczurzego gniazda, gdzie Karol poprosił, by czekała i opowiadała obcemu kurewskie kuplety.

Irena zadrżała.

Położyła Henryka tak, że jego głowa wskazywała zachód i ogrody Tuileries. Ruszyła w przeciwną stronę. W samo zarzewie wojny domowej. Odrzuciła cienką pelerynę i kazała krzyczeć krwi, by wszyscy mogli ją rozpoznać, samą jej istotę. Ujawniła się. Mordujący omijali ją, jakby śmierdziała zgniłym szczurem. Stuletnia dziewczyna z dziedzictwem Kaina wrytym na ciele. Jej zmysły rejestrowały i szukały. Szybciej! Szybciej!

Michelet napisał w Historii Francji, że w Noc świętego Bartłomieja wody Sekwany spływały krwią. Irena widziała to na własne oczy.

Nie miała jednak pojęcia, że katolicy przedstawiali w rzeźbie i na obrazie apostoła Bartłomieja z nożem i płatem ludzkiej skóry przewieszonym przez ramię. Nie spodobałoby się to jej. Niesmaczny pomysł. Złowroga przepowiednia.

Tymczasem kierowała się w stronę świata, po której wschodzi słońce i rozpoczyna się „dzień po”.

Tym, których szukała, przewodził wysoki wojak, olbrzym prawie, w dziwacznej kolczudze i z nie znanymi jej oznaczeniami herbowymi. Nikt już nie potrafił ich rozpoznać. Najdziwniejsze zaś, że ów żołnierz miał do pleców przytroczone dwa ogromne skrzydła. Pióra, z jakich je ulepiono, szumiały, kiedy poruszał się szybko niczym wiatr.

Przebił szablą jakiegoś człowieka, a następnemu, biegnącemu na niego z wrzaskiem wariata, wgrzył się w tętnicę szyjną. Skrzydlaty i jego towarzysze w znacznie skromniejszym rynsztunku oraz stroju mordowali kogo popadnie. Metodycznie, jak to najemnicy, jednak - po równo - dobijali protestantów i katolików. Choć widać było, że przelana jucha ich podnieciła, a kły nie mieściły się w szczękach, wiedziała, że na jeden rozkaz olbrzymia przerwą i wrócą do karnego, żołnierskiego szeregu.

Irena rozplakała się.

Olbrzym wyczuł wampirzycę, obrócił się; nabiegłe krwią oczy rozszerzył w zdumieniu. Miał oliwkową cerę, szeroką twarz, nos prosty. Nosił zupełnie niepasującą do fizjonomii strzechę podgolonych na karku i nad uszami ciemnoblonde włosów, w których kryły się kasztanowe połyski.

Nie bacząc na niebezpieczeństwo, rzuciła się ku zbrojnemu wampirowi. Głośno wykrzykiwała swoje imię:

- Irena! Irena! Eirene!

- Mówiono, że smocza krew przyrodzona jest tylko mężczyznom.

- Nigdy nie widziałam kogoś takiego jak ty. - Przebierała palcami po żelaznej, nieruchomej piersi.

Uniósł ją wysoko i zakręcili się wokół własnej osi. Para wampirów pośród obcej jatki.

- Mam na imię Jan - powiedział, stawiając Irenę na ziemi. - Ale moi ludzie mówią na mnie Ikar.

Skinęła głową.

- Musimy jeszcze coś tu skończyć, ale gdybyś chciała... Spotykamy się w każdą pełnię księżyca, w murach starego kościoła St.-Germain l'Auxerrois.

- Gotycka parafia Wależjuszy. Zapamiętam to. - Szumiało jej w uszach. Chciała napić się krwi Jana. Wyczuł to również, odsunął się.

Stali, mierząc się wzrokiem.

- Spieszące się dzwony, bijące na trwogę?

- Bóg tak chciał.

Mimowolnie uśmiechnęła się. Oto jest odpowiedź na wszystko, pomyślała.

- Idź więc z Bogiem. - Popatrzyła na te sztuczne, gołębie skrzydła, niechlujnie wykonane, ale i tak imponujące.

Wampiry, które pojawiły się znikąd, zburzyły trudny spokój Ireny, kiedy już niemal przyzwyczała się do mieszkania wśród ludzi i bezdomnych kotów. W każdym razie wydawało się jej, że zdołała się przyzwyczaić. Znaleźć coś i stracić od nowa - naraz uświadomiła sobie, jak bardzo odczułaby śmierć pobratymca Jana. Poczulaby się zupełnie jak wdowa. Wdowa! Kim więc była? Kim oni byli?

Szarzało i biała linia pokazała się na horyzoncie. Pora wampirów przemijała - do następnej nocy. Do następnych snów.

Spadł krystaliczny, letni deszcz, by oczyścić ulice i zebrać brud do rzeki, wielkiej i starej, takiej, która mogła znieść już wszystko. By ucieszyć kochanków i ich małe dzieci.

Paryż budził się. Otwarto kraty metra. Na ulicach pojawiły się pędzące furgonetki piekarzy i kolporterów gazet.

Szklana piramida projektu Pei, stojąca od 1989 roku u głównego wejścia do Luwru, rozbłysła na różowo, a potem na złoto. W zbiorach muzeum znajdują się dwa medale wybite z okazji Nocy świętego Bartłomieja. Na pierwszym widnieje łaciński napis: Virtus in rebellas. Na drugim: Neferrutn temnat simul ignibus obsto. Męstwo wobec buntowników i: Niech żelazo nie wzgardzi, gdy stoję naprzeciw płomieni.

Jakiś mężczyzna, z gazetą pod pachą, szedł zamyślony. Rozpoznał w powietrzu zagubiony zapach byłej kochanki, Opium Yves St. Laurenta, i zrozumiał, że są rzeczy, które nie mijają. A przynajmniej nie dość szybko, by nie mogły rozpocząć się od nowa.

Coś białego poruszyło się na dzwonnicy St.-Germain l'Auxerrois.

W tekście wykorzystano fragmenty Żywotów pań swawolnych Brantôme'a w przekładzie Tadeusza Boya-Żeleńskiego i Księgi Wyjścia w tłumaczeniu Stanisława Łacha.

DZIECI ŚMIERCI

Jakiej mocy Nieśmiertelna dłoń lub oczy

Mogły stworzyć twej symetrii grozę?

William Blake, Tygrys

Nie potrafiłam opuścić Francji. Trwałam w Paryżu. W noc po śmierci Nawarczyka, który zapisał się w historii jako Henryk IV, moczyłam palec w jego nie całkiem jeszcze skrzepłej krwi. Dosięgnął go sztylet katolickiego fanatyka Francois Ravailaca, kiedy królewska karoça utknęła w ulicznym korku przy rue de la Ferronnerie.

Zamach był zemstą za proklamowanie Edyktu Nantejskiego, który zrównywał w prawach na terenie królestwa katolików i hugenotów.

Cóż, jeszcze raz Francja okazała się godna papieskiego tytułu Najstarszej Córy Kościoła.

Byłam świadkiem regencji Marii Medycejskiej i kardynała Richelieu. Ulicznych festynów na cześć narodzin długo wyczekiwanego następcy Ludwika XIII. Delfin przyszedł na świat w trzydziestej siódmej wiosnie życia matki, Anny Austriaczki, kiedy wszystkie stany zwątpiły już w królewską płodność. Na pamiątkę prokreacyjnego cudu ufundowano kościół Val-de-Grace.

Nigdy nie przekroczyłam progów St.-Germain L'Auxerrois. Nie spotkałam Jana. Bałam się? Zbyt dużo było wtedy we mnie miłości i nienawiści zasklepionej w jedno.

Kiedy spacerowałam wąskimi zaułkami Paryża czy chwacko pokonywałam Pont Neuf, czułam obecność istot podobnych mnie, ale ignorowałam to. Inne wampiry odpłacały mi tym samym: obojętnością. Za jedynych towarzyszy uznawałam uliczne koty. Nadal, choć w nieformalny sposób, pozostawałam służką Korony.

Przeżyłam Fronde. Ludwik XIV, chcąc ukarać paryżan za bunt przeciwko absolutyzmowi i wysokim podatkom, które szły na reformę wojska, wywiódł dwór ze stolicy. Za jednym zamachem pozbawił Paryż wody. Nowa siedziba obfitowała w fontanny oraz sztuczne stawy, które czerpały ze zbiornika w pobliskim Marły, osuszając Sekwanę.

Po skradzionych wodach pływały łodzie w kształcie łabędzi.

Urządzano na nich owocowe bankiety, a wieczorami, spijając wino, przyglądano się pokazom ogni sztucznych, które białym ogniem kreśliły na niebie królewskie lilie. Nec pluribus impar.

Nie przybyłam z dworem do Wersalu, jak dla mnie znajdowało się w nim za wiele luster.

Aż w końcu wezwano mnie. Otrzymałam zaproszenie z rodzaju tych, którym niepodobna odmówić.

WERSAL, PÓŹNA JESIEŃ 1686

Było to już po porze la couchee. Jednak zamiast do oficjalnej, purpurowo-złotej sypialni króla, zaprowadzono mnie do prywatnych apartamentów. Patrzyłam na odbijające się w zwierciadłach płomienie świec, zmysłowe medaliony i myślałam o tym, że ponoć w królewskim zwierzyńcu żyje prawdziwa syrena i naturalnie czuć ją rybą. Zwyczajnym śledziem. Komnaty, które mijaliśmy, pachniały wonią rozdziwicznej pomarańczy. Wyobraziłam sobie lepki sok na palcach. Myślałam o osobliwym królewskim upodobaniu do dziewcząt obdarzonych dodatkowymi sutkami. Trzymał je w pewnym chateau, jak Katarzyna Medycejska swoje karły. Czy i o mnie szeptały ciekawskie języki, czy pozostałam Tajemnicą Królestwa? Bóg wie.

Towarzyszyło mi dwóch gwardzistów. Jeden bawił się nożykiem w kształcie żołnierza. Niefortunnie przykleknął i poprawiał sobie sterczącą skórę przy bucie. Schylony, w mrocznym lustrze nie dostrzegł mego odbicia. Kiedy wstał, był blady, a pot zebrał mu się ładnie ukształtowaną górną wargą.

Odstawili mnie pod próg komnaty, której drzwi zdobił ryt słońca otoczonego przez dwanaście znaków zodiaku. Pchnęłam gałki.

Mężczyzna w purpurowym, brokatowym szlafroku spoczywał w fotelu stojącym przy ciemnym oknie. Po szybie błąkało się jedno odbicie: oczy o ciężkich powiekach, wąski nos, duże usta. Kilka upudrowanych dziobów po ospie. Brązowe włosy miał dłuższe i gęściejsze niż inni w jego wieku. Oto portret Króla-Słońce, Ludwika XIV.

Usłyszał szelest sukien i odwrócił się. Z chłodną ciekawością spoglądałam na wnuka Henryka IV. Poruszył się, unurzany w jedwabnych poduszkach, co jednak sprawiło mu ból. Ledwie parę dni temu przeżył la grande operation, likwidację przetoki w okolicy odbytu. Przeżył i miał się coraz lepiej. Chirurg Felix de Tassy otrzymał w nagrodę za swój kunszt szlachectwo i piętnaście tysięcy liwów.

Znałam protokół dworski, więc nie odezwałam się pierwsza, czekając na pytanie. Przy łokciu króla, na stoliku, stała srebrna misa wypełniona jabłkami i brzoskwiniami. Zwęszyłam, że są to tylko pomalowane odpowiednio atrapy owoców. Stary kamerdyner przesunął ciężki kandelabr, tak że na moją postać padło więcej światła.

- Zostaw nas, Bontemps - rozkazał Ludwik. - Pani - zwrócił się do mnie - wiele mi o tobie mówiono, teraz znajduję jednak jeszcze więcej.

Skloniłam się głęboko, na ile pozwalał mi mój rozpustnie bogaty strój. Diamentowe szpilki błysnęły we włosach, kolczyki zadźwięczały, kiedy ich łązy uderzyły jedne o drugie. Obszerna suknia w złotym kolorze była obszyta ceglastymi wstążkami. Na twarzy przykleiłam, idąc w ślady innych dam, wielość muszek. Ozdoby te na całym dworze mówiły własnym językiem: „kocham”, „nie dzisiaj”, „czekam, przyjdź”, „nieдоступna”, „zazdrosna”, „pokuta”, „spragniona”.

Oczy i skronie skryłam za maseczką.

- Jesteś niczym mgła, pani.

- A tyś, Najjaśniejszy Panie, moim Królem-Słońce.

- Czy to dobry omen dla wampira? Pokaż mi się, zdejm maskę.

Podeszłam bliżej, a on podźwignął się z trudem. Pieszcząc uperfumowanymi palcami chłodne policzki, rozwiązał wstążki aksamitnego okularu.

- Masz twarz dziecka, madame. To niepokoi zmysły.

- Czy nie jest to już rola kobiety?

- A co jest twoją rolą, Ireno? - Spowaźniał. - Wiesz, czemu cię wezwałem?

- Żeby nasycić ciekawość?

- Chcę, żebyś pojechała do szkoły ufundowanej przez moją żonę. Do Saint-Cyr.

Pozostaniesz tam, oczywiście na szczególnych prawach.

- Czy to uwięzienie, Panie?

- A czy mgłę można uwięzić? Jednak paryżanom jest teraz potrzebne krystaliczne powietrze...

- Nie rozumiem.

- Ireno, jesteś ostatnią osobą, która pamięta Noc świętego Bartłomieja.

Natychmiast pomyślałam o Janie i jego drużynie. Co z nimi?

Król zauważył moje rozkojarzenie. Mówił jednak dalej:

- Rok temu odwołałem Edykt Nantejski mojego dziada. Tak nakazywało moje sumienie, ale i dobra wola może przymusić innych do przemocy. Potyczki religijne szerzą się po całej Francji. Wielu zdolnych hugenotów wyjechało za granicę.

- Twoi dragoni, panie, zmuszają całe dotąd protestanckie miasta do adoracji Przenajświętszego Sakramentu. Pusty symbol opłacony krwią i pożogą.

- Krwią! To dobre. - Zaśmiał się. - Mój pierwszy minister Louvois uważa, że stanowisz zagrożenie dla kraju.

Minister wojny!

- Albo osinowy kołek, albo Szkoła Dziewic - wymamrotałam.

Nadeszła więc pora, by zmienić brokatową suknię na prostą gryzetę.

SAINT-CYR, ZIMA 1687

Przemalowana na heban karoca bez oznaczeń herbowych zatrzymała się parę kilometrów przed ostatecznym celem podróży. Resztę drogi musiałam pokonać pieszo. Rozejrzałam się po pustkowiu, zastanawiając się, co tu będę jeść. Na razie jednak rozgrzewała mnie płynąca w żyłach krew paryskich żebraków.

Gdzieś w oddali wyły wilki, zima była ostra i drapieżniki podchodziły coraz bliżej ludzkich siedlisk. Stangret ciął konie i nie czekając na żaden znak z mojej strony, odjechał. Śnieg lśnił srebrzyście w świetle księżyca, zaraz jednak zerwała się zadymka i wszystko jakby utonęło w mleku. Ja myślałam o krwi.

Szłam prosto przed siebie, bezskutecznie strzepując lepki śnieg z kaptura i płaszcza, mamrocząc przekleństwa. Od wiatru, przed którym okrycie nie dawało ochrony, zaczęły mi łzawić oczy. Przetarłam powieki, na kłykciach została zaróżowiona woda. Zlizalam ją, miała smak soli oraz metalu.

Stałam wreszcie przed kutą bramą Szkoły Dziewic, edukacyjnym dziwactwem niedysyjskiej guwernantki królewskich bastardów, obecnie morganatycznej żony Ludwika, Madame de Maintenon. Hołdem złożonym Opatrzności za niezwykle zbiegi okoliczności, jakie towarzyszyły tej kobiecie urodzonej w więzieniu Niort jako owoc związku pewnego aresztanta z córką komendanta.

Bóg pomaga tym, którzy sobie sami pomagają.

Francoise de Maintenon postanowiła otworzyć szkołę dla panien ze szlacheckich, ale zubożałych rodów. Po iście klasztornej edukacji miały być one wydane za urzędników i wojskowych Jego Królewskiej Mości. Król tak zapalił się do tego projektu, że nie tylko podarował żonie Saint-Cyr, ale zabrał się do projektowania przepisowych strojów dla dziewczec.

Marna pogoda uniemożliwiła mi zrazu obejrzenie szkoły. Zasypane aleje, zasypane mury, krzaki ukryte pod śnieżnymi kopułami sprawiły, że szkoła wydała mi się mniejsza niż była w rzeczywistości.

Dopiero conocne zwiedzanie przeoranych przeciagami korytarzy przekonało mnie o rozmachu budowniczych. Religia, czytanie i pisanie, tkactwo oraz przedzenie.

Wyobraź sobie, jak mi jest przyjemnie, kiedy przechadzam się wzdłuż alei, a za mną ciągną sto dwadzieścia cztery młode dziewczątka, które obecnie się tam znajdują - pisała Madame do króla. Z samego Wersalu do wioski Saint-Cyr było tak blisko, że Maintenon mogła odwiedzać swoje wychowanki codziennie, a na noc wracać do pałacu. Jeśli tego nie robiła, to przez wzgląd na rekonwalescencję Ludwika.

Jesienią i zimą okazało się, że obfitująca w bagniska miejscowość fatalnie wpływa na stan fizyczny niektórych dziewcząt, wywołując suchoty i febrę. „Przeorysza” nie widziała jednak powodu, by się poddawać.

Wierna, gdy zawsze nam przewodzić rada,
Jej za szczęśliwość nasza dzięki składać.

Ten dwuwiersz wyryty był u stóp oplecionego liliami krzyża, który nosiły nauczycielki. Żeby podkreślić dwuznaczność tych słów, w Saint-Cyr wybudowano wielką kaplicę pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny.

Zadymka ustała, a ja przekroczyłam bramę szkoły. Posłuchałam swojego króla, ale czy była to słuszna decyzja? Ponad wszystko ceniłam wolność, a tu, w tej śnieżnej masie, poza intrygami dworu, perspektywa dokonania żywota z kołkiem w piersi wydawała mi się nie straszna, ale zabawna. Mogłam jednak nie ruszać się stąd do wiosny. Mogłam... Bóg pomaga tym, którzy sobie sami pomagają.

O, ktoś wyszedł mi naprzeciw. A nikogo się nie spodziewałam.

Byłam Tajemnicą. Śmiercią. Śmiercią tego podlotka, idącego w moją stronę. Tak szczupłego i wiotkiego, że jego stopy prawie nie pozostawiały śladów na świeżym śniegu. Pomyślałam, że oto doświadczam wizji. Panna na oko siedemnastoletnia, spacerowała odważnie i boso po mrocznych ścieżkach. Wiatr niezdecydowanie poruszał fałdami jej koszuli (na rękawie wyhaftowano skrzyżowane K i S). Włosy, uwolnione od czepek, rozsypywały się kasztanową kaskadą po wąskich plecach. Dotarł do mnie gorący oddech smakujący kwaśnymi jabłkami. Wyczułam równomierny puls ofiary, co tak mnie podnieciło, że kły dotknęły poduszeczki dolnej wargi.

I wtedy, kiedy po raz pierwszy znalazłyśmy się tak blisko siebie, dotarło do mnie, że dziewczyna śpi. Była lunaticzką, uwiedzioną snem. Nie widziała mnie pomimo

połyskujących miodowo, szeroko otwartych oczu. Jednakże może poczuła jakieś zawirowanie powietrza wokół mej postaci, bo zatrzymała się, a za moment odwróciła, by po swych śladach wrócić do sypialni. Przełknęłam ślinę.

Trzeba będzie poskromić krwawy apetyt na łanie. Merde!

Materpulchrae dilectionis, liberos tuos adiuva. Matko miłości, pomóż swoim dzieciom.

Istnieje przesąd, że lunatykom należy przed snem zawiązywać dłonie białą, jedwabną wstążką. Wtedy zaznają spokoju. Requiescat in pace.

W Wersalu ogień gorzał na siedemdziesięciu kominkach, do dębu zaś dobierano sosnowe gałęzie, które trzaskały niebezpiecznie, ale odświeżały atmosferę komnat. W Saint-Cyr zawsze było zimno. Mróz kreślił ogrody na wszystkich szybach. Błądziłam po nich palcami na swoim strychu wygnańca. Mile Irene de Gallipoli w podróży, tak powinnam pisać na bilecie wizytowym.

Codziennie z dachów strącano sople. Wbijały swe ostrza w biały puch, miękki jak dziewczęce piersi. Nudziłam się i zaglądałam we wszystkie kąty.

Zorientowałam się, że dziewice podzielono na grupy według wieku. Najmłodsze należały do Czerwonych, dalej szły Zielone, Żółte oraz Niebieskie. Wstążkami w barwach grupy przybierano mundurki: brązowe spódniczki i staniki z wszytymi fiszbinami, których dekolty tak u dzieci, jak młodych kobiet zakrywano przetykanymi złotą nitką stengierkami. Kolczyki były zakazane. Na włosach noszono białe czepeczki.

Najmłodsze sylabizowały umoralniające bajki, najstarsze uczyły się tańca, dobrych manier, wytwornego wysławiania się. Wieczorami słychać było dźwięki klawikordu oraz śmiechy. Saint-Cyr zbudowane było ze śmiechów i westchnień. Zwykle nie udawało mi się podejrzeć dziewcząt w czasie zajęć, zaglądałam więc w ich sny (również w sny mademoiselle Karoliny de Saginy, którą spotkałam pierwszej nocy). Spały w dormitoriach, panieńskie łóżko przy panieńskim łóżku. U Niebieskich panowała dusząca woń świeżo rozkwitłych ciał (jak jaśmin o świcie) i papierosów. Dostawałam od tego dreszczy. Ta cała masa obcych, paplających, albo - z nagłą - nienaturalnie milczących dziewcząt napawała mnie niepokojem.

Czy w Saint-Cyr tylko ja byłam Tajemnicą? Były piękne, a w swym zatrzęsieniu groźne jak pręgi tygrysa, zwierzęcia leniwie gotującego się do skoku. Młode, miały prawo do popełniania błędów, czego zazdrościłam im z całych sił. Ja, zostając wampirem, wyparłam się czasu, panieńskiej niedojrzałości oraz starczej demencji, a wraz z tym odepchnęłam rozgrzeszenie. One, kładąc się na spoczynek i wierząc, że następny dzień nadejdzie, stawały

się bezwstydnie jak wszystkie młode zwierzęta innych gatunków. Byłam zmęczona ich urodą. Nigdy żadnej nie dotknęłam. Nie piłam.

Robiły to sobie same, a potem, nęcąc noc, leżały krzyżem na lodowatej szachownicy posadzki w kaplicy. Posąg Najświętszej Marii Panny spoglądał na nie z pobłażaniem. Kadzidlany zaduch wprowadzał w stan podobny medytacji. Odrętwiałe ciała opuszczałam razem z cieniami tuż przed świtem. Jeszcze przed przyjazdem dotarły do mnie plotki, że w Saint-Cyr, pod nosem króla, szerzy się herezja kwietyzmu. Jej definicja zakładała, że tylko absolutna bierność zbliża do Boga. Dziewczęta zaś nie potrafiły być bierne, choć w ich głowach, jak nakryty szklanką motyl, tłukło się marzenie o czystej miłości. Myśli znaczyły różnobarwny pył. Były śmiertelne.

Pewnego wieczoru zeszłam do sypialni Niebieskich, aby poprzyglądać się zaróżowionym snem policzkom, obejrzeć biegające pod kołdrami nogi, wsłuchać się w melodię głębokiego oddechu. Przeglądałam niekiedy nadpalone paryskie gazety, które niepoprawne uczennice czytywały pod kapami, przyświecając sobie kagankiem.

Tym razem zjawiłam się jak mgła, tylko po to, by się zorientować, że wszystkie dziewczęta zniknęły. Cisza i kurz.

Trzeciego dnia Estera ubrała się po królewsku i weszła do wewnętrznego dziedzińca domu królewskiego, naprzeciw pokojów króla. Król siedział wtedy na królewskim tronie w sali królewskiej naprzeciw bramy wejściowej pałacu. A gdy król zobaczył królową Estere, stojącą na dziedzińcu, znalazła ona laskę w oczach jego i wyciągnął król do Estery złote berło, które miał w ręce, i zbliżyła się Estera, i dotknęła się końca berła.

Bawiły się w teatr. Ryzykowna profesja w czasach, kiedy komediantom odmawiano chrześcijańskiego pochówku. Co wieczór Niebieskie znikwały z sypialni, szły do niezagospodarowanego dormitorium i próbowały inscenizacji biblijnej Księgi Estery.

Odbywało się to poza wiedzą opiekunek. Nie miała o tym pojęcia Madame de Maintenon. Dziewice jednak były dobrej myśli, Ludwik XIV bowiem kochał teatr. Sam występował na amatorskiej scenie jako młodzik. Tańczył.

Rolę pięknej Estery grała Karolina de Saginy.

Poznałam ich tajemnicę, a wkrótce one miały poznać moją. Zawięzałyśmy pakt o utrzymaniu sekretów.

Widocznie nikt nie krępował jej dłoni wstążką, bo wciąż lunatykowała.

Kiedy wróciłam z polowania, zobaczyłam, że Karolina de Saginy spaceruje po oblodzonym dachu. Ręce wyciągnęła przed siebie, zsiniałe stopy (wiedziałam, że są szare i zimne) stawiała pewnie jak panna na balu. Powieki miała zaciśnięte, twarz oblaną srebrną

poświęta. Tarcza księżycy wisiała nisko nad dachem, zdawało się, że wystarczy jeszcze jeden krok, by Karolina mogła nań wstąpić. Ja jednak wiedziałam, że spadnie. Spadnie, a jej czaszka rozbije się jak porcelanowe naczynie rzucone na bruk, jeśli tylko czegoś nie zrobię.

Znowu usłyszałam wycie głodnych wilków.

Powoli, ze złudnym rozmysłem schyliłam się i sięgnęłam po śnieżną kulę. Topniała na alabastrowej skórze, rozgrzanej cudzą krwią. Przemyłam twarz, przepłukałam usta, aż wygnałam z nich odór śmierci. Podejmowałam decyzję.

Z cynowego dachu obsypywały się ostrza lodu. Hałas obudził którąś z Niebieskich, a ta szarpnięciem przywołała do rzeczywistości koleżanki. Za chwilę miało być ich tu więcej i więcej. Ich szepty i para buchająca z nosów będą wiatykiem dla lunatyczki.

Pod osłoną mgły pokonałam dystans, który dzielił mnie od budynku.

Wspięłam się po osłoniętej cieniem stronie, niby ogromny pająk. Ktoś czuwał nade mną, bo księżyc zasnuły chmury. Jednakże z tego samego powodu dla Karoliny umilkła muzyka satelity.

Dziewczyna zachwiała się.

Teraz albo nigdy. Skoczyłam, starając się, by akrobatyka wyglądała jak najnaturalniej dla ludzkich obserwatorów na dziedzińcu.

Inne grupy śniły. A one? Zdumione westchnęły.

Płótno nocnej koszuli rozdarło się pod moimi palcami, spadło jak wyschły liść. Drugą ręką udało mi się uchwycić nadgarstek Karoliny. Już! Przyciągnęłam ciało do siebie. Spało, wciąż spało. Słyszałam głęboki, równomierny oddech. Pulsowanie krwi, która nie zorientowała się, jak blisko była ciszy. Przesunęłam ustami po brwiach Karoliny. Łaskotały, smakowały deszczówką i łzami.

Księżyc znów odsłonił nalane oblicze.

Siedziałam wprost na posadzce, na poduszce uczynionej z fałd sukni. Przede mną było sięgające od podłogi do sufitu oko, ślepe, zasunięte bielmem tkaniny. Drżałam. Myśli moje były pozbawione obrazów. Gdybym mogła zebrać siły na cokolwiek więcej niż kontemplację pustki, marzyłabym o kołysaniu kota w ramionach.

Kroki. Zbliżyła się do mnie Karolina. Nie spała. Jedną dłonią ścisnęła kaganek, drugą ukryła pod chustą, którą była owinięta.

- Mam coś, co pomoże, madame.

W długiej kościanej fifce był osadzony papieros. W różowej bibule skrecono mieszaninę tytoniu, goździków, koki. Smakowała mi.

- Dlaczego król odesłał madame do Saint-Cyr? Byłaś pani jego kochanką?

Co odpowiedzieć: tak czy nie? Co będzie bezpieczniejsze dla nadwątlonej tajemnicy?

- Tak.

- Jaki jest?

- Jak mężczyzna.

-1...?

- Musi być coś jeszcze?

- Jest królem.

- Po akcie szeroko otwiera okno, zrobiłby to nawet teraz, zimą.

Gęsia skórka pojawia się na całym ciele.

Zaśmiała się.

- I oddał panią do fundacji Madame de Maintenon. - Pochyliła się ku dymowi. - Ciii...

- Jej palec na wargach. - Chciałam pani podziękować za uratowanie życia - powiedziała de Saginy. - Zdarza mi się to od dziecka.

- Skąd bierzesz papierosy?

- Chodźmy, to pokażę.

Zeszliśmy na dół. Tuż obok pokojów Czerwonych była komnata założycielki. Karolina wsunęła szpilę w otwór zamka, zapadka odskoczyła.

Nasze cienie biegały po ścianach. Stała tu szafa biblioteczna z ozdobną kratą, sześć foteli, tyleż taboretów. Szezlony obity karmazynowym adamaszkiem. Na wygasłym kominku kolekcja chińskich figurek. Na ścianach portrety króla i Madame. Biurko, w szufladzie papierosy.

- Nie zorientowała się, że ktoś je podbiera?

- Ma inne sprawy na głowie. Ma nas. - Uśmiechnęła się krzywo.

- Jak to się stało, że tu trafiłaś?

- Smutna historia. Urodziłam się już po śmierci ojca, hrabiego de Saginy. - Zrobiła dramatyczną pauzę. - Oprócz niewątpliwych uroków ciała i ducha odziedziczyłam jego karciane długi. Jedno nie potrafiło zastąpić drugiego, przynajmniej wtedy. Matka oddała mnie do sióstr, a sama, jeszcze młoda, wyjechała do kolonii, gdzie łatwiej było o męża. Podrosłam, trafiłam tu. Dziewczyna prawie naga. Dziewica de Saginy. - Zaciągnęła się. - Nie potrafię opowiadać.

Udało im się! Niebieskie wystawiły Księgę Estery w Saint-Cyr, w dodatku w obecności króla.

I powiedzieli dworzanie króla, którzy straż przy nim pełnili: „Niech poszukają królowi młodych dziewic o pięknym wyglądzie i niech zamianuje król urzędników we wszystkich państwach królestwa swego, i niech zgromadzą wszystkie młode dziewice o pięknym wyglądzie na zamek w Suzie, do domu kobiet, pod opiekę Hagaja, eunucha królewskiego, stróża żon i niech on da im kosmetyki!” (...) Gdy rozeszła się wieść o poleceniu królewskim i jego rozkazie i gdy zgromadzono wiele dziewcząt na zamku w Suzie, wzięta też została Estera do domu króla pod opiekę Hagaja, stróża żon.

Mogłam to sobie wyobrazić. Przedstawienie zaplanowano na wczesne popołudnie (Ludwik pragnął nocować w Wersalu. Kostium, który nosiła Estera-Karolina, skrzył się od diamentów, przerobiony z młodzieńczego stroju króla. Scenę ustawiono w Wielkim Dormitorium, zebrano i zniesiono krzesła obite złotogłowiem.

Ludwik sprawdzał listę gości, a samo wykonanie tak go rozochociło, że obiecał każdej pannie opuszczającej Saint-Cyr trzy tysiące liwrów na skompletowanie wyprawy.

/ umiłował król Esterę nad wszystkie inne kobiety./

Wieczorem wyglądałam przez okno, spoglądając na herbową karocę de Maintenon opuszczającą fundację. Prószył śnieg. Nocą, rozochoczone komplementami oraz grzonym winem, Niebieskie wyległy na dziedziniec. Przy pochodniach obrzucano się śnieżkami.

Dziewczęta współczuły, że król mnie nie odwiedził. Ale koniec końców Ludwika XIV widziałam tylko raz.

Na godzinę przed świtem, kiedy świat zaczął już drzeć w oczekiwaniu na słońce, mała łania skusiła się na sól. Ciemne wargi przykleiły się z wyraźną rozkoszą do przysmaku. Czytałam z oczu zwierzęcia przyjemność. Byłam jak w rajskim ogrodzie. Byłam kusicielką. Wystarczyło powiesić grudkę i czekać. Potem szybko zrobić swoje, nim trop zwęszą wilki. Ociągałam się. Jeszcze jedno liźnięcie, jeszcze jedno...

Przyrodnicy króla dowiedli, że jelenie zawczasu wiedzą o mroźnych zimach. W poprzedzającym je okresie łanie ronią wszystkie płody męskie, które są delikatniejsze. Trudno je wykarmić i utrzymać. Albo w cudowny sposób małe jelenie zamieniają się w łonach matek w łanie. Takie jak ta.

Powoli wyszłam spomiędzy drzew. Młoda łania zastrzygła uszami, ale nie podniosła łba. Nie bój się, nie bój, szeptało moje pragnienie. Bądź dla mnie solą. Wielką przyjemnością. Poglaskałam miękkie futro na grzbiecie. Zatopiłam kły, przerywając aortę szyjną. Rozkosz i ból. Pieczenie na podniebieniu.

Z niemałym trudem, bo na jawie, Karolina odnalazła drogę na strych, później drabinę na dach. Bezsenne, wspinałyśmy się po niej, by palić różowe papierosy i spoglądać w migające gwiazdy.

Nie marzyliśmy, rozgrzewał nas żar płonący w sercach. Tu miłość, tam nienawiść.

Odwracałam oczy od granatowego nieba. Spoglądanie w oblicza gwiazdnych konstelacji wywoływało niepokój. Co tam jest? Nic czy wszystko? Kim ja jestem tak naprawdę? Myślałam o kosmosie i czułam się jak istota zamknięta w szklanej kuli, kuli, z której jednak nic więcej nie da się wyczytać. Zamykałam oczy, czując nadchodzący atak klaustrofobii.

Karolina patrzyła na zasnuty zimowymi mgłami horyzont. Wciąż trwał miesiąc Adar. Rzeki były skute lodem, nawet Sekwana. Złoty rydwan Apollina utknął w kryształowej teraz wersalskiej fontannie. Ludwik musiał mieć z tego wiele radości. Król-Słońce pozbył się boskiej konkurencji.

- Ireno - de Saginy niechący obsypała mnie wonnym popiołem - nie mogę tak więcej. Nienawidzę Saint-Cyr. Nie chcę dłużej być dziewczicą. - Chwyciła barierkę dachu.

- Kto to? - spytałam.

- Kawaler de Baise. Był tu z królem. - Zarumieniła się albo policzki obmarzły jej od chłodu.

- Bądź ostrożna. To już nie jest sen - szepnęłam zimie w twarz.

Karolina trzymała coś w ręku, w półmroku brałam to za lekko obtoczony kamyczek. Przycisnęłam plecy do komina, bo moje ciało się zaniepokoiło. Dusza nie. Duszę omotały gwiazdy.

- Czy to prezent od niego?

- Skąd! - powiedziała zbyt głośno. - To pamiątka, a raczej talizman. Bawię się nim czasem.

Otworzyła dłoń: wysokości małego palca kamienna figurka groteskowo rozdętej kobiety. Mogła mieć kilka, może kilkanaście tysięcy lat. Nie wiem.

- Kto ci ją dał?

Wzruszyła ramionami, ale nie odpowiedziała, a później ruszyła do klapy w dachu.

- Niebieskie zobaczą, że mnie nie ma.

Niebieskie znowu zniknęły nocami i tym razem nie chodziło o teatr. Przechadzałam się po sypialni, dotykałam wgłębień w materacach, jeszcze ciepłych. Czułam drożdżowy zapach młodych kobiet, zmieszany z nutą zwęglonego tytoniu. Wydawało mi się, że tuż za plecami

słyszę bicie dziesiątek serc, pulsowanie krwi Niebieskich, ale kiedy się odwracałam, nikogo nie było. A jednak szmery powracały...

Dziewczęta nie opuściły Saint-Cyr. Wyczuwałam ich obecność, zbyt ulotną, by jasno mogło stać w mojej głowie, dokąd pierzchły.

Zlały się z murami czy zapadły pod ziemię?

Panna de Saginy oddała się kawalerowi de Baise nocą, pod zewnętrznymi murami strzegącymi Szkoły Dziewic. Wciąż udawała lunatyczny trans, by łatwiej wymknąć się z dormitorium, wszakże teraz jej sny na jawie prowadziły ją do kochanka.

Widziałam ich. Uniósł ją, tak że zeszywniałymi ze strachu i oczekiwania plecami dotykała wzniesionych kamieni. Jej nogi z jednym głośnym „ach” splotły się na wąskich, męskich biodrach. Jedną rękę trzymał pod pośladkami kobiety, drugą dłoń, dla równowagi, oparł o mur. Pocałunki na czole, oczach, ustach, szyi, ramionach, piersiach. Rozlewające się pomiędzy nimi ciepło, które kpiło sobie z lodowych przeciągów. Płatki śniegu spadły, a para wyglądała jak okryta kwiatami.

Panna de Saginy, kawaler de Baise... Cóż za nieostrożność wobec wilków!

Nocą, przy blasku księżyca, kiedy cichł wiatr, a chwycił martwy mróz, widziałam na śniegu trójkątne ślady ptasich łap - wyglądały jak odbite w lukrze. Wrony tuż przed świtem frunęły na odległe żerowiska. Ich krzyk przypominał drapieżnikowi we mnie, że pora zaprzestać krwawych łowów, należy wrócić do fundacji. Wciąż polowałam na łanie.

Nie mogłam ciągle liczyć, że głód wilków będzie nieskończonym alibi dla przelanej przeze mnie krwi. Zbyt wiele świeżego truchła zaniepokoiłoby mieszkańców wioski Saint-Cyr i królewskiego leśniczego.

Znalazłam zmrożoną skalną rozpadlinę i w ten śnieżny grób zsypałam trupy.

Karolina de Saginy zmieniła się, pod wpływem nowej namiętności stała się zbyt nieostrożna. Wierzyła, że nocne eskapady wytłumaczy lunatykowaniem, ale czy wierzyli w to inni?

Karolina śniła piękny sen, ten najpiękniejszy w życiu.

Przylapałam ją, jak wieczorem, korzystając z odbicia, jakie dawała jej okienna szklana tafla, niebieską kredką maluje sobie według najnowszej paryskiej mody błękitne żyłki na skroniach.

Pomyślałam o swoich brwiach, które kreśliłam kobaltem, kiedy miałam lat piętnaście i pół, byłam żywa, a chciałam być piękniejsza.

Westchnęłam.

Obejrzała się zaskoczona, jej usta układające się w łuk Kupidyna wydały cichy pisk.

- Przestraszyłaś mnie, madame.

- Wybacz.

Wyjęłam Karolinie z dłoni kredkę, obracałam ją w palcach.

- Dostałam od Norberta.

- Czyli...

- Kawalera de Baise.

- Myślałam, że uwiódł cię w Szkole Dziewic, bo ceni naturalność.

- Widziałaś nas!

- Tak.

- I co?

- I nic. Nie na mnie masz, panienko, uważać.

- Wszystkie mnie tu kochają - odpowiedziała zagadkowo. - Saint-Cyr to moja jedyna rodzina.

Ponieważ własnych słów, oddałam barwiczkę.

Później Karolina de Saginy posunęła się jeszcze dalej.

Obawiała się, że jej, prowincjusze, kawalera zabierze jakaś wielka dama. Z uporem godnym lepszej sprawy zaczęła upodabniać się do wersalskich kokot.

Na dworze najbardziej ceniono jasną i matową skórę. Skórę tak białą, że można było odczytać z niej krwionośne rozgałęzienia.

Księżycową cerę, która sama z siebie lśni, wydobyta kontrastem odpowiednio dobranych sukien, strusich piór. Dowiedziono, że lepsze efekty niż pudrowanie daje regularne upuszczanie krwi oraz powstrzymywanie się od jedzenia mięsa. W Saint-Cyr, gdzie panowały klasztorne przesady, tego ostatniego nigdy nie było wiele.

Karolina, zamiast zwrócić się do konowala, sama postarała się o skalpel i srebrną miseczkę do zbierania krwi. Wyobrażam sobie, że przesunęła ostrzem nad płomieniem świecy. Nie chciała mieć śladów na przedramionach, zdecydowała się więc na cięcie stopy.

Do gabinetu de Maintenon, tam bowiem dokonano sekretnego okaleczenia, zwabił mnie krzyk znajomej krwi. Słodka woń pożądania i strachu. Śpiew płynnej czerwieni uderzającej o srebrne dno.

Stałam pod drzwiami, gnąc się przy dziurce od klucza, i wiedziałam, że jeszcze tej nocy muszę pić z panny de Saginy.

Dopałam ją, gorącą po schadzce z kochankiem. Z jego śliną szroniącą wciąż nos oraz usta.

Zaszłam od tyłu. Zaciśnęłam rękę na nozdrzach i wargach, by nie wydała żadnego krzyku. Uwolniłam szyję od srebrnego szala, ugryzłam. Piłam ten krwawy miód aż do utraty tchu! Tak bardzo musiałam się powstrzymywać, by nie zatracić się w tej miłości, nie zabić Karoliny. Pomyślałam o łańcuchach.

Odsunęłam się, dysząc, na język padł płatek śniegu. Otrzeźwił.

Omdlała panna zsunęła się w moje ramiona. Zaniosiłam ją do sypialni. Szeptalam krwi, że z tej nocy ma niczego nie pamiętać.

Nie ma czegoś takiego jak sekret. Nie istnieje tajemnica. Nawet martwi mówią.

Kucharki i panny podręczne zaczęły rozprawiać o duchu z Saint-Cyr. Młodej damie ubranej w gryzetę, która nocami snuje się po korytarzach fundacji. Ktoś widział ją z okna, ktoś trafił na plamę zakrzepłej krwi na posadce. Rychło mogłam się spodziewać jakichś wieści z Wersalu.

Przyszła pierwsza w tym roku odwilż. Z dachu zaczęły odrywać się kawały lodu, które z hałasem mogącym przebudzić umarłego spadały na dziedzińce.

Również i boki skalnej rozpadliny roztopiły się, ukazując opadające głęboko w dół ujście grotu. Zaczął wydobywać się z niej słodko-mdlący zapach zgnilizny. Musiałam spokojnie czekać do kolejnego ochłodzenia albo dać pierwszeństwo strachom, zejść na dół i przesunąć truchła w dół. Zbyt blisko Saint-Cyr czuć było śmierć.

Karolina de Saginy zbladła, zmizerniała. Z trudem wytrzymała w ciasnych pantoflach, ale źródłem cierpienia były nie tylko cięte rany na stopach. Czuli się obserwowana. Obserwowano ją i pozwalano, by o tym wiedziała. Kawaler Pocałunek przyjeżdżał rzadziej, choć pogoda bardziej sprzyjała uściskom pod patronatem gwiazd. Biedna mała, ciągle nosiła w nozdrzach męski zapach. Nie tylko ona. Czuli go wszystkie Niebieskie. Stały się rozdrażnione, podatne na krzyki. Unikały Karoliny albo prawyły jej wątpliwe komplementy. Zostawiały samą w sypialni, gdy reszta zniknęła. Nie potrafiłam odczytać jej myśli, zbyt pochłaniała młodą kobietę sprawa de Baise'a. Bawiła się prymitywną figurką, odpalała papierosa od papierosa. Pozwoliła zaschnąć strupom na nogach.

Rychło z osoby kochanej miała się stać istotą pogardzaną. Nie potrafiłam jej pomóc. Musiałam myśleć o sobie.

Temperatura jeszcze wzrosła. Stałam u wylotu jaskini i przyciskając koronkową chusteczkę do nosa, zastanawiałam się, co czynić. Chciałam wracać do Paryża. JUŻ!

Podkasałam spódnice i zsunęłam się w szczelinę ziemi. Smród stał się nie do zniesienia. Moje ofiary leżały jedna na drugiej, oskarżając zmatowiałymi futrami,

zapadniętymi oczodołami, zapomnianymi kruszynami soli na czarnych wargach. Nie mogłam ich dotknąć. Kiedy były żywe - tak, kiedy umierały też, ale teraz nie! Nie.

Przyjście tu było aktem masochizmu albo manifestacją kompletnego zagubienia. Myślę, że ludzkie trupy mniej by mnie zszokowały.

Ta śmierć, zadana przeze mnie, bolała. Wyjęłam zza dekoltu świecę, skrzesałam ogień, by dodać sobie wigoru. Płomyk przegiął się, zaskoczony nagłym podmuchem. Jaskinia, w której stałam, miała jeszcze jedno ujście.

Przypomniałam sobie mit o Ariadnie, żałując, że nie mam przy sobie kłęбка nici. Złorzeczając, że nie potrafię opanować własnej ciekawości, przesunęłam się przez cienki tunel. Smród zgnilizny wypierał woń wilgoci i - przysięgam - goździkowy aromat papierosów Madame de Maintenon.

Byłam na czworakach, moja ręka natrafiła na jakąś starą kość.

Rozłupaną, pozbawioną szpiku. Skalne sklepienie uniosło się, mogłam się wyprostować. Wyciągnęłam rękę ze świecą przed siebie. Nikłe to było źródło światła, a jednak krzyknęłam przerażona i krzyk ten do mnie wrócił.

Na ścianach jaskini jakaś starożytna ręka namalowała jelenie. Zwierzęta walczyły ze sobą, byki kopulowały z łaniami, jelenie prowadziły swe młode. Wizerunki w świetle drżącego płomienia zdawały się ożywać. Cała ta brunatno-czerwona masa kotłowała się, napierając na mnie.

Podeszłam do dalszej komory, gdzie czekała jeszcze jedna niespodzianka.

Od dziecka nie znosiłam niespodzianek... W piaskowej skale odkryłam uproszczony ryt przedstawiający kobietę, identyczną jak figurka, którą nosiła Karolina de Saginy. Czy dziewczyna знаła każdą moją tajemnicę? Chciałam się dowiedzieć. Chciałam mieć powód, żeby upuścić z niej krew do końca. Zostawić jej żyły jako suche, zapadłe korytarze. Groty ciała bez ducha.

Nasłuchiwałam, gdzieś z oddali dobiegało bardzo zniekształcone krakanie wron. Tak, muszę wracać, nim słońce zacznie się odbijać od śniegowego lustra.

Okno w dormitorium Niebieskich nie było otwarte. Zostało wybite z taką siłą, że tu i ówdzie pogięły się ołowiane prowadnice do szyb. Samo szkło zaś niczym śmiercionośny kryształ lśniło na kamiennym parapecie oraz podłodze. Chyba jeszcze więcej spadło na dziedziniec.

- Lunatykowała i poślizgnęła się - powiedziała jedna z dziewcząt.

Kołatało mi się w umyśle, że imię jej brzmi Józefina. Była jeszcze niższa niż ja, ale wyśmienicie zbudowana. Popielate włosy spinała na czubku głowy. Zawsze rywalizowała z Karoliną w moralności i nauce. Dwie najpopularniejsze panny z Saint-Cyr.

- Tak było - potwierdziły głosy.

Z kątów i zaułków, jakie w komnacie tworzyły białe parawany, zaczęły pojawiać się inne dziewczęta. Bledsze niż zwykle, z ustami zaciśniętymi w cienkie linie. Ich oczy gorzały jak pod wpływem opium.

- Wypadek.

- To było jej pisane.

Schodami, przepychając się przez gromadkę ciekawskich - przyszły również dziewczęta z grupy Zielonych - zbiegłam na dół.

W ciemności rozrzedzonej srebrzystą mgłą migwały pochodnie. Jeszcze chwila i zgromadzi się tu całe Saint-Cyr!

Podeszłam do Karoliny. Topniejący śnieg nie zamortyzował upadku. Leżała na boku, we włosach i na koszuli nocnej miała szkło. Twarz z tej strony wydawała się nietknięta. Spod ciała gwałtownie wypływała i powiększała się kałuża krwi. Czarna w świetle księżyca. W ciszy śmierci usłyszałam pojedyncze bicie serca. Oko o rozszerzonej nienaturalnie źrenicy mrugnęło. Karolina jeszcze żyła. Dogorywała. Kuciałam, chciałam klęknąć, przygarnąć dziewczynę do kolan, ale nie wystarczyło czasu. Jej ciałem wstrząsnęły gwałtowne przedśmiertne drgawki. Wreszcie skoła.

Niemalże czułam już żar pochodni na plecach gryzety. Schyliłam głowę, dając pochłonąć się mgle.

Kto zawiadomi o nieszczęściu Norberta de Baise?

Odeszłam z Saint-Cyr, czy raczej pragnęłam odejść, ale nie do końca mi się to udało. Pewne zdarzenie okrutnie pokrzyżowało mi plany: w drodze wpadłam w wilcze wnyki. Musieli je rozstawić i sprytnie ukryć pod śniegiem i zesłorocznymi liśćmi chłopci z wioski Saint-Cyr, którym wycie watahy podchodzącej pod rozstaje dróg odbierało sen oraz apetyt. Możliwe, że zrobili to ludzie rządcy, kiedy ten nie doliczył się przetrzebionych stad jeleni w okolicy. Możliwe... Możliwe...

Do Wersalu nie było daleko, droga powozem zajmowała parę godzin, szybki wampirzy spacer mógłby przedłużyć się do jednej nocy i jeszcze pół. Nie byłam tak zdesperowana, by biec. Biegając, potrafiłam przegonić konia.

Myślałam właśnie o tym, jaka odległość dzieli Wersal od Paryża, kiedy moja stopa zsunęła się z zamrożonej grudy. Mogło się skończyć na obitej kostce, ale zachwiał się,

gwałtownie podparłam się drugą nogą, pakując ją wprost w sidła. Żelazne zęby zamknęły się z ordynarnym trzaskiem, przecinając cholewkę buta i zaciskając nieubłagane szczęki na nodze.

- Merde! Och, Boże...

Ból ogłuszył mnie, ale zapach krwi przebudził moje ciało do drapieżnej gotowości. Szarpnęłam się, co tylko pogorszyło sytuację.

Zawylałam.

Czułam duszący strach, potworne osamotnienie, jakby nagle okazało się, że jestem ostatnią istotą na ziemi. Usta wyschły mi na wiór. Nie mogłam ani stać, ani przykleknąć. Rozpacz. Ból, który nie słabł, rozpałał przed moimi oczyma dalekie gwiazdy. Schyliłam się i dalej manipulowałam przy ostrzach. Kość nie była złamana, straciłam jednak sporo krwi i znacznie osłabłam. Wiedziałam, że jeśli czegoś nie wymyślę, w tej żalostnej sytuacji zastanie mnie świt, a słońce spopieli. Chciałam wyszarpnąć przytrzymujący sidła metalowy kolek z ziemi, ale łańcuch prowadzący od kłów był długi i wciąż się plątał, a gleba zamarzła na kość.

Jakże żalostny koniec, Ireno!

Przypomniałam sobie historie o wilczycach, które odgryzały sobie łapy, by uwolnić się z sideł.

Czy potrafiłabym? Czy stopa mogłaby odrosnąć? Jak? Od razu duża, czy może rozrastałaby się stopniowo od słodkiej stopki oseska, jak to bywa u jaszczurek? W obrazach gwałtownie wysyłanych przez pamięć wróciła do mnie śmierć wilkołaka, którego kiedyś, dawno temu zamordowałam na Zatybrzu...

Świetlista kreska przecięła horyzont.

NIE UMREŃ! NIE UMREŃ!

Raniąc dotkliwie ręce, tak że pod zrolowaną przemocą skórą pojawiły się naciągnięte mięśnie oraz blade kości, rozwarłam żelazne szczęki.

BIEGNIJ, IRENO! BIEGNIJ, IRENO!

Hałastrą czarnych, głośnych ptaków przeleciała tuż nad moją głowę. Krew znowu znaczyła śnieg. Zataczałam się z boku na bok, moje kolana przebijały co płytszy lód. Merde! Opanowało mnie jedno pragnienie: dostać się do Jaskini Jeleni.

Udało się.

Ostrożnie, szorując brzuchem po lodzie, wsunęłam się do grotty. Zapach śmierci przenikający przez ubranie, wkręcający się w nozdrza niczym pajdak we włosy. Pod palcami strzępki futra, tryskające ciała glizd, czarna ciecz.

Precz! Precz!

Opuściłam grób łań i sunęłam dalej. Słoneczne promienie deptały mi po piętach. Śnieg topił się, po ścianach spływała woda. Stopiony lód wlewał się do pokiereszowanego buta. Straciłam wiele krwi, doskwierał mi głód.

We właściwej komorze Jaskini Jeleni, szarość wreszcie zniknęła, a zastąpiła ją nieprzenikniona ciemność. Byłam w łonie ziemi. Poza czasem. Jak dziecko, które na powrót nie chce się narodzić.

Rozłożyłam ręce, wyczułam magiczny ryt. Czyją matką byłaś? Czyją siostrą? Kto cię sportretował? Bogini...

Narastało we mnie przekonanie, że od Jaskini Jeleni odchodzi jeszcze wiele korytarzy, wiele innych naturalnych komnat. Ta jednak była najniżej, najbliżej prehistorycznego jądra, dalej chodnik się unosił.

Z przetłuszczonego rękawa wyjęłam różowego papierosa. Włożyłam go w usta i tam pozostał niezapalony. Ja i on - pozbawieni światła, pozbawieni możliwości zaistnienia, spalenia, rozmycia w dymie, który zaprawdę jest duszą. Nie miało to znaczenia. Nie oddychałam. Sama przed sobą nie miałam ochoty na kuglarskie sztuczki. Nie potrzebowałam iluzji. Byłam martwa, a jednak żywa.

Wschód słońca poważnie uszczuplił moje siły, trwałam więc zwinięta w embrion pod wilgotną ścianą. Różowa bibuła przykleiła mi się do warg.

Noc. Rozmokły papieros dawno wypadł mi z ust, a jednak pachniało dymem. Powinnam zawrócić, wyrwać się z kamiennej pułapki, obmyć stopę. A mimo to szłam do przodu, co w pewien sposób nadawało właściwy kierunek. Naturalny korytarz zawracał i biegł w stronę fundacji. Przestał się już unosić. Po paruset metrach charakter chodnika zmieniał się, przyrodę zastąpiła ręka człowieka.

Byłam pod fundamentami Saint-Cyr.

Czy ten korytarz łączy się ze szkołą? Jakby w odpowiedzi natknęłam się na wygaszoną, zawieszoną w okuciu pochodnię. Następna już płonęła, inne także. Zapach goździków przybrał na sile. Mdląca woń kadzidła.

Zadarłam głowę, spojrzałam w nieprzeniknioną plamę sufitu.

Gdzie...?

Magiczny zmysł, który pozwalał mi orientować się w terenie, podpowiedział, że jestem niemalże pod kaplicą. Przymknęłam powieki. Bicie serc. Wielu serc, tutaj...

Usłyszałam głos, słowa zlewały się ze sobą albo były zmienione przez echo w wielogłowe potworki. Podeszłam do źródła. W cieniu zgłosek rozpoznałam namiętność i

zgrzyotę Józefiny de Dangeau. Stałam u wejścia do kolejnej komory, a moim oczom ukazał się widok jak ze spektaklu La Voisin.

- Nasza siostra, Karolina de Saginy, niech jej imię będzie po wieczność przeklęte, skalala wspólnotę Niebieskich. Plugawiac swoje ciało wydzielinami i wyziewami męczyzny, splugawila oblicze niewinnej Bogini.

- O Bogini! Przebacz nam! Przebacz!

Catherine La Voisin byla czarownica i dzieciobojczynia, ktora wraz z kompanami: ksiezdem Mariette i ksiezdem Guibourg odprawiala czarne msze, w dodatku wprost na labedzim lonie Athenais de Montespan, odraczonej faworyty ktrolewskiej. Asztarte, Asmodeuszu, przyjmijcie ofiare z tego dziecięcia, w zamian za przychylnosc ktola.

Tam, gdzie pare metrów wyzej znajdowala sie przyozdobiona kwiatami i wstazkami figura Maryi, tu stal prymitywny, archaiczny idol, w toczonych zarysach przypominajacy niewiescia postac.

- O Bogini, niech krew tego lubieznego kozla cie przeblaga! Oddal od sluzek swoich twój gniew. Ukaz nam jasnijace oblicze jutrzienki, ktora wygoni z naszych serc mrocne mysli.

Na wzniesionym oltarzu rozciagnieto obnazone ciało Norberta de Baise. Kawaler probowal unosc glowę, toczyc wokół odurzonym spojrzeniem, a jego doskonale usta, ktore zdobyly dla niego tyle niewiescich dusz, ukladaly sie w wyraz dziecięcego zdumienia.

Naraz zobaczył mnie i zaczął krzyczec. Z jego przepalonego zracym narkotykiem gardla wydobył sie ryk ranionego knura, alarmujac wszystkie dziewczęta.

- O, metresa ktrolewska. - Mademoiselle de Dangeau sklonila sie i niezrazona, archaicznym kamiennym ostrzem odciala męski czlonek.

Trysnela krew.

Spij, mój ksiazę, pomyslam, nim czerwona mgla zalala mi oczy.

Bardziej niz pragnienie zemsty za biedną Karolinę, bestię obudzil we mnie glód i ból promieniujacy od rany. Kły wysunely mi sie z dziaseł, niczym noze z pochw. O, Bogini... To dopiero będzie ofiara. Rzucilam sie na bialowlosą Józefinę, a reszta towarzystwa rozbiegla sie jak sploszone ptaki. Część pomyliła kierunki i dołączyla do skruszalych lań, pare sie potratowalo, inne probowaly podnieśc dźwignię, ktora otwierala sekretne przejście prowadzace z komory do stop chrześcijańskiego oltarza. Szalenstwo i zgrzytanie zębów.

Panie mój i Boze, Ty przeznaczyles mi miejsce, na którym sie znajduję, i przez cale zycie bede sie starala wielbic Twą Opatrzność i poddawac sie jej bez zastrzezeń. Obdarz mnie, Boze, łaską, abym znosila me smutki w duchu Chrystusowym, abym uswiecalam moje

przyjemności, dążąc jedynie do Twojej chwały i do głoszenia jej wszystkim książętom, pośród których mnie postawiłeś, oraz abym służyła zbawieniu króla. Nie dozwól, Panie, abym uległa poruszeniom mej niecierplivej natury, która zniechęca się i słabnie w toku wykonywania obowiązków, i zazdrości innym ich rzekomego szczęścia. Niech się dzieje Twoja wola, Boże, a nie moja!... Ty, który trzymasz w swym ręku serca królów, otwórz serce mojego króla, abym mogła napęlić je cnotą wedle Twego życzenia. Spraw, abym mogła czynić go szczęśliwym, pocieszać, wspierać na duchu, a nawet zadawać mu cierpienie, gdy będzie to konieczne dla Twojej chwały; abym nie ukrywała przed nim nic, czego powinien się dowiedzieć ode mnie i czego nikt inny nie miałby śmiałości mu powiedzieć. Daj, abym ocaliła własną duszę i jego, abym go kochała w Tobie i dla Ciebie i aby on mnie kochał tak samo.

Francoise de Maintenon.

Karoca Madame de Maintenon zatrzymała się przed bramą fundacji Saint-Cyr. Dragoni, zdezorientowani miejscem, w którym się znaleźli i wciąż wężący ciepło wydobywające się spod niezliczonych spódniczek, zaprowadzili mnie pod komnatę Madame de Maintenon.

Kiedy weszłam, pisała coś i jednocześnie paliła papierosa w długiej kościanej fífce, by dym nie drażnił powiek.

Tuż przed nią stał pyszny kandelabr. Wydobywał z mroku portret kobiety starszej od Ludwika. Nosiła wysoką perukę. Gruba warstwa pudru, zamiast cieniować zmarszczki pod oczami, jeszcze je podkreślała. Same oczy zaś były duże i bardzo czarne.

- Jak pani noga? - zapytała.

- Goi się.

Skinęła głową na znak, że jej to odpowiada. Milczaliśmy. Słysząc było tylko skrobanie pióra po papierze.

- Madame, wiedziałaś o tym?

Myślałam o sekcje, którą zorganizowała mała Józefina de Dangeau z Niebieskich i mianowała się jej najwyższą kapłanką.

- Nie. Skąd tym dziewczętom przyszło to do głowy?

- A o Jaskini Jeleni?

- To tak się ją nazywa? Nie.

Znowu zapaliła, mnie jednak nie proponując papierosa.

- Co będzie ze Szkołą Dziewic? - spytałam.

Spojrzała na mnie zdumiona. Potem na usta wypełził jej lekki uśmiech.

- Ludzie w końcu zapomną, zawsze zapominają, a fundacja się odrodzi. Moje Saint-Cyr będzie wieczne.

Wstała. Zrobiła parę kroków w moją stronę. Zapach goździków się nasilił.

Obejrzała mnie od góry do dołu, nie zdradzając się przy tym z uczuciami, jakie towarzyszyły tej lustracji.

- Król pragnie, byś udała się, pani, ze mną do Wersalu. Oczywiście zaraz po tym, jak wyzdrowiejesz. A życzenie króla to rozkaz. - Wróciła za biurko. Wysoki cień zatańczył na ścianie. - Masz zamiar się temu podporządkować?

Nie odpowiedziałam. Nie potrafiłam tak drastycznie występować przeciwko samej sobie, ani kłamać. „Tak” nie przeszło mi przez gardło.

- Doskonale. - Umoczyła pióro w kałamarzu. - Zabiorę dragonów spod twojej sypialni. Pozostawię wszelką swobodę ruchów. Korzystaj nadal z mojej gościny, a kiedy wydobrzejesz, obie udamy się na dwór. Sądzę, że twoja rana wymaga dłuższej rekonwalescencji.

- Czy Ludwik powiedział pani, kim jestem?

Pióro zatrzymało się, a po chwili sprawnie ruszyło dalej.

- Mgła. Powiedział, że jesteś, pani, mgłą.

Spotkanie było skończone.

Uciekłam, tak jak pragnęła Francoise de Maintenon. Nie chciałam widzieć Ludwika Króla-Słońce. Uznałam, że w świetle ostatnich wydarzeń mogę wymówić służbę Koronie Francuskiej.

Nie odeszłam daleko od fundacji Saint-Cyr, gdy zaatakowała mnie grupa wilków. Sędziwy basior i trzy młodsze. Młode rzuciły się na mnie. Podskoczyłam, wyrzucając nogi w bok, aż poczułam szarpnięcie w miednicy. Jedno zwierzę padło, z pękniętego brzucha wysypywały się na śnieg tęcze zwoje jelit. Wyglądały jak blizny ziemi.

Drugi wilk próbował ustać na łapach, raz po raz w oszołomieniu podrzucał głowę. Miał krew przy nozdrzach. Nastąpiłam mu na kark. Ostatni młody rzucił się wprost do mojego gardła, ale i tego powaliłam. Drapieżniki były wychudłe i wycieńczone po siarczystem zimie.

Popatrzyłam w żółte oczy basiora, tak podobne do moich.

Odrzucił głowę i zawył do księżycowej tarczy. Pragnęłam przebierać palcami po jego powycieranym szarym futrze jak po piersi kochanka.

Obchodząc się, zatoczyliśmy koło, a później wilk się cofnął i ja zrobiłam to samo. Spotkanie drapieżców dobiegło końca.

Następnej nocy zima powróciła z nową siłą. O świcie kładłam się w opuszczonych zwierzęcych norach, cuchnących piżmem i wspomnieniem młodych, albo poniechawszy myśli o roztopach, budowałam prymitywne igloo. Kryłam się w śniegu, niczym wyschły kleszcz, który cierpliwie czeka na wiosnę i na krew.

Nie wynajęłam koni, unikałam głównych dróg, licząc się z pościgiem Ludwika. I tak, incognito, dotarłam do celu.

CALAIS, WCZESNA WIOSNA 1687

A jednak opuszczałam Francję.

Stałam w porcie, czatując na odpowiedni transport, a moje oczy, pośród księżycowych błysków na falach, szukały przeciwnego brzegu.

Żegnaj zwodnicza Francjo, witaj wesola Anglio.

W tekście wykorzystano fragmenty Księgi Estery w tłumaczeniu Stanisława Grzybka oraz Modlitwę Madame i fragmenty listów Madame de Maintenon w przekładzie Marii Boruszyńskiej-Borowikowej.

PIEŚŃ NIEWINNOŚCI

Wyobraźnia to ciało Boga w każdym człowieku.

William Blake

Chodź, dziecino, czy krylibyśmy się koło ścieżki w najciemniejszym zakątku lasu,
gdybyśmy chcieli cię skrzywdzić?

Kenneth Patchen, *But Even So*

LONDYN, 1769

W mroku, za oknem, majaczyła kopuła katedry Świętego Pawła. Niewyrośnięty chłopiec oparł głowę o framugę i niedbale chuchnął. Na szybie ukazała się mgła podobna do tej, która rankiem unosi się nad brudną Tamizą. Jednak ta pierwsza znamionuje parszywy, wyspiarski klimat, druga - młode, niewinne życie. Oddech chłopca pachniał mlekiem i goździkami, które pani Blake lubiła w nim gotować, by dodać dwunastoletniemu synowi energii. Chciała, żeby jego życie nabrało smaku, a nie zmarnowało się w rynsztoku pełnym szczurów albo w przytułku dla nędzarzy. Gołym okiem widać było, że dziecko jest inne niż rówieśnicy. Gdyby się spośród nich wyróżniał, matka mogłaby to brać za dobrą monetę, ale William był po prostu inny - jakby należał do gatunku nieskoligaconego z bandą hałaśliwych, zadziornych londyńskich rozrabiaków. Urodziłam dziwne dziecko. Mały miał pewną dłoń i subtelne poczucie estetycznego smaku, niezwykle u takiego młodzieniaszka (kolejna niespodziewana rzecz!), rodzice postanowili więc, że oddadzą go do terminu u rytownika ilustracji, jeśli tylko nic nie stanie temu zamierzeniu na drodze. Bali się, że chłopak popada w manię religijną.

Martwiło ich, że ciało syna w każdym centymetrze skóry należało do delikatnego dziecka, chociaż jego rówieśnicy w próżnym zapamiętaniu już uganiali się za starszymi dziewczętami. Nie chodziło o to, że chcieli się doczekać wnuka od jakiejś „cichej” prostytutki, pracującej jako służąca u dobrych państwa, ale gdyby William zaczął płciowo dorastać, może skończyłyby się rówieśnicze docinki, ciało nabrałoby krzepy do odpierania gówniarskich ataków, a dziecko przestałoby wyglądać jak małeletni suchotnik.

Jego oczy zawsze błyszczały niczym w gorączce. „Wygląda tak, jakby widział duchy”, usłyszała kiedyś Catherine Blake spośród tłumu, kiedy wybrała się z synem na targ do portu. Wokół pętały się dzikie i bezczelne koty, a stopy oberżniętych rybich głów wlepiały wyblakłe oczy w sine niebo. Catherine nawet sama przed sobą nie chciała przyznać, jak blisko prawdy była śmierzcząca mułem przekupka.

Kogo ja urodziłam? Przycisnęła palce do brzucha. William szedł obok, zamyślony. Przez całą drogę nie zamienili ani słowa. Kim jestem? Gdzie żyję? Bolała nad tym, że jej dziecko tak szybko zaczęły zaprzętać podobne pytania.

Chłopiec nieznacznie przesunął świecę, która stała na parapecie. Nurtował go sposób, w jaki na szybie przenikały się dwa obrazy: widok Świętego Pawła oraz odbicie własnej, dziecięcej twarzy.

William miał kręcone włosy koloru ciemnoblonde, które z czasem miały zrudzieć. Dużą głowę o wysokim, masywnym czole. Perkaty, mięsisty nos. Brązowe oczy jakby wydarte z innej twarzy (oczy Catherine) i cofnięty, kobiecy podbródek. Był brzydkim dzieckiem.

Złościło go to, bo w religijnych broszurach, które czytał po kryjomu, pisano, że cielesna harmonia idzie w parze z cnotami ducha, a Will przecież tak bardzo chciał być dobry. Dobry. Dobry! Uczynił znak krzyża.

Usłyszał kroki matki na schodach, odsunął się od świecy i szybko śmignął do łóżka, pod kołdrę.

- Przyszłam, by cię pocałować na dobranoc.

- A tato?

- Tato jeszcze pracuje.

Pochyliła się i musnęła ustami czoło chłopca. Doleciał go zapach krochmalu i drożdżowa woń kobiecego potu.

- Mamo?

Uśmiechnęła się.

- Widziałem coś.

Uśmiech zbladł. Chłopiec zaczął szybko, nerwowo wciągać powietrze przez zapchany nos.

Uspokajająco musnęła jego policzek.

Parę miesięcy temu mały William Blake wszem wobec obwieścił, że na szybie rodzinnego domu przy Broad Street 28, w oknie na piętrze ukazał mu się Bóg. Siwobrody i długowłosy starzec z kart Starego Testamentu.

Blake'owie zadali sobie wiele trudu, by przekonać protestanckich sąsiadów, że ich syn przechodził lekkie zapalenie mózgu.

Z głową Williama wszystko było w porządku, za to przez kilka tygodni podkładał sobie poduszkę pod pośladki, kiedy pomagał ojcu w szyciu. „Nie jesteś Królem, to lepiej się nie wyróżniaj” - mawiała Pani Różga.

- Mamo, to było na Peckham Rye, nieopodal Dulwich Hill. Włóczyłem się bez celu. Kopałem kamyki oblepione grudkami błota i studiowałem swe trzewiki. Uniosłem wzrok i wtem zorientowałem się, że stoję pod drzewem pełnym aniołów. Obsiadły każdą gałąź. Ich twarze błyszcząły. Skrzydła lśniły.

Catherine splotła ręce na dużych, wezbranych piersiach (podejrzewała, że znowu jest w ciąży) i wydeła wargi:

- Tym razem jeszcze nie powiem ojcu.

Chłopak usiadł gwałtownie na łóżku i zamachał rękami.

- Nie wierzysz mi! Mamo, dlaczego mi nie wierzysz? Ja nigdy nie kłamię!

- Powiedziałaś, że siostry Capper cię nienawidzą.

- Bo to prawda!

- Że chciały cię zjeść.

- Tak myślałem - szepnął.

- Williamie, jesteś już dużym chłopcem, nie możesz opowiadać bajek. To nie do wiary, że odkąd cię nosiłam, minęło tyle lat.

- A jednak to prawda, mamo. - Ukrył twarz w poduszce.

Catherine Blake postanowiła, że dzisiaj nie da się sprowokować.

Wzięła z parapetu świecę, po raz ostatni spojrzała na nadąsanego syna i wyszła. Gonił ją własny cień. Szczuplutki jak ona, kiedy miała osiemnaście lat i była panną rojącą o rycerzach i księżętach. Niedługo później została żoną sprzedawcy tekstyliów i krawca w jednej osobie. Szczęściara ze mnie. Na pewno. Amen.

William leżał nieruchomo, gdy kroki matki cichły na schodach.

Wyczekał do momentu, kiedy umilkło trzaskanie garnków (mama parzyła uspokajające ziółka dla ojca), a mieszkanie spowiła pajęczyna ciszy. Ta cisza niosła chłopięcą wolność. Włożył schowane pod łóżkiem stare trzewiki o startej na palcach podeszwie. Podeszedł do okna, rozpiął haczyki; delikatnie przytrzymując framugi, by nie zaskrzyptały, rozsunął je. Do pokoiku na wysokim poddaszu wtargnęły noc i wiosna. William przerzucił nogę przez parapet, czubkiem buta namacał gzyms.

Stanął na nim - szerokim, solidnym - obiema nogami. Czul się pewnie, w końcu wymykał się w ten sposób z domu już wiele razy.

Trzymając się cegieł, wystających w regularnych odstępach z muru, oraz kutej rynny, zszedł na dół.

Matka obudziła go z samego rana. Marudził, że nie może wstać. Nie da rady! Oczy nabiegłe krwią z niewyspania same mu się zamykały. Popatrzyła na niego z uwagą: pościel nie była skopana, za to fragment poduszki przesiąkł śliną. Ślina też wyschła wokół ust, tworząc bladą obwódkę. William zakrył głowę poduszką. Catherine ją ściągnęła.

Zobaczyła, że jej syn ma pełno żaloby za paznokciami. Raził brud na tych drobnych dłoniach, wąskich palcach, które już potrafiły wprawnie ująć graficzny rysik.

- Williamie, wstawaj i umyj się. Ale już!

- Mamo... - zamruczał.

Zdarła z syna kołdrę. Koszula podwinęła się, ukazując blade pośladki. Na jednym pysznił się młodzieńczy pryszcz, a wokół, w cieniu... Catherine zobaczyła parę ciemnych, skręconych włosów i natychmiast odwróciła wzrok. Czyżby...?

Powiedziała normalnym głosem:

- Ojciec kazał ci iść do Pawlett's Gardens.

- Muszę iść siku. - Zerwał się, a nocna koszula opadła aż za kostki.

Przyszedł do kuchni, bezszelestnie jak młody kot o miękkich łapach.

- Prosiłam, żebyś nie chodził bosy. Jeszcze wbije ci się drzazga.

- Nie widziałas moich stóp. Mam podeszwy jak wieśniak.

- Próbował zdrzeć nogę i pokazać dowód potwierdzający swe spostrzeżenie, ale zachwiał się i stracił równowagę.

Mimowolnie zaśmiała się. A potem zrobiła to znowu. Jedyne śmiech się w niej nie zestarzał. Powiedziałyby, że jej dusza go rozpoznawała.

- Tata nie był taki? - spytał William.

Pomyślała o porządnym, dopiętym na ostatni guzik Jamesie Blake'u, gdy przyniósł jej pierwszy w życiu, zduszony bukietik żonkili, które zapomniały, co to znaczy być żółtym kwiatem - i skłamała:

- Jesteście do siebie tacy podobni. Czasem trudno was odróżnić.

- Ale tylko czasem? - zaniepokoił się.

- No... tak.

Kiedy tarł zaspane oczy, znowu wyglądał na chłopca młodszego od siebie o cztery lata. Klepnęła go w ramię:

- Biegnij na górę po trzewiki.

Usłuchał. Tymczasem nachyliła się nad pustą, drewnianą misą i zwymiotowała. Starą się przy tym uczynić jak najmniej hałasu.

Nakryła misę drewnianą deską, by smród nie wydostał się na zewnątrz. Otarła wargi wierzchem dłoni i zamarła pośrodku kuchni. James, znowu wpędziłeś mnie w dziecko. A co będzie, jeśli urodzi się podobne do Willa? Czy mamy dość siły na jeszcze jednego Willa?

William zszedł ubrany w płócienny kaftan, bryczesy z owczej skóry i zapinane pod kolanami pończochy. Na szyi zawiesił trzewiki. Niósł sukienne palto.

- Nie lubię tam chodzić.

- Dokąd?

- Do Pawlett's Gardens. Do przytułku.

Przytułek w Pawlett's Gardens był źródłem najlepszych klientów starego Jamesa. Królewski dekret nakazywał, by bieliznę, którą miał na sobie umierający, po jego śmierci niezwłocznie spalić. Przytułek Pawlett/s Gardens zaś był prawdziwą umieralnią.

Catherine położyła przed synem sporą paczkę.

- Nowe koszule, cerowane prześcieradła. To niedaleko stąd, a nie musisz śpieszyć się z powrotem. Szykuje się ładna pogoda. Czuję, że wieje ciepły wiatr od morza.

Spojrzał na nią. Uśmiechnęła się.

- Nie wypróbowałeś jeszcze swojego latawca?

Pokręcił głową.

- No to wypuść go dzisiaj. Nie ma na co czekać.

Williamowi mocniej zabiło serce: latawiec! Jego latawiec! Przez te wizje aniołów zupełnie o nim zapomniał. Już był pewien, że tego późnokwietniowego dnia czeka go wiele radości. Był też pewien, że mama (w przeciwieństwie do ojca?) kocha go. Wstał z kuchennego taboretu, podszedł do kobiety i pod wpływem impulsu pocałował ją prosto w usta. Oblała się purpurą, a potem powiedziała twardym, nieznanym mu głosem:

- Nigdy więcej tego nie rób, Williamie Blake'u.

Ulica Broad Street leżała na terenie dawnego morowego cmentarza zwanego Pesthouse Close. Przyległy do niego szpital został wyburzony, a cały teren wygładzony, jednak ziemia od czasu do czasu, po ulewnych deszczach albo wyjątkowo srogiej zimie rozpulchniała się, a to i owo wydobywało się na wierzch. Za feralną Broad Street leżały Pawlett's Gardens i przytułek. Mieszkało tam średnio trzystu pensjonariuszy. William nie znosił chodzić w to miejsce. Było tak zaniedbane, że ledwo co zwracano sobie głowę, by odróżnić żywych od zmarłych. Widywał tam kaleki, opóźnionych umysłowo i starców

dotkniętych demencją. Oprócz tego zawsze parę dziesiątek mężczyzn i kobiet, zdawałoby się w sile wieku, których jednak kaprysy losu tak doświadczyły, że zmienili się w milczące stworzenia patrzące w jeden punkt i kołyszące się niby małe, opuszczone dzieci. Opuszczone przez Boga, choć William wiedział, że Bóg nie opuszcza najmniejszego stworzenia, więc ci na wpół martwi ludzie musieli być zwiedzeni przez diabła. Bywało, że siedzieli goli, jakby szykowali się na Sąd Ostateczny.

W takich chwilach William przemyślał, co dzieje się z nową partią bielizny, którą przynosił tu co dwa tygodnie.

Blady chłopiec wszedł do przytułku. Jedno ramię ściągała mu w dół ciężka paczka, pod drugą pachą trzymał niewielki, ale zgrabny latawiec. Biały. Chłopiec wyglądał osobliwie.

Tuż za rogiem natknął się na zażywną, mocno zbudowaną zakonnicę. Jasny kornet wokół rumianych policzków nadawał jej wygląd nie z tego świata. W dodatku na habicie nosiła ciężki, skórzany fartuch.

Miała cudzoziemski akcent. Chłopca to nie zdziwiło: po reformie religijnej w kraju rozwiązano większość rodzimych zakonów, a może nawet wszystkie. Przybywający tu później bracia i siostry w Duchu Świętym traktowali samych siebie jak misjonarzy. Obecny król tolerował ich, wiedząc, że odwalają czarną robotę, do której nie zmusiłby rodowitych Anglików, a nie są już żadną siłą polityczną, gdyż rodowity Anglik musiał być protestantem. Amen.

- W końcu holu są dwa pokoje obok siebie. Zabierz, chłopcze, bieliznę do tego ostatniego - poprosiła czy raczej wydała rozkaz, niczym zaprawiony w bojach sierżant. - Merde! - wrzasnęła nagle Williamowi tuż nad uchem, aż, niby ptak, schował głowę w ramionach.

Tuż obok nich młoda, nieszczęśliwa dziewczyna padła na podłogę, a jej ciało wygięło się histerycznie w łuk. Siostra pobiegła walczyć z diabłem o dziewczęcą duszę. Pobiegła nie dopuścić do tego, by tamta odgryzła sobie koniec języka.

- Claire! Już w porządku, Claire!

Odsłonięty w porwanej odzieży, mały, ciemny sutek bił w niebo.

Zaraz przyjdzie pora na latawiec, pomyślał Will, a jego plecy, nie wiadomo dlaczego, oblał lodowaty pot.

Resztę drogi do bieliźniarki przebył, wpatrując się w czubki butów.

Wyobrażał sobie, że ma uszy zaklejone woskiem i nie słyszy świńskich albo, co gorsza, niepokojących zacepek wariatów. Jego ojciec musiał go niemal nienawidzić, że posyłał w miejsce takie jak to. Ogród Piekieł.

W końcu, z ulgą, mógł odłożyć pakunek.

Cofnął się, znowu myśląc o latawcu.

Jakby mimochodem William zajrzał do komnaty sąsiadującej z tą, gdzie umieścił bieliznę.

W kącie pokoju klęczało na podłodze obleczone w poszarzałe płótno dziecko. Aniołek. Twarz miało nienaturalnie nalaną, a włosy obcięte tak blisko skóry, że nie dało się określić jego płci. Śliniło się, ciemne oczy były szkliste, a jednak skoncentrowane na jednej, jedynej pracy, którą Bóg pozwolił mu wykonywać. Przed nim leżały rozsypane zeszłoroczne, suche liście, które cudem przetrwały wilgotną angielską zimę. Dziecko układało liście obok siebie tak, że ich krótsze i dłuższe ogonki zwrócone były do siebie idealnie równolegle. W tej samej, niezachwianie odmierzonej odległości.

Aniołkowi najwyraźniej to nie wystarczało, bo wciąż poruszając swoimi ususzonymi, biednymi zabawkami, szukał zagubionej harmonii; okrutnej równowagi smutku i choroby.

Willem wstrząsnął dreszcz. Otrząsnął się ze stuporu i energicznie ruszył do wyjścia.

- Szczęść Boże. I pozdrowienia dla ojca - rzekła zakonnica, która go powitała.

Chłopcu zebrało się na mdłości. Wiedział już, czemu ta obca siostra włożyła dziwaczny fartuch, pasujący bardziej właścicielowi jatki niż służebnicy pańskiej. Teraz posępna kobieta trzymała mocno jakiegoś nieszczęśnika, wyglądającego bardziej na ożywiony szkielet niż męża, i wciskała jego głowę w cynową miskę, ustawioną na lekkim, składanym stole felczera. Stojący obok konował ciał skalpelem skroń chorego, a oszalą krew tryskała do naczynia. Rozpryskiwała się po podłodze, spływała po świńskiej skórze, a nawet ośmieliła się skalać nieosłonięty przypadkiem rąbek habitu.

Szkarłat! Szkarłat! Szkarłat! Will zamarzył o wiosennym dniu, który pozostawił na zewnątrz. Ścisnął mocniej listewki latawca.

Siostra uniosła ku niemu twarz. Kropelki cudzej krwi wyglądały jak wrośnięte w skórę koraliki papistowskiego, bałwochwalczego różańca.

- Baw się dobrze, dziecko - powiedziała.

Nie skinąwszy nawet głową, uciekł na dwór.

Niebo było błękitne. Powietrze krystalicznie czyste, nie londyńskie. Nie czuł już duszności, które opanowały go w Pawlett's Gardens, zapomniał, że przytułek w ogóle istnieje. Ten rodzaj amnezji przytrafiał się zwykle urwisom i rozbrykanym małym psiakom. Latawiec rwał ku wolności. Teraz, do dzieła!

William, w wiosennym zauroczeniu, przeszedł jeszcze Oxford Street do Tottenham Court Road. Minął pachnący chmielem browar oraz nieprzypadkowo położoną tuż obok

tawernę Pod Błękitnym Słupem. Zabudowa Londynu stawała się coraz rzadsza i rzadsza. Słońce prażyło. Will był szczęśliwy. Rozpierała go euforia.

Nie spostrzegł nawet, kiedy minął tartak zamykający Windmill Street i znalazł się na farmie należącej do dwóch zdziwaczałych, a groźnych starych panien, sióstr Capper, które w wolnych chwilach, najwyraźniej zazdrosne o brak własnych dzieci albo pragnące tlamsić męskie nasienie od maleńkości, zajmowały się z lubością dręczeniem małych chłopców. William Blake miał już z tymi wariatkami do czynienia. Potem bolały go naciągnięte uszy i skopane siedzenie. Teraz jednak szampański nastrój zatarł pouczające wspomnienia, a zresztą farma była wprost idealnym miejscem do wypuszczenia latawca.

William popuścił trzymany w dłoni kordonek nawinięty na toczony kawałek drewna, który luźno chodził mu pomiędzy palcami. Podrzucił jakby od niechcenia latawiec i puścił się biegiem.

Zabawka najpierw uniosła się nad rozmokłą ziemią ledwie na jard; przypominała ptaka dopiero co wypuszczonego z klatki, który nie wiedział, czy rozłożyć skrzydła, czy opaść z powrotem na bezpieczną grzędę. Powiał wiatr, a latawiec jakby skuszony waniliowym tchnieniem Pani Wiosny wzniósł się w niebo. Szpulka w rękach chłopca obracała się coraz prędzej i prędzej. Will biegł, przebierając z całą mocą chudymi nóżkami. Zebrał się na odwagę i, nie tracąc równowagi, spojrzał w górę. Promienie słoneczne oślepiły oczy.

Latawiec wyprzedził go i wyglądał jak jeszcze jedna słoneczna plama na cudownie niewinnym niebie. Och! Nie było przedniejszej zabawy!

William usłyszał tętent rachitycznych końskich kopyt, rechot i obrzydliwe sapanie. Wbrew logice stanął jak wryty i obrócił się przez lewe ramię. Kordonek boleśnie wbił się w palce. O Jezusie!

Oto nadjeżdżała jedna z bliźniaczych panien Capper (obie jednej urody, zestarzały się równie okrutnie i wciąż ani dla obecnych chłopców, ani dla ich podpitych Pod Błękitnym Słupem dziadków były nie do rozróżnienia). Starucha, niczym groteskowy piąty Jeździec Apokalipsy dosiadała siwej szkapy; klaczy, która zamiast czekać na śmierć, postanowiła zamienić się w kąsającego i szczyrzącego zęby rumaka z piekła rodem. Biegła też całkiem szybko.

Panna Capper wbiła się udami w boki zwierzęcia niczym potężny i krwiożerczy kleszcz. Dłonie wobec tej sztuczki pozostały wolne. Ubrana w przeżarty przez mole, zapewne pamiętający rok 1666 strój do konnej jazdy, jedną ręką przytrzymywała na głowie męski

kapelusza. W drugiej trzymała ogromne, srebrzyste nożyczki, których ostrza zatrzaszkiwały się z ogłuszającym ciach-ciach.

CIACH-CIACH.

Chce przeciąć sznurek latawca!

William wrzasnął i pobiegł. Latawiec zanurkował pomiędzy chmurami. Ciach-ciach, ciach-ciach, ciach-ciach.

Chłopak potknął się o krecią norę i wyłożył w błocie jak długi. Czuł śmierdzący oddech bestii. Końskie łajno, koźli zapach starości oraz lawendę. Lawenda nie pasowała mu w tym zestawieniu, więc ją wykreślił z umysłu. Nie dał rady szybko podnieść się na kolana, a potem na stopy, nie chciał jednak ustąpić. Parł przed siebie, taplając się jak robak w biednym, szarym błocie.

Ciach-ciach. Latawiec był stracony. Panna Capper roześmiała się niczym święty Jerzy po pokonaniu smoka; spacerowym truchtem pojechała w stronę własnych zabudowań.

William Blake postanowił, że się nie rozplacze. W sukurs temu pragnieniu przyszła fala złości i nienawiści, która przepłoszyła z krwi upokorzenie. Słońce skryło się za chmurami. Niebo pociemniało, a wiatr ucichł. Zdezorientowany wolny latawiec zakręcił dwa razy młynka pośród błękitu, który zaczynał sycić się popiołem, i runął w dół. Osiadł na gałęziach osamotnionej - co niezwykle u tych drzew - topoli. William zwinął resztkę kordonku, wcisnął sobie drewnianą tuleję za pasek spodni i ruszył po zabawkę. Czekająca go wspinaczka. Ogień płynął w chłopięcych żyłach. William Blake nie poznawał samego siebie; nazywano to chyba dojrzewaniem.

Ojciec był wściekły. Na bladą, nalaną twarz Jamesa Blake'a wstąpiły purpurowe plamy. Krzyczał. Kiedy to robił, mimowolnie odsłaniał zęby jak wściekły goryl. Miał wyszczerbiony siekacz: jak tysiące tysięcy krawców przed nim przegryzał nitki. Wiele nitek. W kaftan miał wpięte igły, niczym jakieś orderki. Często o nich zapominał, a potem się kłůł. Najlepiej świadczyło to o tym, za jakie mierne odznaczenia uważał te przedmioty, skoro potrafił o nich zapomnieć.

Na policzki Williama poleciały kropelki śliny. Nie odsunął się. Nie bał się. Ojciec nigdy go nie uderzył gołą pięścią. Nigdy nie dotknął.

Chłopiec opuścił głowę. Podrapany nos, obite kości policzkowe. Porwane, ubłocone ubranie, kłapiący straszliwie but - oto skutki konfrontacji z panną Capper. Połamany latawiec leżał smętnie u jego stóp, jak stracony kamieniem gołąb. Williamowi było wstyd przed matką. Wiedział, że nie sprawia jej tyle radości, ile by pragnął i ile oczekiwała, tylko kłopoty. Był dziwadłem. Catherine siedziała w ciemnym kącie pokoju i nie odzywała się, zupełnie jakby i

ona była tylko dzieckiem. Pożyłkowane ręce splotła na podolku. Will nigdy nie słyszał, by rodzice się kłócili.

- Sam zeszyjesz swoje ubranie, pocerujesz pończochy. Zreperujesz but.

- Dobrze, tato.

- Latawiec! To zabawa dla małych bękartów.

- Tak, tato.

- Jesteś już prawie mężczyzną, a potrafisz swojej rodzinie przynosić tylko wstyd.

Chłopiec milczał.

- Przynieś różgę.

- Ale, tato...

- Przynieś różgę.

Brzozowe witki moczyły się w wiadrze pełnym wody. Kiedy chłopak je niósł, jego drogę z kuchni do pokoju znaczyły uronione krople wody, podobne do łez.

James Blake wziął różgi i trzasnął nimi w powietrzu. Catherine podniosła się z kulawego krzesła, zamierzając opuścić ten groteskowy spektakl.

- A ty dokąd? - zapytał mąż. - Czy ten latawiec nie był twoim pomysłem?

Posłusznie cofnęła się na swoje miejsce.

- Ściągaj spodnie, synu. Ręce oprzyj na kolanach, no dalej.

William rozluźnił pasek, poczuł chłód na pośladkach. Zacisnął szczęki, wypuścił z płuc powietrze, żeby nie móc krzyzczeć; przynajmniej nie od razu. Oczekiwane razy nie spadły.

Poczuł rękę ojca na swym wątłym ramieniu.

- Wiedz, synu: nie dostajesz swojego lania za to, że bawiłeś się tam gdzie nie potrzeba, tylko za to, że jesteś kłamcą.

Witki z drzeniem przecięły powietrze i wbiły się w młode ciało. Napięta skóra ustąpiła. Popłynęła krew. Do oczu chłopca napłynęły łzy. Zatrzepotał powiekami. Po drugim uderzeniu wrzasnął. Czwarte zważyło go z nóg.

- Wystarczy.

William podciągnął ubranie, a kiedy bryczesy mijały linię pośladków, syknął. Pomyślał o poduszce, na której niegdyś siadał. Znowu się przyda.

- Chcesz mi coś wyjaśnić, synu?

Pokręcił głową.

- Jak uważasz. Bóg wybacza grzesznikom, jeśli tylko czują skruchę. A ty czujesz?

- Czuję, tato.

Ojciec odkopnął zwłoki latawca.

- Koniec z tym.

- Powinieneś mnie też uderzyć, Jamesie - rozległo się z kąta.

Mężczyzna zignorował Catherine. Sięgnął do blatu dębowego stołu po niechłujnie wydaną broszurę.

- Mam coś dla ciebie, Williamie. Daję ci fach. Czytaj.

Chłopiec podszedł, zabrał zadrukowane strony i pocałował ojca w rękę.

- Dziękuję, tato.

- Niedługo oddamy cię z matką do terminu. Dalej...

Chłopak otworzył broszurę na chybił trafił, zmrużył oczy i zaczął czytać:

- „Do polerowania płyty weź najpierw wody i ścierniwa, potem pumeksu i jeszcze raz miążkiego kamienia z wodą. Następnie przetrzyj węglem drzewnym i usuń stalowym gładzikiem wszelkie zadrapania i zbyteczne kreski. Później wyczyść płytę czerstwym chlebem albo kredą. Powleczonej cienutko werniksem. Weź dużą świecę łożową z krótkim knotem i ogrzej werniks z bardzo bliska, ale uważaj, by knotem go nie dotknąć. Wysusz płyty przy ogniu, zatknij igłę w twardym drzewcu, długim na sześć lub mniej cali, zaostż ją na kamieniu szlifierskim i przygotuj się do rytowania. Główkę trzonka umieść w zagłębieniu dłoni, wysuń palec wskazujący, tak by kierował się w stronę czubka igły, i połóż go na krawędzi ostrza przeciwległej do tej, która będzie cięła miedź. Ujmij trzonek rylca pozostałymi palcami z jednej, a kciukiem z drugiej strony, tak byś mógł prowadzić rylce płasko i równoległe do płyty”.

- Trochę tu ciemno, Will. Idź do siebie - powiedziała matka.

- Spodoba ci się. A latawiec zostaw bratu.

William popatrzył pytająco na matkę. Skinęła głową. Tak, jeszcze tego w najbliższym czasie można się spodziewać, brata. Dziwne, że nikt z Blake'ów nie pomyślał, że mogłaby urodzić się dziewczynka. Podobna do ogrodowego elfa, leśnego skrzata. Bawiąca się lalkami usztytymi z krawieckich gałganków.

Catherine przyłożyła głowę do drzwi pokoju syna. Jej paznokcie, z czego nie do końca zdawała sobie sprawę, skrobały drewno. Po drugiej stronie, z uchem przyciśniętym do framugi, stał William.

Widziała jego cień w szparze nad podłogą.

- Zaparzyłam Jamesowi zioła - powiedziała bardziej do siebie niż kogokolwiek innego i kontynuowała: - Twój ojciec nie jest złym człowiekiem. Po prostu brakuje mu wrażliwości.

Nie doczekała się odpowiedzi. Nie było nawet chrząknięcia, nie zaszurały buty.

Zniszczone kobiece ręce znieruchomiały na drzwiach. Popatrzyła na nie, zdumiona, a przez umysł przeskoczyła jej wariacka myśl: do kogo należą? Wyglądały jak deszczułki feralnego latawca.

- Will? Serduszko moje?

- Dlaczego w Londynie są anioły? Dlaczego tu przychodzą? - usłyszała stłumione pytanie.

Zmarszczka przecięła jej czoło, a potem kobieta odpowiedziała:

- Nie wiem, może kogoś szukają.

Kiedy matka odeszła, William wszedł na łóżko, a potem z rozprutego siennika pachnącego końskim włosiem i trocinami wyjął swój skarb.

Podniósł go do oczu: srebrna bransoletka upleciona z małych oczek, po przeciwległej stronie zapięcia przyczepiony krzyżyk, zamknięty w okręgu. Jego wszystkie ramiona były równe.

Przez uchylone okno wleciała niczym duch biała ciemka. Wpadła w płomień świecy i spłonęła jak heretyczka na stosie.

Tę noc William przespał do połowy.

Potem wielki znak się ukazał na niebie: Niewiasta obleczona w słońce i księżyc pod jej stopami, a na jej głowie wieniec z gwiazd dwunastu. Noc ubrana była w świetlisty płaszcz pełen gwiazd, oszałamiający ludzkie zmysły. William postawił stopę na ostatnim, ceglany występ; puścił się kutej rynny i zeskoczył. Twardy grunt. Ruszył pędem przed siebie, przez wąską, pełną cieni uliczkę. Miał cel. Spieszył na spotkanie, które wyznaczył sam los.

Zatrzymał się, uspokoił oddech i ostatni odcinek drogi przeszedł cicho, na palcach, wstrzymując w płucach powietrze. Całym ciałem przypadł do narożnika budynku. Ostrożnie się wychylił...

Kobieta czegoś wyraźnie szukała. Przysiągłby, że mamrocze pod nosem przekleństwa. Nie zaniepokoiło go to, wręcz przeciwnie, poczuł, że jego obecność będzie upragniona.

Mała noga obuta w purpurowy trzewik grzebała nerwowo w okrawkach zwiędłych, zgniłych warzyw, które taplały się w rynsztoku. Z włosów kobiety zsunął się ciemny kaptur. Były czarne i lśniące, śliskie. Nosila je rozpuszczone. Miała uderzająco bladą twarz, którą można było wziąć za ożywioną księżycową plamę, gdyby nie mocno odcinające się od białej skóry karminowe usta.

- Tego pani szuka? - krzyknął cicho William. Wszedł zza rogu, a w wyciągniętej ręce trzymał znaną bransoletkę.

Krzyżyk drgał lekko, srebro błyszczało i wydawało się ruchliwe jak rtęć.

Szarpnęła się, teraz jeszcze bardziej wściekła, pewnie dlatego, że dała się zaskoczyć. Ale gdy spostrzegła chłopca, jej czoło się rozpogodziło.

- Daj mi bransoletkę - powiedziała.

- Zabrałem ją wczoraj.

- Wczoraj ją zgubiłam. Czy taki chłopiec jak ty nie powinien teraz grzecznie spać? Nie wyglądasz na włóczęgę.

- Bo nim nie jestem.

- Oddaj biżuterię. Jest bez wartości, to pamiątka rodzinna. - Patrzyła spod zmrużonych powiek niczym domowy kot, który nie potrafi się zdecydować, czy spać się do ataku, czy jeszcze poleżeć na słońcu. Tyle że tu nie było słońca. Była noc.

- Nie zamierzam jej sobie przywłaszczyć.

- To dobrze.

- Tylko - powiedział, upuszczając łańcuszek w marmurową, nadstawioną rękę - zastanawiam się, dlaczego ten krzyż ma równe ramiona.

- To grecki krzyż, inny niż łaciński. Jest czczony w miejscu, skąd pochodzę. Rozumiesz? - Starła się uśmiechnąć.

Pomyślał, że ma zęby wilka. Białe i wystające. Dziwne, że w żaden sposób nie mąciło to harmonijnego piękna, jakiego była uosobieniem. Greczynka? Powiedziałby, że wyglądała raczej na Włoszkę, ale musiał uczciwie przyznać, że jeszcze nie znał się na kobietach.

- Jak widzisz, można go wpisać w okrąg. To symbol doskonałości boskiego Stwórcy, nie tylko męczeństwa Jego Syna.

William Blake narysował na ziemi czubkiem buta znak X.

- Podobno Jezus Chrystus został zamęczony na takim krzyżu. W dodatku przybito mu nadgarstki, a nie dłonie. - Pokazał te miejsca na sobie.

- Możliwe. Muszę już iść.

- Ale...

- Weź to jako nagrodę. - Rzuciła parę monet.

Chłopiec popatrzył, gdzie upadną, a to wystarczyło, by nieznajoma się oddaliła.

William nigdy nie widział, żeby jakikolwiek londyńczyk tak szybko szedł. Puścił się za nią biegiem, ale ulica była pusta. Rozpaczliwie pusta. Nie było bramy ani zaułka, gdzie kobieta mogłaby się schować. Żadnego zepsutego wozu, porzuconych beczek, góry śmieci, za którymi ukryłaby się, przykucając.

Popatrzył w górę, chciał wygrażać głuchym na prośbę niebiosom, niczym jakiś starotestamentowy prorok, i wtedy właśnie ją zobaczył.

Siedziała na gzymsie, a przez jej sylwetkę prześwitywał mur.

- Księżycowa wróżka - wyszeptał Will.

- Widzisz mnie?! - Zacisnęła utkaną z mgły dłoń w śmiercionośną pięść.

- Nikt mi nie uwierzy - szepnął, orientując się w mig, co tamta zamierza.

- Niezwykły chłopiec. Co jeszcze widziałeś?

- Anioły... Boga. Zmarszczyła czarne brwi.

- Rzeczywiście ci nie uwierzą, ale czy to jest powód, by cię nie zabijać?

- Nie jesteś, pani, samotna? Co za wspomnienia sprawiają, że narażasz się za marne świecidełko? Nudzisz się, że rozmawiasz z rachitycznym chłopcem?

Roześmiała się. Jej śmiech mógłby ścinać kryształowe nóżki od kieliszków na królewskim dworze.

- Nie uwierzyłbyś, kim jestem, dziecko. I dlatego ci nie powiem.

Pomyślał, że w końcu sam się domyśli. Czyż nie?

William siedział na kuchennym taborecie. Kościste kolana sterczały mu komicznie na boki. W ustach trzymał pokrzywione gwoździe. Na udzie oparł zrujnowany but. Brał zamach jedną ręką trzymającą młotek, drugą przytrzymywał poszarpaną podeszwę i gwóźdź. Palce tej ręki zdążyły już popuchnąć od niecelnych uderzeń.

Catherine cicho stanęła za synem. Pomyślała, że gdyby jej mąż wiedział, jaka to praca, nie pozwoliłby Willowi się do tego zabrać. Rytownicy muszą mieć sprawne palce, a nie bezkształtne kluski. Rytownicy wiele zarabiają. Każdy w mieście chce mieć jakiś ładny obrazek.

- Zostaw - powiedziała miękko.

Zamarł w pół wykonywanego ruchu.

- Namówię ojca, by się tym zajął. Masz takie delikatne dłonie. - Wyciągnęła ręce i zdecydowanie zabrała chłopcu narzędzia. - Moje też kiedyś takie były. - Zamyśliła się.

- Jeśli tego nie zrobię, uderzy mnie, a tobie będzie przykro.

Westchnęła głęboko.

- Zanieś to do Pawlett's Gardens. - Wskazała na stos schludnie złożonej bielizny, który niczym stary pies skulił się przy szmerzącym ogniem piecu.

Choć przysza już wiosna, Catherine wciąż czuła chłód, więc James pozwalał jej na palenie drewna, biorąc to za fanaberie ciężarnej. Nie chciał, żeby marudziła. Nie chciał też, żeby czuła się gorzej niż to konieczne, niż to w jej stanie nakazał Bóg. Czasem James pragnął

nawet tego, by jego połowica była szczęśliwa. Rzecz nie do zrealizowania, ot, życzenie kojące serce grzesznika.

- Potem możesz się przejść - powiedziała matka.

- Powiniennem czytać.

- Możesz się przejść - powtórzyła Catherine z naciskiem.

- Mamo?

Czekała na werbalny cios albo jedno z tych pytań, na które nie będzie potrafiła odpowiedzieć.

- Ty i tata kochacie mnie? - spytał William.

Wpatrywał się w nią z napięciem.

- Nie bądź głuptasem. Oczywiście, że tak.

- To czemu boisz się o dziecko? - Pauza. - I boisz się o siebie?

Miała ochotę wrzasnąć albo ukryć twarz w dłoniach; jedno z dwojga. Opanowała się jednak, ale jej głos brzmiał jak skrzypienie konara przegniłej, płaczącej wierzby:

- Idź już.

Chłopiec posłuchał. Zabrał tobolek spod pieca, ruszył do Pawlett's Gardens. W tamtej chwili nikt nie poznałby jego myśli.

OPOWIEŚĆ CHŁOPCA

Mogłem się łudzić, że słucham tylko głosu matki: „Zanieś bieliznę do Pawlett's Gardens, a potem się przejdź”. Stałem więc u bocznych drzwi katedry. I czekałem, zbierałem się na odwagę. Szósty zmysł mówił mi, że w środku czeka na mnie coś tajemniczego. Nie wiedziałem, czy jest to dobre, czy złe; tyle że jest. Zastanawiałem się, czy nie staję się wariatem, tak potężny przymus czułem, by przyjść tu i zagłębić się w chłodne wnętrze kościoła, pachnące zwietrzałym kadzidłem.

Pierwsza katedra Świętego Pawła powstała na początku siódmego wieku, jako fundacja króla Kentu, Ethelberta. Mówiono, że postawiono ją w starożytnym świętym miejscu. Potem wielokrotnie ją przebudowano i za panowania ostatnich Plantagenetów była największym gotyckim kościołem Anglii. Świętemu Pawłowi nie przysłużyła się anglikańska reforma religijna Tudorów ani - tym bardziej - Wielki Pożar Londynu z 1666 roku. Płomienie wypaliły wszystko aż do gołych, kamiennych murów. Oprócz nich ostały się krypty - i te oznaczone, i te od wieków zapomniane. Za czasów mego pradziadka w świątobliwych murach, bujnie zarośniętych trawskiem, pasły się kozy, a pod rozbitymi obliczami świętych

spiali włóczędzy. Skończyło się to wraz z decyzją nowego króla z dynastii Stuartów o odbudowaniu świątyni. Karkołomne to zamierzenie trwało wiele dziesiątek lat. Kiedy tak stałem obok Świętego Pawła, mój nos wylapywał woń świeżej jeszcze, murarskiej zaprawy. A za plecami piętrzyły się nieheblowane deski dopiero co zdjętych rusztowań. Pamięć o wiotkiej, urzekającej, gotyckiej sylwetce największego kościoła skaziła kopuła leżąca na osi transeptu. Średniowieczną tajemnicę zastąpiła późnobarokowa nadgorliwość. Architektoniczne rozbuchanie wzorowane na budowlach cudzoziemskiego Ludwika XIV. Nowa katedra Świętego Pawła budziła moje obrzydzenie, a jednak trwała przy mnie po sąsiedzku, a nieodkryte krypty rozpałały chłopięce zmysły. I nie tylko chłopięce, dorośli mężczyźni nie są bardziej odporni na opowieści o zaginionych skarbach czy ukrytych cudownych przedmiotach niż nadpobudliwe dzieci. W podziemiach katedry wciąż przerabiano to i owo, ryto i kopano, spodziewając się odnaleźć Bóg wie co.

Popchnąłem ciężkie dębowe drzwi. Zajęczały. Promienie słoneczne zatańczyły z kotkami kurzu. Naniesiony piasek szeleścił na marmurowych, symetrycznych fragmentach podłogi. Płomienie świec palące się przy ogołocnym, podrzędnym ołtarzu zafalowały niespokojnie. Nie lubiły być niepokojone - czasy wciąż były niepewne. W całym kościele bystry obserwator nie odnalazłby portretu Najświętszej Pani. Opuściła Wyspę wraz ze śmiercią Marii Tudor. Nomen omen zwanej Krwawą, przez często rozpalane stosy mające wypalić bluźniercze kości heretyków. Za panowania jej przesławnej siostry Elżbiety I połączono religijny obrządek protestancki z okrawkiem śpiącego w ludziach katolicyzmu. Obrządki stały się dziwacznymi efemerydami podległymi kaprysom historii, tak jak katedra stała się ofiarą królewskiego, napuszonego architekta.

Wielka, pusta, niepotrzebna. Nie czułem w niej obecności Boga, tylko jak najbardziej ludzki kurz. Zwiędłe i starte naskórki, zasuszone nasiona, zagubiony ptasi puch spod skrzydeł, tryskające spod butów grudki londyńskiego błota.

Kogo chciałem oszukać taką gadaniną? Tu coś było i wzywało mnie! Patrzyło na mnie swym złotym, jakby smoczym okiem przez dwanaście lat i uczyniło ze mnie tego, kim byłem. Chudego chłopczykę, w którego ciele walczyło ze sobą parę osobowości. Kalekie dziecko ze starą duszą, obce nawet dla matki, która kołysała je pod sercem. Wybraniec czy mutant? Nie kierujcie się pozorami!

Wizja uderzyła we mnie z siłą błyskawicy. Nie poprzedziły jej ani dobrze znane mi mdłości, ani zapach trocin. Jak podcięty nieżyczliwym kopnięciem ulicznego łobuza padłem na kolana.

Chciałem krzyknąć, ale krtań miałem tak zaciśniętą, że brakowało mi siły na oddech. Pośród czarnego oparu spływającego na oczy z braku powietrza zobaczyłem orszak mnichów uroczyście przekraczających główną nawę. Trzymali w dłoniach wysokie na jard gromnice, i pewny byłem, że gdyby dano mi wejrzenie pod naciągnięte kaptury, ujrzałbym jeno białe kości. Wewnątrz zatańczyły nowe dla mdlejącego oka barwy i domyśliłem się, że matowe szybki imć Christophera Wrena zastąpiły pyszne witraże.

Rozpłakałem się, a oprócz własnego urywanego szlochu moje uszy wylapały z widmowej przestrzeni przenikliwy dźwięk trąb oraz budzący grozę chorał śpiewany przez zmarłych.

- Boże ocal! Boże wybaw!

Dalej szli wynędzniali niczym niewolnicy mężczyźni niosący kadzielnice; poczułem zapach tysiąca róż. Podłoga obsypana była widmowym kwieciem gniecionym przez ciżmy, sandały i gołe stopy.

Niesiono baldachim z purpury i złotogłowiu, pod którym szedł duchowny wyglądający na mistrza ceremonii.

W pokrytych czerwienią niczym laką dłoniach niósł serce. Biło i po tym poznałem, że jest to ziemską emanacją Chrystusa.

- A Imię twoje zostanie wykreślone z Księgi Żywych i wpisane do Księgi Umarłych.

Ja, William Blake, zemdlałem.

Ocucił mnie chłód posadzki, wdzierający się bólem w okolice nerek. Kamyki powbijane w policzki. Nie wiem, ile czasu tam leżałem.

Jedno stulecie, jedną chwilę? Przebudziłem się i nadal byłem ciekawskim chłopcem.

Brażowe drzwi prowadzące na niższy poziom katedry, do krypt, były otwarte. Obok smętnie zwisał łańcuch z zaśniedziałą kłódką. Tylko obok samego otworu na klucz widniały krople oliwy. Poszedłem dalej drogą nakazaną mi przez Tego, który szeptał do ucha. Mam ogromną ambicję, żeby wiedzieć wszystko.

Strome schody zaczynały się zaraz za wysokim kamiennym progiem, schodziły na występ z piaskowca, a z niego, gwałtownie skręcając, prowadziły jeszcze niżej w dół. Tu znajdowała się pierwsza krypta z symbolicznymi grobami dawnych władców. Nie interesowała mnie. Była skromnie oświetlona oliwnymi kagankami. Na jednym z sarkofagów stały pozbawione zapachu kalie.

Znałem to miejsce. Kiedy byłem małym dzieckiem, ojciec, który miał znajomego pośród murarskich mistrzów, zaprowadził mnie tu po cichu, bym mógł na własnej skórze odczuć, co to znaczy być Anglikiem. Wtedy przeraziłem się, ale to było dawno temu; czas

sprzed połowy mego obecnego życia. W oszczędnej, zalanej tanią zaprawą podłódze miał nieregularny otwór. Nie potrafiłem jednak sobie przypomnieć, czy za czasów mej poprzedniej tu bytności zasłaniała go nagrobna płyta, czy to przejście (bo niewątpliwie było to jakieś przejście) zostało wykute całkiem niedawno. Kto i na co natrafił? Ostatnio głośnym echem po Londynie odbiły się plotki o ekshumacjach i pracach archeologicznych, które w Opactwie Westminsterskim planował niejaki sir Joseph Ayloff. Chciał otworzyć grób zmarłego czterysta pięćdziesiąt lat temu króla-krzyżowca Edwarda I, o którym wiadomo było, że jego zwłoki zabalsamowano. Jeśli zamierzano dotknąć jądra Westminsteru, to czemu serce Świętego Pawła miałyby pozostać nietknięte? Z otworu wystawała świeżo zbita drabina. Szczęble nie ginęły w ciemności, tylko oblewała je poświata nikłego, ale wystarczającego dla moich oczu światła.

Zeskoczyłem z ostatniego szczębla na ubitą ziemię. Wilgoć. Wydawało mi się, że słyszę szemranie wody. Znalazłem się w szerokim, ale niskim korytarzu. To znaczy ktoś taki jak ja, albo drobna kobieta, mógł jeszcze kroczyć swobodnie, ale każdy inny, by uczynić krok w przód, musiał ukryć głowę w ramionach. Strop nie był podparty górniczymi stemplami, ale nie wyglądało na to, by miał runąć. Najwyraźniej byłem oto w pozostałości saksońskiej budowli z siódmego wieku. (A może w miejscu jeszcze wcześniejszym? Moją głowę wypełniały marzenia. Nie bez kozery od najmłodszych lat pochłaniałem więcej książek niż powszedniego chleba).

- Każde Ja jest Wieczne.

Korytarz gwałtownie się urywał i przechodził w dużą komnatę.

Mogłem się tylko domyślać, że leży już poza obrębem kościoła. Nie panował tu mrok, co wielce mnie zdumiało. Owszem, po drodze widziałem zabezpieczone siatką lampki, tu też rozwieszono ich sporo (a zrobili to zapewne ludzie, którzy byli tu ze mną, garstka zaabsorbowana jakąś robotą po przeciwnej stronie miejsca, gdzie stałem, i niespodziewająca się gości. Na pierwszy rzut oka zwyczajni londyńczycy. Archeolodzy z Bożej łaski), ale w żadnym wypadku nie tłumaczyło to tak dużej ilości światła. Rozejrzałem się w poszukiwaniu ukrytych świetlików. Nic.

Tymczasem gapowata grupa mężczyzn (wybaczcie, były pośród nich i kobiety, ale dla wygody ubrane po męsku) zaczęła wydawać zgodne westchnienia ulgi. Ochy i achy, pełne zachwyty. Tak jak i przed paroma minutami, nie wiedząc co czynię, podszedłem do nich. Metalowymi klinami próbowali podważyć ciężkie wieko pozbawionego ozdób i napisów, najwyraźniej anonimowego sarkofagu.

Żelazo szczęknęło o kamień. Intuicja podpowiedziała mi, że o ile cały kościół zorientowany był tradycyjnie na Wschód, to głowa sarkofagu spoczywała w cieniu Zachodu. Głowa! Głowa!

Skąd mogłem to wiedzieć?!

Jakiś facet chwycił mnie za kołnierz, coś tam zabełkotał, ale mężczyzna o siwej, nobliwej brodzie, za to o sylwetce portowego dokera, burknął:

- To nikt. Skoro już tu jest, niech będzie.

Postarałem się, by strużka gęstej śliny spłynęła mi z ust, zsunęła się po policzku i ubrudziła kołnierz. Byłem wolny. Dziwne, że dla tych tu nie znaczyłem więcej niż wiewiórka w lesie (jakby normalna była obecność ciekawskich chłopców w opuszczonych kościołach). Zapaleńcy! Wytrzeszczyłem oczy, by jeszcze bardziej wyjść na tumana i niezgułę. Straszny ból je przeszył, kiedy w końcu płytę sarkofagu udało się odrobinę odsunąć, a z wnętrza drążonego kamienia wydobył się blask godny spadającej gwiazdy. Jednocześnie owiała mnie - zamiast oczekiwanego smrodu zgnilizny - woń palonych drewn oraz świeżego, męskiego nasienia. Ten ostatni zapach znałem ze swoich ukradkiem czyszczonych z plam prześcieradeł.

- Muszę iść tam i zobaczyć to na własne oczy - powiedziała wampirzyca, wysłuchawszy do końca opowieści chłopca.

- Nie możesz, Ireno. Pilnują go. I są źli. Źli, że go znaleźli.

Noc była mroczna i chłodna. Siedzieli pod niebem jakby pozbawionym gwiazd. William drżał, choć jego towarzyszka okryła go własną peleryną. Wiosna najwyraźniej się zbuntowała i postanowiła opuścić Londyn. Chłopiec bał się, że jeśli dobrze zapatrzy się w niebo, opadną na nich zabłąkane płatki śniegu; lodowate owieczki z Bóg wie czyjgo stada.

William kręcił się niecierpliwie. Oczy wampirzycy lśniły w ciemności.

Czerwień i głęboka zieleń pomieszana ze złotem. Irena była podniecona. Wyglądało na to, że nie słucha chłopca uważnie.

- Ale ty się im wykpiłeś. Tanio wykpiłeś.

- Udałem głupka z przytułku - burknął i przełknął zbierającą się w ustach kwaśną ślinę.

Regularne wędrowki do Pawletfs Gardens zaowocowały masą niechcianych obserwacji. Takich, które lubią powracać w snach i dręczyć małe dzieci.

- Zaprowadź mnie. - Nocny wiatr przyniósł jej niski, melodyjny szept.

- No, nie wiem.

Coś w ciemności zatrzepotało. Wypasione i udomowione królewskie kruki z niecierpliwością czekające na świt i naturalną porę żerowania. Irena zabrała Williama do Białej Wieży, Tower of London.

Skulili się za blankami. Ona karmiła się lękiem i jednoczesną ekscytacją chłopca, dopóki sama nie poczuła podniecenia.

William zastanawiał się, kiedy nakryje ich tu duch Anny Boleyn - Och, mam taką cienką szyję! - ściętej małżonki króla Henryka VIII.

- Nie daj się prosić, jesteś tylko chłopcem.

- Uwierzyłaś mi?

Irena pochyliła się nad nim. Jej oczy stały się wielkie, ogromne jak studnie. Hipnotyzowała go. Spuścił wzrok.

- To może być niebezpieczne...

- Ja jestem niebezpieczna, Will. - Klasnęła w dłonie i odsunęła się. - Tamto będzie fascynujące.

William przeraził się nie na żarty, bo zrozumiał, że zaczyna tę dziwną, nie lubiącą słońca kobietę przedkładać nad swoją mamę.

- Obejmij mnie - powiedziała.

A kiedy to zrobił, z gracją drapieżnika wskoczyła na blanki, a potem spłynęła w dół niczym młody kruk.

I inny znak ukazał się na niebie: Oto wielki Smok barwy ognia, mający siedem głów i dziesięć rogów - a na głowie jego siedem diademów. I ogon jego zmiata trzecią część gwiazd nieba: i rzucił je na ziemię.

Wampirzyca i chłopiec stanęli przed głównym wejściem do Świętego Pawła. Tchnęło chłodem.

- Jak tam wejdziemy? - spytał William, z powątpiewaniem spoglądając na swą towarzyszkę.

Uśmiechnęła się nieśmiało; gdzieś we wnętrzu kryła nastoletnią dziewczynkę. Jej wiarę oraz naiwność, po równo. Tej nocy sięgnęła do owego cennego złoża.

- To Dom Boga. Powinien być otwarty dla wszystkich Jego dzieci.

- Kto cię tego nauczył? - William zmarszczył brwi.

Nie wiedział, czy to, co prezentowała, można było nazwać pobożnością. Szczególnie kiedy ktoś uważnie przyjrzał się jej zębom.

- Moi dawni nauczyciele. I papież Aleksander VI. - Irena pchnęła drzwi.

Bransoletka na jej nadgarstku zakołysała się. Wrota ustąpiły. Byli w środku. Zakrystian pozostawił parę zapalonych świec.

- Gdzie teraz?

- W dół.

Skreśli w boczną nawę. Irena rozglądała się uważnie. Jednocześnie czuła i ulgę, i niepokój. Oraz nikłe przeświadczenie, że być może została zmanipulowana. Przez własną fanaberię? Przez własną tęsknotę? Bycie nieśmiertelną niesie ze sobą wiele tęsknot.

Oszaleć można. Popatrzyła na plecy chłopca. Pomyślała, że i zwykli ludzie są w przeważającej większości przekonani o tym, że śmierć nigdy do nich nie zawita. A przez to, zamiast cieszyć się każdą chwilą, znajdowali czas na melancholijną pustkę.

Kiedy zeszli, Irena urwała główkę kalii i wpięła ją w stanik sukni. Kwiaty. Tęskniła za kwiatami, których zapach stawał się intensywniejszy pod dotknięciami słońca. Starzeję się, pomyślała. Zdusiła śmiech: zawsze istnieje ktoś starszy od ciebie. Gdyby można mieć Go za przewodnika; ale ona zaufała ledwo opierzonemu chłopcu. Mogłam go zabić, pomyślała.

Otwór wciąż był odkryty, co zaniepokoiło Williama. Irena sfrunęła o poziom niżej, stała czekając i asekurując dziecko. Lampki górnicze wciąż się paliły, choć w ich zbiorniczkach brakowało paliwa.

William wskoczył w ramiona kobiety, a kiedy stanął na własnych nogach, zapadł się w gruncie aż po kostki. Tajemnicza woda nie szemrała. Jakby, jakby... wyparowała. Co, u licha? - przeszło mu przez myśl.

Licho nie śpi.

- Mówiłeś, że jest tu twardy grunt. - Irena schyliła się.

Nabrała w chudą dłoń trochę dziwacznej substancji. Roztarła palcami. Było to coś pośredniego między popiołem a gliną. Tyle że tłuste. Irena podłożyła opuszki pod nos: pachniało człowiekiem.

Śmiercią człowieka.

- Chodźmy dalej - rzekł William.

Skinęła głową.

Odkryta komnata wyglądała pozornie tak samo jak wcześniejsza. I właśnie to było niepokojące. Czemu jej nie zabezpieczono? Dlaczego nikt niczego nie pilnował? I w końcu - co się stało, że odkrycia w katedrze Świętego Pawła nie zwietrzyły jeszcze prasowe sępy z londyńskich żółtych gazet?!

- Myślę, że nie jest to dobre miejsce dla chłopca. Nawet dla takiego, który widzi anioły - powiedziała Irena.

William ją zlekceważył. Parł do sarkofagu.

Wiek było odsłonięte. Zamiast poprzedniego blasku - ciemność. Czy coś spało? Czy coś się ukrywało? Wiele, wiele pytań.

-William!!!

Chłopiec nachylił się nad otwartym grobem, a z czeluści wystrzeliła okrutnie popalona dłoń i schwyciła go. Fałszywy zmarły podnosił się. Odrzucił całun, ściągnął z twarzy cienkie sudarium.

Irena wzięła to za odegrane przedstawienie. Temperatura w komnacie wzrosła. Zapachniało palonym drewnem, sperma.

Powstający mężczyzna był czarny, ale nie był to naturalny kolor jego skóry, tylko skutek poparzeń oraz śladów działania czasu i wilgoci, kiedy tak tu spoczywał przez eony; próbował śnić. Na próżno. Irena potrafiła coś o tym powiedzieć. Nie odezwała się jednak. Puść go! Ale nic nie wydobyło się z jej ust.

Rozkoszował się chłopcem, jak dziecko latawcem.

Komnatę wypełniło bicie serca, jak gdyby cała trójka znajdowała się we wnętrzu ogromnej macicy. Mężczyzna, nie puszczając Williama, podniósł nogę i przekroczył sarkofag. Miał potężne genitalia, godne smoka. Na głowie parę nitek złotych włosów, które mogły świadczyć o jego dawnej urodzie. Obrócił się nieznacznie, chcąc lepiej uchwycić dziecko; Irena i chłopiec zobaczyli dwie głębokie blizny, przecinające jego plecy na granicy łopatek.

- To anioł! To anioł! - podniecił się William Blake, cudowne dziecko zamieszane w obce sprawy. - Tamte anioły, które widziałem, przyszły po niego.

To nie może być, pomyślała wampirzyca. Oto spotkała kogoś bardziej przekłętego od siebie. Zamiast współczucia, czuła tylko strach i obrzydzenie, jak ludzkie ofiary do niej. Krzyż na jej bransoletce rozjarzył się. Zbyt wczesne odkrycie było złym odkryciem.

Smok stracił równowagę; jego pośladki klapnęły o odsłoniętą płytę. Był wyczerpany, po wtóre - Irena pamiętała o tym z nauk kardynała Konstantynopola Izydora - nic nie mogło się dziać ze smokiem bez woli Boga. Nawet jeśli ten ostatni zdrzemnął się na chwilę albo dla własnej fanaberii próbował zagrać z ludzkością w kości.

Jestem szalona, pomyślała Irena, bo tak było bezpieczniej, nawet dla wampira.

- Williamie, odsuń się! Ile tylko możesz! On miał jakiś cel w tym, że cię przywołał!

Cel? Zmitygowała się. Chłopiec miał dar postrzegania rzeczy niewidocznych dla ludzkiego oka: księżycowych wróżek, wampirów utkanych z mgły, Armii Boga. Co za przekleństwo.

- Żałujesz mnie? - spytał William, jakby słyszał myśli Ireny.

- Bardzo - odparła wampirzyca.

- A więc cię kocham.

Dziwaczne światło w posępnej komnacie zamigotało. Na jego miejsce spłynęła nadprzyrodzona jasność. Boska światłość rozbita na tysiące gwiazd. Plamki światła, małe słońca otoczyły chłopca i smoka niczym rój świetlików. Oczy Ireny nie potrafiły tego znieść. Płakały krwią.

Łzy zastygły na bladych policzkach niczym róż. Czas się zatrzymał.

Oto rzecz nie do opisania. Irena nie potrafiła tego zrobić ani nikt inny. Smok został strącony w ciemność. Płyta sarkofagu zasunęła się z paskudnym zgrzytem. Tajemnicze serce przestało bić. Sen się skończył.

Kiedy Irenie wróciła zdolność postrzegania faktów, zorientowała się, że trzymając się za spocone dłonie, biegną na wyższy poziom Świętego Pawła. Korytarz pod nimi załamał się.

Ciężko dysząc, wydostali się, obydwójce cali i chyba zdrowi, do głównej nawy.

Duszący zapach lawendy.

Główne wrota katedry otworzyły się z donośnym hukiem. Do środka, na białej szkapie (jakżeby inaczej!), dzierżąc w dłoni nożyce, wjechała niezidentyfikowana bliźniaczka Capper. Chłopiec pisnął przeraźliwie i posikał się. Odrobinę. Irenie to jednak wystarczyło. Ruszyła biegiem na amazonkę. Chwyciła za zwiędłą nogę tkwiącą w brudnym oficerku, ściągnęła staruchę w dół. Siwa czaszka uderzyła o marmurowe płyty. Wypuszczone z ręki ostrza miękkim ruchem odpłynęły w bok.

Wampirzyca pochyliła się nad zemdloną. Wyczuła słaby puls. Obnażyła kły, wbiła je w skórę cienką jak pergamin. Napłynęła gorąca, słodka krew. Pokarm i rozkosz. Capper jęknęła, otworzyła usta. Sztuczna, kościana szczeka wysunęła się w wyniku upadku z zawiasów, przygniotła pokryty nalotem język. Stara jakby nie potrafiła się zdecydować: umrzeć z upływu krwi czy się zadławić.

- Zabij ją! Zabij! - wysyczał William, ukryty za filarem.

Irena przestała pić.

- Na co czekasz?! - wrzasnął chłopak.

Irena milczała. Panna Capper, należąca do bardzo starej, wytrzymałej gwardii, na wpół świadomie przewróciła się na bok. Zaczęła kasłać krwią. Kościane zęby wytoczyły się na marmur. Zapach lawendy nie osłabł ani na jotę. William Blake wyskoczył z ukrycia. Był purpurowy ze złości. Inny chłopiec.

Stara jęknęła, a wraz z jękiem spomiędzy zwiędniętych warg, które nie zaznały pocałunku, wypłynął gwiaździsty świetlik.

- Dziwny z ciebie chłopiec, Willu - rzekła Irena.

Patrzyła, jak mała, dziecięca sylwetka oddala się od niej, przemierzając nawę. Już potrafiła się z tym pogodzić. Z odejściem. Porzuceniem. Samotnością.

Nikt nie poznałby myśli Williama Blake'a. Powoli stawało się to regułą. Podobnie jak to, że on sam nie miał do nich dostępu. Oszalał. Jego dusza rozpękła się na pół jak dzban, któremu nakazano nosić zbyt wiele wody. Był w tym podobny do aniołka z Pawlett's Gardens.

Wrócił do domu na Broad Street 28 chwilę po świcie. W kuchni zastał ojca, który jednak nie skomentował jego powrotu. James Blake miał głębokie sińce pod oczami i wyglądał piętnaście lat starzej niż parę godzin temu. Próbował coś szyć, ale ręka mu drżała, a ścieg wychodził tak nierówny, że krawiec musiał zdawać sobie sprawę, iż jest do wyprucia.

- Bielizna dla przytułku? - spytał chłopiec.

- Nie, nasze własne prześcieradła. Postrzępiły się na brzegach. Pora o nie zadbać.

- Daj, pomogę ci.

Coś zaszeleściło. William uniósł głowę: na szczycie schodów pojawiła się jakaś starucha z twarzą pomarszczoną jak jesienne jabłko. Cmoknęła na chłopca, a później zniknęła z powrotem w pokoju na piętrze. William nie znał jej. Zaniepokoił go spokój starej kobiety. Spokój, na który niektórzy potrafią się zdobyć w momencie niebezpieczeństwa i robić to, czego się od nich oczekuje.

Wzrok Jamesa powędrował za spojrzeniem chłopca. Kaszlnął.

- Tak, pomóż mi. Nie poradzę sobie sam.

William skinął głową i zabrał się do roboty.

- Twoja matka zachorowała.

Usta Willa zacisnęły się w cienką kreskę i usłyszał urojony świst opadającej różgi. Nieznane są wyroki boskie, pomyślał. Skrzywił się - był tylko małym chłopcem, który za dużo widział. Nikt go nie rozumiał. W końcu wpadł na to, że jego rodzice, że w ogóle wszyscy londyńczycy, czy nawet dalej - wszyscy ludzie na ziemi - nie są w lepszej sytuacji.

- Nałóż napałek. Twoja matka wykrochmalila płótno, igła ciężko wchodzi. Pokaleczysz się.

Pracowali w milczeniu. Drażniącą ciszę przerwał chłopiec.

- Tato, nie chcę więcej chodzić z bielizną do przytułku. Tam jest okropnie.

- Wierzę ci. Nie będziesz musiał. Jak tylko mama wyzdrowieje, oddam cię do rytowniczego terminu. Upatrzony zakład znajduje się na drugim końcu miasta.

- Powiesz mi coś o nim? Jaki jest mistrz?

William Blake zorientował się nagle, jak wiele ma do narysowania. Grafiki i akwarele odkrywają wszystkie sekrety jego serca. Będzie bezkarny, a kto wie - może doceniony?

Słońce wznosiło się coraz wyżej na firmament, złącząc wąskie uliczki, futra szczurów, które przypadły do rynsztoków, ceglane domy i smolny dym płynący z niezliczonych kominów miasta.

NOWY JORK, 2004

EPILOG. OPOWIEŚĆ WAMPIRA.

Bloker słoneczny opalizował na mojej dłoni. Wyciskałam go ze sztywnej białej tubki ze złotą obwódką oraz znakiem firmy kosmetycznej Heleny Rubinstein. Nad Manhattanem zebrały się chmury grube jak mokre poduszki z pierza i wiedziałam, że nim wyjdę z domu, ulewa zacznie się na dobre, ale i tak nie chciałam ryzykować poparzeń słonecznych. W żadnym razie. Może zakrawało to na obsesję, może było tylko wprowadzeniem w życie zasady „przezorny zawsze ubezpieczony”.

Spięłam kitkę, czarne włosy spływały mi do pośladków i przynajmniej z tyłu wyglądałam jak te małe Szanghajki w kostiumikach od Prądy, które przylatywały do mojego miasta na zakupy, gwizdząc na ojczyźniany komunizm. Włożyłam przeciwdeszczowy płaszcz oraz przyciemniane okulary.

Rozejrzałam się za Teodorem.

- Kici, kici... Gdzie jesteś, zły kocie? Pani wychodzi.

Rudy kocur złościł się na mnie bez wyraźnego powodu. Ot, kocie fummy. Starzał się, a w sąsiedztwie pojawiła się młoda, syjamska kotka. Wyprowadzana była na czerwonej smyczy przez hiszpańską służącą, która nie bała się tupać na Teodora i wrzeszczeć na niego „El diablo!”.

Teodor był chory z pożądania.

- Teodor! Naprawdę wychodzę.

Znalazł się przy moich nogach, głośno się rozmruczał, w magiczny sposób uruchamiając tę dziwną zabawkę, którą wszystkie stworzenia takie jak on mają głęboko ukrytą w gardle. Jabłko Adama, pomyślałam i uśmiechnęłam się mimowolnie. Schyliłam się, by popieścić zwierzę.

Wyszłam. Wrażenie ciepła rozlewającego się w klatce piersiowej; chłodne krople deszczu na twarzy.

Postanowiłam pojechać metrem. Złapanie żółtej taksówki w deszczowy dzień w Wielkim Jabłku zakrawa na cud. Ja swoją pulę cudów już wyczerpałam. Wkrótce stanęłam przed Muzeum Brooklyńskim. Zostawiłam płaszcz w szatni, kupiłam bilet. W holu kręciło się mniej zwiedzających, niż mogłam się spodziewać - wszystko przez ten deszcz.

Przystanąłam, przez ułamek sekundy zastanawiałam się, co tu robię? Po co tu przyszedłam? Starzeję się i robię sentymentalna? Nie, odpowiedziałam sobie w głębi ducha. Wszystko to fanaberia. Jeszcze jeden sposób na zwalczenie nudy. Kolejne wyzwanie, coś, czym można zająć ręce. Popatrzyłam na plakat zapraszający na przeglądową wystawę świętej pamięci Balthusa, a później ruszyłam na piętro. Szłam zobaczyć się z kustoszem. On o tym nie wiedział.

Drogę do gabinetu zagroziła mi stara kobieta o zasuszonej, jakby zmumifikowanej twarzy. Uderzyły mnie jej proporcje - rozciągnięte usta jak z gumy i tak mały, że prawie nieistniejący nos. Widomy brak umiejętności chirurgów plastycznych sprzed pół wieku.

- Czego pani chce? - zaskrzeczała, obronnym gestem przytrzymując na piersi tani, rozpinany sweterek.

Włosy miała ścięte na pazia i ufarbowane na rudo. W wyciągniętych czasem i grawitacją płatkach uszu nosiła długie kolczyki; metalowe listki układające się w formę srebrzystego sopła. Biżuteria zabręczała, kiedy jej właścicielka nerwowo poruszyła głowę i głośniejszym głosem powtórzyła pytanie.

- Chciałabym się zobaczyć z panem Wilsonem.

- Była pani umówiona? - Lustrowała mnie jeszcze uważniej niż ja ją, z większą bezczelnością. Ale - tego byłam pewna - nie potrafiła mnie skatalogować.

- Nie - przyznałam.

- Kustosz przyjmuje tylko osoby umówione - rzekła stanowczo.

Zastanawiałam się, czy nie powinnam przeniknąć do głowy starszej pani i trochę w niej pogrzebać, ale co bym tam znalazła? Parę połamanych mebli, pajęczyn w domu duszy, serc w formalinie. Ta wycieczka i bez tego była bardziej przygnębiająca, niż się spodziewałam. Nie kontrolowałam swego zachowania tak dobrze jak kiedyś. Fatalnie.

- Czego pani chce?

- Blake'a.

- Blake'a - powtórzyła cicho, a następnie upiornie się roześmiała.

- Jeszcze jedna miłośniczka literatury! - Skrzypiący śmiech uniósł się pod wysokie sklepienie, a potem opadł na mnie jak odpryski szkła.

Kustosz nie znosił chyba tego rehotu tak samo jak ja, bo drzwi gabinetu obok otworzyły się, a ja zobaczyłam po raz pierwszy postać Arthura Wilsona. Mężczyzna jak tysiące innych, ale posiadający wdzięk, który wróżki narodzin darowują jednemu dziecku na milion.

- Mabel, ja się tym zajmę. - Szerzej otworzył drzwi. - Proszę, niech pani wejdzie.

Kiedy trzasnęła klamka, podał mi papierową chusteczkę. Chwilę trwało, nim zorientowałam się o co chodzi. Otarłam moką twarz.

- Proszę wysuszyć końcówki włosów. Aż tak leje?

- Tak. - Skarciłam się za własną głupotę: w szatni przetarłam oprawki, wyczyściłam buty.

Ciało wampira ma inną fizjologię i biochemię niż ludzkie, więc krople deszczu na policzkach nie zamierzały same z siebie szybko wyparować. Raczej zamieniłabym je w lód. Od paru dni nie jadłam, temperatura mojego ciała spadała. Zresztą ulewa naprawdę była okropna. Czułam się rozkojarzona, stojąc przed tym mężczyzną.

- Czemu pani nosi takie okulary? - spytał, a ja natychmiast je zdjęłam i schowałam do podręcznej torebki.

- Przechodziłam operację jaskry.

- Udała się?

- O, tak. O tym chce pan rozmawiać?

- Pani na pewno nie. - Odwrócił się od okna, przy którym dotąd stał. - Publikacja książki Thomasa Harrisa Czerwony Smok była dla muzeum... - szukał odpowiedniego określenia - swoistą reklamą. Ale przyniosła nam też sporo kłopotu.

- Wielu chce zjeść akwarelę Blake'a Wielki Czerwony Smok i Kobieta Skąpana w Słońcu tak jak spożywają morderca Francis Dolarhyde? - Uśmiechnęłam się figlarnie.

- Więcej, niż mogliśmy się spodziewać. Spławiamy ich, a następnie liczymy na to, że nie są mordercami - odpowiedział uśmiechem.

- A pani?

- Nigdy nikogo nie zabiłam - odpowiedziałam miękko.

Parsknął.

- Nie, nie o to pytałem. Dlaczego chce pani obejrzyć naszego Blake'a?

- Z sentymentu - przyznałam się.

- Oryginalne, ale nieprzekonujące.

- Dla Mabel na pewno nie.

Zbliżył się, chwycił mnie poniżej łokcia.

- Zmarzła pani, powinienem zaproponować herbatę, ale na razie... Obejrzyjmy sobie Czerwonego Smoka, i tak nie mam nic więcej do roboty. Przynajmniej na razie.

Pozwoliłam mu wciągnąć głęboko w nozdrza zapach perfum.

- Chciałabym kąpać się w słońcu - szepnęłam, kiedy przyniósł z sejfu i położył na ekspozycyjnym stoliku płaskie pudełko o wymiarach 43,5 x 34,3 centymetra.

Biedny, mały Will, był taki zdolny. I taki... nieprzewidywalny.

- Akwarela nie jest imponująca, ale niepokoi. Jego współczesnym się nie podobała. William Blake umarł w głębokiej biedzie. Przez większą część życia brano go za wariata, chorobliwego kłamcę.

- Brakowało mu dyskrecji. Malował, co widział.

- Boże! Niech pani nie okaże się tak szalona, jak on!

- A co bym z tego miała? Jestem konformistką, panie Wilson.

- Proszę mi mówić Arthur.

Czy niemoralne jest prowadzenie uprzejmej konwersacji ze zwierzęciem, które upatrzyło się na kolację? Niektórzy starzy wieśniacy uznaliby, że nie. Podobnie jak dawne plemiona Indian północnoamerykańskich czy Hannibal Lecter.

- Naoglądałaś się już...

- ...Ireno.

- Więc?

- Wygląda gorzej niż na reprodukcji.

- Bolesna prawda. Część dzieł Blake'a w ogóle przepadła, bo zastosował nietrwały klejowy podkład.

Nachyliłam się nad antyrefleksową szybą; pochyliłam nad przeszłością. Na dwustuletniej akwareli Wielki Czerwony Smok krępował nieskończonymi spiralami swego ogona Kobietę. Potężny i umięśniony rozchyłał błoniaste skrzydła. Jej blade ręce błagały o litość, a może próbowała jakiejś magicznej sztuczki? Modlitwy? W żadnym wypadku nie była śmiertelniczką - świadczył o tym diadem, który miała na głowie. Sportretowano ją z profilu; ciemne oko wyglądało jak źrenica łani przesytej zgrozą. Smok szykował się do ataku. Pragnął unicestwić. A może pragnął też poznać. Słońce obojętnie przyglądało się całej scenie z boku. Jednak z boku.

- Czy mogłabyś mi coś wyjaśnić, Ireno? - rzekł Arthur, dmuchając na moją chłodną szyję. - Dlaczego ta Kobieta ma twoją twarz?

I nastąpiła walka na niebie: Michał i jego aniołowie mieli walczyć ze Smokiem. I wstąpił do walki Smok i jego aniołowie, ale nie przemógł, i już się miejsce dla nich w niebie nie znalazło. I został strącony wielki Smok, Wąż starodawny, który się zwie diabeł i szatan, zwodzący całą zamieszkałą ziemię, został strącony na ziemię, a z nim strąceni zostali jego aniołowie. (...) A Wąż za Niewiastą wypuścił z gardzieli wodę jak rzekę, Żeby ją rzeka uniosła.

W tekście wykorzystano fragmenty *The Art of Graving and Etching* Williama Faithorne'a w tłumaczeniu Ewy Kraskowskiej oraz Apokalipsy św.Jana w tłumaczeniu Augustyna Jankowskiego.

VILLA DIODATI OPOWIEŚĆ GOTYCKA

Owej zimy w rozbawionym Londynie na karnawałowych balach, w których wypada wziąć udział, często pojawiał się pewien lord bardziej znany ze swych ekstrawagancji niż ze szlchetnego pochodzenia i herbu... Właśnie tej swej oryginalności lord zawdzięczał, że wszędzie go wciąż zapraszano. Każdy chciał go poznać; nawet ci, których dawno zdążył już znużyć nadmiar nowych wrażeń, szczęśliwi byli, że nagle ktoś znów potrafi wzbudzić w nich zainteresowanie.

John Polidori, Wampir

LONDYN, UPIEC 2002

Upięłam czarne włosy na czubku głowy, odsłoniłam długą szyję. Słońce nagrzewa mój kark, a ja rozkoszuję się tą pieszczotą. Rozkoszuję się bez żadnej szkody. Ja, która miałam być niezmienna, bo wyłączona spod mocy czasu, potrafiłam przekształcić się w twór jeszcze doskonalszy. Można mi pozazdrościć. Jestem i piękną, i bestią.

Rozleniwiłam się... Letni wiatr porusza soczyście zielonymi liśćmi, przynosi lekki chłód, ukojenie. Wokół cisza. Tutaj nie dochodzi hałas pędzących samochodów ani wycie ich przeraźliwych klaksonów.

Z tej ciszy popatruje na mnie kamienny anioł.

Spokój. To dla tego spokoju cmentarz Highgate stał się ulubionym miejscem przechadzek londyńczyków. Osobiście im się dziwię. Dziwię się temu osobliwemu wyborowi. Jakże udało im się poskromić strach przed śmiercią? Czy nie wyobrażają sobie jej grozy, skoro tak swobodnie spacerują po nekropolii? Śmiertelni kochankowie, całujący się ukradkiem na skrzyżowaniu alejek, czy zażywne wdowy, istne kalki świętej pamięci Królowej Matki.

Ich zwiędłe usta pachną tą odrobiną sherry charakterystyczną tylko dla damy. Rodzice przyprowadzają tu swoje małe dzieci, by pokazać im wznoszące się na obeliskach anioły. Jakaś mała rudowłosa dziewczynka tupie w złości, wybija tenisówkami żwir z alejki, wreszcie dopada uda matki - uda obleczonego w klasyczne spodnie Nicole Farhi.

Lubię tu przychodzić, ale ja przecież jestem nieśmiertelna. No, prawie nieśmiertelna, choć w tym rzadkim przypadku musiałaby się sprawdzić teoria profesora Van Helsinga.

Stoję przed nagrobkiem Karola Marksa. Złote litery błyszczą na granitowych kubikach. Na ich szczycie wyryto pozbawioną szyi, brodatą i wąsatą głowę filozofa. Jego oczy wciąż patrzą, wygląda jak zombi.

Ale nie o nim teraz rozmyślam. Znałam kiedyś człowieka, który tak jak ja znajdował upodobanie w przesiadywaniu na cmentarzach. Jego pobudki były jasne, robił to z przekory. Całe życie spędził, głaszcząc tego i owego pod włos. Miał piękną twarz. Myślałam, że chyba go Kocham. Ale może dopiero teraz, tutaj, na Highgate, wydaje mi się, że kochałam?

Działo się to trochę wcześniej, bo w czerwcu. W czerwcu roku 1816. Zapowiadało się wyjątkowo deszczowe lato i tamtej nocy też padał deszcz. Cienki płaszcz podróżny, którym byłam okryta, przemókł do cna. Jakby tego było mało, w pewnym momencie podróży musiałam porzucić dyliżans (zresztą z nieszczelnym dachem!), by przesiąść się na rozchybotaną łódkę. Moim celem była Villa Diodati.

Czarna w poświacie księżycy i przeraźliwie zimna woda Jeziora Lemańskiego przelewała się przez burtę, zamieniając moje pantofle w nieokreślone coś. Wioślarz zaś nieustannie mamrotał pod nosem jakieś przekleństwa. Nie miałam jednak zamiaru dawać mu ani centyma więcej, nawet po to, by się zamknął. Prawdę powiedziawszy, byłam splukana, a nawet gorzej: byłam uciekinierką i miałam złamane serce. W niedużej sakwie, którą tuliłam do boku, spoczywał mój martwy przyjaciel. Pozwoliłam sobie na taką eskapadę, bo niewiele miałam do stracenia. Nie więcej niż nic. Ogarniającą mnie depresję i rozpacz postanowiłam przełamać, rzucając się w wir wariackich przyjemności.

Zazgrzytaliśmy na jakiejś mieliźnie i prawie znalazłam się w wodzie.

Zachowując resztki godności, jeszcze bardziej się wyprostowałam, unosząc podbródek. Ciężki, nasycony wodą kaptur zsunął mi się z czubka głowy, wypuszczając na wierzch moje skręcone od wilgoci jak runo włosy. I taką zobaczył mnie Byron. Stał przy pomoście, patrząc zaciekawiony, jakie to licho niesie do niego Matka Noc. Młodzieniec kulący się obok niego i usiłujący osłonić go przed deszczem własnym parasolem później okazał się doktorem Polidori, osobistym lekarzem lorda. Mnie jednak interesował wówczas tylko George. Swoją drogą, cóż to był za piękny mężczyzna! Prezentował się niczym ożywiony grecki efeb, a ja przecież wciąż byłam taka młoda.

Przybiliśmy do pomostu. Mój wioślarz bez słowa zeskoczył z łódki i zaczął wiązać cumę do nadgniłego pacholka.

- Kim jesteś, pani? - Byron niecierpliwie otarł twarz z zalewającego ją deszczu.

Spostrzegłam wtedy, że ma zielone oczy, i zamarzyłam, by jego włosy po wyschnięciu miały kolor kasztanów. Tak jak u tego, który mnie porzucił.

Dygnęłam głęboko.

- Jestem pana największą wielbicielką, lordzie Byronie.

Zrobiło to na nim dużo mniejsze wrażenie, niż przypuszczałam. Roześmiał się.

- Zatem nie wypada mi odmówić gościny, pani. - Odwrócił się i ruszył szybkim krokiem, choć kuśtykając.

Musiał boleć nad tym, że jest kuternogą. Wioślarz tymczasem sięgnął po moją torbę podróżną i nadal monotonnie bluźniąc, powlókł się w stronę willi rozłożonej nad samą plażą. Polidori chciał odebrać ode mnie sakwę, ale gestem odmówiłam.

Wzruszył tylko ramionami. Uśmiechnęłam się promiennie, nie mogłam sobie przecież od samego początku robić wrogów wśród tych dziwnych Anglików.

Wreszcie zostałam wprowadzona do genewskiej Villa Diodati, letniej rezydencji śmiertelnego mężczyzny, którego miałam za nieśmiertelnego poetę. Przekroczyłam próg pod ramię z jego lekarzem. Ów kurował obecnie Byrona z kolek wątrobowych po przepiciu. Z Polidorim nie zamieniłam jeszcze ani słowa. Niezbyt dyskretnie pociągał nosem, jakby próbował wywąchać jakiś dziwny zapach we mnie. To irytowało. Z drugiej strony, kiedy ścisnęłam jego rękę, czułam, jak w tych młodych, dwudziestopięcioletnich żyłach pulsuje gorąca włoska krew, przesycona smakiem pomidorów i pomarańczy. Krew fragolino.

Droga prowadziła szeroką galerią, która mijała ogromny salon.

Dwuskrzydłowe drzwi były szeroko rozwarte. Byron wyprzedził nas znacznie i najwyraźniej nie miał zamiaru się zatrzymać. Słyszałam jego kroki, najpierw rytmiczne na marmurowych płytach, potem pełne wysiłku na schodach. Nie lubił używać laski, ale domyślałam się, że jeszcze parę dni tej niezdrowej, wilgotnej pogody, a będzie po nią musiał sięgnąć (jego żona Anabella, czyli Anna Izabella Milbanke, publicznie nazywała lorda Kaczuszką). Mijając salon, zarejestrowałam dość dziwną scenę. Na sofie pół leżał, pół siedział drobny młodzieniec, o karnacji wypiełgnowanej kobiety. Drżał cały z wyraźnego przerażenia. Klęcząca obok kobieta - niezbyt ładna, płaska i zwarta w biodrach niczym karykaturalna wychowanka zakonnej szkoły - podawała mu troskliwie w ceramicznej chińskiej miseczce aromatyczny napar. Zgadywałam w myślach, jak dużo jest w nim laudanum. Druga z kobiet usiłowała skryć się przed moim wzrokiem za skrzydłem wygasłego kominka. Była blada ze złości i zdecydowanie ładna na swój chłopięco-urwisowski sposób, co podkreślały jeszcze włosy, roztrzepane i wysoko upięte nad odstającymi uszami. Wiedziałam od razu, że mam do czynienia z najnowszą kochanką Byrona.

Wszystko to działo się jakby na scenie. Nikt nawet nie odezwał się na powitanie, więc nie przystając, podobnie jak mój przewodnik, wspięłam się na piętro. W korytarzu stał lord

George, odprowadzając lokaja do kuchni, by ten zorganizował jakiś posiłek (ktoś ze służby zawsze miał obowiązek czuwać w kuchni przez całą noc).

Proszę, proszę, pomyślałam, lord Byron okazuje się człowiekiem.

- Pani pokój - powiedział Polidori, wnosząc do małej komnaty mój bagaż.

Rozejrzałam się. Wąskie łóżko, odrapany, ale wciąż piękny sekretarzyk, obity karminem fotel, szafka z wbudowaną ceramiczną misą, obok dzbanek; żadnego miejsca, by pomieścić ubrania.

Ubawiło mnie to. Jakie zalety mógł mieć ten pokój, jeśli jego okno nie wychodziło na Jezioro Lemaniańskie i Alpy, tylko pobliską winnicę?

- Lord zajmuje pokój obok - wyjaśnił mi Polidori.

Miał przy tym oczy bez wyrazu.

Pomyślałam, że powinnam ztrzeć ze swoich ust grymas głodnej wilczycy.

- Widzę, że jesteś rozczarowana. - Byron potrafił podejść bezszelestnie. - Prawdopodobnie przywykłaś do lepszych warunków. - Popatrzył w dół. - Ale ja, niestety, tonę w długach, panienko.

Podążyłam za jego wzrokiem i zrobiłam się chyba czerwona.

Wokół moich niemodnych, pościeranych pantofli utworzyły się pokaźne kałuże. Zakląłam siarczyście.

- Proszę wybaczyć, że uraziłem, mówiąc... Jak rozumiem, jest pani mężatką?

- Nie, absolutnie nie. Wszystko w porządku.

Kiwnął głową.

- Takie eskapady mogą mieć przykre konsekwencje dla samotnej kobiety. Tak, w pewnych przypadkach posiadanie męża to dobre alibi. Proszę się przebrać, czekamy na dole. W Villa Diodati najciekawsze są noce.

Zostałam sama.

VILLA DIODATI (GENEWA), 16 CZERWCA 1816

Włosy George'a Gordona, lorda Byrona naprawdę były kasztanowe.

Zawczasu przygotowałam sobie egzemplarz Giaura, by poprosić sławnego męża o autograf. Gorzej było z całą resztą. Nie posiadałam innych butów, więc na dół zeszłam boso. Nogi miałam co prawda zgrabne, ładnie wysklepione. Zupełnie niezłe nogi jak na trzydzieści trzy lata... Nie lepiej niż z pantoflami było z suknią. Dysponowałam equipage zubożałej arystokratki. Zubożałej, ale długowiecznej. Zdarzało mi się przywiązać do stroju z

innego życia niż obecne. Ocalić wspomnienie w zmysłowym doznaniu soczystej materii. Tak było i z przechowywaną w małym kufrze suknią Karminową, podobną w odcieniu do obicia Bajronowskiego fotela.

Zeszłam na dół i już wchodząc do salonu, widziałam, że wywarłam odpowiednie wrażenie swoim widokiem.

- Cóż za piękna suknia! - wyrwało się pensjonarce, która opiekowała się omdłym młodzieńcem. - Musi być bardzo stara...

- Szkoda, że nieco dokuczyły jej mole - szepnęła słodko jej urwisowata towarzysza, na tyle głośno, bym na pewno to usłyszała.

Byron gapił się na moje głęboko odkryte piersi i blade ręce, wychodzące z rozcięć haftowanych adamaszkami rękawów - trzeba przyznać, że strój był trochę niekompletny, ale w ferworze wcieleń nie udało mi się ocalić żadnej ze spodnich sukni.

- Jest włoska, jeszcze z połowy piętnastego wieku - powiedziałam uprzejmie.

- Z pani w takim razie jest prawdziwa poetka.

- Jeden poeta w tym salonie wystarczy! - Przysięgłabym, że Byron dosłownie oblizwał się na widok moich nagich stóp.

Mężczyźni wciąż potrafili mnie zadziwić. Ale czy to dobrze?

Urwisowata zaśmiała się hałaśliwie. Miałam ochotę skrócić jej kark.

- Jest tutaj dwóch poetów - powiedział lord. - Ale jeszcze nie narzekamy na nadmiar. Jeden z nich to ja. - Znowu się skłonił. - Drugi - wskazał na bladego młodzieńca, który walczył obecnie ze snem na otomanie - to Percy Bysshe Shelley, bardzo zdolny, ale nie tak jak ja. - Zaśmiał się chrapliwie. Nikt jednak, łącznie z samym zainteresowanym, nie wyglądał na oburzonego. - A to Mary Godwin. - Wskazał na pensjonarkę. - Przyszła pani Shelley, choć Percy nie wierzy w małżeństwo.

Kruczowłosa mężczyzna o zrosniętych brwiach, a zarazem mój wcześniejszy tragarz i przewodnik został mi przedstawiony jako John William Polidori, syn włoskiego emigranta politycznego. Lekarz.

Ani lord Byron, ani nikt inny nie zadbał o to, bym poznała imię drugiej kobiety. Ona sama też nie kwapiła się z prezentacją, postanowiłam więc ją zignorować.

- A pani? - spytała o moją godność Mary Godwin-Shelley.

- Irena Gallipoli.

- Turczynka?

- Nie, Greczynka.

- Byron jest miłośnikiem Grecji - odezwała się nagle nieznajoma.

- Co pani tak ściska w dłoniach? - Lord wciąż był oficjalny i lekko cyniczny na zewnątrz, choć w jego oczach widziałam iskielki rubasznego poczucia humoru.

Podaliśmy mu Giaura. Przekartkował go i oddał mi.

- Nie podpiszę go pani.

- Proszę?

Chude lata mi nie służyły i wychodziłam na idiotkę. Było mi duszno, co jest osobliwym stanem jak na wampira.

- Ostatnie kartki nie są rozcięte - stwierdził z powagą.

- Nie miałam odwagi poznać zakończenia.

- Czy trzeba odwagi, żeby czytać Byrona? Każde zakończenie jest takie samo.
Cmentarz.

- Chyba że wracamy jako duchy - odezwała się po raz wtóry nieznajoma, a lord spiorunował ją wzrokiem.

Po podwieczorku (o dwunastej!) naprawdę zaczęliśmy dyskutować o duchach. Lord Byron odczytał kilka fragmentów z Christabel Coleridge'a, tych dotyczących piersi czarownicy, a gdy zapadła cisza, Shelley z nagłym krzykiem zakrył twarz dłońmi, po czym próbował wybiec z pokoju, zabierając ze sobą świece.

Polidori chlusnął mu wodą w twarz, a później podał eter. Młodzieniec, wciąż spoglądając na przyszłą panią Shelley, sapnął:

- Nagle przypomniałem sobie o kobiecie, o której kiedyś słyszałem, mającej zamiast sutków oczy. Myśl ta ogarnęła mnie z nieprzewartą siłą i niezmiernie przeraziła.

- Bardzo osobliwe - mruknełam.

- Osobliwsze jest to, co wymyślił Byron - szepnął Shelley, jakby przez sen. - Zapropozował w ramach zakładu, by każde z nas napisało gotycką historię. Żadna nie może się dobrze skończyć. Mamy wspólnie wybrać najlepszy dramat... Osobiście liczę jednak na to, że pogoda się poprawi i będzie można robić wycieczki w Alpy.

Korciło mnie, żeby spytać Byrona, co sądzi o wampirach. W końcu byłam jego największą wielbicieleką, prawda? Poczułam, że kły odrobinę wysuwają mi się z dziąseł. Byłam głodna. Taka głodna!

Byron zażył tabaki.

- Wierzy pani...

- Ireno.

- A więc wierzy pani, Ireno, w zjawiska nadprzyrodzone?

- Nie - odparłam bez mrugnięcia okiem.

- Ha! To wyglądałoby na to, że nie wierzy pani w Boga - drażył dalej.

- Nie wiem.

- Nasz drogi Shelley, na przykład - wskazał na młodzieńca o twarzy kobiety - w Boga nie wierzy. Może dlatego jest wegetarianinem.

Towarzystwo zaśmiało się. A ja pomyślałam o bukecie krwi Percy'ego Shelleya. Musiała smakować jak krew baranka pasionego na świeżych, soczystych pastwiskach.

Giaur. Otworzyłam stronę tytułową, na której nie było atramentowego inicjału autora. Pustka. Kochałam tę książkę, była pierwszą z nielicznych, które darzyłam takim uczuciem. Pochodziłam z cesarskiego Konstantynopola, a takiej satysfakcji nie dawały mi pisma wschodnich mężów - filozofów. Po raz pierwszy urodziłam się jako chrześcijanka i kiedy po Reformacji każdy czytał Pismo w rodzimym języku, ja kompletnie ten trend zignorowałam (zresztą nie przeczytałam Wulgaty, choć znałam łacinę, ani nie przyswoiłam Septuaginty, choć była po grecku). Kochałam książkę lorda Byrona. Może nieszczęsne losy splawionej za cudzołóstwo branki Leili poruszały jakąś wrażliwą strunę moich najwcześniejszych wspomnień? Jej kat basza Hassan kojarzył mi się z sułtanem Mahmedem, który w 1453 roku wytepił moją rodzinę. I ja miałam swojego Giaura, był nim genueńczyk Giovanni. Ten jednak w ostatecznym rozrachunku nie uszczknął mojej cnoty, ale i nie ocalił miasta, niszcząc Turków. Przez niego, jak Leila przez swojego Giaura, umarłam w morzu.

Nie bez znaczenia dla uczuć, jakimi darzyłam tę lekturę, była aura grozy i niesamowitości, w jakiej Byron się lubował. Choćby te przyprawiające o drzenie strachu wersy:

...zostaniesz na ziemi upiorem;
I trup twój, z grobu wylażąc wieczorem,
Pójdzie nawiedzać krainę rodzinną,
Powinowatych spijać krew niewinną.
Tam, na rodzeństwo własne zajuszony,
Wyssiesz krew swojej siostry, córki, żony;
Ścierw twój zasilisz cudzym życia źródłem,
Chciwie pić będziesz, brzydząc się napojem.

Usłyszałam jakiś hałas. Kroki na korytarzu, wybijane w deskach podłogi gołą, szybką piętą. Szelest koszuli nocnej. Nienasycone, pełne nadziei dotknięcie gałki. Stukanie. Nerwowe szarpanie za drzwi. Tłumiony jęk.

- Byron! Wpuść mnie, Byronie! - szept. - Kuternoga! - szept po raz wtóry.

Szczęk zamka w sąsiednich drzwiach. Przysunęłam się bliżej wejścia i sama delikatnie popchnęłam klamkę, tworząc przy framudze obserwacyjną szparę. Kobieta i mężczyzna na korytarzu nie zauważyli mnie oczywiście. Klócili się. Robili to ciałami. Urwisowata przylgnęła do ciała poety, lecz ten ją odepchnął. Suche trzaśnięcie dłoni o policzek. Nie było mi smutno. Nie było mi żal.

Ponad nami, na mansardzie, swój pokój miał Polidori. Coś tam głośno huknęło. Oboje znieruchomieli, jakby ktoś zamienił ich w słupy soli. Potem Byron pociągnął kochankę w głąb swojego pokoju. Czy to był wstyd, czy namiętność?

Nie słyszałam, kiedy wróciła do siebie. Musiało to być rankiem, kiedy słońce już wzeszło. Wtedy spałam owinięta w prześcieradło jak w całun i skulona pod łóżkiem - te żaluzje nie powstrzymywały szczelnie światła dnia. A okiennice dawało się dobrze domknąć od zewnątrz, z drabiny. Głupie pomysły mieli ci Szwajcarzy.

Już nie będzie się łąziło
W ten mrok nocny, co nas krył,
Choćby serce jeszcze biło,
Choćby księżyc znów się skrzył.
Miecz odrzuca zdartą pochew,
Duch odmawia piersiom snu,
Miłość niech odpocznie trochę,
Serce musi nabrać tchu.

Poczekalam, aż ostatnie promienie słońca utoną w Jeziorze Lemańskim, i poszłam podziwiać fasadę Villa Diodati. O dziwo nie padało! Było jasno i świetliście, architektura i przyroda pławiły się w księżycowej scenerii. Villa Diodati była dwupiętrową rezydencją z architektonicznymi pretensjami do świata antyku. Od frontu portyk i dwa rzędy doryckich kolumn podpirały olbrzymią werandę. Dalej wznosił się tympanon i piramidalny, trójkątny dach, gdzie można było dostrzec okienka Polidoriego - trzy mansardowe otwory. Wszystko to stało ustawione bokiem do jeziora.

Obok leżała winnica, która jeszcze podkreślała „antyczny” nastrój. Pragnęłam ją obejrzeć. Pragnęłam obudzić wrażenia z mojego ludzkiego dzieciństwa. I bałam się. Znudzona służąca, którą spotkałam na schodach, powiedziała mi, że państwo Shelley oraz przyrodnia siostra pani Mary mieszkają nie w rezydencji, lecz w letnim domku wynajętym za winnicą.

Natychmiast przypomniała mi się miłosna nocna eskapada, która, niestety, nie była moim udziałem. Musiałam przyznać sama przed sobą, jaka jestem samotna. Nurzałam się w

smutku i spoglądałam na sztucznie oświetlone żaglowe łodzie, dopiero teraz, przy lekkiej nocnej bryzie, schodzące do małych, rodzimych portów.

Ktoś dotknął mojego ramienia. Niedobrze ze mną, jeżeli potrafił mnie zaskoczyć. Opanowałam się, żeby nie zasyczeć. Obok stała przyrodnia siostra pani Mary.

- Dokładnie naprzeciwko - powiedziała - jest Hotel Angielski. Od kiedy tu jesteśmy, zdrożały ceny pokoi. Jego właściciel dla wygody gości zainstalował teleskop i wycelował go w Villa Diodati. Teraz wszyscy mogą oglądać tego rozpustnika Byrona. Tego, którego żona zażądała separacji, bo posądzała go o romans z jego przyrodnią siostrą, słodką i starą Gus.

- Augusta nie jest znowu taka stara, może parę lat starsza od lorda.

- Ale ma sporo dzieci. A musiałaś słyszeć, co mówili w Londynie o ostatnim.

- Wierzysz w to?

- Nie. Byron chce, aby wierzyli tacy, jak ci od lunety. Robi to wszystko przez przekorę. Przez przekorę cholernego kuternogi! Po to, żeby ich do cna rozjuszyć, napisał Narzeczoną z Abydos. Powieść poetycką o występnej miłości pomiędzy bratem i siostrą. I teraz Anabella nie chce, aby miał wpływ na wychowanie swojej córki, Augusty Ady. Ten dzieciak go pewnie znenawidzi. Zresztą Byrona można tylko kochać albo nienawidzić.

- A pani? - spytałam. - Pani wybiera miłość czy nienawiść?

Podawała mi gorącą i spoconą dłoń.

- Nazywam się Claire Clairmont.

Uścisnęłam ją i poczułam bicie dwóch serc. Jedno przyspieszało, przepompowując dodatkowe litry krwi, drugie, mniejsze, odnalazło już swój silny i regularny rytm i nie zamierzało go utracić.

Zgadywałam, czy Byron już wie?

Ktoś zawołał do nas z góry. Poeta, który właśnie wyszedł na własną werandę. Obie uniosłyśmy ręce, by mu serdecznie pomachać, kiedy przeraźliwy krzyk rozdarł posrebrzaną ciemność.

Kiedy pomyślę o moim własnym naturalnym odrzucaniu praw, czegokolwiek, co mi się narzuca, drzę (...) na myśl o tym, co mogłam odziedziczyć. Pamięć o moim ojcu nie może wzbudzać we mnie szacunku czy podziwu, ale jednak nie jestem całkowicie niezdolna do myślenia o nim z pewną wdzięcznością. Sądzę, że mam od niego to, co miał najlepsze, i myślę o tym z przyjemnością, gdyż jego geniusz i wyjątkowość są niezaprzeczalne.

Powinna dokonać rzeczy większych niż on, lecz ponieważ jest we mnie znacznie mniej blichtru, a więcej głębi, zabierze mi to znacznie więcej czasu (...). Moją ambicją jest

wynagrodzenie ludzkości jego zmarnowanego geniuszu. Niestety, mój ojciec nie posiadał mojej filozoficznej perspektywy, a nic innego nie jest w stanie utrzymać w ryzach takiego charakteru.

Ada Byron, obecnie hrabina Lovelace (1840)

To służąca podniosła rwetes. Usłyszeli ją Shelleyowie, których domek stał najbliżej feralnej winnicy. Długo nie mogła przemówić, była astmatyczką, a szok, o który przyprawił ją nie znany nam jeszcze widok, sprawił, że mało się nie udusiła. Byron, panicznie bojący się wszystkich chorób i słabości, postanowił ją następnego dnia odprawić. Kiedy przyszła do siebie w stopniu, w jakim to było możliwe, pokazała nam trupa. Leżał w winnicy. Do miejsca wypadku służąca dokuśtykała prowadzona przez Mary Shelley; chwilami wręcz myślałam, że to młoda pisarka lepiej zna drogę...

- Och, znowu ta piękna sukienka - powiedział Shelley, kiedy odwrócił pusty wzrok od śmierci i napotkał oczyma moją postać.

Następnie zemdlał, padając na mnie twarzą. Byron chrząknął. Ręka, w której trzymał pochodnię, nawet nie drgnęła.

Polidori uniósł swoją lampkę i ciepłe światło oblało rozszarpane zwłoki, splątane z połamaną winoroślą w jeden twór. Pomyślałam, że rodzina wioślarza (bo to jego trup zakłócił nam spokój) nie podziękuje mi za to, że wyciągnęłam ojca i męża z domu.

- Nic tu po nas - rzekł Polidori. - Trzeba zawiadomić prefekta.

- Znowu nie będę mógł pisać - zachnął się Byron.

Widziałam, że jest blady. W nocy widzę niczym kot.

Claire zrobiła taki ruch, jakby chciała podejść do niego, ale zrezygnowała.

- Ktoś złamał mu kręgosłup - stwierdziła Mary, a jej głos zabrzmiał czysto i donośnie w nocnej ciszy. - No i stracił całą krew. Głowa była prawie odcięta od tułowia.

Nawet mnie zrobiło się nieswojo.

Mary zaprowadziła swojego eterycznego kochanka do letniego domku.

- Te drzewka urodzą doskonałe winogrona - powiedział Byron, myśląc o krwi wsiąkającej w grunt.

Przechwyciłam jego spojrzenie i uświadomiłam sobie, że materia mojej sukni lśni idealnie tak samo jak mokra ziemia. Jako kobieta skąpana w czerwieni przeistoczyłam się w wizerunek śmierci.

Prefekta sprowadzono natychmiast. Gościł w sąsiedztwie. Przyjaźnił się z dyrektorem Hotelu Angielskiego, a ten zaprosił go do siebie, aby przez teleskop pooglądał „tych sprośnych Anglików”.

Teraz mógł popatrzeć na nich z bliska. Byron wydał mu się ujmujący. Mary przypominała mu córkę, Claire zaś żonę w młodości, ale to na mój widok jego twarz się rozjaśniła. Dokonano koniecznej prezentacji.

- A kim jest ta pani? - spytał lorda, nie patrząc na mnie, lecz rozglądając się, jakby wśród zgromadzonych chciał mi znaleźć brata albo kochankę.

- To Irena Gallipoli, moja największa wielbicielka. - Byron zarechotał. - A jak wnosi pan po kostiumie, także aktorka. Piszę dla niej utwór. Przedstawi się w nim jako Lukrecja Borgia.

- Mój Boże, ta trucicielka?

- Ale przynajmniej ofiarom nie łamała karków - powiedział Polidori.

Prefekt spojrział na niego z odrazą. Wyglądał jak człowiek po obfitym posiłku, któremu zbiera się na mdłości.

- Skandale gonią pana, lordzie Byronie, jak psy sukę - skwitował swoje nocne odwiedziny. Musiał mieć już w czubie. - Ten zamordowany służący nie pracował w Villa Diodati?

- Nie - odezwał się nieproszona. - Był wioślarem. Wynajęłam go, żeby tu dopłynąć.

- Kiedy?

- Wczoraj. Wczoraj w nocy.

- Nie wygląda na to, żeby przynosiła pani mężczyznom szczęście - rzekł prefekt i czułam, że wstrzymał się przed dodaniem frazesu „jak każda aktorka”.

Mieszkali tu tacy kalwiniści, że zbierało się na mdłości.

- To nie był mężczyzna, to był wynajęty wioślarz - wtrącił Byron.

- Powinienem panią przesłuchać w prefekturze.

- Tylko dlatego, że zapłaciłam za usługę parę centymów? - Ani myślałam się stąd zabierać.

- Panie prefekcie, niech pan nie będzie niepoważny. Pani Irena i biedny, anemiczny Percy nie skrzywdziliby muchy. Irena zresztą nie powinna nigdzie się ruszać, bo jest brzemienna - powiedział lord z obezwładniającym uśmiechem.

- Ach tak. - Prefekt się spłonił, ale już zacierał rączki, myśląc o tym, w jak błyskotliwy sposób uraczy dyrektora Hotelu Angielskiego taką plotką. Nie dostrzegłam miny Claire, bo odwróciła się do mnie tyłem. - A gdybym oskarżył pana, lordzie Byronie?

- Morduję ludzi jedynie w poematach. Poza tym, jak pan raczył zauważyć, jestem lordem i można mnie sądzić tylko w moim kraju. Czy poznał pan, panie prefekcie, angielskiego ambasadora w Genewie? Cierpi na nerkowy piasek, przez co stał się jeszcze bardziej zgryźliwy i cierpki, niżli Anglikowi wypada. A tak w ogóle ma pan jakichś świadków? Ktoś coś widział, coś słyszał?

Prefekt zaczerwienił się jak opiekana na rożnie świnka. Nie był ani wysoki, ani przystojny. Kompletnie nijaki człowiek z czysto ludzką tendencją do nieprzepracowywania się i ułatwiania sobie życia. Byron, który przez cały czas chlebem i wodą z octem walczył ze skłonnością do nadwagi, spoglądał na jego wydatny brzuch, krzywiąc się.

- Wszystko w swoim czasie. W pierwszej chwili wielu nie uświadamia sobie zauważonych powierzchownie zjawisk, ale jeśli można porozmawiać...

- W prefekturze.

- Jeśli można porozmawiać, czasem wiele się przypomina. A skoro mówimy o tak okrutnej zbrodni, jaką jest morderstwo...

- Claire Clairmont odwiedziła mnie wczoraj w nocy. - Lord Byron znów się skrzywił.

- Ach! - powiedziałam.

Prefekt popatrzył na mnie ze współczuciem, ale i z triumfem.

- Ta pani, wraz z Percym Shelleyem i siostrą Mary Godwin-Shelley mieszka w letnim domku nieopodal. Żeby dotrzeć do Villa Diodati, musiała przejść przez winnicę. Zdaje mi się, Polidori, że tamtego biednego człowieka zamordowano mniej więcej w tym czasie?

Polidori skinął głową, zasłona czarnych włosów spłynęła mu na twarz.

- Przybliżony czas podałem w raporcie dla prefekta.

- Czy znaleziono jakieś ślady mogące wskazać na kogoś konkretnego?

- Grunt był wciąż rozmokły, a służąca, chyba w ataku paniki, rozdeptała ślady. To, co udało mi się znaleźć, przypominało raczej nieudolne kroki wielkiego dziecka, które od czasu do czasu powłóczy nogą.

- Jak to dobrze, że nie ma wśród nas kulawych! - ucieszył się Byron.

Claire podeszła i położyła dłoń na ramieniu prefekta.

- Popłynę z panem do prefektury.

-Jadę z wami! - powiedziała szybko Mary, zakrywając szczelnie ramiona cienkim płaszczem.

Uściskała siostrę.

Odprowadziliśmy ich wszyscy do pomostu, gdzie stała duża łódź z herbem Hotelu Angielskiego.

- Co z tą służącą? - zapytała jeszcze Mary.

- Z Katrin? Jej i Percy^{mu} zaaplikowałem po potężnej dawce eteru. Żadna siła ich nie dobudzi.

- Jej na pewno nie, ale Percy chyba już się zdążył do niego przyzwyczaić. A nawet polubić.

Mary popatrzyła na Byrona z wyrzutem w oczach i pierwsza weszła na łódź, podając siostrze rękę.

- Ostrożnie, kochanie.

- Tak, tak, ostrożnie, moje drogie - zagulgotał prefekt i nakazał odrzucić cumę, co uczynił nieoceniony Polidori.

Polidori, któremu nie ufałam ani odrobinę.

Tamci odpłynęli, a my wróciliśmy do swoich nocnych spraw.

- Nie boisz się, Byronie? - spytał Polidori. - Może nie powinniśmy zostawać tu sami z ciężarną kobietą? W końcu ten zbrodniarz wciąż może się gdzieś czaić.

- Polidori, mój Mnich nie pozwoli mi umrzeć, dopóki nie odbędę swojej pokuty.

I nagle zmęczony pokuśtykał do willi.

Percy Bysshe Shelley został w swojej chatce sam, niczym zagubione dziecko. Postanowiłam go odwiedzić. Ciekawił mnie i wzruszał. Roztkliwiał tak, jak malutkie dziecko roztkliwia matkę. Czy wiecie, jak trudno roztkliwić wampira? Jego niewinność była tłem dla zepsucia Byrona. Byron mógł być moim bratem, Shelleya chciałam mieć za syna.

Oczywiście znowu został uraczony eterem, ostatnie dni nie oszczędzały jego delikatnych jak pajęcza nitka nerwów. Nie mógł więc usłyszeć, jak stuknęły wejściowe drzwi. Stałam przy łożu. Było wąskie, niestworzone dla dwóch, nawet tak drobnych, elfich istot, jak Percy i Mary Shelley. Mój cień padł na drzemiącego, położył się na nim. Percy musiał go poczuć. Jego chłód, ciężar stuleci.

A może moje myśli błędziły za głęboko?

- Mary? - spytał spierzchłymi ustami poeta.

Natychmiast się odsunęłam. Nie chciałam, żeby się obudził.

Wtedy on sapnął przez sen i wtulił się w poduszkę.

Przycupnęłam na brzeżku łoża. Tchnęłam tajemne słowo i stałam się lekka jak nocna mgła. Bawiłam się w strażniczkę snów, w Anioła Stróża. Martwiło mnie, że Shelley nie jest

człowiekiem stworzonym do długiego życia. Musiał zamienić się w morską pianę, roztopić jak chmurka na błękitnym niebie. Jakbym przeżywała jedną godzinę życia muszki owocówki.

Długi nos, brwi jak rozłożone skrzydła morskiego ptaka. Błada twarz z narkotycznym rumieńcem na policzkach. Opuchnięte powieki. Był zmęczony. Pisał więcej nawet od George'a Gordona Byrona. Nie potrafiłam się temu oprzeć. My, wampiry, pozostajemy w większej części takimi samymi ludźmi, jakimi byliśmy przed przemianą, choć nasze ziemskie namiętności rosną pod wpływem czarnej mocy, która nami rządzi. Jesteśmy szumem krwi w skroniach.

Oczywiście, wielowiekowy, dłuższy niż u jakiegokolwiek śmiertelnego łańcuch doświadczeń powinien podpowiadać nam rozwagę i cierpliwość, ale w końcu, co mamy do stracenia?

Uklękałam i pewnie wbiłam kły w tętniącą żyłę.

Shelley zakwilił i przez sen próbował wyrwać się z mojego uścisku, ale nie zdołał. Mój słodki wegetarianin. Moja owieczka. Nieodgadnięta, nieznana część Percy^{go} czuła pewnie, z kim obcuje.

Nie chciałam go zabijać, choć trudno było mi przestać. Bardzo trudno. Cóż to była za pokusa! Ale nie wolno mi. Zapłakałaby się ta jego Mary. W kieszeni wszytej w rękaw sukni trzymałam kostkę ałunu. Potarłam nią skaleczenie. Krwawienie ustało. Ranę powinny dodatkowo zasłonić przydługie włosy Shelleya. Przekręcił się na brzuch. Zobaczyłam na jego ciemieniu łysiejące gniazdko pośród jasnobrązowych włosów i pomyślałam, jak niewiele czasu mu zostało, choć ma tylko dwadzieścia trzy lata. Pożałowałam go i odeszłam. Odeszłam, zazdroszcząc Mary Shelley. Wszyscy nazywali ją już Shelley, choć młodzi nie wzięli jeszcze ślubu. Jednakże w oczach ludzi spostrzegawczych byli ze sobą złączeni na wieki.

Byron już na mnie czekał. Stał nad jeziorem, spoglądając na przeciwległy brzeg, i palił smrodliwego tureckiego papierosa. Nie starałam się stąpać cicho. Odwrócił się. Popatrzył w dół na błoto wbite między palce moich stóp.

- Ktoś powinien ci kupić buty, panienko - powiedział. A potem wyrecytował:

Idzie w piękności, jak noc, która kroczy

W cichym gwiazd gronie przez bezchmurne kraje;

Co cień i światło w sobie kres jednoczy.

- Claire Clairmont jest w ciąży z lordem Byronem - powiedziałam słodko, bo język mnie zaświerzbiał.

- Byron o tym wie. Byron ma wiele bękartów. Panna Claire nie chce się odczepić.

Pokiwałam głową.

- A ty, piękności nocy, masz jakieś dzieci? - spytał.

- Nie. To nie takie proste.

- Nie takie proste? Tak, rozumiem. - Kiwnął głową. - Nie takie proste.

Staliśmy chwilę w milczeniu. W końcu się odezwał:

- Masz krew na ustach, Ireno Gallipoli.

- Już nie. - Przeciągnęłam grzbietem dłoni po wargach.

- Przesady dotyczące wampirów są nadal powszechne w krajach Lewantu. Prawy Tournefort opowiada o istotach, które nazywa Vroucolachas. Nowogrecki termin brzmi Vardoulacha. Pamiętam rodzinę przerażoną krzykiem dziecka, będącym, jak mniemali, wynikiem takiej wizyty. Grecy zawsze wypowiadają te wyrazy ze zgrozą. Odkryłem, iż Broucolokas to stara helleńska nazwa. Współcześni używają słów, które wspomniałem. Historie o tych odrażających stworzeniach opowiadane w Grecji i na Węgrzech są bardzo osobliwe i poświadczone w dość niewiarygodny sposób.

Popatrzyliśmy na siebie uważniej. I księżyc, i granatowa, rozgwieźdzona noc odbijały się w jego oczach, wyglądających teraz jak kule do staroświeckiego muszkietu.

- Żywię osobistą niechęć do wampirów i nikła wiedza, jaką o nich posiadam, nie upoważnia mnie do ujawniania ich sekretów.

- Lordzie Byronie?

Nie pamiętałam, o co chciałam zapytać. Chciałam tylko, aby ten śmiertelnik ogrzał mnie w swoich ramionach. Moja samotność i jego samotność. Czy nie potrafiłam wybrać doskonale?

Tamtej nocy miałam tyle pytań, a żadnego nie potrafiłam sformułować.

Świat jest pełen paradoksów, co miał jasno stwierdzić wiele lat później inny poeta i towarzyski diabeł wcielony, Oscar Wilde.

- Jestem tak dziwną mieszaniną zła i dobra, że trudno mi określić samego siebie. Jest we mnie odrobina wszystkiego. Jeśli ci to nie przeszkadza... - Podał mi dłoń. - Claire wróci dopiero jutro po południu.

Przyjęłam zaproszenie. Kochaliśmy się w ubraniach. Jemu bardziej od kobiecego ciała podobała się renesansowa, ognista suknia. Nie pozwolił mi obejrzeć swojej zwiędniętej stopy, tego fragmentu lorda Byrona, na którym najbardziej mi zależało.

1. W wieku dwudziestu trzech lat wszystko, co najlepsze, mam już za sobą, za to życie z dnia na dzień staje się coraz bardziej gorzkie.

2. Oglądałem ludzi w rozmaitych krajach i wszyscy wydają mi się równie żałośni; stosunkowo najkorzystniej wypadli Turcy.

3. Boli mnie serce...

4. Człowiek utykający na jedną nogę znajduje się w stanie fizycznego upodlenia, który to stan nasila się z upływem lat, czyniąc jego starość trudną do zniesienia. Poza tym, w kolejnym istnieniu tytułem rekompensaty spodziewam się mieć nawet nie dwie, ale cztery nogi.

5. Staję się coraz większym egoistą i mizantropem...

6. Moje sprawy w ojczyźnie i poza nią mocno się skomplikowały.

7. Zaspokoilem wszystkie swoje apetyty i każdą próżność, nawet bycia autorem.

Wraz z ulewnym deszczem przyszło nowe morderstwo. A nawet dwa. To znaczy dwie ofiary: pierwszą była astmatyczna służąca, drugą syn letników, który znalazł się tam, gdzie nie powinien.

Obejrzałam odzianą na czarno matkę i przygarbionego ojca, dla którego rodzina miała być osłodą starczych lat. Teraz będą przysyłać nasienie śmierci w listach do dalszej rodziny. Przyjmować kondolencje. Będą czuli chłodnego ducha chłopca przy każdym święcie. A w końcu sami umrą.

William nie żyje! To słodkie dziecko, które swym uśmiechem wlewało tyle ciepła do rozradowanego serca ojca, to dziecko, które było tak wesołe, a tak zarazem subtelne! Wiktorze! On został zamordowany! Nie będę Cię nawet pocieszał, ale po prostu opowiem, w jakich okolicznościach to się stało. Ja, Elżbieta i Twoi dwaj bracia poszliśmy razem na przechadzkę.

Wieczór był ciepły i pogodny, toteż zapuściliśmy się dalej niż zwykle. Ale dopiero kiedy zaczęło już zmierzchać, pomyśleliśmy o powrocie. Wtedy zauważyliśmy, że William i Ernest, którzy nas wyprzedzali, gdzieś zniknęli.

Siedliśmy więc na ławce, aby wypocząć i poczekać, aż wrócą. Po krótkiej chwili nadszedł Ernest, dopytując się, czy nie widzieliśmy jego braciszka. Powiedział nam, że się razem bawili, że William uciekł mu, aby się schować, że go potem szukał i jeszcze długi czas wypatrywał, ale już siego nie doczekał. Ta relacja poważnie nas zaniepokoiła, szukaliśmy go więc w dalszym ciągu aż do zapadnięcia nocy. Wtedy Elżbieta wyraziła przypuszczenie, że może jest już w domu. Ale tam go nie było. Wróciliśmy ponownie z pochodniami, bo nie miałem spokoju, kiedy pomyślałem, że mój słodki chłopaczek gdzieś się zabłąkał, narażając

na zgubne działanie nocnych oparów i rosy. Elżbieta również znosiła najgorsze męki niepokoju.

Około piątej z rana znalazłem mojego najmilszego chłopca, którego jeszcze tego wieczoru widziałem tryskającego zdrowiem i pełnego życia, jak leżał rozciągnięty na trawie zastygły i siny; na jego szyi widniał odcisk palców mordercy.

Po ciału służącej przyplęnęła czarna, łódź i zabrała je na sekcję w kostnicy przyległej do miejskiego ratusza. Zwłoki chłopca wywiózł z Villa Diodati ojciec. Były owinięte w przesyconą jego potem, dorosłą pelerynę.

Oczywiście w świetle zaistniały wypadków Claire natychmiast została zwolniona z prefektury. Prefekt giął się przed nią w przeprosinach, na ile pozwalał mu na to okrągły brzusek. Jakaś łagodna uwaga dostała się też Mary Shelley, którą rzadko ktoś komplementował. Mary dowiedziała się o zbrodniach i dyskretnie zwymiotowała. Prefekt udął, że nie przeraża go żołądkowy zapach i obiecał rychło przysłać szwajcarów.

Nie zdążyłam dotknąć klamki, a już wiedziałam, że ktoś buszuje w moim pokoju. I jeszcze ten niezwykły, gnilny zapach, dochodzący ze środka. Z całej siły napałam na drzwi, chcąc wziąć intruza z zaskoczenia.

Przygarbiony Polidori ze zmierzwioną czupryną wyglądał jak jakiś odmieniec. Na podłodze leżała moja sakwa, pusta - ten zbrodniarz trzymał za skórę na grzbiecie truchło mojego kochanego kota Teodora. Oczy zapłonęły mi jak tysiąc słońc. Poczułam, że kły wywijają wargi.

- Połóż go - wysyczałam.

- Madame Irene! Odkąd to damy z towarzystwa wożą kocie zwłoki?

Kot śmierdział. Padł jakiś czas temu, po zjedzeniu wyjątkowo trefnego szczura z londyńskich kanałów (tam wcześniej polowałam na Byrona). Chciałam go wypchać, ale pieniędzy nie wystarczyło na fachowca. Ten, którego wynajęłam, pokpił sprawę. Żaloba i depresja wczepiły się w mój umysł tak silnie, że brakło mi inicjatywy do pochówku ukochanego przyjaciela. A teraz ten konował wykorzystał moją słabość.

Wściekła postąpiłam krok do przodu, a Polidori wyszarpnął z kieszeni surduta pistolet.

- Nie jestem tak głupi jak tamten biedny dzieciak, Panie świeć nad jego duszą...

Kula nie mogła mnie zabić, nawet jeśli nie kończyło się na jednej, ale wciąż potrafiła zadać mi dotkliwy ból i zrobić krzywdę. Byłam w pokoju z szaleńcem, nie mogłam ryzykować.

- Czego chcesz?

- Twojej historii.

- Nie za wiele? - Uśmiechnęłam się. - Możesz jej, pazero, nie przeżyć.

Z pyska martwego kota posypały się trociny.

- Gadaj, - warknął

Pomyślałam: może odejdzie ode mnie ten smutek, jeśli się wygadam? Wiedziałam, że jednym ruchem ręki zdołam Polidoriemu skrócić kark. Że moje oczy hipnotyzują całkiem skutecznie. Ale postanowiłam przyjąć jego reguły. Czy lekarze mają coś wspólnego z kapłanami?

- Zatem posłuchaj mojej spowiedzi.

Usiadłam na karminowym krześle, a Polidori przykucnął na łożu. Pociła mu się dłoń na kolbie pistoletu i raz po raz pociągał nosem. Opowiedziałam mu wszystko o sobie, a gdy skończyłam, wyglądał jak wycieńczony brat bliźniak Shelleya, a jednocześnie był podniecony i rozgorączkowany.

- Jesteś lekarzem. Odkąd ci to opowiedziałam, zostałam twoją pacjentką, musisz więc dochować tajemnicy. Teraz oddaj kota, pora go pochować.

Jaki był motyw tych nocnych odwiedzin? Czy Polidori chciał zyskać wampiryczną nieśmiertelność? Zasłynąć jako biolog, który opisze zjawisko wampiryzmu i przewyższy samego Tourneforta?

A może chciał napisać historię, która uczyniłaby z niego kogoś więcej niż lekarza zapitej wątroby wielkiego Byrona?

Popatrzył na Teodora, na jego szklane, zielone oczy.

- Tylko bydlęta potraficie kochać, żadnych ludzi. Wiesz, że jedyna prawdziwa miłość Byrona miała na imię Bosman i była czarnym spanielem?

Tu obok Złożono szczątki tego, Który posiadał Piękno bez Próżności, Odwagę bez Okrucieństwa I wszystkie cnoty Człowieka bez jego Wad. Ta Pochwała byłaby czymś pochlebstwem Nad prochami ludzkimi, Wszelako słusznie się ona należy pamięci Bosmana, Psa.

Nagle szarpnął wściekle i prawie urwał głowę mojemu biednemu kotu. Wściekła i oszołomiona zamachnęłam się na niego; w tej samej chwili Polidori rzucił się w moją stronę, by ugryźć mnie w szyję i przyjąć komunię z mojej krwi. Nikt z nas nie usłyszał pokrzykiwań zirytowanego Byrona, który szukał swojego lekarza. Lord wbiegł do mojej komnaty, a

widząc, co się świeci, z całej siły rąbnął krzesłem Polidoriego w głowę. Lekarz natychmiast stracił przytomność i miękko osunął się na podłogę.

- Nie wiem, czy moja wątroba to przetrzyma. - Na twarz lorda wstąpił niezdrowy żółty kolor.

Zbladł jeszcze, kiedy zobaczył kota. Ja płakałam wielkimi łzami i tuliłam Teodora do swoich piersi tak, jak dziewczynka przytula lalę.

W torbie lekarskiej Polidoriego Byron znalazł laudanum, które zastępowało lekarstwo na atak kolki wątrobowej. Był tam również eter.

- Uśpię go porządnie, więc zanim się ocknie...

Zmierzyłam puls poturbowanemu: był silny, choć mężczyzna pozostawał nieprzytomny, a z jego nosa płynęła krew. Nie kusila mnie jednak.

- Zrobię z niego wariata. Wtedy niech gada, co chce - dokończył lord.

- Cóż za bajronowska pewność siebie!

- Ja w każdym razie nie pozwolę ci go zabić, moja największa wielbicielko.

- Poeta zabrania komuś umrzeć za marzenia! Właśnie mordujesz swoją legendę, Byronie.

- Moja legenda ma się dobrze, tylko boli ją brzuch - powiedział.

Stary zamek, ruiny kaplicy, cmentarz, staw - poeta miał już nigdy nie zobaczyć Newstead Abbey. Kiedy umrze, powróci tu jego Nemezis. Nie odejdzie jednak w sen wieczny i świat nigdy nie zapomni o Byronie.

- Jestem ostatnim z rodu Szalonych Lordów - powiedział do mnie Byron.

Uśmiechnął się kpiąco i wskazał na coś oczami.

- Mnich... - szepnęłam drżącym głosem, spoglądając na niewyraźną sylwetkę.

Widmo stało w odległości może trzech metrów od nas i fosforyzowało zielonkawymi punkcikami - jakby stworzył je olbrzymi rój świetlików. Odziana w habit zjawa uniosła dłoń. Jej twarz lśniąca bielą w otulinie czarnego kaptura była posepna, ale i pełna mądrości.

- Zwykle nie nazywam go upiorem, choć potrafi stać się całkiem materialny, byle bardziej mnie dręczyć.

Czarny kaptur zaszeleścił, gdy Mnich odrzucił go do tyłu. Szorstkie rysy wygładziły się, na twarzy zjawy zagościła dobroć i łagodność.

Byron westchnął ciężko i usiadł na niskiej sofie. Zaczął mówić tonem wykładowcy:

- Zamek Newstead był kiedyś klasztorem imienia Najświętszej Marii Panny i mieniem zakonnym augustianów. Henryk VIII skonfiskował go i sprzedał za osiemset ówczesnych funtów jednemu z moich przodków, sir Johnowi. Niestety, sir John dopuścił się skrytego zabójstwa na jednym z wyjątkowo opornych i bardzo religijnych mnichów, a ten przeklął po mieczu cały ród Byronów. Ponoć sir John właśnie mieczem odrąbał augustianinowi głowę, ale to chyba nieprawda. Przecież wtedy mnich nosiłby czerep pod pachą, czyż nie?

Nagle rozległo się stłumione szczekanie; przy nogach Mnicha pojawił się widmowy pies. Oczy Byrona lśniły mocnym wzruszeniem:

- Bosman. Bosman, malutki...

Ledwie widoczny spaniel zamajtał ogonem, ale nie ośmielił się pokonać linii dzielącej światło i cień.

Ja tkwiłam nieruchomo jak nieposłuszna żona Lota.

- Hej, panienko Ireno! Daj mu kota. Tylko pamiętaj, nie przekraczaj granicy chłodu.

Skinęłam głową.

Zaczął padać deszcz, a nieistniejący pies zaskuczał cichutko. Położyłam zwłoki Teodora na moknącej trawie i odsunęłam się. Zjawa wzięła kota w ramiona, bardzo ostrożnie, jakby podnosiła nowo narodzone dziecko.

- Teodor nie znoś deszczu.

- Ciii... - Byron ucałował moje czoło, jakbym była jego siostrą.

- To ona jest morderczynią! Ona wypija krew! - wołał do prefekta Polidori, wskazując na mnie drżącą dłonią.

Prefekt spurpurowiał. Towarzystwo wydawało się skonfundowane i niczym dzikie ptactwo tłoczyło się to przy zimnym kominku, to przy stole.

- Niestety, panie prefekcie, to narkoman. - Byron westchnął współczująco.

Z godnością ukryłam boscie stopy pod fałdami sukienki.

- Przeziębi się pani - rzekł rycersko prefekt.

Z ust Polidoriego wytrysnęła ślina oburzenia:

- Ta nieludzka bestia wczoraj chciała mnie zamordować! Zadusić lub skrócić mi kark. Dalej! Czemu pan, do diabła, nic nie robi?! Niech szwajcarzy ją zakują w mocne kajdany, a potem dalej, wołać księdza!

- Pastora - poprawił prefekt. - Biedak, sprawa z tymi morderstwami...Wszyscy jesteśmy przemęczeni. - Otarł z czoła nieistniejący pot.

- To Coś podające się za kobietę jest obrzydliwym, żądnym krwi stworem, którego ostatecznie trzeba ubić na starożytny sposób - syknął Polidori.

- Oszalał. Wczoraj wydzierał się i wariował ze zwidami, aż musieliśmy uśpić go eterem. - Byron strząsnął niewidzialny pyłek z rękawa swojego musztardowego surduta. I zaczął pogwizdywać. Drażniło mnie to i musiałam się natrudzić, by utrzymać kły na wodzy.

- Rzucam służbę! - ryknął Polidori do Byrona.

- Biedny historyku, a kto cię zechce? Kobieta cię odrzuciła, to teraz...

Polidori rzucił się z kwikiem na Byrona, ale został wręcz niedbale powstrzymany przez wielkiego szwajcara z prefektury. Szamotanina nagle ustała; równocześnie wszyscy spojrzeli na trzęsącą się i potwornie bladą Mary, która wysunęła się do przodu i próbowała coś powiedzieć.

- To ja... To moja wina... To przeze mnie.

Shelley próbował dawać jej jakieś znaki, ale go uciszyła.

-Ja... My z Percym zrobiliśmy to z litości, a może z nadziei, że każde stworzenie ma prawo do... do życia. - Zaczęła płakać.

Shelley westchnął głęboko, jakby powziął jakąś trudną dla siebie decyzję. Delikatnie ujął swą przyszlą żonę pod łokieć i poprowadził. Niecierpliwie ruszyliśmy za nimi: ja z Byronem, prefekt, Claire, nawet Polidori, wciąż obserwowany przez jednego ze szwajcarów.

- To tutaj... - powiedział cicho Shelley, przystając przy drewnianej przybudówce letniego domku.

Łkając, przerywanym głosem Mary mówiła do prefekta:

- Nie mogę mu darować, Boże wybaczyć, że zabił tego chłopca...Ja... A on... Ile w nim z człowieka, ile ze zwierza... Nieszczęśliwe dziecko zhańbionej natury, pewnie owoc kazirodztwa! Widziałam, jak zamordował wioślarza. Wpadł w jakiś szal, ot tak, bez powodu... Jest mi przykro. I wstyd...

Nie wiedzieliśmy, czy wstydzi się tego, że ukrywała stwora, czy tego, że oddaje go w ręce ludzkiej sprawiedliwości.

Kłódka szczęknęła. Poczuliśmy odór odchodów. Ktoś zapalił dodatkową pochodnię i zrobiło się dużo jaśniej. Potwór umknął w najodleglejszy kąt, najwyraźniej bojąc się światła. Monstrum było olbrzymie, znacznie przewyższało wzrostem najrośniejszego ze znanych mi mężczyzn. Szerokie w ramionach i klatce, sylwetkę miało w dziwaczny sposób otłuszczoną i zwalistą.

Prefekt uczynił znak krzyża.

- Mary, zawołaj go - poprosił Shelley.

W jego głosie brzmiała delikatność i urok aksamitu. Zaprawdę, iście anielska była to para.

- Prometeuszu. Prometeuszu, chodź do mnie. Chodź do... mamy - zaświergota Mary.

Potwór uniósł się ciężko, jakby nosił na piersi wielki, niewidzialny ciężar i powłócząc nogą, podszedł do nas. I zobaczyliśmy oblicze straszdyła.

- Och! - wyrwało się z czyichś ust.

Ktoś inny chrząknął, kiedy wielki szwajcar krępował mordercę, wołając donośnie na swojego towarzysza, który został przy łodzi, na pomoście.

Prefekt zmrużył zadowolone oczka.

- Zapewne będzie po państwa myśli, bym już państwa tutaj nie niepokoił, a te okropne zeznania spisał w Villa Diodati.

- Przygotuję panu kąpiel - powiedziała cicho kochanka Byrona.

- Pogoda ma się poprawić. Claire, tak mówili w Genewie, prawda? Wypadałoby wreszcie zacząć te wycieczki w Alpy. Zobaczyć z bliska Mont Blanc; czy nie po to tu przybyliśmy? - Shelley wciąż przebywał w swoim odrealnionym świecie.

Ja patrzyłam na oblicze uwięzionego Prometeusza, kiedy wszyscy inni odwracali od niego wzrok. Był to zwykły chłopak, choć niedorozwinięty i potężnie zbudowany. Miał księżycową twarz, a oczy jak studnie, ciemne i puste. Rude brwi nie czyniły go groźnym, wręcz przeciwnie, odnosiło się wrażenie, że patrzy na ciebie skrzywdzona sarna. Czy zachowywał tę mimiczną niewinność, kiedy zabijał trawiony szalem?

Krew w winnicy zasypano piaskiem.

Wyjeżdżałam z Villa Diodati - niestety, Byron nie wyszedł mnie pożegnać. Przez lokaja podał mi jedynie wypchaną sakiewkę (piękną, z burgundowego adamaszku). Doceniłam ten gest, dość niepospolity u tego dłużnika połowy wesołej Anglii. Przy odjeździe towarzyszyła mi tylko Claire Clairmont. To w jej opuchniętą twarz patrzyłam, czekając na łódź, która miała przybyć po mnie z Hotelu Angielskiego. I właśnie ta twarz była ostatnim, co pamiętam z Villa Diodati. Ta twarz i cała rezydencja połączyły się na zawsze w moich ponurych wspomnieniach.

Siedziałam na przystani, a w uszach wciąż dźwięczały mi ostatnie słowa lorda: „Miłość? Szczerze mówiąc, uważam ją za transakcję między wrogimi stronami”. Pomiędzy mną a Claire nie padło wiele słów.

Od czasu do czasu dostawałam listy od Byrona. Potrafił mnie odnaleźć tu czy tam. Zawsze pozostawiał mnie z jakimś niedosytem własnej obecności, i ani nudą, ani monotonią,

właściwą przecież śmiertelnym, nie próbował przygasić mojej życiowej iskry. Byłam jego największą wielbicielek. Gdyby tylko zapragnął, przemieniłabym go w wampira, ale on nie chciał o tym słyszeć.

Dwa tygodnie temu przeżyliśmy okropną przygodę ze słoniem, który uciekł z zagrody, zniszczył stragan z owocami, zabił sprzedawcę, wpadł do kościoła i w końcu został zastrzelony pociskiem z armaty sprowadzonej specjalnie z Arsenалу. Widziałem go na krótko przed ucieczką: stał na Riva, a jego opiekunowie wabili go bochenkami chleba, żeby wszedł na barkę. Po południu podpłynąłem do niego gondolą; zabawiał się, ciskając we wszystkie strony gałęziami i kamieniami. Mimo to nie sprawiał wrażenia bardzo rozzłoszczonego; prawdziwa wściekłość ogarnęła go dopiero koło północy, kiedy wykazał się nadzwyczajną siłą, niszcząc wszystko, co napotkał na swojej drodze. Strzały z muszkietów nie na wiele się zdały, skłoniły go tylko do szarży, a wtedy Austriacy porzucili broń i rozpiechli się na wszystkie strony. Wreszcie sprowadzili armatę. Drugi strzał trafił w cel, zabijając go niemal na miejscu. Nazajutrz oglądałem jego imponujące zwłoki. Oszalał z żądy, ponieważ był to akurat czas, kiedy potrzebował partnerki.

George Gordon, lord Byron (Wenecja, 1818)

CMENTARZ HIGHCATE, UPIEC 2002

...Ktoś potrząsa moim ramieniem, jakby dając znać, że pora wrócić do tej rzeczywistości, do tego życia przesyconego smogiem i przetworzonym elektronicznie głosem Madonny. „Materiał Girl” znowu jest brunetką - zupełnie jak ja. Irena prawie bazyliissa, Irena Gallipoli, Irena Jones. Ile było już tych Iren?

Wyrwał mnie ze wspomnień cmentarny stróż. Teraz pochyła się nade mną jego poorana twarz, a oczy, które na pewno mają początki zaćmy, mrużą się i próbują bacznie zlustrować moje oblicze.

Szybko wstaję i prostuję się. Rozciągam twarz w uśmiechu.

Stary stróż nadal patrzy na mnie nieufnie. Pewnie wziął mnie za narkomankę, którą wyraźnie kręci Karol Marks. Co za odlot!

Zrobiło się chłodniej, więc pociągam nosem. Powinnam powiedzieć staruszkowi „przepraszam”, albo coś w tym stylu, ale nagle łapie mnie przekorny nastrój i zaczynam recytować zakończenie Giaura:

Umarł - nie doszedł nikt po jego zgonie,

Jak się nazywał; w jakiej świata stronie

Jego ojczyzna; - ostatnie wyznania
Mnich tylko słyszał we chwilach skonania.

Tyle zostało o Giaurze podania

I o Leili, która on postradał.

I o Hassanie, któremu śmierć zadał.

Dziadek czmycha jak spłoszony zając. Za chwilę wróci tu ze strażą. Zresztą i tak już zamykają cmentarz; trzeba przenieść się do innego lokalu.

Żyć nie umierać! Krew i wino pić!

Dla nas kobiety, wino, śmiech, śpiewanie,

jutro sodowa woda i kazanie!

Byron umarł w 1824 roku na atak febry. Stało się to w Grecji, gdzie popłynął wesprzeć miejscowe zrywy niepodległościowe. Grecy próbowali zrzucić z siebie tureckie jarzmo. Dwa lata wcześniej śmierć zabrała Percy'go Bysshe Shelleya. Utonął podczas burzy, gdy przebywał na swoim jachcie nazwanym od utworu Byrona „Don Juanem”. Jego ciało złożono pośrodku wzniesionego na plaży stosu i podpalono. Potem w prochach odkryto niespalone serce. Ktoś je zakonserwował w alkoholu i podarował Mary Shelley.

Mała Mary stworzyła Frankensteina - jak pisała we wstępie do powieści, książka powstała natchniona wydarzeniami czerwca 1816 roku, który wesołe towarzystwo spędziło w Villa Diodati.

Również rodowodu Wampira Johna Williama Polidoriego można upatrywać w miedzianym smaku tamtego lata. Smak krwi długo trwa na języku - Polidori oszalał i umarł gdzieś w okolicach 1821 roku. Otruł się. Wcześniej próbował umknąć do klasztoru, ale nie przyjęto go do nowicjatu „ze względów obyczajowych”. Nie mam pojęcia, co się stało z Claire Clairmont, wiem tylko, że jej córka zmarła we wczesnym dzieciństwie.

Przebiega przede mną jakaś dziewczynka. Ma złote, długie włosy. Fantazyjnie przycięta grzywka opada jej na połowę twarzy. Zielonkawe dzinsy rozpoznaję jako te z dziecięcej serii Versace. Mała może mieć około dziewięciu lat. Rozwiązały jej się sznurowadła. Przebiegnie jeszcze kilka kroków i wyłoży się jak długa na żwirze, zaryje nosem przed którymś z nagrobków. „Stój!”, krzyczę.

O dziwo, dziecko posłusznie zatrzymuje się. Podchodzę do niej. Kucam i zaczynam wiązać motylki na sznurowadłach; jestem na tym skupiona, a wtedy dziewczynka ściąga przyciemniane okulary z mojego nosa. Zaskakuje mnie: spogląda w niczym nieosłonięte oczy

wampira, w których płynne złoto życia wiruje z krwią niczym spirale na aborygeńskich malowidłach. Dzieciak nabiera do płuc powietrza i zaczyna krzyczeć. Wrzeszczeć tak, jak potrafi się tylko do lat dwunastu...

W tekście wykorzystano fragmenty Giaura George'a Byrona w tłumaczeniu Adama Mickiewicza, listów Ady Byron, listów i poezji George'a Byrona w tłumaczeniu Zofii Sroczyńskiej oraz Frankenstein Mary Shelley w tłumaczeniu Henryka Goldmanna.

GORZKI POPIÓŁ

O, zróbcie mojej milej trumnę
Ze złota, cała lśniąca,
Niech będzie pochowana w niej
Na brzegu pod wierzbą płaczącą.
Piosenka ludowa z Somerset

BOSTON, 1887 OPOWIEŚĆ WAMPIRZYCY

Przedmiot wyglądał niepozornie - naśladowająca kształt dłoni deseczka, osadzona na trzech nóżkach; z przodu miała wycięty otwór, w którym umieszczano pióro. Rzecz miała służyć do porozumiewania się z duchami zmarłych za pomocą pisma automatycznego.

Jakkolwiek dziwnie to wszystko brzmiało dla trzeźwego umysłu, urządzenie zrobiło furorę. Na jednych podwieczorkach zabawiała się nią podochocona młodzież, na innych sabaty ich ciotek, znudzonych starych panien i wdów. Niepokojącą zabawą (bo pismo automatyczne było przez długi czas klasyfikowane tylko jako zabawa niewiele groźniejsza od pasjansa) nie gardziły rajfurki, guwernantki, profesorowie w męskich internatach i rozochoceni młodzi mężczyźni, pragnący odetchnąć od pokera.

Duchowni byli zaniepokojeni nową modą, która jawnie kłóciła się z biblijnym zapisem: Me znajdzie się pośród ciebie nikt, kto by uprawiał zaklęcia, pytał duchów, widma, zwracał się do umarłych. Obrzydliwy jest bowiem dla Pana każdy, kto to czyni. Nabrali jednak wody w usta i milczeli o niej w swoich kazaniach, szczerze się obawiając, by salonowej rozrywki nie uczynić bardziej tajemniczą, a przez to bardziej kuszącą.

Skoro o tym wspominam, musieliście się domyślić, że i ja w swoim czasie zainteresowałam się pismem automatycznym, a dokładniej całym ruchem spirytystycznym. Po pierwsze, czyniłam to, by zabawić się w długie, zimowe wieczory, które zwykle spędzałam samotnie. Po wtóre, nurtowało mnie pytanie: czy tylko wampiry są jedynymi ziemskimi stworzeniami zdolnymi do nieśmiertelności, okupionej krwią i morderstwami, czy też każdy śmiertelnik nosi w sobie iskrę, która w odpowiednim czasie mogłaby go umieścić przed obliczem Boga na wieczność? Tak, moja długa egzystencja zachwiała filarami wiary wpojonej mi w piętnastowiecznym Konstantynopolu, kiedy jeszcze byłam dzieckiem.

Jednakże przyszło mi zawędrować w czasy, kiedy wielkie katedry ustępowały miejsca stoczniom, dworcom, a potem stacjom metra. Mimo to można było w dzień pasjonować się wynalazkami nowoczesnej techniki, a wieczorem wywoływać duchy przy migoczącym blasku świec.

Zdecydowanie nie tylko ja, lecz całe stulecie wyznaczone przez rok tysiąc osiemsetny cierpiało na pewien rodzaj społecznej schizofrenii.

Odłożyłam manuskrypt, w którym opisywałam moje losy, i zajęłam się wywoływaniem duchów. Służyły do tego ten sam papier i to samo pióro. Atrament spłynął ze stalówki na białą kartkę.

Kleks. Poza tym nic się nie działo. Moja blada dłoń leżała na deseczce, dwa szczupłe palce przytrzymały obsadkę. Staralam się rozluźnić, uczynić rękę lekką jak piórko i podatną na najmniejszy nacisk Stamtąd. Wyczyścić umysł z szumu myśli pełnych podniet i niepokoju. Mogłam trwać w takim letargu przez wiele minut, aż atrament wysychał i duch musiałby ryć stalówką dziury w papierze - rzecz jasna, gdyby się pojawił. Jednakże i tym razem nie było żadnej manifestacji. Nic nie zostało napisane. Deszczułka nawet nie zadrżała. Dobrze, że odznaczałam się cierpliwością, bo nie raz i nie dwa wrzuciłabym drewno w trzewia nieczynnego kominka, rozpaliwszy w nim wpierw z tej okazji ogień.

Wzięłam srebrny kapturek z dębowego stołu, przy którym, odkąd tu przyjechałam, zwykłam pracować, i zgasłam płomień świecy. W poświęcie księżycy zamigotały nieliczne meble, jakie sprowadziłam do tej opuszczonej kamienicy stojącej przy cmentarzu.

Ludzie zwykle odznaczają się krótką pamięcią o swoich najbliższych zmarłych, wiedziałam więc, że nikt nie będzie mnie niepokoił. Podeszłam do okna: na szybę kwiatami z lodu wpełzał mróz. Z ludzkiego przyzwyczajenia, którego nie zdołało wypełnić trzysta lat w ciele wampira, zmrużyłam oczy i wbiłam wzrok przed siebie. Widziałam rozbitą, cmentarną bramę, zrujnowany mur, pozbawiony części kamieni, rozkradziono je bowiem do dzikich budowli, ponurą kaplicę pogrzebową. Kamienne krzyże tuliły się jeden do drugiego. Zdrętwiał mi koniuszek języka, gorzka ślina wypełniła usta i poczułam pragnienie krwi. Nadeszła pora na polowanie.

Wyszłam przez bramę. Kamienny gargulec śledził moje ślady na skrzypiącym pod butami śniegu. Poczułam się jak wewnątrz popularnej zabawki, szklanej kuli, z zamkniętą w środku porcelanową, alpejską wioską. Wystarczyło, że dziecko nią potrząsnęło, a wszystko kotłowało się od śniegowych płatków. Kiedy przechodziłam obok cichego i opuszczonego cmentarza, jakiś wewnętrzny impuls nakazał mi odwrócić głowę. Równym krokiem zmierzałam do portowej dzielnicy, bo tam najłatwiej było znaleźć znużoną nierządnicę, która

za opłatą mitycznego obola podawała mi nadgarstek do pocałunku (nie rozgrzewał może jak dzin, ale przynosił kojące sny), podpitego żebraka, śmierdzącego tak, że kły same cofały mi się w głąb dziąseł, czy dziarskiego studenta, smakującego adrenaliną niczym przestraszony zając. Nie gardziłam też marynarzami, choć lękałam się ich, bo jak i ja byli stworzeniami pozbawionymi domu, a u takich nigdy nie wiadomo, co mają wypisane przez Anioła Stróża na sercu. Tamtej zimy zostawiłam za sobą wiele zamrzniętych ciał. Byłam towarzyszką samej siebie, ale to tylko wzmagало frustrację i gniew czające się za węglem mojego umysłu. Czułam się odrzucona, a moje ciało prosiło o dotyk niekoniecznie kogoś ulepionego z ektoplazmy.

Chciałam życia! Chciałam wiosny zamiast zimy! Widoku na oblany światłem świtu i pachnący herbata port, który dzięki zadymionym szkiełkom mogłam pooglądać przez jakże krótką chwilę. Zdecydowanie dziwaczałam w tym miejscu, niegdyś błogosławionym przez Boga, a obecnie przechodzącym inwazję szczurów.

Właśnie za myszkującego pośród szmat szczura wzięłam kształt, który wyłonił się przy końcu pewnej ulicy. Pomiedzy dwoma prostopadłymi do siebie kamienicami (z czego jedna zamykała prawie prześwit rynsztoka) siedziała mała żebraczka. Mogła mieć nie więcej niż dziesięć lat (gdyby była starsza, zapewne wybrałaby inną profesję, a nie trudniła się sprzedawaniem zapalek), ale męskie, znoszone ubranie przydało jej wieku i zgasiło urodę. Zresztą nic tak jak bieda nie deformuje ludzi na ciele i duchu. Zastanawiałam się, czy dziewczynka może mieć gruźlicę.

- Masz tytoń? - spytałam.

- Nie, nie wolno mi. Sprzedaję tylko zapalki - powiedziała sennym głosem.

- Z jednym i drugim byłoby ci łatwiej.

Wzruszyła ramionami.

- Jak masz na imię?

- Rozalia.

Wzięłam Rozalię w swe przyjazne ramiona i uwolniłam ją raz na zawsze od głodu i chłodu. Pomyślałam sobie, że może ona - skoro zgładziłam ją tak okrutnie - będzie pierwszym duchem, który napisze do mnie z zaświatów list (może pełen grózb i pretensji?), ale potem uświadomiłam sobie, że mała najprawdopodobniej była analfaberką. Poczulałam do samej siebie niesmak. Byłam potworem.

HYDESVILLE, 1848

Cisza. Ciemność. Dokuczliwy chłód obudził Kate. Dziewczynka przetarła oczy i dostrzegła w nikłym świetle nowiu, że jej siostra Margaret ściągnęła wspólny koc na swoją część łóżka i opatulila się aż po odstające uszy. Sterczały tylko blade palce stóp, drgające teraz spazmatycznie, jakby śpiącej śnił się bieg po łąkach. Kate pociągnęła za sterzący róg koca, raz i drugi. Wszystko na próżno.

Margaret, starsza od Kate o dwa lata, była dość duża jak na ośmioletnią dziewczynkę. Wdała się w matkę, grubokościstą córkę farmera. Co innego ojciec, chłop drobny jak szczaw wiosną. Mała westchnęła i ze zdumieniem popatrzyła na parę wydobywającą się z ust i nozdry. Jak mogło zrobić się aż tak zimno? Przecież była pełnia lata! Zadrżała. Przedramiona i łydki wystające spod sztywno krochmalonej koszuli nocnej pokryły się gęsią skórką. Dziewczynkę przeszedł silny dreszcz i poczuła strach. Coś zaszumiało - nie drzewa za oknem, tylko coś tuż obok, w kącie pokoju! Najchętniej schowałaby się cała pod kocem, nie było to jednak możliwe. Nagle stopy Margaret podskoczyły spazmatycznie, a potem znieruchomiały. Rozsunęły się na boki jak u nieboszczyka. Coś lub ktoś zatrzymał dziewczynkę w jej sennym biegu.

- Margaret?

Żadnej odpowiedzi.

Potem ciche stukanie, drapanie po framudze drzwi.

Mała Katty poczuła nagłą suchość w ustach. Język zdrętwiał jak kołek. Skreśliła w powietrzu znak krzyża. Stukanie powtórzyło się.

- Czy ktoś tu jest?

STUK-STUK.

Pisnęła jak zraniony ptak. Cofnęła się, gwałtownie uderzając głową o nisko zawieszoną półkę, na której stała rodzinna Biblia.

Księga łagodnie przewróciła się na bok, przez moment balansowała na krawędzi półki, w końcu zsunęła się, uderzając dziecko w brzuch. Upadła otwarta. Gdyby miała potrafiła czytać i miała lepszy wzrok, w półmroku dostrzegłaby słowa: „Umarli nic nie wiedzą, ich myśli zginęły, nie mają żadnego udziału w czymkolwiek, co dzieje się pod słońcem, nieznane im są ani radości ani smutki tych, którzy byli dla nich najdroższymi na ziemi”.

Nagle Margaret odrzuciła koc z twarzy. Uśmiechała się złośliwie.

- Katty! Przestraszyłaś się, kiciu? To przecież tylko ja... - Margaret w osobliwy sposób zaczęła strzelać dużym palcem u nogi, pocierając go o jego sąsiada.

Stopy miała zniekształcone od urodzenia nie tylko płaskostopiem, jej palce często wypadały ze stawów.

- Jesteś wstrętna! Oddawaj koc! - Kate zaczęła ją boksować piąstkami. - Powiem wszystko tacie.

- Już dobrze, dobrze! Uspokój się! Dam ci jutro swoją część miodu, a teraz się przytul. Margaret, zdając sobie sprawę, że może przeholować, pocałowała siostrę w czoło i otuliła ją kocem.

- Weź Pana Karolka, jeśli chcesz - powiedziała, podtykając jej pod nos wytartego pluszowego misia z oberwanym uchem. Wprawiono mu oczy z matowych, źle wytopionych guzików.

Kate wahała się przez chwilę, zadrżała.

- Nie teraz. Nie mogę. - Gnana nagłą potrzebą dziewczynka zsunęła stopy na podłogę. Starła się iść cicho, by nie obudzić śpiących w pokoju obok rodziców. Margaret ziewnęła i przeciągnęła się; znów było słychać, jak strzelają jej kości.

- Tylko żeby cię nie zjadł Król Płatonogi!

Mała odwróciła się i pokazała jej język, choć w panującym półmroku było widać jedynie trójkątny kształt jasnej koszuli.

Dziewczynka wyszła, nie zamykając za sobą drzwi. Przemknęła wyciszonym korytarzem w kierunku wyjścia, przesunęła prymitywny zamek, trzasnęła zapadka. Wyszła w noc. Skręciła, zrobiła kilka kroków, następnie przykucnęła i zadarła koszulę. Nasikała tuż pod kuchennym oknem. Czują pierwszą woń rosy.

Gdzieś daleko odezwał się ptak.

Wytarła ubłocone nogi w szmatę leżącą przy progu i wtedy znowu usłyszała ten szum. Teraz skłonna była przypuszczać, że wydaje go suknia przesuwająca się po mokrej trawie. Trzask! Zakryła usta, by nie krzyknąć „Margaret!”, i pobiegła.

Stała w pokoju. Margaret spała w najlepsze. Na Kitty czekała zaścielona połówka łóżka, pilnowana przez Pana Karolka. I nagle dziewczynka zorientowała się, że drzwi od szafy są uchylone i wygląda z nich mrok.

- Król Płatonogi!

Drzwi szafy trzasnęły, zamykając się, a za moment z głuchym skrzypieniem zaczęły się otwierać. Znowu się zamknęły i znów otworzyły... Ktoś - lub coś - zapraszał dziecko do środka. Ktoś - lub coś - stukał rytmicznie pomiędzy koszulami, sukienkami, ślubną suknią matki.

„Kate-Kitty, miauu, miauu, miauu”.

Pociągnęła za rzeźbioną gałkę mebla i zakrztusiła się zapachem lawendy odstraszałej mole. Później weszła w mrok, który otulił ją niczym gorący, wilgotny koc; przyjął jak przyjaciółkę.

BOSTON, 1887 OPOWIEŚĆ WAMPIRZYCY

Do Bostonu przybyłam, będąc w żałobie po Emily Dickinson, ale to nie ducha mojej lubej przyjaciółki pragnęłam wywołać. Jej śmierć uwolniła mnie od „ludzkich” zobowiązań - jedynej mojej przyjaźni. Tak skutecznie, że na powrót odezwał się we mnie zew wędrówki. Nie chciałam jeszcze opuszczać Stanów. Przynajmniej nie do chwili, kiedy po raz wtóry rozsmakuję się w życiu w pojedynkę, a poprawa pogody sprawi, iż drogi będą przyjaźniejsze dla dyliżansów. Myślę, że cierpiałam na lekką melancholię. Skończyły się czasy hucznych zabaw. Niezauważenie dla mnie, która wybrałam odosobnienie w Amherst, świat skrył się pod szarym, wiktoriańskim woalem. Skoro nikt już nie śpiewał, a kuglarze przestali przemierzać ulice, musiałam rozproszyć smutki za pomocą fantazji oraz lektury. W bieżącym stuleciu szerokie masy po raz pierwszy doceniły istnienie książek. Antykwariaty i biblioteki powstawały niczym grzyby po deszczu. Tych drugich z premedytacją unikałam, bo byłam pewna, że nie zwalczę pokusy przywłaszczenia sobie co bardziej interesujących woluminów. Na szczęście nie musiałam już cierpieć ubóstwa, gdyż z pomocą pośredników zaangażowałam się w obrót weksłami i mogłam za swoje literackie fanaberie płacić brzęczącą monetą.

Wieczorami często wychodziłam na osobliwe książkowe łowy.

Szczególnie upodobałam sobie jeden z antykwariatów, zwany naukowym. W parterowym pomieszczeniu pachnącym kurzem i terpentyną ciemne regały pełne pism wznosiły się od podłogi aż do sufitu. Półki były oklejone informacyjnymi napisami wykaligrafowanymi na zgrabnych tekturkach: Botanika, Historia sztuki, Retoryka, Gospodarka, Matematyka, Alchemia etc. W ten sposób posegregowano całą dostępną owej zimy w Bostonie wiedzę.

Pewnego dnia weszłam do tego przybytku tak, jak to miałam w zwyczaju; zabrzmiał dzwonek przy poruszonych drzwiach, a starzec antykwariusz, rzecz jasna znający mnie już dobrze z widzenia, skinął głową na powitanie. Otrzeptałam buty ze śniegu.

Choć moja twarz przy zmianie temperatury nie oblewała się rumieńcem, to z przyjemnością odnotowałam obecność żelaznej kozy, której trzewia rozgrzane były do

czerwoności. Pociągnęłam nosem - antykwariusz palił sprowadzane sobie tylko znanymi kanałami kadzidelka o zapachu fałszywego opium oraz mirry.

Niegroźny to był nałóg w porównaniu z nadużywaniem chloralu, o co go podejrzewałam. Oprócz nas w środku była jeszcze jedna osoba, brzuchaty klient, który próbował zamaskować swą tuszę doskonale skrojonym, choć nieco staroświeckim ubraniem.

Spoglądał na mnie potępiającym wzrokiem zza zsuwających się uporczywie z nosa okularów. Dla niego byłam młodą, niezamężną kobietą, która ośmieliła się wyjść na przechadzkę bez przywoitki. Uśmiechnęłam się, widząc, co przegląda. A był to album przedstawiający dokładne rysunki antycznych rzeźb, pełen nagich nimf i rozochoconych bogiń. Zobaczył moje spojrzenie i zaczerwienił się. Nie zwracając na to uwagi, podeszłam do regału Biografie i jakby od niechcienia przekartkowałam historię cesarzowej Bizancjum, Teodory. Kobiety, której oszałamiająca uroda oraz idący z nią w parze spryt pozwoliły na opuszczenie nędznych komnat przynależnych córce niedźwiednika i omotanie, a wręcz całkowite uwiedzenie cesarza Justyniana, a wreszcie wydanie się za niego.

Zamknęłam książkę, gdyż zatęskniłam za domem. Powędrowałam tam, gdzie zwykle, do mrocznego kąta antykwariatu opatrzonego hasłem Spirytyzm. Wspięłam się na palce, by dosięgnąć monograficznego opracowania Allana Kardeca; z tego, co było mi już wiadomo, był czołowym autorytetem w tej dziedzinie.

Zdmuchnęłam z tomu kurz, który jest wszędzie tam, gdzie są książki, nawet te najbardziej kochane i najczęściej pieszczone.

Zagłębiłam się w lekturze.

Duch jest istotnością inteligentną; jego natura wewnętrzna jest nam nieznana; dla nas jest niematerialny. Duchy są istotami indywidualnymi; posiadają osłonę eteryczną, nieważką, nazywaną perispritem, rodzaj ciała fluidycznego o formie ludzkiej. Skoro osłona zewnętrzna zużyje się i nie może spełniać dłużej swych funkcji, odpada - a duch wyzwala się z niej jak owoc z łupiny. Śmierć nie jest niczym innym jak zniszczeniem grubej powłoki ducha; ciało umiera, duch nie umiera.

Nagle poczułam na swoim łokciu uścisk palców antykwariusza. Uścisk zaskakująco silny i precyzyjny jak na mężczyznę w jego wieku. Spojrzałam pytająco, ale twarz miał nieprzeniknioną.

- Proszę za mną. Mam coś, co panią zainteresuje - powiedział.

Zaintrygowana, odłożyłam tom i poszłam za nim na zaplecze.

Grubas zniknął i zostaliśmy w antykwariacie sami. Spodziewałam się znaleźć w dusznej i zadymionej kanciapie, a wprowadzono mnie do elegancko umeblowanego i świeżo wysprzątanego pokoju.

Jedynym odstępstwem od pedantycznej normy były turecka otomana oraz hebanowy sekretarzyk. To właśnie z szuflad owego mebla starzec wydobył skórzany album na zdjęcia oraz orzechowe pudełko do przechowywania szklanych negatywów. Zaprosił mnie swobodnym gestem, bym usiadła na otomanie, a on sam zaczął wykladać swe skarby na towarzyszący jej niski, okrągły stolik.

- Interesują panią duchy? - zapytał wyraźnie pro forma.

Poczułam, że szpilka przytrzymująca na swoim miejscu kapelusz poluźniła się i kłuje mnie w potylicę. Najwyraźniej za ciasno też zapięłam na nadgarstkach rękawiczki z koziej skóry...

- Interesuje mnie śmierć.

O, gdybyż było to możliwe

Ujrzeć na krótką chwilę

Dusze kochanych, aby rzekły,

Gdzie i czym są, choć tyle!

Skończywszy cytować fragment Maud Alfreda Tennysona, z wdziękiem prestidigitatora rozłożył okładki albumu.

To były fotografie martwych. Album zawierał portrety bladych dzieci, które zmarły z powodu epidemii koklusu w Meksyku. Obrazy pól bitewnych w chwili, kiedy dym z muszkietów jeszcze nie zdążył się rozwiać. Krwawe pocztówki z afrykańskiego safari, gdzie ciała lwów leżały poukładane w długim szeregu - aż trudno było uwierzyć, że jakiś przedstawiciel tego gatunku umknął zagładzie strzelającego kija.

Przymknęłam powieki.

- Niektórym to nie wystarcza.

Kolejne fotografie budziły jeszcze większy niepokój. Oto sepiowy portret zatrzymanego w miejscu pogrzebowego konduktu, któremu niewidzialnie dla żałobników towarzyszył duch zmarłego - co ciekawe, o mniej mglistej postaci niż cała reszta. Dalej był upiorny ptak bijący skrzydłami nad głową medium. Uchwycona w obiektyw-duchołapkę biała dama, rzucająca przekleństwa na blankach zamku, znajdującego się gdzieś w Europie Wschodniej. Były też niezliczone zastępy zjaw nad wirującymi stolikami. Upiorne niemowlę uśmiechające się zza woskowej twarzy zeszywniałego już na dobre ciała. Martwa kobieta pieszcząca ektoplazmatycznymi ramionami nic niepodejrzewającego kochanka.

- Skąd...?

- Och, większość z nich to fałszerstwa. Fotomontaże wykonane przez szajkę zdolnego i pozbawionego skrupułów bostończyka, niejakiego Williama Mummlera. Nie wszystkie jednak. Te fotografie powstałe po sześćdziesiątych latach dziewiętnastego wieku, kiedy to Mummlerowi się zmarło, są autentyczne.

- Chce pan powiedzieć...

- Że są to manifestacje duchów. Nie jestem pewien, czy chodzi tu o jakąś szczególną wrażliwość jodku srebra pokrywającego negatywowe podłoże. W każdym razie bardziej podejrzewam nieświadomą część umysłu fotografa, która przejmując wiadomość zza grobu, a potem rzutuje swe wizje na negatyw.

- Mówi pan o mediach?

- Nie. Ludzie mający świadomy kontakt z zaświatami oczywiście istnieją. Ja sądzę jednak, że duchy odwiedzają każdego z nas, czy w to wierzymy, czy nie. Nazywam tę zdolność empatii szóstym zmysłem.

- Nie mam nic takiego! - Wczorajsza krew podeszła mi do gardła.

Uderzyłam kolanem w blat stolika, z którego zsunął się nieobejrzany jeszcze dagerotyp.

- Jak to? Wydawało mi się, że to właśnie tę swoją część próbuje pani przebudzić. Że z kimś próbuje się pani skontaktować.

- Pan mnie nie rozumie. - Na dagerotypie widniały dwie dziewczynki, osobliwie sportretowane w krochmalonych, panięskich koszulach.

Wzrok dzieci zdawał się przenikać daleko, poza ramy zdjęcia; poza tym nie różniły się niczym od swoich przeciętnych rówieśnic. Ot, dwójka zwyczajnych, szarookich córek jakiegoś farmera, którego dziadkowie przybyli tu z Niemiec albo Irlandii.

- Też są martwe?

- Siostry Fox. Ta mniejsza, Kate, już nie żyje... Swego czasu uchodziły za dwa najpotężniejsze media w Stanach. Dopóki tej starszej nie przyłapano na oszustwie: miała preparować odpowiedzi ducha, strzelając z palców u stóp. Osobliwe, a był z tego duży skandal.

- A młodsza? W jaki sposób umarła?

- Banalnie. Wylew krwi do mózgu. Wielka szkoda, ale jeszcze gorzej, gdyby odeszła Margaret. Zawsze była zdolniejsza. Nawet w dzieciństwie przerastała siostrę talentem. Osobliwie musi się czuć dzisiaj, od tylu lat zanurzona w czymś, co przypomina ożywiony koszmar senny. W końcu to już stara kobieta.

- Ma pan jakąś kopię tego dagerotypu?

- Gazetową rycinę, datowaną na 1848 rok. Miasteczko Hydesville.

W drodze powrotnej do gniazda posiliłam się jakimś zagubionym w Bostonie emigrantem. Chusteczką zamoczoną w wodzie różanej zmyłam zaschniętą na ustach krew. Miałam jeszcze kawałek nocy do strawienia na jałowych rozmyślaniach. Rycinę od antykwariusza rzuciłam na stół, tuż obok deszczułki do automatycznego pisania - może ta obecność wizerunku mediów uświęci ją i uczyni z niej wreszcie przedmiot do prowadzenia rozmów z Tamtą Stroną. Myślałam o tym bez większych nadziei, gdyż dopadło mnie zimowe znużenie. W moich żyłach kotłowały się ludzkie przeziębienia i pałeczki gruźlicy, które bez problemu zwalczy wkrótce wampirze jądro mocy. Gorzej poradzić sobie ze smutkiem...

Wywiesiłam płaszcz za okno, by się wywietrzył. Przez nieszczelną framugę musiał wpaść wiatr, bo trącone przeciągiem drzwi szafy otworzyły się z głuchym skrzypieniem, przyprawiającym o zimny dreszcz.

- Ktoś właśnie przeszedł po moim grobie - powiedziałam dla odepchnięcia uroku i pokręciłam głową.

Och, Irenko, Irenko.

PARYŻ, 1887

Świeca płonęła, nadając włosom pochylonego nad kartką mężczyzny odcień ognia. Spod stalówki wychodziły duże, kanciaste litery, zupełnie jakby pisało dziecko. Tekst był pełen ortograficznych błędów.

Obok biurka, przy którym pracował, postawiono niewielkie akwarium. Drzemały w nim dwa jadowite węże. Nagle jeden przebudził się i ukąsił swojego towarzysza. Drugi gad nawet nie zareagował - były wzajemnie uodpornione na swój jad, a bólu w ogóle nie potrafiły odczuwać. Mężczyzna wciąż pisał.

HYDESVILLE, 1848

Noc. Niebo jasne od blasku gwiazd.

- Wstydz się! Za kłamstwo pójdziesz do piekła!

- Nie kłamię - zachlipała Kate. - On tam jest, naprawdę, słyszałam go.

Wybudzone ze snu dziewczynki stały przed uchylonymi drzwiami szafy.

- Bredzisz - naciskała Margaret. - Jesteś małą kłamczucha, która za wszelką cenę chce na siebie zwrócić uwagę.

- Nigdy bym nie śmiała. Ja... Och, Maggie, proszę. - Ukryła twarz w dłoniach, gestem podpatrzonym u starszych. - Błagam.

- Udowodnij!

- Nie czujesz, jak tu zimno?! Nie słyszałaś stukania? Szelestu, który wchodzi w sen?

- Nie ty to mówisz, Katty. - Siostra przygryzła cienkie usta. - To mówi za ciebie Król Kłamstwa. Szatan.

- Maggie... Wejdz ze mną do szafy. - Kate złapała Margaret za rąbek koszuli nocnej.

Koronka odpruła się z trzaskiem, jakby rwano gruby papier, ale Maggie nawet tego nie zauważyła. Stała zatopiona w myślach i pierwszych lękach. Bała się duchów. I bała się, że oto nie ona została wybrana. Bała się wołania szafy, wołania, które pożarło jej siostrę.

- Przysięgnij! - Margaret wspięła się na chybocliwe krzesło i sięgnęła po prosty, drewniany krzyż wiszący na ścianie. Do deszczulek przybito srebrną postać umęczonego mężczyzny, ubranego tylko w przepaskę biodrową. - Przysięgnij na mękę Naszego Pana Jezusa Chrystusa, że mówisz prawdę! Że ktoś żyje w naszej szafie.

- Margaret, nie pamiętasz zajęć w szkółce niedzielnej? Nie wolno nam przysięgać. To grzech wzywać...

Drzwi od szafy otworzyły się ze złowieszczym spokojem; ciemność w środku wydawała się nieprzenikniona. Jednakże zapach szafy się zmienił, to nie była już woń lawendy i kulek na mole, tylko intensywny zapach lukru i rozgrzanego karmelu. I pomarańczy.

Margaret mocniej ścisnęła krucyfiks.

- Przy...

- Przysięgam na mękę naszego Pana Jezusa Chrystusa i swoje życie wieczne. Amen.

Z szafy, tuż przy podłodze, zaczęła wypełzać mgła. Drewniany parkiet błyskawicznie pokrył się leciutkim szronem. Margaret wypuściła z ręki krzyż, który wbił się jednym z ramion w przerwę pomiędzy klepkami. Twarz Kate zaśniła obcym, księżycowym światłem.

- Nie bój się, Maggie. On nie chce nam zrobić krzywdy. On potrzebuje pomocy.

- To mężczyzna?...

- Tak. Duch mężczyzny.

Rozległo się wściekłe stukanie. Bum-bum! Bum-bum-bum! Bum!

- Rodzice... Obudzą się.

- Nie...

Na poduszce leżał Pan Karolek. Łóżko stało vis-a-vis szafy. Lewe ucho misia odgryzła sama Kate, oczywiście, gdy była naprawdę malutka. Nadal jednak sypiała z maskotką, przytulała ją do twarzy, mówiła do niej. Margaret straciła przez Pana Karolka ząb. Chciała zrobić siostrze na złość i wgryzła się misiowi w brzusek. Trocinopodobne wnętrzności okazały się wyjątkowo twarde i obruszony mleczak skapitulował.

- Katty... Kate, patrz!

Pan Karolek poruszył się. Najpierw nieznacznie, jakby wierząc się przez sen. Potem już bardziej zdecydowanie wstał, niezgrabnie okręcił się wokół własnej osi. Opadł i z głową wyciągniętą do przodu zaczął czołgać się w kierunku otwartej szafy. Sunął po kocu, spadł na podłogę i zgarniając leżące pod łóżkiem koty kurzu, pełził wytrwale do celu.

- Kate! Musimy... Łapmy go!

Pan Karolek wyrwał się dziewczynkom z jakąś nonszalancką łatwością i pomknął w karmelowy zapach, w ciemność.

- Nie widzę sukni mamy. To nie nasza szafa.

- Wszystko przez ciebie, Margaret! Nie chciałaś uwierzyć i zezłościłaś go! Wściekł się, że nie chcemy mu pomóc! - Kate się rozpląkała.

Teraz była tylko znużoną i niewyspaną sześciolatką.

- Nie płacz. Przyniosę ci go. Panie Karolku?! - zawołała Margaret.

Poderwała się w nagłym przypływie odwagi i, już ostrożniej, zbliżyła się do szafy.

- Wierzę w ciebie, duchu! Wierzę w ciebie! Oddaj, proszę, misia.

W szafie zaszemrało i westchnęło.

- Maggie...

- Odda ci go, zobaczysz!

- Nie! Kłamiesz, jak zwykle.

Szafa zaczęła się kolebać na wszystkich czterech nogach. Z boku na bok, coraz intensywniej - wydawało się, że mebel ożył i za chwilę stanie dęba. Oba skrzydła drzwi rozwarły się z piskiem na całą szerokość, ze środka buchnęło ścinającym chłodem, a niewidzialna siła pochwyciła Margaret i jak po linie zaczęła wciągać ją do środka.

- Katty!!!

Kate ani drgnęła. Dłubała w nosie, kiedy szafa połknęła siostrę.

- Teraz mi uwierzysz, że mówię prawdę.

BOSTON, 1887 OPOWIEŚĆ WAMPIRZYCY

Czułam strach. Czułam się obserwowana. Moje gniazdo nie było tak bezpieczne, jak przypuszczałam, a sąsiadujący z domem cmentarz wydawał się jeszcze bardziej opuszczony. Częściej stawałam w ciemnym oknie i patrzyłam na śnieg. Przed świętami przyszedł tak silny mróz, że musiałam grzać nad świecą monetę i przykładać ją do szyby, by stopiła lodowy ogród. Zaglądałam w mały otworek oczyszczonego szkła i gapiłam się, szukając tego, co może mi się jeszcze przydarzyć. Chłód i melancholia zawładnęły mną na tyle mocno, że przez parę dni z rzędu nie wychodziłam na łąki.

Schudłam i zmarniałam, a cerę miałam jak papier zabrudzony fabrycznym pyłem.

Wbrew rozsądkowi, przy okazji bardzo silnego napadu przygnębienia, kiedy zdawało mi się, że ściany mojego lokum ożyły i chciały mnie zgnieść pomiędzy ceglanymi ciałami, w panice wybiegłam na dwór. Skierowałam się na cmentarz dlatego, że był najbliżej i zwiódła mnie po raz ostatni panująca na nim cisza. Minęłam rozbitą bramę i weszłam w przysypane śniegiem alejki. Śnieżycy ustała, choć wciąż było bardzo zimno, i raptem zorientowałam się, że całkiem niedawno ktoś tędy przechodził. Podpierał się laską, co wydawało się dziwne. Jaki kaleka wybiera się w taką lodowatą noc na wędrowniki? Myśl, że mógł być to złodziej - kulejąca hiena cmentarna - wydała mi się nawet zabawna. Po chwili skłoniłam się ku przypuszczeniu, że miejsce to być może odwiedza paser.

Nie potrzebowałam wiele czasu, by dostrzec, że niektóre grobowce otworzono. Nie po to bynajmniej, aby zabrać zbutwiałe odzienie nieboszczyków, ale dlatego że były najlepszym miejscem do ukrycia kosztownego łupu. Przynajmniej do czasu, aż pierwsza wrzawa po rozboju ucichnie i kosztowności uda się upłynąć bez zbytecznego ryzyka. Dlaczego przez myśl mi nie przeszło, że za towarzysza nocnego spaceru mogę mieć eleganckiego dżentelmena, który podpiera się okutą laską tylko dla dodania sobie fasonu, gdyż nie zbywa mu na sile? Nieważne, wówczas byłam przekonana, że w razie nagłego spotkania ze starcem-paserm i jego ewentualnymi kamratami bez trudu sobie poradzę.

Tamtego wieczoru znalazłam w kaplicy pogrzebowej srebrny zegarek. Nie był nawet specjalnie ukryty. Może nie posiadał żadnej wartości, a może go zwyczajnie przeoczono? Nakręciłam mechanizm zgrabiętymi z mrozu rękami, gdyż pragnęłam usłyszeć jego tykanie. Okazało się, że ciężki czasomierz bez wysiłku wypełnia swoim tik-tak cały mój pokój. Miałam towarzysza! Zegarek zamiast śpiewającego kanarka! Jego koperta była grawerowana w kwiaty. Na tarczy można było dostrzec napis „Paris” oraz postać jelenia nawołującego wybrankę. Nad tym wszystkim, z mozolną cierpliwością poruszały się wskazówki cienkie jak nici. Kładłam zegarmistrzowski mechanizm na brzuchu, ponad nagim pępkiem i trwałam tak,

nieruchoma, przez wiele minut. Potem upewniałam się dotykiem, że srebrna koperta pozostała lodowata, bo i lodowate było moje ciało.

Pragnęłam przebaczenia. Poszukując go, udałam się do bostońskiej sali widowiskowej, gdzie w karnawale miało występować medium, nieznanymi mi z nazwiska mężczyźni. Nieznani pozostali, bo cały ten upiorny spektakl okazał się żalnym oszustwem. Oprócz mnie na widowni zgromadziło się blisko dwustu nieboraków, którzy mieli zostać zrobieni w balona. Medium, bez jakiegokolwiek przygotowania, już w trzeciej minucie tego karygodnego występu wpadło w trans, co objawiło toczeniem ogromnej ilości spienionej śliny z ust (jakby mężczyźni za kulisami najadł się mydła) i wybijaniem butami okrutnej werbaty o nieszczęsne deski sceny.

Dobrze, że nie były spróchniałe! Tuż obok krzesła medium ustawiono kabinę z grubego płótna. Kabina nie miała dna ani sufitu, za to na jedną z jej bocznych ścianek nałożono zasłonę. Całość przypominała współczesne przymierzalnię. Nie musieliśmy długo czekać, by z tego metafizycznego wehikułu objawiła się postać z zaświatów! Była to z całą pewnością dziewczyna, zdradziły ją małe, brudne stopy wystające spod całunu, spowijającego ją od kostek aż po czubek głowy. „Zjawa” jęczała potępieńczo, a pewnie również i podniecająco dla poniekórych panów zgromadzonych na widowni.

- Jestem przewodnikiem duchowym tego oto śmiertelnika - powiedziała zjawa, chyląc się ku medium niczym łądyga na wietrze.

- Przybyłam na jego gorącą prośbę, by ulżyć waszej niepewności. Proszę o pytania!

W tym czasie za sceną jakiś techniczny pomocnik tej pary wygenerował odgłos grzmotu, a za moment po podłodze zaczęła snuć się mgła. Miałam już dość tej oszukańczej kpiny, choć dostrzegłam, że parę osób bawiło się naprawdę przednio, nawet lepiej niż na karnawałowym balu maskowym.

- Czy wiesz, gdzie jest moja siostra? - zadała pytanie starsza kobieta siedząca parę rzędów za mną.

Zaciekawiona spojrzałam na nią. Miała jasne oczy, które nawet w tym wieku były najbardziej przykuwającym elementem jej twarzy.

- Twoja siostra raduje się teraz, oglądając oblicze Boga.

- Którego boga?

- Słyszysz ją... Chce z tobą porozmawiać... Nie! Boi się! Wystraszyłaś ją swoją niewiarą! - zapiszczało fałszywe widmo.

- Proszę... - powiedziała kobieta. - Spytaj ją o Pana Karolka.

- O zabawkę? Czy twoja siostra zgubiła zabawkę?

Cisza.

- Ta zabawka... Ona jest... W szafie. W szafie!!!

I wtedy zjawia padła jak ścięta, rażona atakiem epilepsji. Medium, które od początku uważałam za agenta tej sprytniej aktoreczki, przestało toczyć ślinę i rzuciło się do zemdlonej, pokrzykując przy tym trzeźwo i gromko:

- Kurtyna! Kurtyna!

Sprawczyni całego zamieszania zdołała w tym czasie opuścić salę i wejść do holu. Dogoniłam ją. Chciałam do niej podejść, ale powstrzymało mnie stalowe spojrzenie. Odczytałam z jej warg słowa:

- To są dopiero oszuści.

POKŁAD „SOFIE-MARIE” ZMIERZAJĄCEJ DO BOSTONU, 1887

Nie miał już choroby morskiej. Przyzwyczał się do kołysania. Zresztą wkrótce mieli wejść do portu. Bez dodatkowej pomocy nigdy by tu nie trafił. I zdumiewało go, że pomoc przysła akurat z takiego źródła. Dni wampirzycy były policzone.

Odnalezienie niedoszłej cesarzowej Konstantynopola stanowiło jego pierwsze wyzwanie. Musiał mieć talent, skoro powierzono mu zadanie tak ważne! Był ponurym, rudowłosym mężczyzną - obcy i potwory nazywali takich jak on Łowcami. Jednak sami Łowcy woleli określać się mianem Prokuratorów, choć w rzeczywistości brali na siebie role i sędziów, i katów. Jako znak swej odpowiedzialnej profesji mężczyzna nosił pierścień - splecione ze sobą dwa srebrzyste węże, zwrócone głowami w górę i w dół. Żaden nie połykał ogona.

Prokuratorzy nie pochwalali nieśmiertelności, tylko sprawiedliwość.

Do jakiegokolwiek wejść domu, wejść dla pożytku sprawiedliwości, nie po to, żeby świadomie wyrządzać krzywdę lub szkodzić w inny sposób, wolny od pożądań zmysłowych, tak wobec niewiast, jak i mężczyzn, wobec wolnych i niewolników. Cokolwiek bym wtedy ujrzał czy usłyszał, czego dla dobra równowagi świata, na zewnątrz nie należy rozgłaszać, będę milczał, zachowując to w tajemnicy. Jeśli dochowam tej przysięgi, i nie złamię jej, obym osiągnął pomyślność w pełnieniu mej sztuki; jeśli ją przekroczę i złamię, niech mnie los przeciwny dotknie.

Był młody i trochę nadgorliwy. Wiedział o tym. Mógł sobie na to pozwolić. Chciał dojść do najwyższych szczytów, co nawet w innych Prokuratorach nie budziło sympatii. Gardził więc nimi. Jego czas nadchodził.

Ktoś zastukał do drzwi kajuty.

- Monsieur Fevrier, widać już ład! Prosił pan, by zawołać. - Usłyszał głos stewarda.

- Już idę. Idę. - Zacisnął szczęki. Był podniecony. - Boston. Twój cudny Boston o złotych kopułach, Ireno... - wyszeptał.

Wstał z koi i sięgnął po laskę. Ludzie zwykle myśleli, że nosił ją z tych samych powodów co inni dżentelmeni tej epoki, by dodać sobie powagi, w rzeczywistości jednak kuśtykał bez niej jak przetrącony wróbel. W dzieciństwie przechodził paraliż dziecięcy. No i spojrzał w twarz śmierci.

Dzisiaj czuł morską sól na języku. Smakowała mu.

HYDESVILLE, 1848

- A-bel, B-aldwin, C-aesar, D-amocles, E-dgar, F-elix, G-abriel, H-arriet, I-gnatius, J-ack, K-ate, L-aurence, M-abel, N-an, O-edipus, P-atrick, R-alph, S-am, T-ed, U-lysses, V-alentine, W-alter, X-avier, Z-eno.

- Nie! Nie tak! - skarciła ją Kate. - Podawaj same litery. Wtedy Pan Karolek się nie pomyli. Będzie stukał przy odpowiedniej literze i za pomocą tego kodu opowie nam swoją historię.

- Kathy, czy on powie nam, kim jest? Tak naprawdę?

- Jeszcze się nie domyślasz, Maggie? - Katty zmarszczyła czoło, a jej jasne brwi znalazły się w jednej linii. Zagniewana nie wyglądała na małą dziewczynkę. Była prawie kimś dorosłym. - Głupia jesteś!

Margaret poczuła, że jej dzienna sukienka klei się od potu.

- Myślałam, że można go spotkać tylko nocą.

- On jest zawsze. Dalej, mów: Kim pan jest, Panie Karolku?

- Błagam, Kate. Ja nie znam samego alfabetu. Tylko te imiona. Tak mnie nauczyle w szkole.

- Powtarzaj za mną: a, b, c...

Przy „c” usłyszały głuchy stukot; oczywiście dochodził z szafy.

- - d, e, f, g, h...

To samo powtórzyło się przy „h”.

- ...i, j, k, l, m, n, o, p, r, s, t, u, v, w, x, z.

Drzwi skrzypnęły i w progu stanęła zaaferowana pani Fox. Podśluchiwała, i wcale nie czuła z tego powodu wstydu. Porwała Kate w ramiona.

- Moje maleństwo, moja rodzinka, jak szybko się uczy! Taka jestem z ciebie dumna!
- Mamusiu, czy ty umiesz pisać? - zapytała rezolutnie mała. - Czy potrafisz zapisać litery w kolejności, w której on będzie dyktował?

- Kto, Katty?

- No wiesz, zapisać te słowa, co są odpowiedziami.

Margaret poruszyła się niespokojnie. Klęczała na podłodze. Podniosła głowę ku matce i siostrze. Kate niewinnie machała bosymi nożnymi.

- Mamo - powiedziała Margaret - mamy ci coś do powiedzenia o domu. I o mroku.

BOSTON, 1887 OPOWIEŚĆ WAMPIRZYCY

Zdobyłam chloral. Musiałam, jeśli nie chciałam raz na zawsze pogрузić się w odmętach paranoi. Nie, nie ukradłam go antykwariuszowi. Był mężczyzną przenikliwym, a ja chciałam pozostać z nim w dobrych stosunkach. Kto wie, jaką szykował jeszcze dla mnie niespodziankę? Poszłam na potańcówkę z młodym doktorkiem, który praktykował w szpitalu miejskim. Kolejnego wieczoru dałam się zaprosić do tej poważnej, medycznej instytucji, gdzie doktor miał nocny dyżur. Wypiłam mu nieco krwi; po tym zabiegu wyglądał, jakby znużony tylko się zdrzemnął. Następnie wyjęłam z kieszeni jego kamizelki interesujący mnie klucz i nie czyniąc zbędnego szelestu, otworzyłam szafkę z lekarstwami stosowanymi w raczkującej jeszcze anestezjologii. Poczęstowałam się tym, czym potrzebowałam się poczęstować. Nie byłam z siebie dumna. Traciłam zmysły i feralny dla mnie okres chciałam przeczekać na haju. Okazało się, że popełniłam najgorszy z możliwych błędów.

Sama zaprzedałam się temu, co musiało nadejść.

Wkrótce leżałam w dziwnym letargu, który znają pacjenci złożeni pooperacyjnym wyczerpaniem oraz bólem. Ja czułam ból! Moja dusza... Moja biedna dusza implodowała! Łóżko było postawione naprzeciwko szafy, ta zaś była lekko uchylona. Raptem jej drzwi otworzyły się niczym usta do szyderczego śmiechu. W tej upiornej atmosferze, na którą bądź co bądź powinnam być odporna (a nie byłam - może po chloralu?) zobaczyłam, że moja szafa jest zamieszka.

Podniosłam się i podeszłam do niej, biorąc po drodze srebrny zegarek ze stołu. Mimowolnie patrzyłam na rycinę... Tik-tik-tik.

W szafie stała martwa dziewczynka. Jej wykrochmalona koszulka nocna wyraźnie odcinała się od pachnącego lawendą wnętrza.

- Jak się masz, malutka? - spytałam.

Milczała.

- Nie jest ci zimno? Nie nudzisz się? Nie chcesz się pobawić? - Mój umysł tonął w cukrowej wacie.

Przykucnęłam, by zrównać się z małą wzrostem. Wyciągnęłam przedramię. Na moich spoconych palcach zaplątany był łańcuszek od zegarka. Poruszyłam nim, wprawiając mechanizm w wahadłowy ruch. Błysk! Dzieci są jak sroki. Mała się poruszyła. Zegarek wysunął mi się z ręki i z głuchym odgłosem uderzył o dno mebla.

Byłam spragniona. Dziewczynka zachichotała. A może tylko tak mi się wydawało? Potem nie było nic - ani dziecka, ani zegarka.

Jedynie pusta szafa. Zamknęłam drzwi.

HYDESVILLE, 1848

Pani Fox siedziała skurczona pośrodku małżeńskiego łóżka. Krochmalona koszula zakrywała jej pełne kobiece kształty; tylko przy poluźnionym, sznurowanym dekolcie widać było od czasu do czasu błysk białej ciężkiej piersi. Kobieta kończyła splatać ciężki, jasny warkocz. Był jej dumą. Inne mężatki z sąsiedztwa obcinały włosy wkrótce po urodzeniu dziecka. Ona nie chciała się pozbywać wspomnienia panieńskich lat, upatrywała w warkoczu nie tylko całej swojej urody, ale - niczym Samson w kobiecym przebraniu - także witalności. Płukała włosy w ziołach, by pozostawały lśniące i miękkie. Choć starsza córka skończyła już osiem lat, a życie w Hydesville było naprawdę ciężkie, pszenicznych pukli nie skaziła ani jedna siwa nitka. Fox z satysfakcją przyglądał się żonie. Z satysfakcją, która w końcu jednak schowała się przed zmartwieniem i niedowierzaniem, wypisanymi marsem na czole mężczyzny.

- Mówi, to znaczy wystukał, że nazywa się Charles Rosma. Za życia był komiwojażerem. Zabito go w tym domu, na pięć lat przed tym, nim się wprowadziliśmy. Pamiętasz, akurat byłam w ciąży z Kitty? Wcześniej dom stał pusty. Nie wie, kto go zamordował, poczuł tylko uderzenie w potylicę i naraz wszystko się dla niego skończyło. Cały świat. Były tylko ciemność i chłód. Dopiero dziewczynki go wezwały...

- Wezwały?

- Ben, kochanie, nie wiem, jak to nazwać.

- Uroiły to sobie!

- Nasze małe? One są zbyt niewinne, by wymyślić coś takiego.

- Maud, nigdy nie poznasz dzieci.

- Ależ ja je znam. Urodziłam je! I słyszałam...

- Co? Co słyszałaś?

- Szept. Stukanie. Podawałam mu alfabet, a on stukał przy odpowiednich literach.

Nazywał się Charles Rosma.

- Tamten duch oczywiście! - parsknął rozeźlony.

- On nie chce zemsty, tylko oznaczonego i poświęconego grobu.

- Jaki skromny!

Położyła się i podparła łokciami. Dłonią poluźniła tasiemki na piersiach.

- Czy ty mnie w ogóle jeszcze kochasz po tylu latach? Czy ty mi ufasz, Ben? Na miłość boską, zaufaj mi po prostu!

- Dziewczynki...

- Dziewczynki są wspaniałe.

Podszedł do niej. Ukłąkł i ujął w dłonie jej zziębniętą stopę.

- Czego ode mnie chcesz? Jestem tylko zwykłym ślusarzem, i to, jak wiesz, dość miernym.

- Nie, nie jesteś mierny. On... Znaczący Rosma mówi, że jego ciało ukryto w piwnicy.

- Czemu ja go nie czuję? Nie słyszę?

- Nie wiem, Ben. - Westchnęła, kiedy przesunął dłonią po jej łydce.

Temperatura w pokoju zmalała, ale prawie niezauważalnie. Ktoś ich obserwował.

- Ben, powinniśmy powiadomić szeryfa. I pastora. Jak najszybciej trzeba go wydobyć z ciemności. Tak będzie najlepiej dla nas i dla dzieci.

- Jeśli tego chcesz.

- Kocham cię, Ben. Mimo wszystko, przez cały ten czas...

Usiadł obok niej. Swoje pokaleczone i pobliźnione ręce oparł na jej piersiach., - Maud
- poprosił - rozpuść włosy.

- Dobrze.

Złota pajęczyna splotła ich ze sobą i okryła przed zimnem tchnącym z serca chaosu i mroku.

BOSTON, 1887 OPOWIEŚĆ WAMPIRZYCY

- Jakaś kobieta przyniosła to dla pani. Zaproszenie na prywatny seans spirytystyczny. - Antykwariusz podał mi welinową kartkę z wykaligrafowanym dniem, w którym byłam oczekiwana, godziną i dokładnym adresem, pod jaki miałam się udać.

- To dziś - powiedziałam. - W najbogatszej dzielnicy miasta.

- Bogaci też mają tęsknoty.

- Czy zna pan tę kobietę?

- Muszę zmienić kadzidło. Zupełnie się wypaliło. - Wskazał stojącą na kontuarze łódkę-podstawkę z drzewa sandałowego.

- A co to był za zapach?

- Mirra.

- Mirra - powtórzyłam.

Dotknęłam wonnego popiołu. Wsunęłam szary palec do ust.

Gorzki smak.

Okrągły stolik, przy którym siedzieli zgromadzeni uczestnicy seansu spirytystycznego, zadrżał. Medium westchnęło, wciąż pozostając w głębokim transie. Była to starsza kobieta o mocnym podbródku i haczykowatym nosie. Margaret.

Otworzyła usta - zuchwa bezwładnie opadła, ukazując ciemność. Stalowe oczy były wywrócone białkami do przodu.

Z ust medium zaczęło wydobywać się coś o kształcie i konsystencji zmoczonej waty bądź mocno zbitej piany. Wypełzało pomiędzy zębów i chyba nie podlegało prawu grawitacji, a w powietrzu zachowywało się jak mgła. Było tego więcej i więcej. „Palce” owej osobliwej mgły zwanej przez spirytystów ektoplazmą zbliżały się do gości. „To” musnęło czyjąś dłoń, czyjs policzek. Dotyk nie przypominał kontaktu z żywym ciałem, był lodowaty. Zimny i biały jak śmierć. Nagle stolik uniósł się; na tyle wysoko, że ludzie musieli puścić swoje ręce i zdjąć je z blatu. Medium zaczęło jęczeć. Potem przemówiło. Pokojówka uczyniła znak krzyża. Sama miałam na to ochotę.

- Chodź tu, kochanie, nie bój się. Chodź, kochanie, tu jest twoja matka.

- Evie, Evie - zajęczała kobieta w czarnej sukni, której kołnierz spięty był drogocenną kameą. - Chcę usłyszeć samą Evie! - To była pani Taymor, nasza gospodyni.

- Gdzie tata? Chcę do taty!

Mimowolnie wzdrygnęłam się. Matka ukryła twarz na piersi siedzącego obok męża.

- Już mnie wcale nie boli, tato. Ani język, ani gardło. Tato, powiedz coś do mnie. Nie widzisz mnie? Ja nie umarłam, ja żyję. Tutaj jest wiele innych dzieci. Mamy tu swojego króla.

- Proszę jej powiedzieć, żeby odezwała się do mnie - warknęła żona. - Niech powie coś do matki!

- Pa, dziecinko, pa! Tato, zaśpiewaj ze mną! „Ma bogdaneczka to nie dziewczeczka. Żadna z niej gratka, ma swoje latka, pieścić się z nią to nie grzech...”.

Zapanowała ogólna konsternacja.

- Moja córka! Ona nigdy nie powiedziałaaby czegoś takiego! - zagrział pan Taymor.

Był czerwony na twarzy. Przypominał mi brzuchacza z antykwariatu. Nie poczułam do niego sympatii nawet w chwili, kiedy witał mnie wylewnie na progu rezydencji. Powiedział, że nie stracił wiary w tę biedną kobietę, z którą życie tak okrutnie się obeszło. Moja żona i ja nigdy nie mieliśmy wątpliwości co do jej umiejętności pomagania takiej duchowej drobinie jak my! - dodał. A kto mnie zaprosił? - drążyłam. Usłyszałam w odpowiedzi, że duch przewodni Margaret. Ach...! Taymor zachichotał. Na marmurowych stopniach holu stały wciąż jeszcze odkurzone, maleńkie łyżwy. Julia, pani Taymor, nie ma ostatnio do niczego głowy, wyjaśnił. Jest w głębokiej melancholii. Wciąż oskarża się o śmierć Evie. A przecież to był kokłusz. Zwyczajna epidemia choroby wieku dziecięcego.

Medium nie zwracało na nas uwagi. Kobieta była bardzo skupiona.

- Eve, czy możesz przyprowadzić Kate. Czy jest tu Kate?

- Kate jest bardzo stara, tylko udaje młodość - pisnął dziecięcy głosik. - Chcę guziki do gryzienia! Chcę Pana Karolka do zabawy! Królem jest Płatonogi! On zabiera moje myśli, które były. On karmi się moją śmiercią.

- To nie jest Eve - powiedziała uroczyście pokojówka.

Podpierała ścianę przy drzwiach, czekając tylko na sygnał, że będzie potrzebna, lub na impuls, który każe jej uciec.

- Czy jest tu Irena? Chciałam, żeby przyszła. Mam dla niej wiadomość, jeśli tylko odważy się po nią sięgnąć. - Oczy Margaret odzyskały chłodny odcień błękitu. - TIK, TIK, TIK Słyszysz to?

Panna Fox odgięła się gwałtownie na oparcie krzesła. Jej głowa poleciała do tyłu, mięśnie szyi napięły się do granic ludzkich możliwości - w powietrze wystrzelił gejzer ektoplazmy, a później z tych samych ust wydobyła się kolejna piosenka. Stolik opadł i podskakiwał teraz frywolnie, wybijając każdą z nóg rytm piosenki:

Kaczka nie kwacze, kotka się nie koci,

Na jajkach nie siedzi kura,

I nikt przy kuchni nie pomoże cioci,

Choć strasznie dymi jej rura.

Bo niedziela to niedziela,

Od roboty wara,

Poczekaj do poniedziałku,

Wtedy się postarasz.

Wtem medium powstało. Wydawałoby się, że duchowe siły wyczerpały się, było to jednak złudzenie, któremu poddano wszystkich zgromadzonych. Stara kobieta podeszła do matki w żałobie. Szarpnęła i niszcząc zapięcie, oderwała kameę.

- Miałeś mi ją dać, tatusiu. Obiecałeś mi, że ją dasz. Tak jak mamie.

Julia Taymor przytrzymała się za pierś. Poczułam krew, ostrze zapinki musiało ją skaleczyć.

- To był prezent.

Uniosłam pytająco brew. Julia rozejrzała się wokół szalonym wzrokiem. Pokojówka stała w pąsach.

- Zwyczajowy prezent po nocy poślubnej.

Margaret-Evie zaczęła gryźć ściemniałymi od tytoniu zębami białe oblicze kobiety z kości słoniowej.

- A teraz będę ciućkać, jak cukierka!

Z rozmachem klapnęła naszemu gospodarzowi na kolanach, aż stęknął i próbował rzucić ją z siebie.

Julia sięgnęła po sole trzeźwiące. Ohydny zapach amoniaku rozszedł się po całym mrocznym pokoju. Poczułam się tak, jakbym tonęła w bagnie. Nie ja jedna.

- To wszystko moja wina. Ślepa! Byłam ślepa! Tak długo!!! - Pani Taymor wstała i zachwiała się, jakby miała stracić przytomność.

Wyciągnęłam rękę i podtrzymałam ją, bo mąż nie kwapił się, aby uczynić jakikolwiek ruch. Był siny na twarzy i rozpaczliwie próbował strząsnąć z siebie medium, które niczym nigdy Evie zaczęło obrzucać go pocałunkami.

- Dziękuję - szepnęła Julia do mnie.

Wyprostowała się. Czułam, że świerzbi ją dłoń, by spoliczkować swego męża. Nie uczyniła tego. Jej rodzina, Whortonowie, należała do starej bostońskiej arystokracji i lubiła dokonywać zemsty po sycylijsku, na zimno.

Seans się skończył, a medium straciło przytomność i osunęło się na dębową podłogę, bo na czas wizyty panny Fox służba zwinęła dywan.

Nie dziwiło mnie już wcale, że Kate Fox zmarła na wylew krwi do mózgu. Nie dziwota - po takich wysiłkach! Margaret powinna się bać, by nie skończyć jak siostra. A jednak przełamała strach.

- Panie Taymor, żądam separacji. Dopilnuję, żeby stracił pan wszystko. Żebyś był taki goły, jak w przeddzień naszego ślubu! - wycedziła zimno kobieta. - Iris, wyślij gońca do mojego ojca.

Pokojówka dygnęła posłusznie.

- I wezwij lekarza - powiedziałam jej.

Znów skinęła głową i zniknęła w korytarzu. Uwolniony mężczyzna jednym szarpnięciem oberwał zasłony. Otworzył okno i wychylił się niebezpiecznie - pragnął zaczerpnąć świeżego powietrza.

Pani Taymor podeszła do mnie, pochyliła głowę i zaczęła płakać. Jej łzy kapąły wprost na moje usta. Były lepsze niż jakakolwiek krew.

TEGO SAMEGO DNIA, WCZEŚNIEJ

Ladacznica była młodsza, niż mu się w pierwszej chwili wydawało, i mniej zniszczona swoją profesją. Skonstatował to z zadowoleniem. Spod czepka wyrwały się na zimowy wiatr miodowej barwy włosy. Oczy miała niebieskie, usta pełne zgrabnych, drobnych ząbków - nie była szczerbata! Przysięgłby, że pod grubą warstwą pudru kryły się piegi i ujmujące rumieńce.

- Możesz zmyć to mazidło z twarzy? - spytał.

- Jeśli pan sobie tylko życzy.

Sięgnął pod pelerynę, do kieszeni kamizelki. W świetle świtu błysnęła złota moneta.

- Kup sobie kapelusz. Coś ładnego, ale nierzucającego się w oczy. Słyszysz?

- Nie jestem głucha, proszę pana.

- 1 sukienkę. Powinno wystarczyć jeszcze na sukienkę. Nie patrz w ten sposób na mnie! Jeśli zrobisz wszystko jak należy, to ten brzęczący pieniądz będzie dopiero początkiem zapłaty. Kup, ubierz się w to wszystko i czekaj na mnie tutaj. - Byli w porcie obok stoczniowych doków, gdzie teraz z powodu siarczystego mrozu wstrzymano roboty. - Koło godziny czwartej po południu. Wtedy powiem ci, co dalej.

Dygnęła, jakby chciała łagodnie podkreślić, że rozumie jego polecenia. Później przechyliła głowę jak mewa i rzekła:

- Panicz lubi grzeczne panienki? Panicz będzie zadowolony.

Odeszła.

Patrzył za nią. Obserwował jej zgrabny, pewny chód i nawet pożałował tego, co musi zrobić.

- Nie bądź sentymentalny - napomknął sam siebie i ruszył do hotelu, żeby się przespać.

Ostatnimi czasy prawie w ogóle nie oglądał dnia. Fatalnie odbijało się to na jego apetycie; na szczęście refleks pozostał bez zmian.

Był szybki jak grzechotnik.

Nie zdążyła jeszcze wybić czwarta, gdy dziewczyna czekała na niego. Wyglądała jak guwernantka, a w zapadających ciemnościach można ją było wziąć za kogoś wyższego stanem. Podał jej zawczasu przygotowany list.

- Zaniesiesz do antykwariatu przy ulicy Bolivara - powiedział.

- A pieniądze?

- Będą, jak tylko wrócisz.

- Ulica Bolivara jest daleko...

- Świeże powietrze dobrze ci zrobi.

- Myślałam, że pozwoli mi pan wziąć dorożkę.

Wyciągnął dłoń i pogłaskał jej chłodny od mrozu policzek.

- Wróc szybko, to pokażę ci, co najbardziej lubię.

Błyskawicznie chwyciła jego palec i wsunęła sobie do ust. Ręce mężczyzny pokrywały delikatne rude włosy, przypominające suchy mech na samotnej skale.

- To twój dom? - zapytał, kiedy ładaczniczka zaprowadziła go do obskurnej sutereny.

- Tak. Tylko ja tu mieszkam. Matka umarła na suchoty.

Popatrzył na zarwany siennik. Na ropiejące grzybem ściany. Jak udawało jej się tu trwać, przeżyć?

- Czy chce pan, żebym zdjęła sukienkę, czy mam w niej zostać?

- Zostań.

- A kapelusz?

- Rozpuść włosy... Tak, ładnie - powiedział. - Podobają mi się twoje piegi.

- Mężczyźni je lubią. - Skrzywiła się.

Kiwnął głową.

- Może pan już odłożyć swoją laskę. - Podeszła do niego o krok bliżej.

Westchnął.

Z laski wysunęło się polerowane, śmiercionośne ostrze. Uniósł je i błyskawicznie zatopił w piersi dziewczyny. Nawet nie zdążyła krzyknąć, przebił serce tak precyzyjnie, jak kolekcjoner nabija motyla na szpilkę. Wytarł broń w jedwabną chustkę. Był dżentelmenem i zwracał uwagę na pozory. Dbał o porządek.

HYDESVILLE, 1848

- Proszę podnieść ją wyżej, wielebny - powiedział Fox.

Pastor drżącą dłonią uniósł lampkę górniczą. Cienie roztańczyły się na ścianach piwnicy. Panował tam zapach butwiejących szmat i puszczejących pędy słodkich ziemniaków, zasypanych jeszcze w zeszłym roku. Mieli czekać na szeryfa, ale ciekawość wzięła górę. Z samego rana zeszli na dół, by oczyścić podłogę piwnicy.

Klepisko zrobiono z mocno ubitej gliny, tu i ówdzie sterczały jednak otoczaki oraz gruz. Całość została zalana wapnem. Dwóm mężczyznom towarzyszyła pani Fox (która uparła się, że również może przesuwac drewniane skrzynie pełne przetworów) oraz dziewczynki: ośmio - i sześćioletnia.

- Kitty, czy jesteś pewna, że wiesz, gdzie mamy kopać?

Mała zacisnęła usta.

- Na wysokości kuchennego okna. Tak mówił - wtrąciła się Margaret.

- Odsuńcie się - ostrzegł Fox.

W piwnicy było ciasno, a on musiał wziąć zamach, by uderzac ciężkim kilofem. Matka podreptała do przodu, wyciągnęła ręce i przyciągnęła córki do siebie. Kate ukryła twarz w jej obfitej piersi.

- Czy to go będzie bolało?

- Nie.

- Obiecujecie?

- Fox, obiecaj jej.

- Obiecuję. Już nic nigdy nie będzie bolało naszego gościa.

- Ja zaś mocą daną mi przez Boga obiecuję tej biednej duszy wieczne ukojenie - odezwał się naraz wielebny.

Mury aż jęczały, kiedy kilof wbijał się w grunt.

- Wielebny, podaj mi szpadel. I nieco wyżej z tą lampą.

Słysząc było odrzucane kamienie i uderzania metalu o metal. Żylaste mięśnie napięły się na mizernych plecach Foksa; w dzieciństwie mężczyzna przechodził gruźlicę, która zahamowała jego wzrost.

- Podajcie mi kilof i trzymajcie to światło... - rzekł wielebny.

Zaczął uderzac, nucąc psalm:

Pan jest moim pasterzem, nie brak mi niczego.

Pozwala mi leżeć na zielonych pastwiskach.

Prowadzi mnie nad wody, gdzie mogę odpocząć:

orzeźwia moją duszę.

Wiedzie mnie po właściwych ścieżkach...

- Hej, tu nic nie ma. Dziewczynki musiały się pomylić.

- Ja nie kłamię! - krzyk Kathy aż odbił się od niskiego stropu.

- To prawda, to wszystko prawda - szepnęła Margaret.

- Straszna prawda...

- Nic tu nie ma!

- Kathy, a może pomyliłaś miejsca? - pytał cierpliwie wielebny.

Kathy odsunęła się od matki i pokręciła zawzięcie głową.

- On tu jest. Pan Karolek tu jest.

- Co?

- Charles Rosma, znany też jako Pan Karolek i Król Płatonogi - powiedziała pani Fox.

Wypchnęła Margaret do przodu. - Pomóż siostrze. A wielebny niech jeszcze uderzy kilofem.

Fox zacisnął ręce na szpadlu. Pracowali w milczeniu. Siostry klęczały nad powstającym otworem. Nad domniemanym grobem.

- Stójcie! - krzyknęła Margaret. - Mamo, tutaj! Poświeć. Pojedyncza kość.

- Wygląda jak kawałek dłoni. - Wielebny sięga po szczątki przez chusteczkę.

Jeszcze włosy. Krótkie, ciemne, zetlałe, rozsypujące się w dłoniach jak nocna mgła wietrzejąca o poranku.

- Charles Rosma. - Wielebny uczynił znak krzyża.

Więcej kości, deski z poprzedniej podłogi.

- Musiano go zalać niegaszonym wapnem.

- Morderstwo.

- Tu, tato, uderz jeszcze tutaj - szepnęła Kate, rysując poślinionym palcem po cegle, leżącej przy samej ścianie, trzy kroki od niechrześcijańskiego miejsca pochówku.

- Tutaj nie można. To główna ściana. Dom mógłby tego nie wytrzymać. Przecież znaleźliśmy...

Wielebny ukląkł jednak na rozmokłym gruncie. Wyjął z kieszeni scyzoryk. Przesunął ostrzem po zaprawie - odszpeciwała jak łuszcząca się farba. Wyjął purpurową cegłę i dwie sąsiednie. Włożył rękę do ciemnej, wilgotnej jamy. Na ręku miał duży sygnet z wyrytym w krwawniku znakiem krzyża.

- O tym myślałaś, malutka? - Dłoń z sygnetem trzymała omszałe blaszane pudełko, jedno z tych najpospolitszych, które noszą handlarze-domokrażcy w całym wielkim Nowym Kraju.

- Mogę otworzyć?

- Jeśli tylko pan Rosma ci pozwolił.

Kiwnęła głową. Wieczko od razu ustąpiło. Uciekł jakiś spłoszony pajak. „Puszka Pandory” z Hydesville zawierała lizaki.

BOSTON, 1887 OPOWIEŚĆ WAMPIRZYCY

Weszłam do szafy. Drzwi trzasnęły. Nie pamiętam, co się ze mną działo. Poza jednym - zostałam zmieniona.

TYMCZASEM...

Rudowłosy stał pod frontem kamienicy znajdującej się przy cmentarzu. Uniósł głowę - okno gniazda było ciemne. Wczoraj ujrzał w nim wampirzycę. Błądą twarz Ireny odcinającą się od ciemnej szyby. Wzrok miała pusty, lecz wydała mu się piękna. Była...najpiękniejszym stworzeniem na świecie! Drżał z niepokoju, by jej nie stracić, by nie uciekła. Czuł się jak myśliwy na sawannie oczekujący największej lwicy; był zakochany.

Za jego plecami krążyły niewidzialne, przewodnie duchy.

Ścierpły mu nogi. Przesunął laskę, której końcówka trafiła na porzuconą zabawkę. Leniwie schylił się i ją podniósł. Otrzeptał ze śniegu posrebrzającego brązowe futerko.

- Ciii... Sprawimy, że przyjdzie - powiedział miś z odgryzionym uchem.

BOSTON, 1887 OPOWIEŚĆ WAMPIRZYCY

Od razu wyczułam napięcie. Zapach ozonu w powietrzu. Deszczułka do pisma automatycznego zadrżała, nim moje palce zdołały jej dotknąć. Podskoczyła i przesunęła się, a wraz z nią osadzone w otworze listewki, pióro. Stalówka błyskawicznie zapisała wiadomość.

Wyznaczono mi spotkanie z osobą, którą pragnęłam zobaczyć ponad wszelką miarę, a która przemawiała do mnie w tak osobliwy sposób, bo była zagubiona za czarnym oceanem; wiadomo o nim, że nie ma brzegów ani fal. Włożyłam płaszcz i opuściłam dom. Zegnał mnie kamienny gargulec wcementowany w okap kamienicy. Sople lodu zwisające mu z pyska czyniły zeń mego pobratymca. Odebrałam to jako dobry znak. Szłam wprost na cmentarz.

Ujrzałam ducha megaduksa. Niegdyś człowieka będącego prawą ręką cesarza Bizancjum; obrońcy miasta Konstantynopola przed wojskami tureckimi w roku 1453. Roku Upadku i roku mojej Przemiany. Stał na tle sprofanowanego, witrażowego okna kaplicy

pogrzebowej. Jego potężna sylwetka i blada twarz nie z tego świata odcinały się wyraźnie od szarości tektury, którą zabezpieczono otwory po kolorowych szybkach. Duch nie odezwał się słowem.

Nie zrobił gestu, by dać znać, że mnie poznaje.

- Wybacz mi, ojcze, to czym się stałam - rzekłam.

Nagle poczułam silne uderzenie w tył głowy. Bez wydania jednego jęku osunęłam się na zrujnowaną posadzkę. Miałam krew w ustach, bo przygryzłam sobie język. Krew płynęła też z mojego nosa. Była ciemna i przy zetknięciu z tlenem zaczynała gwałtownie parować. Traciłam siły.

Ojcze, czemu mnie nie ostrzegłeś?

Poczułam wibrację. Przyszła gdzieś z zewnątrz i ogarnęła całe ciało. Wydawało mi się, że szła od gruntu, ale spostrzeżenie było chyba złudne. Coś, niczym prąd elektryczny przeszło moje łydki pod cholewami długich botków. Ruszyło w górę, stawiając czarną linię włosów od łona do głębokiego pępka. Złapało w bokierski uścisk śledzionę, a później wyгнаło resztę nocnego powietrza z płuc. Boże mój! Jakaś potężna siła chciała wręcz wyrwać mi trzewia!

Coś wypchnięto na zewnątrz, nagle skonstatowałam, że jakaś część mnie unosi się nad nieruchomym, zranionym ciałem. Byłam jak chmurka na przeczystym niebie. Mogłam poruszać się szybko jak myśl. Obniżyłam lot, by popieścić znajomą, bladą twarz. Głębokie granatowe cienie rysowały się pod oczami. Powieki zdrząły, zabłyśły białka... - Więc jednak to nie był jeszcze koniec. Wampirzyca Mara, wieki temu, obiecała mi największe złudzenie bestii i ludzi: nieśmiertelność.

Teraz świadomie porzuciłam cielesną powłokę i uniosłam się. Mogłam latać i przenikać ściany. Podobne rzeczy potrafiłam już jako wampir, ale nigdy nie przychodziło to tak łatwo. Bez najmniejszego wysiłku. Bez żadnej walki z prawami ustalonymi dla śmiertelnych, z których rodu przecież wyszłam. Za to zobaczyłam więcej niż kiedykolwiek. Wszędzie były duchy - ludzi i zwierząt.

Duchy obojętne lub błagające o wspomnienie, zupełnie jak na fotografiach antykwariusza. Zagubiłam się w powietrzu i wpłynęłam do nędznej kamienicy. Przy zrujnowanym kaflowym piecu przycupnęła pomarszczona staruszka i próbowała ogrzać ręce, zamienione artretyzmem w ptasie szpony. Obok baraszkowała dwójka malców. Chłopiec dopiero co nauczył się raczkować, dziewczynka wyglądała na starszą o rok czy dwa. Brakowało tu ręki matki. Z ciała i krwi, bo upiorność tego zdawałoby się zwyczajnego miejsca podkreślała tajemnicza obecność. Duch kucharki, która zmarła przy porodzie syna,

rozpaczliwie próbował nawiązać kontakt z bliskimi - na próżno. Palce widmowej kobiety przechodziły przez czoło dziewczynki. Nie przynosiły ani bólu, ani ukojenia. Czasem tylko ogień gwałtownie wibrował, kiedy zaglądała do pieca. Zajrzałam tam i ja i nagle znalazłam się w pełnym sadzy przewodzie kominowym, w długim, czarnym tunelu. Gnałam do przodu i nie mogłam się zatrzymać; jakby wzywało mnie ku sobie światło tysiąca świec płonących w Hagia Sophia. Byłam w rodzinnym, konstantynopolskim ogrodzie. Megaduks-Ojciec znowu nie dał po sobie poznać, że mnie rozpoznaje. Odszedł. Nie udało mi się go dogonić pośród kwiatów i żółwich skorup, wyglądało na to, że każda sekunda (o ile istniał czas) przenosiła go dalej i dalej w głąb domu. Był też mój brat, pośród zieleni dane mi było odczuć obecność Teodora... Stał obrócony plecami, zawsze plecami. Byłam dymem i choć okadziłam sobą chłopca - a przecież byliśmy bliźniakami i znał mój zapach tak jak i swój - pozostał obcy.

„Odejdź stąd”, powiedział Głos, który nie miał miejsca ani przyczyny.

Nim zdołałam się zgodzić czy zaprotestować, poczułam, jak okuta żelazem laska uderza mnie w potylicę. Padłam na wytartą mozaikę. Byłam na powrót w ciele, którego świeże rany paliły żywym ogniem. Zamrugałam. Zobaczyłam buty wykończone cielecą skórą. Ostrze przy trzasku zapadki wychylające się z sekretnego wydrążenia w spacerowej laseczce. Niby wiedziałam, że nadejdzie ta chwila, ale nie wierzyłam w to, jak wy nie wierzyacie, że wasz oddech kiedyś zamilknie, a ciało rozpadnie się w proch.

Spotkałam Łowcę.

Ojcze, czemuś mi to uczynił?

Czemuś nie mógł mi wybaczyć życia?

Laska po raz wtóry wzniosła się nad moją głową.

Cisza i ciemność.

W tekście wykorzystano fragmenty Księgi Powtórzonego Prawa w tłumaczeniu Władysława Borowskiego oraz Psalmu 23 w tłumaczeniu Augustyna Jankowskiego i Lecha Stachowiaka.

OTCHŁAŃ

Poczułam Pogrzeb w Umyśle I Żałobników chodzących, Drepcących... drepcących... i wyglądało tak, jakby Sens zaczął się przebijać I kiedy wszyscy zasiedli Nabożeństwo jak Bęben... Bijący... bijący... aż pomyślałam Mój Umysł całkiem zdrętwiał... Wtedy usłyszałam, że podnoszą Skrzynię I skrzypią w mojej Duszy Tymi samymi Butami z Ołowiu, znowu, Później Kosmos... zaczął dzwonić Jakby Niebiosa były Dzwonem, A Byt tylko Uchem, I ja, i cisza, jakaś dziwna Rasa Rozbita, osamotniona, tutaj... I wtedy Klepka w Rozumie pękła, I poleciałam w dół, i w dół I uderzałam o Świat za każdym razem, I przestałam widzieć... wtedy...

Emily Dickinson

Promień księżycy przesuwiał się po moich nogach, łonie, piersi, by w końcu natrafić na twarz i odbić się srebrzystą kreską w oku. Stopy miałam złączone i skrupowane sznurem, dłonie splecione razem na kształt uspiętego eterem motyla. Moje źrenice żyły. Żyły w Tajemnicy, ograniczonej drewnianymi ścianami źle oheblowanego pudła, rozmiaru dwa metry na pół metra na trzydzieści centymetrów.

Ktoś mi wcisnął poduszkę pod ciemię.

Skrzynię podniesiono. Turkot powozu na kocich łbach. Sarkanie tragarzy. Smak księżycy i soli na wargach. Próbowalam się poruszyć w pułapce. Podniesione głosy. Chrząknięcia i kaszle. Treny nocy. Plusk kamyka, który wpadł w wodę.

Ja nim byłam; Irena.

Nagle wynurzyłam się z oceanu ciemności i ciszy, z arktycznego chłodu zalewającego serce. Zakrztusiłam się życiem. Uniosłam powieki.

- Kim jesteś?

- Pij.

Wargi zamknęły się wokół brzegu porcelanowego garnuszka, w jakim chorym podaje się bulion. Siorbnełam. Napojono mnie świeżą krwią.

Następnym razem schwytałam dłoń, która podawała mi skrwawioną porcelanę. Mocno. przyciągnęłam ją do twarzy. W mgnieniu oka moje kły znalazły się przy nadgarstku. Czułam pulsowanie małej błękitnej żyłki, pozwoliłam się przenikać Pragnieniu.

Rozgorączkowanym językiem przeciągnęłam po skórze pachnącej tytoniem oraz wodą kolońską. Opanowała mnie... wdzięczność.

Rozluźniłam uścisk. Opuszki palców zsunęły się po pierścieniu, splecionych ze sobą srebrzystych węzach.

- Pij.

Naczynie zastukało o zęby.

...do jakiegokolwiek wejść domu, wejść dla pożytku sprawiedliwości...

...wolny od pożądań zmysłowych tak wobec niewiast jak i mężczyzn...

...cokolwiek bym wtedy ujrzał... będę milczał, zachowując to w tajemnicy...

...jeśli dochowam tej przysięgi, i nie złamię jej, obym osiągnął pomyślność w pełnieniu mej sztuki; jeśli ją przekroczę i złamię, niech mnie los przeciwny dotknie...

Byłam na morzu, na statku. Słyszałam fale i czułam je. Tu - w dole brzucha. Kajuta została zaciemniona; bulaj, wysoko pod żebrowanym sufitem, obity czarnym kirem. Znajdowałam się obok ładowni? Czy aby na pewno wynurzyłam się na powierzchnię, czy moje gniazdo zalewała niewidzialna, ale obecna woda? Pluskanie, szum. Mewi krzyk.

Zamiast na koi leżałam na wygodnym łóżku, które było przyśrubowane do podłogi. Długo nie myślałam o wstaniu, w istocie nie myślałam o niczym, jakby do krwi domieszano laudanum.

Przyszłość i przeszłość, obie nie istniały. Równocześnie potrafiłam skoncentrować się na jednej tylko rzeczy: kir, sól, gęsi puch w poduszce.

Pomacałam czaszkę, kości głowy zrosły się bez śladu. Jednakże czułam się tak, jakby moją postać zrobiono z kryształu. Kiedy statek kołysał, a naczynia i sztuce dźwięczały, szczykałam zębami. Zbierałam palcami pot z za płatków uszu (kolczyki zniknęły), przykładając opuszki do nozdrzy, by poprzez zapach przekonać się, że jeszcze istnieję.

Piersi, brzuch pachniały wodą kolońską. Mężczyzna często przychodził, ściągał ze mnie koszulę, za pomocą gąbki ścierał znużenie i brud. Prowokowana rosa zatrzymywała się w norkach pach, pomiędzy udami. Pozwalał mi swobodnie schnąć.

W końcu nadszedł ten moment, kiedy potrafiłam już wstać.

Okryłam się kocem. W mroku widziałam blade stopy, które wynurzały się spod fałd tkaniny niczym niewinne duchy. Wymacałam drzwi, pchnęłam i znalazłam się w sąsiedniej kajucie.

Dwa węże w akwarium poruszyły się niespokojnie. Mężczyzna wyglądał tak, jakby nic nie robił sobie z mojej obecności, w skupieniu przeglądał papiery. Miał szerokie ramiona, długie nogi skrywał pod stołem. Obok blatu stała oparta laska. Kaganek muskał swym blaskiem srebrną gałkę, pedantycznie wręcz wypucowaną. Był rudowłosy. Rudoblond, taką maść nazywano kiedyś tycjanowskim kolorem (myślę o nim jak o modelu czy o koniu?). Jego karnacja zadziwiała: ciemna, matowa i pozbawiona piegów.

Opuścił papiery. Spojrzał pytająco.

- Jednak mnie nie zabiłeś, panie.

- A kto tak rzecze?

Mówił z francuskim akcentem.

- Dokąd płyniemy? - zapytałam.

Spodziewałam się, że może powie Marsylia albo... Nowy Orlean?

- Do Anglii.

- Czego ode mnie chcesz? - próbowałam dalej.

Zmilczał.

- A wiesz, kim jestem?

- Nie lepiej niż ty.

Postukałam kłykciami w stół.

- Jestem głodna.

Pragnęłam laudanum.

Wziął mnie pod ramię, by odprowadzić do łóżka. Przywołujący dreszcze stukot laski.

Usiadłam ciężko na materacu. Stał i patrzył.

Znałam ten wzrok.

- Nazywam się Victor Fevrier. Monsieur Victor Fevrier - powiedział nagle, jakby to miało wszystko wyjaśniać.

Przyniósł szczeniaka. Pies popiskiwał, wiercił się na prześcieradłach. Wyglądał jak ożywiona zabawka.

- Spij go.

- Co? - Jeszcze nie pojęłam.

- Został ostatni z miotu.

Pomyślałam o letniej krwi w kwietnej porcelanie. Złożyłam dłonie w łódkę i zwymiotowałam.

Monsieur Fevrier wyszedł na pokład. Z sobie tylko znanych powodów nie zamknął kajuty na klucz. Tymczasem Pies (nazwałam szczeniaka po prostu „Psem”) nasikał w kącie.

Stałam w progu.

- Steward! Steward!

- Wielmożna pani?

Kiedy chłopak pochylał się, by ścierką zetrzeć plamę moczu, wykrochmalony kołnierzyk odchylił się, pokazując pas zaróżowionej, podrażnionej skóry. Tam uderzyłam.

To były zwykłe przesłuchania. Nie znosiłam ich.

- Czy to prawda, że musicie spać w trumnach, w grobowcach?

- Oczywiście, że nie! Przyśrubowane łóżko po dwakroć wystarczy.

- Słoneczne światło was unicestwia?

- Możliwe, że tak.

- Nie macie odbicia?

Otworzyłam cedrowe pudełko do cygar, o którym wiedziałam, że ma wewnątrz lustro, i pochylałam się.

- Czyje ugryzienie uczyniło cię wampirem?

- Żadne. Dostałam to, dziedzicząc krew matki. Kiedy utonąłam, przebudziło się.

- A więc jesteś kimś w rodzaju „księżniczki krwi”.

- Jestem księżniczką.

- Nasi współpasażerowie cierpią na nagłe osłabienia. - Zaczął żuć końcówkę napoczętego cygara. - Masz z tym coś wspólnego?

- Nie boisz się, że ucieknę?

- Wciąż jesteś wampirzycą, a nie syreną - oznajmił.

- A w porcie?

Victor Fevrier przyjrzał mi się uważnie.

- Nie. Twoja obecna sytuacja przysparza ci zbyt wiele rozrywki. I jesteś ciekawa, prawda, Ireno?

- Prawda, prawda, Monsieur.

Głaskałam Psa. Niepokoił go chłodny dotyk, pokazywał zęby. Ogon trwał nieruchomy i skamieniały. Zrzuciłam go w końcu z kolan. Te zwierzęta - w przeciwieństwie do kotów, obdarowanych siedmioma istnieniami - nigdy do końca nie zaakceptowały wampirów.

Położyłam się. Ręce i stopy ciążyły jak cegły. Ból zaczął przewiercać kości. Zapłonęło serce. Nie ruszałam się. I nie chciałam, i nie byłam w stanie. Oddałam idealny bezruch śmierci, czując strach życia.

Fevrier znowu musiał mnie myć i karmić, ale nieświadomi podróżni na pewno odetchnęli z ulgą. Zmywał paciorki krwawego potu z alabastrowego czoła.

- To inny objaw tej samej choroby - powiedział.

Znowu przycumowałam do brzegu. Do brzegu Anglii.

Wieczorem zrzucono trap. Zanim z Victorem zeszałam na ląd, odnalazłam chłopca, stewarda.

- Wielmożna pani?

Dałam mu Psa.

- Za to, że byliście tacy dobrzy.

Skinął głową, że rozumie, a był nieświadom jak niemowlę... Anemia podmalowała jego chabrowe oczy brunatnym cieniem.

LONDYN, 1888/1889

Było to miasto, w którym nieustannie panowała jedna pora roku: mglista jesień. Wiele innych rzeczy zmieniło się, odkąd byłam tu po raz ostatni. Przybyło brudu i hałasu. Ponad ulicami unosił się klekot łańcuchów przemysłowych maszyn. Snuł się smog, a ruch utykał w korkach. W nozdrzach i w gardle zbierał się szary nalot, który miastowi nazywali górnica flegmą. Było słyhać kaszel, przekleństwa, modły.

I poczułam się jak w domu, choć mój prawdziwy dom był tak odległy od tego miejsca jak niebo od piekła. Byłam w domu swojej duszy.

Powóz, prawie niewidoczny we mgle, zawiózł nas do wynajętej kamienicy. W świetle latarni wydawało mi się, że jej front nagina się nade mną, jakby chciał zdruzgotać i zaprzepaścić wszelkie starania. Budynek pochylał się niczym srogi starzec nad dzieckiem, a przecież z nas dwojga to ja byłam stara...

- Zimno mi, chodźmy już.

Klatka, czego się nie spodziewałam, była wyremontowana, schody zdobiła piękna, kuta poręcz.

- Nadal myślisz, że nie ucieknę?

- A czujesz się nie na miejscu?

Oba pytania zostały z pozoru bez odpowiedzi - jak zwykle. Zapalił elektryczne światło, zrobiło się jasno jak w dzień.

- Taka to przyjemnostka.

Na ścianie dostrzegłam zakryte w trzech czwartych płótnem tremo. Ściągnęłam tkaninę.

Nic.

Poczułam się lepiej następnego dnia; słońce właśnie zachodziło. Przez fabryczny dym ledwo było widać jego dumną purpurę.

Na kamiennym parapecie przysiadł szary gołąb skalniak. Na podgardlu miał białą, pierzastą krawatkę, która na moich oczach szcerwieniła. Pomyślałam, że zachód tak zmienia jej kolor, ale to nie było to. Nie była to również żadna rana, tylko ogień.

Ptak trwał nieruchomy nawet wtedy, gdy wokół jego szyi zaczęły wybuchać żółto-pomarańczowe płomienie. Zmienne w kolorach, aż do upiornego błękitu. Co jest? Cóż to za fenomen?

Przypomniałam sobie Samotnię Dickensa i pana Krooka, szmaciarza, który zginął w wyniku samozapłonu. Pannę Flite, która na pewną zgubę wypuściła swoje małe ptaszki. Ireno, witaj w Londynie!

Jakie prądy cię tu przywiały?

Wiatr rozsypał garstkę popiołu, parę osmalonych piór.

Zmilczałam o tym wydarzeniu przed Fevrierem. Ono było tylko moje, stanowiło własność osoby ubogiej.

Monsieur Fevrier wybrał sobie na sypialnię salon z tremo. Patrzyłam na ślepą źrenicę zwierciadła i myślałam o własnym pokoju, w głębi mieszkania. O kłódce ze skoblem na zewnętrznej stronie drzwi. Kroplach opiumowych na nocnym stoliku.

- Idź do siebie - powiedział mężczyzna, rozpinając mankiety koszuli.

Pokręciłam głową.

Usiadł na brzegu łóżka, zaczął rozsznurowywać buty. Miał piękne ręce, o długich palcach i kształtnych nadgarstkach; mocne.

Takie, jak lubię.

Mogłam teraz wybierać, czy chcę patrzeć na niego, czy też w bliźniacze odbicie. Renesansowi malarze sprawdzali w lustrach harmonię linii na obrazach, które tworzyli.

Oderwałam się od iluzji tremo, by kucnąć przy Victorze. Wciąż zapatrzona dotknęłam świeżego zarostu na policzku.

Victor przytrzymał mnie.

- Czy kochacie się jak ludzie?

- Byliśmy ludźmi.

- Czy to boli?

Miłość? Tylko trochę.

Podobał mi się jego tors. Podobały się zebra, które wyglądały, jakby wyszły spod warsztatu lutnika, zebra niczym szlachetne linie instrumentu. Jęknął.

- Miałaś dzieci, tam, w Konstantynopolu?

- Miałam braci.

- A teraz?

- Nie mam nikogo.

- Jeszcze... - odezwał się, sadzając mnie na sobie.

Splotłam nogi za plecami kochanka. Zdumione pieczenie, które przechodzi w gładką przyjemność, nie do odwołania, kiedy się kończy. Wbił dłonie pomiędzy moje pośladki, jakby chciał kierować miłosnym ruchem.

- Masz otwarte oczy. Dlaczego patrzysz? - Westchnął ciężko.

- A ty?

Mógł idealnie oglądać akt w lustrze naprzeciw. Przystojny mężczyzna pieszczący powietrze.

Ciął mnie zębami w ramię.

- Musiałem się przekonać, że istniejesz.

- Dlaczego mnie nie unicestwiłeś? - spytałam, kiedy wrócił rozum.

- Dlaczego...? - powtórzyłam pytanie godzinę później, koniuszkiem języka pieszcząc prokuratorskie węże na sygnecie.

- Żebyś go złapała. Jeśli potrafisz - odparł Victor Fevrier.

Szanowny Panie Będę w Whitechapel dwudziestego dnia tego miesiąca i rozpocznę pewna bardzo delikatną pracę około północy, na ulicy, gdzie przeprowadziłem trzecie badanie ludzkiego ciała.

Oddany aż do śmierci Kuba Rozpruwacz Złap Mnie, jeśli potrafisz.

„Zapanowała ogólna panika, wielu przerażonych ludzi twierdziło, że szatan ponownie nawiedza Ziemię” - grzmiał anonimowy misjonarz z East Endu, po pierwszych krwawych łaźniach sprawionych ladacznicom. A gdzież miał się pojawić diabeł, jeśli nie w tym ludzkim przedpieklu, nękanym przez głód, nędzę, brud, nudę, gniew, strach, depresję?

Stałam na półpiętrze kamienicy czynszowej George Yard przy Commercial Street i patrzyłam przez szybę na nów księżycy, co ponoć miało przynosić pecha. U stóp, utkane z nikłego światła, leżało wyobrażenie Marthy Tabran. Martwej kupki szmat. Otyłej pijaczki i

awanturnicy, o której na pewno można powiedzieć, że była człowiekiem - w przeciwieństwie do mordercy. Zadał jej trzydzieści dziewięć ciosów nożem. Wykrwawiła się w tym miejscu.

Niejakiej Mary Ann Nicholas prawie oderznął głowę „kosą”. Przeciął suknie, by odsłonić ciało i dostać się do brzucha. Zbrodni dokonał na ulicy Buck's Row. Chłodna od tchnienia mgły Mary Ann miała szeroko otwarte oczy. Niestety, wbrew pobożnym marzeniom koronera, na siatkówce nie utrwaliła się postać zabójcy.

CZY WIDZIAŁEŚ JUŻ DIABŁA?

Jeśli nie Zapłać pensa i wejdź do środka. - tak zapraszali mieszkańcy podwórka przy Hanbury Street 29.

Tu, pomiędzy ścianą czynszówki a płotem, zgładzono królową slumsów, Ciemną Annie. Miała przy sobie fragment pękniętego lusterka...

Odżałowałam pensa, żeby obejrzeć naturalny katafalk Annie Chapman. Od wrażeń zakręciło się w głowie. Przyświecając sobie wolim okiem, odkryłam palcami kamyk zaskorupiały w krwi. Cenna rzecz: wedle mądrości ludowej, przynosi szczęście. Jakby tego wszystkiego było mało dla misjonarzy z East Endu, seryjny morderca zaczął wysyłać listy do komisarza policji stołecznej (Drop Szefie) i inspektorów Scotland Yardu. Ochrzczony krwią, mienił się Kubą Rozpruwaczem.

Odwiedziłam szmaciarza. Kupiłam czarny płaszcz oblamowany wyleniałym futrem, bardzo zniszczoną zieloną spódnicę, wełnianą sukienkę, pończochy, czepek. Wiedziałam, że raz to tylko włożę i będę musiała się odpchlić i odwszawić. A jednak włożyłam. Znowu byłam kobietą upadłą. Dziwką.

Pierwszej nocy spotkałam Pearly Polly, miała zaledwie dwadzieścia lat, a już brakowało jej przednich zębów. Mówiła, że to pomaga, kiedy dżentelmen chce, by wzięła do ust, ale uniemożliwia jedzenie ciasteczek pieczonych przez damy z Armii Zbawienia. Była pod wrażeniem mojej urody. Stwierdziła, że taka świeża, ze zdrową skórą, mogłabym zostać „jednofuntową dziwką”. Rarytasem w świecie, gdzie za pośpieszny stosunek pod murem płacono ćwierć pensa. Udawała chojraczkę, a pragnęła zostać moją sutenerką. W rzeczywistości Pearly Polly bała się stać na ulicy, odkąd ledwie co umknęła bandzie chłopców z dobrych domów, którzy wzięli na siebie brzemię czyścicieli East Endu z ludzkich śmieci i tych plugawych dziwek. Polly i ja nie zaprzyjaźniłyśmy się, ale potrzebowałyśmy siebie nawzajem. Dawaliśmy sobie nikłe, a tak bezcenne poczucie bezpieczeństwa, świadczyłyśmy drobne uprzejmości, pytlowałyśmy o wszystkim, co ślina na język przyniesie.

Jednej nocy pod nasz rewir podjechał sympatyczny powóz. Wyszła z niego kobieta, na oko czterdziestolatka i wyglądająca na zagubioną.

Pearly Polly dała mi kuksańca w bok.

- Będzie nawracać albo płacić za całowanie pomiędzy nogami. O ho, ho, Ireno, wybrała ciebie. To przez tę twoją lśniącą skórę.

W głosie ladacznicy wyczułam nutę zazdrości.

Istotnie, obca kobieta oglądała mnie bacznie ze względu na egzotyczny wygląd. Nie byłam pijana dżinem ani zniszczona. Nie chodziło jej jednak o seks ani o troskę. Nie troszczyła się o mnie.

- Gdyby panienka zobaczyła mojego męża, proszę mu powiedzieć, że błagam, aby wrócił do domu.

Polly ze zdumienia aż wpadła w ryszotok, choć między Bogiem a prawdą cała ta ulica nie była niczym innym. Wokół wirował oleisty deszcz i skrzypiały liche koła ręcznych wózków.

Kobieta wcisnęła mi funta i spojrzała pytająco.

Uśmiechnęłam się.

- Jak pani się nazywa?

- Proszę?... Ellen.

- Dobrze, Ellen. Przekażę mu, jak go tylko spotkam. Proszę wracać do siebie. - Pchnęłam ją lekko.

Pearly Polly postukała się po czole.

Jakiś czas później, kiedy całkiem zziębły mi nogi w tekturowych i zbyt dużych butach, ujrzałam dobrze ubranego mężczyznę. Szedł z gołą głową, jakby tylko tu mógł pozwolić sobie na trochę swobody. Blond włosy okalały mu harmonijną, ale trochę zniewieściałą twarz złotym woalem, którego blasku nie gasił smog ani mgła.

Zobaczyłam, że oczy ma niebieskie. Że kryje się pod maską wiecznego chłopca.

- Hej! - wrzasnęłam do niego. - Twoja żona mówi: wracaj do domu!

Włożył kapelusz, przeszedł na drugą stronę. Zawrócił.

- Skąd wiedziałas, że to on? - indagowała zaciekawiona Polly.

- Nie wiedziałam.

- Łatwy funciak. - Skinęła głową.

Później oddaliła się z podpitym mężczyzną. Miał myśliwski kapelusz, kraciaste spodnie. Zajrzałam do zaułka: brał ją od tyłu, na stojąco. Swobodnie mógł wyciągnąć nóż i przeciąć gardło od ucha do ucha.

„Przerazające stworzenie rodem z najgorszego koszmaru” - głosiła witryna na wpół opuszczonego sklepu. Ja, zbieraczka cudów i poszukiwaczka osobliwości, oczywiście odwiedziłam go. Joseph Carey Merrick, który ośmielił się robić konkurencję innemu londyńskiemu potworowi - potworowi duszy - i którego o mało co za grzechy tamtego nie zlinczowano. Człowiek-Słoń kozłem ofiarnym? Zapłaciłam dwa pensy i wraz z innymi spóźnionymi przechodniami weszłam do środka. Wieczorny mrok rozpraszały tanie łojowe świece, jakby wyprodukowane w innej epoce. Pasowały do tego barbarzyństwa, któremu i ja uległam.

Podniesiono zasłonę. Kciuk powędrował w usta, zamknęłam na nim zęby, żeby nie krzyknąć.

Cierpiał na chorobę von Recklinghausena. Jego głowa z występkiem kostnym zasłaniającym oko miała metr obwodu. Z tego powodu musiał sypiać na siedząco, przez cały czas obawiał się skręcenia karku. Chorobliwy nadmiar skóry zwieszał się z całego ciała, górna szczęka i wargi układały się w trąbę. Człowieka-Słonia za dodatkową opłatą można było zobaczyć bez ubrania. Jego członek nie odbiegał jednak od normy, co budziło rozczarowanie u płacących.

Czy Merrick marzył o zbliżeniach z kobietami? Choćby tylko z jedną, wierną kobietą? Slumsy go znienawidziły, bo ktoś widział, jak oszalały z chuci, w czarnym kapturze poluje na kobiety upadłe. Czy dopuszczano do siebie myśl, że Kuba Rozpruwacz może być ładny? A Merrick czuły i wrażliwy? Ze spektaklu wyszłam znużona i smutna, rozczarowana ludzkością. Kto dzielił ze mną te uczucia?

Merrick, Rozpruwacz, ja... Byliśmy potworami, niezależnie od tego, co, pokazywały lustra, albo czego nie pokazywały.

Victor wszedł do mego pokoiku. Pod pachą niósł prostokątny pakunek zawinięty w szary papier, przewiązany sznurkiem. Zaczął rozplątywać supeł. Nigdy nie widziałam, by coś niepotrzebnie niszczył.

Teraz darł, przerywał, przecinał.

- Pomyślałem sobie, że skoro sypiam w „Salonie z tremo”, to i twoim ścianom przydałaby się ozdoba. - Przyjrzał się ascetycznemu wnętrzu. Wcześniej musiała mieszkać tu czyjaś służka. Żyłam w „Pokoju służącej”.

- Co powiesz na „Sypialnię z Nudą”? - Wyjął obraz.

Parsknęłam, a jednak zaczęłam oglądać.

Starszy mężczyzna, o tępych, niewidzącym wzroku skierowanym we własne wnętrze, siedział przy okrągłym stoliku, paląc ogryzek cygara, obok stała do połowy pusta szklanka piwa. Jakaś ignorowana kobieta za jego plecami - może młoda żona, może córka - opierała się o mieszczchańską komodę; ze smutną twarzą wpatrzoną w sporą szklaną bańkę, pełną zatrzaśniętych, wypchanych gołębi.

Londyński spleen.

- Jak się nazywa artysta? - spytałam.

- Walter Richard Sickert.

- „Sypialnia z Sickertem”.

Uśmiechnął się lekko.

- Mówią o nim, że to angielski Degas. A przecież Degas to Degas - celowo przejawiał w zgłoskach obecność ojczystego akcentu.

Bywało, że rozmawialiśmy po francusku. Poprawiał wówczas moją staroświecką wymowę.

Powiesił płótno na pustym dotąd kołku. Nie wiedzieć dlaczego, przeszły mnie dreszcze. W drugim planie, nad głową córki czy żony, wisiał obraz („ich obraz”). Niewyraźny, przedstawiał portret wydekoltowanej damy. Nie... Kolejne dwa portrety! Kiedy zmrużyłam oczy, zorientowałam się, że to, co brałam za plamę światła obok nagiego ramienia divy, było oświetloną połową twarzy. Twarzy kogoś, kto skradał się cicho jak duch, a jego postać była niewyraźna jak cień.

- Popatrz tutaj, Monsieur - wskazałam. - Widziałeś?

- Ależ skąd.

Wiedziała, że kłamał. Nawet się nie starał zachować pozorów.

London West Drop Szefie To znowu ja i moje stare sztuczki. Chciałbyś mnie złapać? Na pewno chciałbyś tu zajrzeć - wychodzę z domu - przy Conduit St. dziś wieczorem obserwuj Conduit St. i okolice - Cha - cha zabiorę ci sprzed nosa następne cztery życia cztery następne cipy do mojej malej kolekcji & Będę spał spokojnie Rób co chcesz i tak nie zaśniesz...

Droga moja prowadziła przez część miasta, gdzie dosłownie nie można było dostrzec niczego, prócz latarni. Kolejne uśpione ulice, oświetlone, jakby miał nimi przejść pochód, a wszystkie jak opustoszały kościół - napisał Robert Louis Stevenson w Przedziwnej historii doktora Jekylla i pana Hyde'a. Tak dobrze go rozumiałam! Szczególnie tamtej nocy, podczas

której po raz tysięczny wyszłam na polowanie. Kiedy kręciłam się w ubraniu taniej dziwki, naraił mi się żołnierz na przepustce, najwyraźniej cierpiący na nadmiar animuszu.

Schroniliśmy się w zaułku. Już za chwilę zaczął podnosić mi spódnice, jednocześnie rozluźniając spodnie, aż poczułam chłód na pośladkach, a potem wilgotne ciepło penisa. Nie czekając na więcej, obróciłam się i szarpnęłam zdumionego absztyfikanta. Nim zdążył choćby westchnąć, spijałam krew. Jego członek, jakby nic nie robiąc sobie z konania właściciela, wciąż zawadiacko bódł przestrzeń.

Ciało padło na bruk. Oblizalam wargi. Opita jak pijawka czułam w sobie strumienie ciepła.

Jednak...

Ktoś obdarzony łapami ulicznego kota obserwował ten niewyżyty seks. Zobaczyłam jego cień biegnący po skruszałych murach, nim zniknął w nawie innej uliczki.

Nocny pożar w dokach. Byłam tam.

Wracałam z polowania. Szłam obok rzeźni; zwierzęca krew krzepła w rynsztoku. Powalałam spódnice sukni. Dwa wychudzone, bure kocury biły się o świńskie ucho.

Po powrocie do siebie tak długo prałam ubranie, aż skóra na dłoniach całkowicie się pomarszczyła.

Victor wydobyl ze Scotland Yardu odpisy listów Kuby.

Chcę więcej krwi.

Muszę mieć więcej.

Uważają mnie za bardzo przystojnego dżentelmena.

Przyniósł też zdjęcie, jedyną fotografię niejkiej Elizabeth Stride, w dodatku wykonaną już po brutalnym zgonie. Kiedyś (co to za nieocenione, fatamorganiczne słowo z tego „kiedyś”) musiała być piękną kobietą. Och, Długa Liz z tymi jasnymi, falującymi włosami (dopiero co umytymi przez sługę zmarłych), kształtną twarzą, zmysłowymi ustami. Wysoka i szczupła nawet w wiklinowym koszu trupiarni, który postawiono na sztorc przy ścianie, by ułatwić robotę fotografowi. Poderżnięte gardło stanowiło „najpiękniejszy” naszyjnik martwej damy. Reszta ciała litościwie pozostała nienaruszona.

Nienaruszona z władzy Przypadku - jakiś przechodzień spłoszył Rozpruwacza.

Przed śmiercią na Berner Street 40, ulicy polskich krawców, niemieckich szewców i żydowskich papierosników, podarowano Liz purpurową różę oraz tutkę cukierków odświeżających oddech.

Płomień świecy zadrgał. Victor wszedł do „Sypialni z Nuda”.

- Znaleźli jeszcze jedną. Jest w kostnicy przy Golden Lane.

- Muszę ją zobaczyć.

- Marnujesz oczy. Czemu nie przeglądasz papierów w salonie?

- Nie lubię elektrycznego światła.

- Jakbym słuchał kogoś przesądnego.

- Prokuratorze, one nawet nie wiedzą, że przestały istnieć. Cisza. Ciemność. Nic.

Wstałam. Przytrzymał mnie za ramiona.

- Zaczekaj.

Kiedy wrócił, niósł dziwny nóż. Jego głownia była sierpowato zakrzywiona, szeroka na dole. Wyglądała na ciężką. Stabilną i bezpieczną.

- Kukri, broń Gurkhów.

- Co to jest? - Wskazałam półkolisty znak u nasady.

- Magia, która zapewnia skuteczność broni. Znak symbolizujący waginę.

- No, no...

- On zaczął wycinać im macice.

Slumsy East Endu nie miały własnej kostnicy, zwłoki przechowywano w drewnianych barakach. Co innego City of London, ta miała prosektorium z prawdziwego zdarzenia! Catherine Eddows, na swoje szczęście czy nieszczęście, została zamordowana właśnie w City. Jej ciałem w kostnicy Golden Lane bardzo profesjonalnie zajęło się trzech lekarzy. Do starych ran dołączyły nowe. Policzek otwarty do kości, ucięty nos, rozcięte wargi, nacięcia trzustki i śledziony. Nieudana próba rozczłonkowania. Ciało „powiedziało”, że zanim zaczęli drylować je doktorzy, wypatroszono je z lewej nerki oraz połowy macicy.

Catherine Eddows zawieszono na haku, niby obraz. Najstraszniejsze cięcia skromnie zaszyto przed zrobieniem policyjnego zdjęcia.

- Tak mi przykro - powiedziałam do wiszącej.

Uchyliłam jej powiekę. Catherine miała oczy ciemne obok ciemnych włosów. Musiały płonąć jak węgle, bo zaćma śmierci nie zdążyła ich przytłumić. Na ramieniu miała wytatuowane T.K.; zapewne inicjały mężczyzny, którego kochała. Który ją kochał i obdarowywał delikatnymi uściskami, potrafiącymi przegnać londyńską mgłę.

Uniosłam Catherine Eddows tak, że ciało zsunęło się z haka. Przeniosłam na drewnianą ławę, popaloną od żrących soli.

- Zostań tutaj.

To nie może trwać wiecznie Trwałoby gdyby mogło Ale nie ma o czym mówić Bo nie mogłoby gdyby chciało.

Pogasiłam mierne, nieprzynoszące nadziei lampy i wyszłam w noc. Ciebie do cieni.

Powiedziałem jej, że jestem Kubą Rozpruwaczem, i zdjąłem kapelusz.

Drogi panie!

Wydaje mi się, że mogą Pana zainteresować moje osobiste doświadczenia z wykorzystaniem ogarów do ścigania przestępców. Opiszę więc wypadek, który widziałem niegdyś na własne oczy. W 1861 lub 1862 roku (niestety, nie pamiętam już dokładnej daty), kiedy przebywałem w Dieppe, znaleziono ukryte w końskim żłobie ciało chłopca z gardłem poderżniętym od ucha do ucha. Natychmiast sprowadzono dwa ogary. Te przez chwilę obwąchiwały ziemię, potem ruszyły zdecydowanie w jednym kierunku, a za nimi ja i setki mieszkańców miasta. Te doskonale wyszkolone zwierzęta ani na moment nie zwolniły tempa, dopóki nie dotarły na drugi koniec miasta, gdzie zatrzymały się przed drzwiami domu noclegowego, odrzuciły do tyłu swe szlachetne głowy i zawyły głośno. Po wejściu do środka ludzie znaleźli mordercę - starą kobietę - która chowała się pod łóżkiem. Pozwolę sobie dodać, że węch i instynkt odpowiednio wyszkolonego ogara to narzędzia tak cudowne, iż trudno określić, gdzie kończą się ich możliwości.

Z poważaniem, Kuba Rozpruwacz

- Dokąd idziesz, śliczna panienko? - osadził mnie w miejscu męski głos.

- Nie pańska sprawa - odburknęłam.

Byłam zmęczona, śpieszyło mi się do Victora. Obcy roześmiał się.

- Ile?

- Funt.

- Dużo.

- Czy nie jestem śliczną panienką?

- Och tak, och tak. - Wysunął dłoń i przebiegł palcami po mojej twarzy.

Na wargach pozostał smak kozlich rękawiczek. Choć głodna i zła, zrobiłam się czujna.

- A ty?

Jego oblicze kryła mgła. Dostrzegłam biały fular, haftowany w czerwone kwiaty. Na stopach miał domowe kapcie. Cóż za dandysowska niekonsekwencja.

- Och, jestem bardzo pięknym mężczyzną.

- To może ja powinnam zapłacić?

Znów ten uwodzicielski śmiech.

- Wyjdź z cienia. Chcę patrzeć.

- Wszędzie mgła. - Naparł dłonią na moje biodro.

Chciał mnie zająć od tyłu.

Ostrza błysnęły jednocześnie: coś jakby brzytwa oraz moje kukri. Odskokczyłam, cięłam przez pierś, ramię, kozła rękawiczka zabarwiła się krwią.

Złożył lewą rękę, uderzył pięścią prosto w usta. Zachwiałam się: bardziej ze zdumienia jego szybkością niż z siły ciosu.

- Śliczna panno... - Schwycił dłoń trzymającą nepalski nóż. - Puść go, cipo. Daj mi.

- A gdzie mój funt?! - Potężnie uderzyłam kolaniem w krocze.

I nic się nie stało! Wyrwał mi kukri.

- Jestem bardzo rozbawiony. Całusy! - Dziwnie gęsta krew spływała po jego nogawce.

Żał mi, że ona już nie istnieje.

Uciekł, a ja pognałam za nim.

Jego krew wołała do mnie. Niby szkarłatna i smakująca żelazem, ale odnalazłam w tych doznaniach kamuflaż. W rzeczywistości była zielona, złamana aromatem siarki. Chciałam się ludzić, że w starciu uszkodziłam jakąś główną arterię napastnika, ale krzyk był zbyt cichy.

Znów czułam się źle, bardzo źle.

Stanęłam przed wejściem do kamienicy. Jedna dziupla, musiał mieć ich więcej. Tyle, ile pszczelich komórek w plastrze, a w każdej miód śmierci.

Wbiegłam po zakurzonych, zaplamionych moczem schodach.

Drzwi mieszkania były otwarte na oścież, okno również. Dopadłam do niego i wychyliłam się: zaryzykował niemożliwy skok, odbił się od smołowanego dachu wychodka, na ugiętych nogach wylądował na ubitej ziemi. Cisza. Nie sposób go było dogonić.

Obróciłam się, obrzuciłam spojrzeniem wewnątrz pokoju. Mrok kreślił kontury wokół porzuconych kokard, piór, kwiatów, serc martwych dam, nerki zakonserwowanej w spiritusie. Pojemnik był nieszczelny, górna odsłonięta część preparatu oddała kolor, a potem pod wpływem rozkładu ściemniała. Żał było patrzeć. Wbrew pozorom, księżycowe światło czyniło tę hańbę bardziej znośną.

Zobaczyć to w świetle dnia i nie oszaleć - oto sztuka.

Ludzkie kości, mumie zgładzonych inkaskich dzieci, poplamione prochem mundury, luźne kartki przekładane palcem nocnego wiatru. Wzięłam jedną do okna. Siadłam na kamiennym parapecie. Huśtałam nogami, nie sięgając desek podłogi, jak mała dziewczynka.

Patrzyłam: sangwinowy rysunek główki kobiety, z szeroko otwartymi oczyma, szeroko otwartym gardłem. Szkarłat i zieleń.

Cóż to za niesamowite/dziwne uczucie, kiedy jestem pośród tych ścian, tych wysokich, nagich, bladych ścian, jakie one straszne, przypominają mi te staromodne wartownie...

Czyż nie układasz w sterty, tu i tam, płaszczy i kapuz, peleryn i kożuchów, czyż nie wnosisz wszelkiego rodzaju śmiecia do tego pokoju...

Pół siedziałam, pół leżałam na Fevrierze, pozwolił mi pieścić swą uschniętą stopę, a ja znalazłam w tym przyjemność.

- Jest was wielu?

- Więcej, niż należałoby się spodziewać.

- We Francji?

- We Włoszech, Turcji, Rosji, Holandii, Nowym Świecie...

- A tutaj?

- Tutaj też.

- Ale powstaliście w katolickiej Francji.

- W Hiszpanii. W piętnastowiecznej Hiszpanii, jako tajny odłam Inkwizycji Tomasa de Torquemady. Zakon Srebrnych Węży.

- Nie ma pośród was kobiet?

- Izabela Katolicka, Teresa z Avili, kiedyś. Teraz już nie. Ale któż może być tego pewien?

- Ty nie?

- Nie.

- Pierścień się dziedziczy?

- Zostaje się wybranym.

-Ty?

- Wykupiony z sierocińca.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Czuję się zwykły.

- Ach, tak... Victorze, czy oprócz przysięgi macie jakąś dewizę?

- Jam Alfa i Omega. Pierwszy i ostatni. Początek i Koniec. To z Apokalipsy.

- Jak karzecie zdradę?

- Śmiercią.

- Ktoś z Prokuratorów zdradził?
- Nie mówili mi.
- Kłamali.
- My nie kłamiemy. Nie znamy takiego słowa.
- Tym słowem jest miłość - szepnęłam do siebie.
- Co?
- Nic. Przesłyszałeś się. To przez wiatr za oknami.

Mgła tłumi kroki, ale nie szum liści. Gałęzie uderzają o okno. Nów.

- Tutaj jestem - powiedział głos w ciemności. Liście na drzewach szumiały, na twarzy poczułam pierwszy dotyk mżawki. - Tutaj jest cieplej.

Postać siedziała na schodach ocienionego kamiennym baldachimem grobowca.

- Pearly Polly powiedziała, że ktoś tu na mnie czeka.
- Przekupiłam nocnego stróża cmentarza. Zgubiłam się, niemal wpadłam w jakąś otwartą kwaterę.
- Dożył prawie dziewięćdziesiątki i ludzi pogrzebał dziesiątki. Kto innym dołki kopie, ten w końcu sam w nie wpada - wyrecytowałam.

Roześmiała się nerwowo.

Na cmentarzu grunt często się zapadał przy kopaniu nowych grobów. Piach i kamyki niczym chłodna lawa zalewały pechowego grabarza. Radzono, by kopacz w takiej sytuacji jedną dłonią zakrył nos i usta. Wierzono, że w ten sposób przytrzymuje powietrze, chroni się przed wciskającą się wszędzie ziemią. Drugą powinien unieść, wystawić palec, jakby dając sygnał: tu jestem, tu kopcie. Jeden z pozostałych na wierzchu głośno liczył, reszta ekipy próbowała odnaleźć towarzysza. Kiedy padła liczba 200, pracę przerywano.

- Czego pani ode mnie chce, Ellen? - Księżyc wyszedł zza chmury, na chwilę oświetlając jej sylwetkę.

Nie wyglądała na starszą kobietę, raczej na zgubioną dziewczynkę. Widać było, że kiedyś płakała.

- Pani twarz utkwiała mi w pamięci. Nie znam nikogo innego w slumsach.
- Pani jest damą, Ellen, a ja dziwką.
- Proszę tak nie mówić. Zdenerwowałam panią?
- Nie.
- Chodzi o mojego męża.
- Ach, o tego złotego młodzieńca.

- Znalazłam to u niego w pracowni.

Ciężki przedmiot w płótnie. Zza materii wystawało coś, co mogło być rękojęścią kukri.

- Są jeszcze inne rzeczy. Nie mogę go dłużej chronić. Te wszystkie kobiety, kobiety jak pani... One przychodzą do mnie w snach...

- Ellen?

- Jestem tak bardzo sobą rozczarowana. Myślałam, że będę kochać tak mocno, że wszystko znajdzie przebaczenie. Ale nie potrafię.

- Odprowadzę cię do bramy.

- Jaka pani dobra.

Schwyciłam ją, wyczuwając znajomy kształt na rękawiczce.

- A to co?!

- Jego sygnet. Walter podarował mi go z okazji rocznicy ślubu.

...po stracie męża żałoba trwa dwa lata.

Po dziecku lub rodzicach - rok.

Po braciach i siostrach - sześć miesięcy.

Po ciotkach i wujkach - dwa miesiące.

Po ciotecznych dziadkach - sześć tygodni.

Po ciotecznym rodzeństwie - cztery tygodnie.

Po kuzynach - trzy tygodnie...

WALTER RICHARD SICKERT:

Ciemność jest śliczna. Wilgotna noc jak najprzedniejszy aksamit, wykończona koronką mgły.

„Zerwałem fiołek z grobu mojej matki, gdym jeszcze chłopcem był” - ślicznotka idzie i śpiewa starą irlandzką balladę.

Te „słodkie fiołki” dadzą mi natchnienie.

- Dokąd idziesz, śliczna panienko?

Zazdroszczę jej szczęścia. Suknia przemokła do cna, topiąc w swych fałdach mole, woda leje się z czepeczka, a młoda, samotna kobieta wciąż jest zadowolona. Przeszłość wydaje nam się taka wzruszająca i interesująca tylko dlatego, że jest dalej od grobu? Była.

- Jak się nazywasz?

- Mary Kelly, wielmożny panie.
- A więc, Mary Kelly, nie chcę tego robić na ulicy.
- Mieszkam tu niedaleko, ale to będzie kosztowało.
- Mogę zapłacić. Nie marzysz o suchym łóżku, Mary Kelly? Gdzie mieszkasz?
- Dorset Street 26. Pokój numer 13.

To wyglądało na robotę diabła, a nie człowieka.

Zapala świecę. Nie chce rozpuścić włosów, jest dumna, że potrafiła tak kunsztownie je ułożyć; jak u prawdziwej damy, a przecież nie ma służącej. Zdejmuje ubranie, schludnie je składa, zawiesza na poręczu krzesła. Ma gładką białą skórę, bez zmarszczek i przebarwień. Figurę jak klepsydra. Nie musiałyby żyć jak tania dziwka.

Przeciąga się, żeby mnie podniecić. Podobam jej się. Myszki ma bardzo owłosioną; w te loki wkręcę palce, szarpnę. Znów coś nuci.

Mówię, żeby dołożyła do kominka. Będziemy potrzebowali więcej światła... Przykuca, płomień ozłaca jej apetyczną nagość. Kropla potu, lśniąc jak klejnot, spływa spod zagłębienia pachy.

- Zaraz sobie pośpiwam.

Droga oddechowa przecięta została w niższej części krtani, na tej samej wysokości co tętnica szyjna.

Układa się na poduszkach. Całuję ją. Język ma sprytny, szybki jak czający się w norce łąpek małego zwierzątka. Przykrywam dłonią ciężką pierś, pozwalając, by sterczący sutek, niby rozkoszna niespodzianka, wyskoczył mi spomiędzy palców.

Obie piersi zostały usunięte półkolistymi nacięciami, łącznie z mięśniami sięgającymi żeber.

Sprawdzam kciukiem, czy jest wilgotna. Jest. Przykładam twarz do kobiecego brzucha, czochram się, co ją bardziej rozpala. Raz pozwalam jej dojść samej. Serce Mary Kelly bije szybko, mocno.

Sprawny aparacik, lokomotywka ciągnąca nić życia.

Skóra i tkanki brzuszne... usunięte zostały w trzech miejscach... Prawe udo zostało w jednym miejscu obdarte do kości... Dolna część [prawego] płuca została przecięta i wyrwana... Osierdzie zostało otwarte, a serce usunięte.

Lubieżnie bawi się moim fularem. Haft krzyczy, rogi ciemnieją.

- Morderca!

Morderstwo z premedytacją popełnione przez nieznanego sprawcę.

Oddałam mu kukri i pierścień.

- Wiedziałaś. - Spoglądałam na bańkę pełną martwych gołębi.

- Od samego początku.

- Brakowało dowodów.

- Co będzie dalej?

- Prokuratorzy się nim zajmą.

Siedział na łóżku, schwyciłam jego prawą dłoń; miał na niej półokrągłe odciski od laski.

Opuściłam blade palce na kolano Victora, zamiast w górę, jak się spodziewałam, ręka sunęła w dół. Pod idealnie skrojonymi spodniami dżentelmena jedna noga była chuda niby zasuszona starą chorobą, nieforemna.

- Czy to bolało?

- Strasznie. Byłem dzieckiem, bezustannie krzyczałem po nocach.

Poderwałam się.

- On jest jednym z was. Wyciszycie całą sprawę.

Victor próbował rozpalić ogień w martwym kominku, w „Salonie z tremo”. Dlaczego właśnie teraz, po tych wszystkich chłodnych dniach?

Przewód kominowy był zapchany, wyleciał z niego rój sadzy, niepokojąco przypominający czarne motyle. Zdezorientowane ćmy.

Wspomniałam londyńskich kominiarczyków, rachitycznych chłopców wykupywanych przez cech z sierocińców, którzy w wieku lat trzynastu stawali się starcami o skurczonych płucach.

- Dostałem wiadomość.

Wiedziałam, co jest w tym liście: prokuratorzy nakazywali unicestwienie wampira ogniem albo światłem.

- Uciekaj. Puszczam cię wolno.

Złap mnie, jeśli potrafisz.

Podeszłam do Victora. Przesunęłam kciukiem po jego czole, brodzie, ścierając brud.

- Teraz już jest dobrze.

Jeśli nie zostanie schwytany na gorącym uczynku, człowiek taki w zwykłym życiu będzie nieszkodliwy, uprzejmy, by nie rzec służalczy, i z pewnością nie będzie budził podejrzeń policji. Kiedy jednak odurzy się swoją dawką opium czy dżinem, kiedy obudzi się w nim żądza mordu i krwi, zniszczy swą bezbronną ofiarę z gwałtownością i zręcznością tygrysa; a poczucie bezkarności doda mu tylko sił i sprowokuje do kolejnych mordów.

Pański oddany sługa.

Bawiłam się kieszonkowym zegarkiem; czułam drżenie Czasu w moich rękach. Co sprawia, że istoty podążają jedna do drugiej? Pragną pogrążyć się w sobie?

Podróżny kufer stuknął o gołą podłogę, wrywając mnie z odrętwienia. Dywan był już zwinięty i wstawiony do kąta.

- Dokąd się wybierasz? - spytałam.

- Pojadę do Europy Wschodniej. Jeszcze nigdy tam nie byłem.

- Prokuratorzy będą cię ścigać?

- Tylko jeśli pojedziesz ze mną.

- Tak... Tylko jeśli pojedę z tobą.

Przeżyłam z Francuzem, Victorem Fevrierem, wiele; możliwe, że zbyt dużo. Nie oddałabym tego czasu za inny. Zmieniłam się, znowu. Nawet śmierć się zmienia, nawet złe życie...

Nie ma w tym tomie miejsca, żeby wszystko opisać.

O Irenie - żonie Francuza - przygotowuję osobną kronikę.

W tekście wykorzystano fragmenty Przedziwnej historii doktora Jekylla i pana Hyde'a Roberta Louisa Stevenson'a w tłumaczeniu Macieja Słomczyńskiego. Teksty etykiety żalobnej pochodzą z książki Spadające anioły Tracy Chevalier w tłumaczeniu Krzysztofa Puławskiego, a listy Kuby Rozpruwacza oraz raport sądowy z książki Kuba Rozpruwacz, Portret zabójcy Patricii Cornwell w tłumaczeniu Janusza Ochaba.

To osobliwa biografia, w której Cornwell po szczegółowym śledztwie ujawnia nazwisko tego wielokrotnego mordercy. Jest nim Walter Richard Sickert, malarz mianowany Mistrzem i nieprzeciętną osobowością - „największy brytyjski artysta od czasów Constable’a. Nauczyciel Winstona Churchilla oraz łaskawy krytyk akwarel Adolfa Hitlera. Zmarł 22 stycznia 1942 w wieku 82 lat.

ANASTASIS

W Chrystusie mieszka cała Pełnia: Bóstwo, na sposób ciała (...) i w Nim zostaliście napelnieni; razem z Chrystusem zostaliście pogrzebani w chrzcie, razem też z Nim zostaliście wskrzeszeni przez wiarę w moc Boga, który Go wskrzesił.

Katecheza św. Pawła

TERAZ

Wylądowałam na Orły i jak zwykle byłam słaba po przelocie.

Paryż! A ja po raz kolejny witam go chora. Zamknęłam się w toalecie na lotnisku i próbowałam dojść do siebie. Gdybym odbijała się w lustrze, dużo by mi to ułatwiło...

Na wycucie zmatowiłam twarz chusteczkami; nałożyłam pomadkę na usta, z przyzwyczajenia malując popularny w latach czterdziestych „dzióbek” na górnej wardze. Roześmiałam się i starłam go. Łyknęłam tabletkę na ból głowy i przeciwko mdłościom. Niedawno odkryłam, że te mniej skomplikowane pod względem zawartości lekarstwa nie tylko mi nie szkodzą, ale aktywizują się w moim organizmie, pomagają tak jak przeciętnemu śmiertelnikowi.

Udało mi się wziąć taksówkę z postoju, kazałam wieźć się do serca miasta. Miałam rezerwację w hotelu Britannique na 20 Avenue Victoria, nim jednak tam dotarłam...

- Czy zna pan jakąś czynną cerkiew? - spytałam taksjarza.

Długo udawał, że mnie nie rozumie: mój francuski nie był zły, jedynie cokolwiek staromodny, ale niedouczonego patriotyzm kierowcy został zraniony. I dobrze! Zawsze miałam słabość do Francuzek, a nie ich mężczyzn.

W każdym razie do cerkwi mnie zawiózł. Sądząc po cenie kursu, musiała być na końcu świata.

Cerkiew powitała mnie zapachem kadzidła, znajomym niczym pot na piersiach matki. Odruchowo zapragnęłam zasłonić sobie włosy welonem. Tyle że nie było żadnego welonu: „znowu” nie byłam bazylistką, „już” - córką megaduksa.

Podeszłam do ołtarza.

Zapaliłam jedną cieką świeczkę, w intencji modlitwy za osobę, o której wiem, że jest. Sama tego dopilnowałam. Płomyk palił się dziarsko i równo. Był wysoki. To dobry znak, pomyślałam. Jednakże dobre znaki bywają złudne.

Me myli się ten, kto mówi, że boskość jest w obrazie... Obraz ma formę wspólną z pierwowzorem i ta wystarcza, aby pierwowzór przeniósł swą moc na obraz. Dlatego istnieją obrazy cudowne.

Zastanowiło mnie to, co przed wiekami powiedział mój nauczyciel, kardynał Izydor. Gnębiło...? Miałam dziwaczne skojarzenie srebrnej sukni ikony ze srebrzystą taflą lustra. Jak słowa bizantyńskiego kapłana mają się do faktu, że ciała wampirów nie niosą ze sobą swojego odbicia?

Zapaliłam jeszcze jedną świeczkę, parafinowy rozek, tym razem za siebie. I na tym knocie ogień palił się jak należy.

Ciemnolica Matka (a była to kopia ikony Najświętszej Marii Panny z Władymira przywiezionej do Rosji z Konstantynopola)

oderwała na chwilę spojrzenie od swojego Syna i popatrzyła wprost na mnie.

Zobaczyłam, jak po drewnie toczy się pojedyncza łza, i uciekłam.

WCZEŚNIEJ

Chuda dziewczynka schodzi, by obserwować młodą kobietę obierającą kartofle. Kobieta ma ziemniaczaną skórkę wrosniętą w paznokcie od ciągłej pracy; kolejny kartofel wpada z chlupotem w olbrzymie wiadro. I jeszcze jeden. Kobiecie (która nie jest kucharką, gotuje mężczyzna) dobrze idzie, przynajmniej do czasu, kiedy zapomina, co robi. Jak obrać ziemniak? Zacina się, a kropla krwi uderza w wodę.

Zapomina się tak parę razy w tygodniu, czasami parę razy dziennie. Dłonie ma pokaleczone, pokryte starymi i nowymi bliznami. Cała staje się Zapomnieniem i tę antyhistorię przychodzi „wyczuć” dziewczynka.

Wciąż obie toną w mroku, bo wszystkie okna domu zostały zamalowane wapnem. Palą się śmierdzące, łojowe świece, jak w czasach, które minęły, a teraz najwyraźniej wracają. Za ramami okiennic trwają najdłuższe w roku dni. One ich nie oglądają. Tego im zakazano.

Kim ja jestem? Jak tu się znalazłam? Nie rozumiem... Myśli kłębią się w głowie, neutronowy szum niewnoszący żadnej informacji.

Żadnej tożsamości. Elektryczno-chemiczna pustka.

Nie ma już nawet strachu, który więził serce w rytmie stu dwudziestu uderzeń na minutę. Zamykał rozum w wieży, wysokiej a ciasnej, ułożonej z kości czaszki. Kość... Gdy nikt nie widzi, wycina je na bezkształtnych ziemniaczanych obliczach. Ostatnio coraz częściej jest obserwowana. Dziwne. Myślała, że już znudziła się wszystkim. I może rzeczywiście tak jest, może cały świat z wyjątkiem tej małej ma już jej dosyć.

Czasem przychodzą jacyś mężczyźni, ale oni nie szukają osobowości, która zniknęła niczym kamień wpadający w studnię. Chcą piersi, takich samych jak u innych kobiet.

Boże mój, jaką historię mam do opowiedzenia?

Rudy spaniel podchodzi do niej ostrożnie, tylne łapy mu się rozjeżdżają. Piszczy cichuteńko i przeraźliwie jak upiór. Nagle na jego kłębiastą sierść spada ręka ze śladami skrzepniętej krwi.

Dziewczynka cofa się z przerażeniem - wygląda to tak, jakby podkuchenna chciała strzaskać psu kręgosłup. Tamta jednak (wcale a wcale nie wygląda na podkuchenną) zaczyna delikatnie pieścić kark psa, jego mięsiste uszy.

- Bosman - mówi.

- O nie. Nie. On nazywa się Jimmy.

Ręka zamiera na moment, a potem zabiera z podółka upuszczony ziemniak.

Wszyscy w domu Ipatiewa - tak bolszewicy, jak i Romanowowie - mają podkuchenną Irinę za opóźnioną w rozwoju.

Delikatny pulsujący ptaszek o kłębistym upierzeniu, któremu jednym ruchem można byłoby ukrećić główkę. Dziewczynka nigdy jeszcze tego nie widziała. Nie wierzy siostrom, kiedy, chichocząc, opowiadają, że tak a tak wygląda męskie przyrodzenie.

- A skąd wy możecie wiedzieć, skoro jesteście pannami?

Robią dziwaczne miny:

- A ptaszek Aleksego? Nie widziałaś nigdy u braciszka?

- Nie.

Była za mała, żeby pamiętać tamte pierwsze kąpiele, przewijanie z pieluch... Dla niej chłopięce i męskie ciało kojarzy się z dotykiem chłodnego marmuru. Raz w Ermitażu, skryta poza wzrokiem kogokolwiek, ośmiela się dotknąć nagości greckiej rzeźby. Potem śni jej się po nocach wyrzeźbiona klatka żeber, płaski brzuch atlety i... to - przyrodzenie niezakryte liściem.

To - co, choć pulsujące życiem, ale znacznie mniej pociągające - gnieździ teraz Irina w swoich spracowanych dłoniach.

- Och - jęczy bolszewik.

Chwieje się i chwyta za dwie obnażone kobiece piersi, jakby chciał dzięki nim odzyskać równowagę.

Dziewczynka cofa się bardziej za próg, w mrok. Mała podglądaczka pragnie ujść kary. Irina jednak słyszy szelest, unosi głowę.

- Katinko. - Żołnierz wzdycha i zmusza inną kobietę, by położyła się na kuchennym stole. Jego blat jest pocięty nożem do szatkowania. W blizny stołu powchodziły zaschnięte mydliny i tłuszcz.

Mężczyzna, jeszcze z opuszczonymi portkami, rozgląda się, nasłuchując, i mówi:

- Ktoś tu jest.

- Nie - protestuje Irina.

Podglądaczka zamiera jak mysz pod miotłą, ale porośnięta gęstym włosem ręka odcina dziewczynce drogę ucieczki. Mała ani drgnie, wie, że sama napytała sobie biedy. Matka, choć wspiera się na lasce, obilaby ją rzemieniem za to nieposłuszeństwo. W Rosji żadna zbrodnia nie obywa się bez kary. Co spotka dziewczynkę?

Erotyczne zapędy nie wywietrzały jeszcze bolszewikowi; sęk w tym, że on nienawidzi tego dziecka i boi się go, jak żmii. W jego rodzinnej wiosce dla żmij wystawia się miseczki z mlekiem, nawet w czas największej biedy.

- Zostaw - mówi Irina.

Mężczyzna lekceważy ją.

- A gdzie to zgubiła się nam nasza Wielka Księżna?

- Zostaw ją, mówię!

- Zateśkniłaś za czymś? Twoje siostry też tęsknią? Wy... - Irina odciąga go od przestraszonej małej.

Dziewczynka jest na bosaka i w haftowanej koszuli. Łydki ma chudziutkie i te gołe nogi stoją teraz wrośnięte w podłogę.

- Anastazjo!

Jej własne imię przebudzają do życia. Wrywa się bolszewikowi i ucieka; po chwili słyszy jedynie spokojny oddech swoich sióstr (tylko jej śnią się tu koszmary; jej i Aleksemu).

- Tfu, suka. - Żołnierz marszczy nos.

Tupot pięt na schodach prowadzących na górę. Żołnierz odwraca się do Iriny.

- A teraz, Katienka, jeszcze raz...

Tata, teraz obywatel Romanow, swoim urodzeniem zaprzepaścił szansę, by strażnicy nazywali go towarzyszem. Zaprzepaścił ich szansę - mamy, sióstr, brata... Tylko szansę na co? Nie wydaje się, by się tym gryzł, doskwiera mu tylko brak fajkowego tytoniu. Teraz ssie

fajkę na sucho. Jej końcówka nosi głębokie ślady zębów, jakby zwierzęcia. Psa. Orzechowy cybuch wciąż przesycony jest starym zapachem. Aromat tytoniu nakłada się na papę i na włosy Aleksego, bo ojciec wciąż go ściska. Jeszcze więcej od wypadku. Durny Carewicz zjechał saneczkami ze schodów domu-więzienia w Tobońsku. Jego noga nie doszła jeszcze do siebie. Nigdy nie dojdzie, ma na to za słabe kości. Nie to co my, dziewczynki - Olga, Tatiana, Maria, Anastazja. Jednak jesteśmy dla ojca takie same, jesteśmy tylko tłem. Modłę się o wyróżnienie, i dlatego - znowu kwestia urodzenia - że jestem druga w kolejności najmłodsza, papa Mikołaj czasem mnie przytula. Wtedy i ja zostaję obdarowana tym zapachem. Obywatel Romanow mówi do mnie Szwijsik, co znaczy Chochlik. W zasadzie nazwę tę przywozła ze sobą mama, która jest Niemką. Niemiecka jęzda! Proszę, w co ją wpakowało małżeństwo... Olga każe mi się myć, kiedy śmierdzą tytoniem. Sekunduje jej Maria. Tylko Tatiana milczy i bawi się ze spanielem. Ona już się pogodziła ze światem; powinna była zostać mniszką. Olga i Maria nie są zazdrosne, tylko wściekle na ojca. Jego niepoprawność, skoncentrowanie na synu sprawiły, że nie wydał córek w porę za mąż. Olga ma dwadzieścia dwa lata, Tatiana dwadzieścia jeden, Maria dziewiętnaście. Nienasycone i przerażone ciała potrafią krzyżeć: gdyby pozeńił córki, nie musiałyby tu tkwić jak kolki w płocie. Miałyby ochraniających je mężów i uciekłyby z paszczy Mateczki Rossyi.

Przeraźliwy krzyk mrozi serca.

- Boże mój! - jęczy Aleksandra i natychmiast się żegna, bo zgrzeszyła, wzywając Imię Pańskie nadaremno, ale czy na pewno...?

Płacz i zawodzenie.

- Biją ją? - pyta Tatiana.

Ona wie.

- Kogo? - Dziewczyny przestają grać w bezika. - Kogo? - powtarza Olga.

- Irinę - mówi Anastazja.

- Kto to jest Irina?

- Podkuchenna.

Maria wzrusza ramionami, nudzi się. Płacz nie ustaje.

- Zabroniłam ci schodzić do kuchni! - Aleksandra marszczy brwi.

- To wina Charitonowa.

- A co z tym wspólnego ma nasz kucharz? - pyta znowu Olga.

- To on ją bije.

- Anastazjo!

- To on ją bije, mamó, bo ona nie chce zamiast niego zarzynać świń i owiec. Błaga o łaskę. Twierdzi, że boi się krwi.

- Okropne. - Tatiana wzdycha.

- A ty w to wierzysz? Może jest leniwa? - wtrąca się Maria.

- Nie jest leniwa. Ona... ona zmienia się przy tej krwi.

- Zmienia?

- Wygląda, jakby wysychała na wiór. Jakby z jej skóry sypał się pył. Robi się jakby mniejsza i wydrążona w środku.

- Zmyśliłaś to, Szwibsiku - droczy się Olga.

- Może jednak wie, co mówi.

- Tatiano! - Aleksandra jest zgorszona.

- Ale bije ją, prawda. Dlaczego on ją bije? Nie wolno mu na to pozwolić!

- Nie będziemy się wtrącać w sprawy podkuchennej - rzecze Maria.

- Póki podkuchenna nie wtrąci się w nasze - odzywa się sarkastycznie Olga.

- Dziewczęta, pomódlmy się - nakazuje caryca.

- Żadna z was nie zejdzie? - pyta Anastazja.

Są zajęte, bardzo zajęte odmawianiem modlitwy. W końcu jakby za Bożym wstawiennictwem rumory i jęki milkną. Wtem - choć to zakazane przez władze rewolucyjne - zaczynają bić dzwony w pobliskim monasterze. To jest dopiero straszne! Wszystkie się wzdrygają, a potem wracają do bezika.

W świetle faktu, że wasi krewni nie zaprzestają ataków na Rosję Radziecką, Urałski Komitet Wykonawczy postanowił was rozstrzelać.

18 UPCA 1918. Noc Pierwszą kulę dostaje car Mikołaj, który zbiera się z krzesła i próbuje zaprotestować; następną rudy spaniel, gdy przerażony nagłym wystrzałem wyrzywa się z ramion wielkiej księżnej Tatiany i zaczyna wściekle ujadać. Mężczyźni nabój urywa górną część czaszki - krew i mózg tryskają na policzek wielkiego księcia Aleksego, którego ojciec trzymał na kolanach. Pies ma rozerwany bok, jego ciałem wstrząsają agonalne drgawki, tak potężne, że zabierają całą siłę do ewentualnego pisku - skargi niewinnie skrzywdzonego.

W osłupieniu rodzi się cisza. Za chwilę przyjdzie pora na płacz i na dalszy ciąg egzekucji. W odmętach Styksu pograży się caryca Aleksandra, wielka księżna Olga Nikolajewna, wielka księżna Tatiana Nikolajewna, wielka księżna Maria Nikolajewna i Aleksy Romanow, znany też jako następca tronu i beniaminek.

Za nimi niczym niewolnicy, konie, psy i bydlę obecne w prastarych pogrzebach władców pójdą: Aleksiej Trupp (lokaj cara), Anna Demidowa (pokojówka carycy), Jewgienij Siergiejewicz (lekarz, który w przeciwieństwie do mnicha Rasputina nie potrafił zmusić krwi chorego na hemofilię carewicza do krzepnięcia) oraz kucharz Iwan Charitonow.

- Jimmy - mówi Anastazja.

Tatiana przytuli ją, nim zacznie się kanonada. Pomieszczenie piwniczne jest małe, amunicja świszczy jak wściekłe szerszenie.

Lecą drzazgi z krzeseł, ostatnich tronów monarszej pary. Przyniesiono je, bo ojciec dźwigał zranionego w nogę syna, a matka zwykle wspierała się na lasce i stojącej doskwierał ból. Ciemni żołnierze strzelają w panice, bo gdzieś w głębi ich szarych mózgow okadzonych na chrzcie przez popów tli się obawa, czy oto nie dokonują świętokradstwa. Gina Romanowowie - Pomazańcy Boży.

Panika egzekutorów zmienia się w tępą zawiść i agresję, kiedy puszczają szwy sukienek, a z postrzałowych dziur, oprócz krwi, niczym łzy wylewają się klejnoty. Deszcz szlachetnych kamieni. Diamenty zaszyte w gorsetach przedłużają agonię kobiet, bo pociski odbijają się od nich rykoszetem. Zapach potu i bogactwa.

Na polecenie doktora Botkina bolszewicy dobijają swoje ofiary kolbami karabinów i ostrzami bagnatów. Rozpruwają kiecki, by dostać się do sznurów pereł. To zła metoda - nici pękają, błyszczące kulki zawijają w niecki utworzone przez fałdy i kapią się w jusze.

Korytarzem drobnych obojczyków suną w schronienie spoconych ciał. Burżuazyjne kurwy! Kto potrafi rozebrać ciała z tych wszystkich halek i haleczek, koszul i sznurówek? W domu Ipatiewa nie pozostała już żadna żywa kobieta. Żadna, z wyjątkiem...

- Irina!

Posłano po nią. Żołnierze niby solidarnie dzielą się jednym skrętem, w rzeczywistości zaś uważnie patrzą sobie na ręce. Bogactwo należy się wszystkim po równo! Zbierze się wszystkie kamienie Romanowów i podzieli na równe stopy. Będzie ich dwanaście.

Irina nie wygląda na zasnęłą. Ani na przestraszoną. Wydaje się, że wykrochmaloną białą koszulę włożyła tylko dla przebrania. Pod materiałem kołyszą się uwolnione od stanika duże piersi. Któryś z żołnierzy na ten widok się oblizuje. Kobieta ma gładko uczesane ciemne włosy i rozgląda się wokół wzrokiem drapieźnika. Zielone oczy świecą gorączką, nozdrza poruszają się spazmatycznie. Tyle krwi! Tyle krwi już rozkładającej się w upale, powoli przechodzącej do historii nocy. Podnieca się wbrew sobie, wbrew rozsądkowi.

Dziasła zaczynają ją świerzbic po raz pierwszy od bardzo dawna, a gdzieś głęboko w umyśle uchyla się dawno zapomniana, wydawałoby się, że zatrzaśnięta na glucho, szufladka.

- Zajmij się nimi. Rozbierz te martwe suki.

Na końcu Irina zabiera się do Anastazji. Już pod jedną ścianą leżą porozrywane, upaprane ubrania i gołe trupy. Pod drugą, obok przykucniętych żołnierzy, znajdują się brosze, naszyjniki, przepiłowany diadem, wolne diamenty. Jeden z bolszewików, jakby od niechcenia, toczy po ubitej podłodze pomiędzy kroczącymi palcami rubin wielkości przepiórczego jaja. Podniecenie zastępuje nasyciona leniwość - mordercy marzą, a odganiany sen krwiopijców morzy im powieki.

Ja jestem krwiopijcą, przechodzi Irinie przez głowę dziwaczna myśl. Z tą myślą wyluskuje blade ciało wielkiej księżnej z pokrławionych koronek. Zdejmuje medalik ze Świętym Mikołajem - o dziwo taniutki. Z gorsetu uwalnia tors. Tli się życie w tej organicznej masie, zawieszona pomiędzy byciem, a pustką, jakby na przekór ukłuciom bagnetów. Irina wie, że to nie potrwa długo, zapach śmierci rozpoznaje błyskawicznie. Dziwi się, że wzięła Anastazję za dziewczynkę. To młoda pannica, ma z siedemnaście lat.

Przesuwa palcem w cieniu pachy i bawi się przez chwilę popielatymi włosami, delikatnymi jak puch. Anastazja miała miesiąckę - wraz z ostatnim rodowym sygnetem zaszytym w majtkach Irina usuwa przypiętą agrafką podpaszkę. Chce powiedzieć, że to koniec, kiedy coś nagle eksploduje w jej mózgu. Wspomnienia Anastazji, poprzez dotyk, uciekają od umierającej i trafiają do umysłu podkuchennej.

Dusza Anastazji ma kształt jajka Faberge. Jajo jest złote; okolone kratownicą z wawrzynu, gdzie każde skrzyżowanie pieczętuje dwugłowy, czarny orzeł. Na szczycie widnieje monogram carycy. Żółta i czarna emalia. Zielone złoto. Diamenty z rozetowym szlifem. Rubiny z szlifem en cabochon. Wielkanocne jajo Faberge - najdoskonalszy symbol nieśmiertelności. Jajko z niespodzianką! Co kryją jego wypieszczone trzewia?

Kto by się spodziewał? Dziecko piszczy z radości, choć wciąż w zdumienie wprawia je sama skorupka! To zupełnie niezwykła mała dziewczynka, skoro może obcować z takim pięknem wzbogaconym pomysłowością. Na złożonych dłoniach matki, pośród połówek jaja stoi miniaturowa złota karetka.

- To od tego wszystko się zaczęło.

Mała wstrzymuje oddech. Niespodzianka jest kopią karety, która zawiozła carską parę na moskiewską koronację. Można otworzyć w niej filigranowe drzwiczki, opuścić schodki jak dla chochlika. Zachwycić się wyblakłym błękitem zasłonek i purpurowym pluszem obić.

Widzi kroplę wilgoci pomiędzy złotymi kółkami. Czarodziejska karetka jest przesycona zapachem matki. Diamenciki odbijają się na bladej skórze.

Nie mają konkurencji, bo Aleksandra ściągnęła z opuchniętych palców pierścienie.

Najmłodsza carówna ma nieprzeparte wrażenie, że jeszcze moment, a po schodkach karetki zejdą jej miniaturowi rodzice. Patrzy na wypukły brzuch matki, w którym kształtuje się nowe życie. Cała Cerkiew modli się o narodziny upragnionego carewicza.

- Mogę dotknąć?

- Jeszcze nie. Jeszcze jesteś za mała. Mogłabyś zgnieść. Anastazjo, to od tego wszystko się zaczęło - powtarza.

Drży, a potem przełamuje niepokój i uśmiecha się do córki; dalej śmieje się do nieznanego przybysza, którego ruchy poczuła świtem tego dnia po raz pierwszy. Pora, by to powiedzieć Mikołajowi! I nagle orientuje się, że czteroletnia Anastazja doskonale wie, o czym ona myśli. Że ta rozmowa będzie pierwszym realnym wspomnieniem dziewczynki.

OPOWIEŚĆ WAMPIRZYCY

Jestem. Wróciłam. Zappełniłam swój umysł. Nazywam się Irene, Irina. Jestem... wampirem.

Nie mogę tak zostawić tej biednej owieczki. Przypomina mi...mnie. Mnie inną, dawno temu. Za innego życia.

Strasznie być niewolnicą sentymentów.

Bolszewicy patrzą na mnie.

- Skończyłam - mówię.

- A to? - Jeden z nich z obrzydzeniem patrzy na podpaskę. - Już! - Potrząsa karabinem.

- Miarkuj się, Borys.

Rozrywam dziewczęcą podkładkę. Jest pusta, nie licząc wypełniających ją podartych szmat. Jeszcze jedno: ma monogram A.R.

Okrwawiony monogram budzi śmiech tych, którzy potrafią czytać – dowódcy Jurowskiego (to on odczytał wyrok z małej, niegodnej karteluszek) czy doktora Botkina, drugiego mocodawcy śmierci.

- Zostaw nas samych - mówi Jakow Jurowski.

Zaraz da znak, by stąd zniknąć. Wyjdą z piwnicy, przejdą podjazdem i pójdą do właściwego budynku. Ktoś pobiegł już do serca Jekaterynburga po samogon. Z podwórza

widać cerkiew. Pierwsze blaski jutrzeńki będą odbijać się w jej złotym dachu. Nadejdzie kolejny duszny lipcowy dzień, mieszkańcy poszukają ukojenia w ogrodach miejskich i nad jeziorem. Nudzący się goście z hotelu America (zaprzyjaźnieni polscy i niemieccy komuniści) będą snuć się jak widma po Wozniesieńskim Prospekcie i dyskutować o więźniach domu Ipatiewa, o śmierci których jeszcze nikt nie wie, z wyjątkiem świętego Piotra.

Mniszki z monasteru odmówią nowennę.

- Ale... - mówię.

- Co, Irinko? - Podchodzi i dotyka moich skroni, moich ust.

Wokół dłoni ma okręcony sznur pereł. Klejnot obija mi się o nos, wciska w wysuszone, ściągnięte wargi. - Wyglądałabyś w tych klejnotach jak taka wielka pani - szepcze.

- Chcesz zostać z nami? - pyta.

- Z nimi nie. Ale z tobą.

Znowu się śmieje. Ma ciemne od tytoniu zęby, ale głos mocny, basowy.

- Wybredna się zrobiłaś, Irinko.

Odsuwam się.

- Trzeba ich umyć.

- A po co? Inaczej będą gnić?

- Trzeba ich umyć, bo to ludzie.

- Tacy jak i ten pies. - Trąca stopą Jimmy'go. - Ale rób, co chcesz, Irinko, tylko nam nie przeszkadzaj.

Wychodzą, złoto i klejnoty sterczą im z kieszeni. Pozakładali bransoletki i brosze na siebie. Ktoś wbił kolczyk. Słyszę głuchy tupot kroków - podzwonne dla Romanowów.

- Irinko - odwraca się jeden z bolszewików. Ma świeży trądzikowy wykwit na czole. - Masz - mówi i wciska mi w rękę tandetny medalion ze Świętym Mikołajem.

Zostaję pośród krzepnącej krwi. Nie jest dla mnie dobra, a ja czuję, jak puchnę z głodu. Och, krwi!!! Wypicie martwej krwi ludzkiej to największy grzech dla wampira. Nie ma rzeczy bardziej trefnej.

To powód, dlaczego tak mało czynimy Łazarzy. Ból, który nas potem razi, przychodzi z opóźnieniem, a niekiedy zabija - zmienia w proch, który jest samym pragnieniem i strachem.

Gdziekolwiek będziecie mieszkać, nie wolno wam spożywać martwej krwi brata swego Adama. Ktokolwiek spożywa martwą krew, będzie wykluczony spośród ludu swego.

Pochyliam się nad Jimmym.

Powieki Anastazji trzepoczą, kiedy widzi, jak wbijam kły w truchło spaniela. Mierzwię rudą sierść pazurami. Oczy dziewczynki uciekają białkami w tył głowy i słyszę, jak umiera.

Wampiry są jak smoki. Przez wieki swojego „życia” gromadzą w różnych miejscach globu skarby na czarną godzinę. Bizuterię i monety, którymi mogą przekupić lub zmylić Van Helsingów.

Oczywiście dotyczy to tylko wampirów, które nie cierpią na amnezję.

Moja pamięć wróciła, ale brakowało w umysłowej kronice paru obrazów - na przykład, jakim cudem znalazłam się w roli podkuchennej w domu Ipatiewa?! Co, u diabła?! Co za gwarowy dowcip?!

Wampiry są też najlepszymi złodziejami, jakich nosiła ziemia.

Mamy dotyk z mgły i oczy, które wszystkich zmylą. Dobrze, że bolszewicy mnie nie przeszukali, bo unosiłam im parę drobiazgów pod koszulą nocną. Parę bardzo cennych drobiazgów - jesteśmy znawcami diamentów lepszymi od amsterdamskich Żydów.

Przebieram się w suknię Tatiany (miała tylko zniszczone plecy, bo Tatiana obróciła się, by zasłonić Anastazję), zakrywam puszczone szwy szalem pokojówki carycy, a swoją koszulę nakładam Anastazji. Biorę dziecko w ramiona i ukradkiem przekraczamy podwórko, a potem bramę, aż do Wozniesieńskiego Prospektu.

Co prawda, mogłam to zrobić w towarzystwie werbli - strażników tak przetrzebił samogon - ale ostatnie przejścia wykastrowały mnie z brawury. Widzę doktora Botkina rzygającego w krzaki i... świt.

Cerkiewna kopuła rozbłyska jak diamentowy inicjał na szczycie jajka mistrza Faberge.

Ratuje mnie mniszka, która codziennie przynosi świeże jaja Mikołajowi II - Pomazańcowi Bożemu; Imperatorowi i władcy absolutnemu Wszechrosji; Carowi Moskwy, Kijowa, Włodzimierza, Nowogrodu; Wielkiemu Księżu Smoleńska; Księżu Estonii; dziedzicznemu władcy i zwierzchnikowi książąt czerkieskich i górskich; władcy Turkiestanu; następcy tronu Królestwa Norwegii, etc.

Chłop, który nas wywozi z Jekaterynburga, krzywi się na widok Anastazji:

- Z tej biedaczki to już nic nie będzie. Gdyby panny siostry nie kazały, to ja bym ją zostawił.

Wóz trzęsie straszliwie. Przypomina taki z cygańskiego taboru.

Kozioł jest odsłonięty, a cała reszta tonie w grubym płótnie. Dziury zostały świeżo zaczerowane i zasmolowane - panie z monasteru dobrze mnie zrozumiały. Jest noc, mogę więc

się wychylić z kryjówki, odgiąć głowę i popatrzeć na migające gwiazdy, które może niosą tajemnicę o mnie.

- Ona tylko tak wygląda. To mocna dziewczyna i nic jej nie będzie.

Chłop kręci głową:

- Eee, jaśnie pani...

- Wiesz, co znaczy jej godność w naszym prawosławnym kościele? „Powstanie”. „Powstanie z martwych”, czyli Anastasis.

To imię wielkanocnej ikony „Zstąpienia do piekieł”. Inskrypcja tematyczna w jej górnym rogu.

Ziemia Mnie kryje bo tego chcę, lecz drżą stróże otchłani, widząc Mnie odzianego w suknie splamione krwią, o Matko, krwią zemsty.

Boja, Bóg na krzyżu zniszczyłem nieprzyjaciół, zmartwychwstanę i Tobie znów oddam chwałę.

Ciesz się, o stworzenie, cieszcie się mieszkańcy ziemi.

Otchłań nieprzyjazna została ogołocona.

Wyzwałam Adama i Ewę z całym ich rodem i dnia trzeciego zmartwychwstanę.

- Nazywa się zupełnie jak nasza biedna caróweczka... - Wzdycha.

Odsuwam płótno i szepczę:

- Popatrz na moje ręce, Anastazjo! Szwibsiku, jak ja się mogłam tak zapuścić!

- Nie mów tak do mnie. Nigdy tak do mnie nie mów - słyszę jej syk.

- Dobrze, że chociaż się odzywasz - szepczę dalej.

- Zabiłaś Jimmy.ego - pada następne oskarżenie i słyszę suchy szloch. Wielka księżna nie ma już łez.

Inny chłopski wóz mija roгатkę miasta z nazwą PARIS. Zaciskam powieki. Jestem strasznie chora - nasz przewoźnik nie chce mnie dalej wieźć, bym nie przywlekła ludzkiemu skupisku zarazy. Nie mam siły krzyknąć, że to nie zaraza!

Może jednak, to co przynoszę, nią jest?

- Zawieziesz nas dalej, bo jak nie, to cię zabiję i wyrwę ci flaki. Oderwę ci głowę i obrócę ją tak prędko, że będzie mogła zobaczyć twoje tańczące ze śmiercią nogi - klaruje krnąbrnemu woźnicy mój Szwibsik.

Uśmiecham się pod nosem. Ziarno zostało zasiane. Kolejna dziewczynka uratowana.

TERAZ

Jej cień padł na moje ciało. Otworzyłam oczy. Chciała mi coś powiedzieć, ale ze stacji odjechały wagony i zagłuszyły słowa. Pęd powietrza poruszył jej blond włosami. Nadal były długie i świetliste - i takie już będą zawsze. Obok skośnooka skrzypaczka grała Chopina, dalej kopali się po łydkach dwaj ulicznicy.

- Nie powinnaś tu leżeć - powiedziała.

- Czemu, Szwibsiuku?

- Nie mów tak do mnie.

- Czemu?

- Bo to niebezpieczne.

Roześmiałam się.

- Chodź - powiedziała, biorąc mój bagaż. - Zaraz zamykają metro.

Zebrałam się z ławki. Dotąd pod głową miałam papierową torebkę z markowego sklepu; teraz nawet niemowlęta mają swoje markowe sklepy.

- Kupiłam ci coś. - Podałam jej brunatnego misia „Ralpha” Laurenta. To Pinky, tak go nazwałam.

Teraz ona się roześmiała. I dała Pinky’ego, nawet nie przyjrząwszy się uważnie zabawce, małemu francuskiemu łobuziakowi. Podziękował, miał coś nowego, o co mógł bić się z kumplem, a ja starałam się nie wyglądać na urażoną.

- Dlaczego przyjechałaś? - spytała Anastazja, kiedy mijałyśmy wysuwaną kratę, z którą mocował się dozorca.

- Usłyszałam cię w mojej krwi. A ty jak mnie znalazłaś?

W odpowiedzi dotknęła tylko pulsującej żyłki na skroni.

Poszłyśmy w głąb wczesnej, letniej nocy. W pewnej chwili Anastazja zatrzymała się, by mi powiedzieć:

- Czy wiesz, że Cerkiew uczyniła Mikołaja świętym? Och, papa! - zadrwiła, co było udawane. - Znaleźli ich ciała. Tyle że bez mojego, i bez zwłok Aleksego. Pochowali ich w Sankt Petersburgu, Borys Jelcyn był na pogrzebie.

- Wiem. Widziałam w telewizji. - Szlag mnie trafiał, że oddała prezent ode mnie; z drugiej strony po moim ciele rozlewało się magnetyczne ciepło i złudne drżenie oczekiwania.

Zaprowadziła mnie z jednego podziemia w drugie. Z metra do katakumb. W kawałku wyłączonym z ruchu dla turystów i policjantów otworzono dekadenski lokal. Zamiast oczekiwanych gości było tu pełno piór. Zamiast prochu - pot. Zamiast czerni - czerwień.

- To burdel, Anastazjo - powiedziałam.

- Jeśli chcesz to tak nazywać. Dziś mówi się na takie miejsca klub.

- Klub - powtórzyłam. Miałam ochotę na miłość. - Czy to jest teraz twoja droga?

- Miłość? - Odczytała to słowo w moim umyśle. - Tak, miłość jest moją drogą.

- Taka płatna?

- A jakie to ma znaczenie? Jakie znaczenie mają pieniądze, kiedy dzielisz się tym, co droższe od złota? Miłość, piękno, seks pozwalają im zapomnieć o świecie, który przelewa się tam na górze.

- Ale dlaczego akurat tu, w podziemiu?

- Nie słyszałaś o AIDS? Cieszą się, że jeszcze żyją. A dlaczego w katakumbach? Kto by zrozumiał śmiertelników - rzekła z przekąsem. - Już nie umiem myśleć jak oni... Może ten gatunek bardziej podnieca towarzystwo śmierci? Kto wie? Ja jestem tylko rekwizytem.

- Ciekawe, inaczey cię próbowałam wychować.

- Poczekaj tutaj. Zaraz ktoś po ciebie przyjdzie - poprosiła i zostawiła mnie w sali, gdzie na wielkim sportowym materacu kopulowały jakieś pary.

W małym telewizorku pokazywano American Beauty Mendesa.

Pomyślałam sobie, że świat tak bardzo się jednak nie zmienia.

Jedna z tych piersiastych, gołych kobiet, które uwijały się wszędzie, nosząc tace z drinkami, kazała mi zejść dalej, do piwnicy. Było tam pełno małych pokoików jak z klipu Justify My Love Madonny, którego MTV nie dopuściła do emisji ze względów obyczajowych.

Zza większości drzwi dobiegały miłosne jęki - jedno solo, inne splecione w gorzki, godowy duet. Piersiasta wskazała, którą gałkę mam przekręcić. Zrobiłam to i znalazłam się w swojej fantazji.

Jedno krzesło stało przed szklaną taflą, która dzieliła pokój na dwoje (lekceważąc przepisy pożarowe, zadbano o obecność popielniczki; był też papierowy ręcznik do wytarcia rąk). Do tego akwarium weszła moja rybka.

- Spełnię twoje życzenie - powiedziała.

- Zatańcz dla mnie - poprosiłam.

Usłyszałam Rimskiego-Korsakowa. Wydawało mi się to niedorzeczne, ta muzyka, i byłam prawie szczęśliwa.

Roześmiała się, zaczęła śpiewać jak syrena, rozbierać się, miauczeć i ujadać. Z satysfakcją dobrze wykonanej pracy patrzyłam na trzepoczące się i strzelające jak bicze długie włosy. W punktowym, intensywnym górnym świetle wyglądały jak białe. Ciało z

głębokimi cieniami pod piersiami i wokół łona było gładkie, nieskalane niczym marmur. Wszystko się zagoiło.

I want to kiss you in Paris

I want to hold your hand in Rome

I want to run naked in a rainstorm

Make love in a train cross-country

You put this in me So now what, so now what?

Wanting needing waiting For you to justify my love

Hoping praying For you to justify my love.

I want to know you Not like that I don

It want to be your mother

I don't want to be your sister either

I just want to be your lover

I want to be your baby

Kiss me, that's right, kiss me (...)

I ucałowałam szybę na wysokości miejsc, w których pamiętałam rany. Nadmuchałam jej w pepek. Sen, wszystko to sen. Całe to spotkanie!

Drzwi jednej z kabin były otwarte. Na sedesie siedziała młoda, pulchna Hinduska-striptizerka i operowała przy swoim ramieniu małą strzykawką.

- To Nina - szepnęła mi na ucho Anastazja - Jest chora na cukrzycę. Ma klaustrofobię i dlatego boi się zatrzaskiwać drzwi.

- Witaj, Nina!

- Już prawie skończyłam - poinformowała nas.

Wyrzuciła pustą strzykawkę do kosza na zużyte podpaski. Wyszła, kręcąc jędrną śniadą pupką, a mijając Anastazję, pogłaskała ją po policzku.

- Bawcie się dobrze, dziewczyny!

Weszłyśmy na jej miejsce do toalety i zamknęłyśmy się. Było nam ciasno. Mieszały się nasze zapachy, takie podobne. Każda nosiła cząstkę drugiej w sobie. To niesamowite.

Anastazja przyprowadziła mnie tu, bo chciała mnie przerazić przypadkowością i obskurnością scenerii. Wielka księżna była zbuntowaną nastolatką, choć wedle ludzkiej rachuby miała osiemdziesiąt pięć lat. Pozwalałam jej na to; trochę mnie to drażniło, trochę wzruszało. Dla mnie miała pozostać tamtą dziewczynką pachnącą sierścią spaniela, a przecież to wielkie oszustwo. Zmieniłam ją, bo też ile starej Ireny zostało w Irenie, dotkniętej żądłem Mary? Mara, Irena, Anastazja, wampirzyce stojące sobie na ramionach i tworzące - w ujęciu

antropologicznym - emocjonalno-kulturalną piramidę. Co w naszej krwi sprawia, że jesteśmy takie, jakie jesteśmy? Co sprawia, że w swojej obecności nie możemy się sobie oprzeć?

Złożyłam ręce na jej kibici i wbijałam kły w szyję Anastazji. Anastazja zaś w paroksyzmie rozkoszy prawie odgryzła mi ucho. To, co zostało kiedyś rozłączone, na te parę chwil stało się na powrót jednością.

Och! Rozbłysło w mojej głowie różowe światło, rozlała się w ciele uspokajająca purpurowa rzeka instynktownej wszechwiedzy i wszechczucia. Byłam Stadem. Całym Stadem. A potem miałam orgazmy. Jeden za drugim. Wyrywały z gardła krzyki jak śpiew.

Śpiew Mary do śmiertelnego megaduksa był przy tym niczym.

- Widzisz, dobrze, że tu przyszliśmy - powiedziała Anastazja.

- Mogłybyśmy wystraszyć wszystkich.

- Skąd wiedziałas? - spytałam.

Był ktoś inny.

- Nie zainteresowałoby cię to.

- Miło, że oceniłaś.

Po zespoleniu przychodzi albo atak agresji, albo spontanicznej słabości. Ciemność dotknęła oczu, a pustka zaatakowała serce.

Egzystencjalny dół w kiblu miasta Sartre'a.

- Tak trudno ich spotkać... Innych. - Westchnęłam.

Spojrzała jakoś smutno.

- A Nina?

- Przecież bierze insulinę!

- A ty nie łykasz tabletek na ból głowy? Nie zawsze Przemiana się udaje. Nie wszyscy mają matkę Serbkę, jak ty. Załazek pierwotnej krwi Stada. Wiele bękartów to kaleki i obrzydły.

- I Nina...

- Zarabia dużo pieniędzy w firmach porno, pokazujących śmierć na życzenie. Zabijają ją, a Nina wraca. Oczywiście chyłkiem. Uczy się nowych gestów, zmienia perfumy, kupuje peruki. Kiedy skończy się kesz, układa kolejną morderczą kamasutrę.

Nina! Anastazja! To nie o to chodzi. To nie o to miało chodzić! Zapanowała nade mną tęsknota, sama nie wiem za czym. Za kim.

Przyjemność jest taka krótka. Tak krótka jak miłość.

- Dobrze się czujesz? - pyta.

- Niedobrze mi. Nie przejmuj się, to część zespolenia. Czy ty dałaś Ninie...?

- Nie. I nie wiem kto.

Milczę.

Anastazja przytuliła się do mnie; położyła głowę na piersi. Płakałam. Wolną ręką rozsmarowałam transparentny puder Guerlaina po twarzy. Drugą przyciskałam Anastazję, tak by nie mogła odejść.

- Och mamo, mamusiu - skarżyła się, dzieląc ze mną tęsknotę.

- Jesteśmy nieśmiertelne - tłumaczyłam Szwibsikowi. - Jesteśmy po stronie Persefony, nie Eurydyki.

Później zaryzykujemy jeszcze raz, choć tak wiele będzie nas to kosztowało.

- Czy jest jakiś sposób, by umrzeć?

- Kulek i młotek.

- Widziałaś?

- Nie.

- Więc to może być bzdura. Co jeszcze?

- Skok na bungie. - Chichoczę.

- Mówię serio.

- Nie wiem. Nikt nie wie na pewno. Ani w kwestii śmierci, ani nieśmiertelności.

- Ale twój ojciec zabił Teodozjusza. Rozgniółł jego mózg.

- O, matko! Więc może chodzi o mózgi, a nie o serca? Anastazjo, błagam, porzuć te destrukcyjne pragnienia. Nie ma na nie miejsca obok Krwi.

- Sama chcę znaleźć własną drogę.

- Nie uda ci się. Czepiaj się miłości, dopóki możesz.

W końcu dojechałam do Britannique. Maitre d'hôtel mimochodem spojrział na moje pomięte ubranie i spocone włosy. Dwie niemieckie turystki paplały coś o „cudzie”. Cudzie opuszczonego latem Paryża, pustych bulwarów porzuconych na dwa miesiące przez swoich mieszkańców, którzy powrócą tu z wrześnieowym la rentree.

- Pani Gallipoli? Zostawiono przesyłkę. - Wraz z kartą do drzwi dał mi kasetę VHS w białej koszulce.

- Czy mogę gdzieś...?

- Proszę za mną. - Zaprowadził mnie do sali konferencyjnej.

Na końcu długiego stołu stał ogromny plazmowy telewizor i dwukieszeniowy odtwarzacz Samsunga VHS/DVD.

Mężczyzna zamknął dokładnie za sobą drzwi. Powiedział jeszcze na odchodnym:

- Bardzo prosimy tu nie palić.

- Ja nie palę!

Usłyszałam trzask przekreślanej gałki. Zasłoniłam kotarami okna - na szybach zbyt mocno operowało poranne słońce. Wsunęłam kasetę do odtwarzacza, wcisnęłam „Play” na pilocie.

Na początku filmu dokręcona była efektowna, fałszywa rozbiegówka.

Na szarym tle błyskało odliczanie od 10 do 1.1 nagle sceneria, która niepokojąco przypominała grobowiec Lucy z Draculi Francisa Forda Coppoli skrzyżowany ze wschodnim buduarem.

- Co to ma być, do cholery... - wymamrotałam.

Wtedy zobaczyłam ją, jak czeka na swojego kochanka. Kochanków, jak zaraz miało się okazać. Pochylała się nad nimi, pieszcząc nagie męskie klatki piersiowe płowymi włosami. Gięła się i zerknęła do kamery, popatrując swoimi szarymi oczami, na których tęczęwkach wampiryzm ponosił złote, drgające motyle. Zobaczyłam w nich namiętność, ale i oczekiwanie. Na co? Na orgazm, który miało jej dać trzech osiłków i jeden starzec?

Od dawna wiedziałam już, że można nas filmować. Dzieliliśmy się z błoną filmową czy unowocześnioną taśmą tajemnicą nieśmiertelności.

Patrzyłam na zawsze, zawsze, zawsze siedemnastoletnie ciało mojej córki w Ciemności i pragnęłam zapalić, choć papierosy znosiłam dużo gorzej niż proste leki.

Gdy wzięła ich już w siebie wszystkich, skrępowali ją na obłożonym kwiatami i poduszkami w kształcie serc katafalku. Parsknęłam - takie to wszystko było tandetne. Tandetny był młotek i kołek.

Wbili jej zaostrome drewno w miękką pierś. Ciemna krew trysnęła na oko kamery.

Taśma dotarła do końca i automatycznie się przewinęła. Wyjęłam ją z magnetowidu. Ze sztywnej plastikowej koperty wypadła na moje ręce mała kartka. Charakterem pisma Anastazji, cyrylicą, było tam napisane jedno słowo: WIECZNOŚĆ.

W tekście wykorzystano fragmenty liturgii bizantyńskiej, tekstu Izydora kardynała Konstantynopola w tłumaczeniu Władysława Tatarkiewicza (cytat za Historią estetyki Władysława Tatarkiewicza) oraz justify my Love Madonny.

LA TIERRA MUERTA

Szkarłat Szkarłat Szkarłat Szkarłat Szkarłat jak krew która płynie gdy zabija jelenia.

Frida Kahlo

Kąpię się. W pobliżu wanny wisi lustro. Nie ma w nim mojego odbicia. Moje odbicie nie istnieje od wielu, wielu dekad. Stopy z pomalowanymi na purpurowo paznokciami leniwie opieram na różowych kafelkach. Kontrast pomiędzy skórą a lakierem jest szokujący. Podoba mi się.

Gorąco. Myśli umykają z ram terażniejszości w przeszłość. Na wodzie, ponad ciemnymi kółkami sutków, unosi się meksykański medalik. Przedstawia azteckiego orła, którego srebrna sylweta wygląda, jakby była utworzona z płomieni. Ogień i woda.

Spotkałam ją w windzie. Meksykanka. Zrosnięte brwi. Doskonale wiecie kto... Tyle się o niej teraz mówi. Paradoksalnie, pijana kulała mniej niż zwykle. Zbyt pijana jednak przewracała się co rusz, i już na leżąco wszczyniała okropne awantury. W gruncie rzeczy chodziło o to, by ludzie omijali ją jak wściekłą sukę, a nie litowali się. Tego nie znosiła, choć bywało, że prowokowała żale. Chciała owinąć sobie wszystkich wokół palca, choć na drugie imię powinna nosić Samotność, bo samotność była jej potrzebna do malowania obrazów i spełniania się w jedyny sposób, na jaki pozwalało jej życie. Czy złe życie równa się dobra śmierć? Nikt w rodzinnym Meksyku nie powie głośno, że Frida Kahlo popełniła samobójstwo, co innego w Stanach. W starej Europie to powód do dumy.

Oczywiście przewróciła się też w tamtym korytarzu, kiedy szłam za nią. Jakaś nie do końca uświadomiona myśl (nie wiedziałam o niej nic) osadziła mnie w miejscu i nie pozwoliła pomóc kalece.

Młoda kobieta leżała chwilę zupełnie bez ruchu, a w jej oczach odbijały się rzęsiste hotelowe światła. W końcu przetoczyła się na brzuch. Leżała, podpierając się brodą, dopóki nie wróciło jej czucie w dłoniach, nie poczuła kolan i na czworakach nie dotarła do ściany. Oparła się plecami o framugę drzwi, a po tym pauzowaniu rozkrzyżowała ręce. Jedna dłoń trafiła na klamkę. Frida, wyraźnie otrzeźwiona, podciągnęła się i wstała. Drzwi nie były zamknięte.

- Tu mieszkam - powiedziała.

Nie odezwałam się.

Zmrużyła oczy i przyjrzała mi się od góry do dołu. Uśmiechnęła się.

- Zapraszam do środka.

Poszłam za nią jak zaczarowana.

- Jaką herbatę pani pije?

Weszła do łazienki, żeby przepłukać usta.

Jej pokój przerażał, a z drugiej strony nie można było z niego wyjść... Był fragmentem Fridy, fragmentem jej osobowości i cierpienia. Istotą. Wnętrzem istoty. Z żyrandola i zasłon zwieszały się przywiezione z Meksyku szkielety z papier-mache. Powietrze wypełniała mieszanka potu, lekarstw i czekolady. Na śniadaniowym stoliku, obok patery z owocami, których najwyraźniej nikt nie jadł (były poznaczone brązowymi plamami starości i zwątpienia we własną atrakcyjność i smak) stała srebrna miseczka wypełniona cukrowymi czaszkami. Słodczyce zrobiono na zamówienie - czoło każdego, rozpluwającego się w ustach czerepu było podpisane imieniem „Frida”. W tym pokoju, w centrum Detroit, nieprzerwanie trwało meksykańskie Święto Zmarłych; nic nie mogło być zapomniane!

Jakby tego było mało, na łóżku i na każdym wolnym krześle siedziały lalki. Każda miała zaspianą, porcelanową buzię. Dziewczynki i chłopcy, sportretowani przez lalkarza od niemowlęctwa do lat czterech czy pięciu, kiedy dziecko jest najwdzięczniejsze i zbliża się do granicy porzucenia matki i otwarcia się na rówieśników. Widać było, że lalki są wciąż myte i przebierane, jakby Frida niczego innego nie miała do roboty. Miała jeszcze męża - dostrzegłam złotą obrączkę na jej palcu.

Schyliłam się do zabawki, która leżała w osobnym łóżeczku i ubrana była w strój do chrztu. Fastryga przytrzymywała przy koronkach karteluszek papieru, na którym drobnym, kobiecym pismem wykaligrafowano:

LEONARDO

Urodzony w Szpitalu Czerwonego Krzyża Roku Pańskiego 1925 we wrześniu, ochrzczony w mieście Coyoacán w sierpniu roku następnego. Matka była Frieda Kahlo. Rodzicami chrzestnymi Isabel Campos i Alejandro Gómez Arias.

Stała w drzwiach.

- Dostałam ją od swojego ówczesnego chłopaka.

- Co się stało w 1925 roku?

Nie powiedziała mi. Możliwe, że byłam jedyną osobą, której nie powiedziała. Musiałam to sobie sama przeczytać.

DETROIT, 1932

Z pokoju schodzę na dół. Jest dwunasta. Niespodziewany gwar dobiega do mnie od strony sali bankietowej, co najmniej jakby hasał tam jakiś Koociuszek. To Frida.

Frida Kuternóżka tańczy na środku parkietu niczym sama śmierć ze średniowiecznych obrazów. Zagarnia do siebie młodych i starych i wodzi ich w opętańczym, hałaśliwym korowodzie. Tacy są szczęśliwi.

Idę do recepcji i proszę o przesłanie mi do pokoju kubelka z lodem i ceraty. Znowu mam migrenę, znowu muszę ochłodzić sobie czoło. Recepcjonista proponuje jakiś proszek. Odmawiam.

W parę chwil po naszym wejściu do autobusu doszło do zderzenia.

Przedtem jechaliśmy innym autobusem, ale ponieważ zgubiłam parasolkę, wysiedliśmy, żeby jej poszukać, i tak znalazłam się w autobusie, który mnie zniszczył. Wypadek wydarzył się na rogu przed targiem San Juan, dokładnie przed nim. Trolejbus jechał wolno, ale nasz kierowca był bardzo nerwowym młodzieńcem. Gdy trolejbus skręcił za róg, pchnął autobus na mur.

Byłam inteligentną dziewczyną, ale pozbawioną zmysłu praktycznego, mimo całej swobody, jaką udało mi się wywalczyć. Z tego powodu nie oceniłam prawidłowo sytuacji ani nie domyśliłam się, jakich doznałam obrażeń. Przede wszystkim przyszło mi na myśl balero [meksykańska zabawka] o ślicznych kolorach, którą tego dnia kupiłam i miałam przy sobie. Usiłowałam ją znaleźć, uznając, że nie stało się nic poważnego.

To nieprawda, że człowiek zdaje sobie sprawę ze zderzenia, nieprawda, że krzyczy. Uderzenie rzuciło nas do przodu i w tym momencie przeszła mnie barierka, tak jak szpada przeszywa byka. Jakiś pasażer zobaczył, że dostałam strasznego krwotoku. Wziął mnie na rękę i zaniósł na stół bilardowy, gdzie leżałam do przyjazdu karetki.

Frida Kahlo

Kiedy ją poznałam, nie malowała wiele. Pochłaniało ją małżeństwo. Martwienie się o nie. I seks. Seks, by utrzymać przy sobie męża, bo stosunek sprawiał kobiecie ból. Metalowy pręt zranił jej pochwę. Diego Rivera lubił kobiety niekoniecznie płaczące z bólu. Lubił te, co krzyczą, i te, co milczą. Zasłaniał się lekarską diagnozą: że jest niezdolny do wierności. Ale ona go kochała i vice versa. Przede wszystkim byli dwójką uwielbiających się malarzy. Artystów. Rzecz niespotykana pod słońcem.

Do Detroit przyjechali w 1932 roku, on dostał zamówienie od Henryego Forda na ozdobienie muralami dziedzińca Instytutu Sztuki. Miała to być panorama przemysłowego imperium Ford Motor Company, serca miasta, duszy miasta, głowy miasta.

„Marks stworzył teorię, Lenin zastosował ją na dużą skalę, przeorganizując społeczeństwo... A Henry Ford umożliwił funkcjonowanie socjalistycznego państwa” - rzekł Rivera. Miał wtedy dwadzieścia lat więcej od Fridy. Prawie sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu obok stu pięćdziesięciu ośmiu żony. Jego sto czterdzieści kilogramów wagi przy czterdziestu jeden jej. Wyglądał jak ogromna żaba; Frida Kahlo niczym aztecka księżniczka. Nigdy go nie poznałam. Nigdy nie potrafiłam za tą dwójką trafić - i nie byłam jedyna. Nie pasowali nigdzie i pasowali wszędzie. Połączyli ogień z wodą. Krew z mlekiem. Było to trefne, ale i pełne śmiertelnego uroku.

Frida zaprowadziła mnie do Instytutu Sztuki. Wpuścił nas nocny stróż. Ona sama nie mogła wdrapać się na rusztowanie, które zasłaniało tworzący się fresk:

- Jeśli tu nie wejdiesz, to z dołu nic nie zobaczysz.

Z powątpieniem popatrzyłam na spiętrzone, nieheblowane deski.

- Idź. To tak, jakbym pokazywała ci swego męża.

Wystarczyłaby odrobina koncentracji na odbicie się od gruntu.

Niestety, świadkowałyby temu Frida. Nie wydobywszy westchnienia, zaczęłam wspinać się po rusztowaniu.

Tu i ówdzie spoglądały na mnie nieruchome, nieożywione twarze. Barwy ich lic były zaskakująco mocne jak na fresk.

- I co? Czy Rivera nie jest genialny?

Namalowane tłocznie, śruby, dźwignie, pasy, korbki, wahadła, spirale, stoły montażowe. Zapracowani bracia i siostry.

- Nie rozumiem tego, Frido. Podziwiam namiętność Diega, ale to jest mi obce.

- Nie jesteś komunistką?

- Nie.

- Wy i ta wasza gringolandia. - Sapnęła. - Źle się tu czuję. Obce miejsce.

- Jak twój mąż zatytułował fresk?

Nie chciałam prowokować awantury, no i byłam ciekawa. Ciekawa tej młodej Meksykanki.

- Nazwał to Wiek stali. I za to go kocham.

Zesłam z rusztowania na dół.

Krzyki pośród nocy zawsze niepokoją; zapowiadają zły sen.

- Muertes en relajo - burknęła Frida.

- Co?

- Umarli mają uciechę.

Zobaczyłam ich, kiedy przed świtem wracałyśmy z Fridą do hotelu.

Szary tłum zajmujący swoje miejsce w kolejce po zupę albo bony żywnościowe. Z daleka można było ich wziąć za kinomanów, którzy tłoczyli się przed premierowym pokazem w kinoteatrze.

Przeważali mężczyźni. Byłoby bardziej naturalne, gdyby rozmawiali, lecz oni milczeli. Gryzli zapałki, pluli na bruk, ale nikt nie odezwał się słowem. Pozbawieni pracy żywiciela rodzin, którym Wielki Krach na nowojorskiej giełdzie w 1929 roku podciął skrzydła. Na kpinę zakrawało to, że część ich pracodawców, właścicieli fabryk i kopalń po tamtym październiku „nauczyła się latać” - wyskakiwali z okien swoich apartamentów jak niezgrabne ptaki. Nikt z całej sprawy nie wyszedł czysty. Republikański prezydent Hoover sprzeciwił się ingerencji państwa w gospodarkę oraz destabilizacji budżetu. Miał dać za to głowę przed kontrkandydatem w nowych wyborach, Rooseveltem, którego polityka New Deal, jak się miało okazać, tylko wydłużyła kryzys.

Tymczasem w 1932 roku bezrobocie przeniosło się na wszystkie dzielnice. Jak dawniej przy willach zamykano mocnymi kłódkami kubły pełne brudów, by śmieci nie rozwlekły ludzkie szopy.

Tamtej nocy, choć było ciepło, na ulicach postawiono płonące beczki - bieda marznie. Frida milczała niczym bezrobotny, jakby i na nią spłynęło jakieś zaklęcie.

- Frido?

- To do niczego niepodobne - mruknęła.

Zwróciłam uwagę na blondwłosą kobietę, która trzymała w ramionach rachityczną dziewczynkę. Mała chowała twarz w letnim płaszczu matki. Wstydziła się. Nie lubię, kiedy ktoś się we mnie wpatruje tak intensywnie jak ta chuda kobieta. Potrząsnęłam głową, jakby chcąc zrzucić z siebie ten chorobliwy wzrok. Przeszły mnie ciarki. Potężnie zbudowany, łysy mężczyzna zaczął się awanturować, gdy tylko otworzono dwuskrzydłowe drzwi jadłodajni.

- Dajcie nam pracę, a nie to gówno! - Trzasnął o ziemię metalowym talerzem pełnym zupy.

Nikt ze zgromadzonych nie poszedł za jego przykładem. Poszeptano tylko i ludzka masa zakołysała się lekko. Postanowiłam zapamiętać tego mężczyznę i odnaleźć go później, co nie było trudne, bo wiedziałam, że będzie zmuszony przyjść tu i jutro, i pojutrze.

Był zdrowy, a jego krew - choć jeszcze jej nie posmakowałam, a jedynie wyobrażałam sobie - musi parzyć język; smakować niczym dobra, mocna kawa w ustach zmęczonego. Nie myliłam się, a on znalazł ukojenie na łonie Abrahama.

Tamtego wieczoru od razu wyczułam, że coś się zmieniło. Wciągnęłam powietrze przez zęby, a powonienie mam niczym wilczyca. Inny był osobniczy zapach Fridy-bardziej... żywiczny. Przypominał woń rozgniecionej orzecha.

- Masz okres? - zapytałam bez ogródek.

Nie lubiłam przebywać pośród miesiączkujących kobiet. Ich woń niepokoiła mnie. Bałam się, że się zapomnę. Niegdyś czytałam o cyrkowym niedźwiedziu, który rozerwał treserkę, bo ta weszła do jego klatki w nieodpowiednim dla siebie czasie.

- Jestem w ciąży.

- Co na to Diego?

Popatrzyła na mnie uważnie, oceniając, ile może mi powiedzieć, a później ten wzrok się rozmył, zupełnie jakby nagle postanowiła spojrzeć przeze mnie. Przestać brać na siebie odpowiedzialność za to, że jej wypowiedź miała świadka. Poczułam się jak odbicie w lustrze.

- Nie przejmuj się zbytnio. On już przez to przechodził. To jedynie dla mnie będzie pierwsze dziecko. Pierwszy strach... Za to lekarz mówi, że nie donoszę. Że moja miednica nie pozwoli mu urosnąć.

- Nie przejmuj się lekarzami.

- Nie przejmuję się. Czekam.

- To dobrze.

- Tak, to dobrze. - Postarała się i znowu zogniskowała spojrzenie, nadając mi utraconą tożsamość. - Mam kocie szczęście, gdyż niełatwo umieram, a to już coś.

Rzeczywiście. Wiedziałam coś o tym. Wszystko już wiedziałam - znałam słoneczną oraz mroczną połowę.

Frida napisała do przyjaciela:

Biorąc pod uwagę mój stan zdrowia, pomyślałam, że lepiej będzie przerwać ciążę, o czym powiedziałam lekarzowi, a on dał mi porcję chininy i bardzo dużą, silnie przeczyszczającą dawkę oleju rycynowego. Dziś po zażyciu tego wszystkiego miałam lekki krwotok, prawie nic. Przez pięć czy sześć dni trochę krwawiłam, ale bardzo mało. W każdym razie doszłam do wniosku, że poroniłam, i znowu poszłam do doktora Pratta. Zbadał mnie i powiedział, że nie, jest absolutnie pewien, że nie poroniłam i że jego zdaniem zamiast operacyjnie usuwać ciążę, znacznie lepiej będzie ją utrzymać i mimo że mój organizm jest w złym stanie, biorąc pod uwagę niewielkie pęknięcie miednicy, kręgosłupa, itd., itd., bez

większych trudności mogę urodzić za pomocą cesarskiego cięcia. Powiedział, że jeżeli zostaniemy w Detroit przez następne siedem miesięcy ciąży, zajmie się mną bardzo troskliwie.

DETROIT, 1932

Nie muszę spoglądać na zegarek, żeby wiedzieć, że już jest noc. Księżyc wyczuwają wszystkie komórki mojego ciała. Adrenalina - na jedno jego życzenie - przenika do krwi, czuję się jak na lekkim rauszu. Fright, fight, flight. Jestem głodna. Czerwone krwinki przyspieszają biologiczny bieg; jeśli długo pozostają bez jedzenia, ten proces się odwraca i wpadam w letarg. Oszczędzam tlen i składniki odżywcze. Czy jakoś tak. W końcu, do cholery, nie jestem biologiem.

Mogę się mylić na całej linii. Odsuwam kotarę, by popatrzeć na Siostrę Noc.

Na parapecie, niczym sowa, siedzi Frida. Jak ona tam się mogła dostać? Przesyła mi całusa, a potem skacze i już jej nie ma. Jakby zsunęła się idealnie celnie w okno poniżej mojego. Poszła załatwiać własne sprawy, które wymagają mroku, jak i moje czyny; ale to zupełnie inny mrok. O, tak!

Przez okno swego pokoju widziałam, jak ją wynoszą - w ciemność nocy, rozświetlaną tęczowym światłem koguta karetki. Leżała na noszach, sztywno niczym lalka. Sanitariusz przykrył ją prześcieradłem aż po szyję. W mgnieniu oka bawełna spoczywająca w trójkącie łona nasiąkła krwią.

Coś okropnego.

Postarałam się i pomimo odległości i dekoncentrującego gwaru, jaki nas dzielił, wniknęłam w umysł kobiety. Zobaczyłam szkarłat, całe morze szkarłatu, piękne; i zagubioną, kołaczącą się w pułapce czaszki myśl: Nie chciałabym się karmić choćby najmniejszą nadzieją, wszystko porusza się w rytm tego, co kryje się w brzuchu.

Znowu szłam przez noc, a za sobą słyszałam stapanie. Kroki kogoś lekkiego i zwinnego, kto nosił tanie buty z gumową podeszwą. Był sprytny i dobrze orientował się w sytuacji - przyspieszał, kiedy ja przyspieszałam, instynktownie zwalniał, kiedy czuł, że ja mogę przystanąć. A jeśli czyniłam to i odwracałam się, znikał jak cień. Trzymał spory dystans, ale nie był przecież wampirem. Pachniał podnieceniem, rozgrzanym kauczukiem. Męczył się. W dodatku dziecko, które wszędzie ze sobą zabierał, głośno wciągało smarki, kasłało, przy czym często ślina była zabarwiona krwią. Obcasiki butów dziewczynki trzymały się na gwoździach rysujących chodnik.

Tym, kto mnie śledził, była kobieta. Zastanawiałam się, skąd brało się jej samozaparcie. Brak instynktu samozachowawczego i głupota - zachowywała się, jakby to ona polowała na mnie. Po co jednak narażała dziecko? Postanowiłam ją o to spytać.

Czekałam. Wyszła w końcu z ukrytej w mroku bramy czynszowej kamienicy. Podeszła pod latarnię, zapewne bym mogła sobie popatrzeć. Popatrzeć na obie. Kobieta mogła mieć dwadzieścia dwa, trzy lata, córka cztery. Obie miały cerowane ubrania, kupione u szmaciarza. Mała byłaby ładna, gdyby w porę zoperowano jej zajęczą wargę. Matka należała do pierwszego pokolenia urodzonych tu Amerykanów. Jej rodzice najprawdopodobniej wyemigrowali z Niemiec - nie pozbyła się twardego akcentu, którym okraszano słowa biegnące nad kołyską.

Dziecko miało wyhaftowany na kołnierzu cienkiego płaszcza napis: „Penny”. Już wiedziałam, że naprawdę ma na imię Patricia, ale matka odrzuca to imię razem z człowiekiem, który je wybrał.

Kobieta wysunęła nogę do przodu, żeby nadać sylwetce siły, a słowom powagi.

- Widziałam, co robisz. - Miała ziemisty odcień skóry. Skutki niedożywienia i tytoniu.

- Pójdziesz na policję? Nikt ci nie uwierzy.

Cofnęła się, zmrużyła oczy.

- Nie chciałabyś dostać trochę tego... krwi w podarunku?

Spojrzałam na nią z ciekawością.

- Zabiję cię - powiedziałam.

- Nie zrobisz tego.

- Skąd wiesz?

- Bo wiem. Ulitujesz się nade mną i odkupisz trochę krwi?

- Wzięła dziecko na ręce. - Moja córeczka będzie ci smakowała.

- Ma gruźlicę.

- To nieprawda - zaprzeczyła słabo.

Patrzyłam na jej włosy, które wymknęły się spod kwiatowej apaszki, opadły na czoło. Światło latarni budziło w nich złote refleksy.

- Powinnaś zostać prostytutką.

Otworzyła szeroko oczy, a jej wzrok stracił wszelki wyraz, jakby spoglądała do wewnątrz.

- Boję się. - Potrząsnęła głową.

- A mnie się nie boisz? - zapytałam.

- Jesteś kobietą. Ja, ty i moja dziewczynka.

- Nie ma ojca?

- Odszedł.

- I dlatego, że go tak nienawidzisz, jesteś skłonna poświęcić wasze dziecko?

Rozumiem, że jest do niego podobne.

- Och, nie. Penny jest podobna do mojego dziadka. Umarł w Szwabii.

- Ciii... - Przyłożyłam palec do ust. - Nie chcę jej. Nie chodź za mną więcej.

Jak na zamówienie, Penny zaczęła płakać. Dotąd była ciekawa, teraz zmęczenie i przerażenie wzięło górę.

- Znam pewną kobietę, która by mogła wziąć małą na wychowanie. To Meksykanka.

- Nigdy w życiu! Białe dziecko w takim domu. Nie! - wrzasnęła, jakby w tym momencie coś ją opętało.

Popchnęła mnie ręką uwolnioną od dziecka (była silna), zakręciła się jak fryga i uciekła. Biegając, wysuwała głowę do przodu jak niedzielny pływak, który brodą przecina fale.

Straciłam na ten wieczór apetyt.

Kiedy Frida czuła się samotna (co było u niej bardzo częste), brała kij od szczotki i stukala nim w sufit, przywołując mnie w ten sposób. Cóż, zwykle przychodziłam. Stuk-stuk. Raz przywitała mnie naga. Najwyraźniej pragnęła mnie uwieść, a może chodziło jej o coś innego? Litość jest mocniejsza od miłości. Drgnęłam na widok takiej Fridy. Miała uschniętą nogę - cienką jak u wróbelka. I zasklepione stare rany; zgrubienia blizn przypominały zamknięte oczy. Oczy, które pod opuszczonymi powiekami śnią koszmary.

- Nie podobam ci się? - spytała.

Chciałam cofnąć się do uchylonych drzwi, ale powiedziałam tylko:

- Czego ty chcesz ode mnie, Frido? Nie potrafię ci tego dać. Jestem... wyjałowiona. Jestem jak skała.

- Jesteś jak kwiat.

Poczułam dziwne mrowienie. Frida, korzystając z mojego oszołomienia samą sytuacją, kuśtykając przeszła te parę kroków, które nas dzieliło, i pocałowała mnie w usta.

- Rozumiem cię, Ireno. Ja kocham tylko Diega. Nikt się nie dowie, jak kocham Diega. Nie chcę, żeby cokolwiek go zraniło, nic nie powinno go denerwować ani zabierać mu energii, której potrzebuje, by żyć - żyć tak, jak pragnie, malować, widzieć, kochać, jeść, być sam, przebywać w towarzystwie - ale chciałabym mu to wszystko ofiarować. Gdybym miała młodość, mógłby ją sobie zabrać.

- Jesteś młoda - rzekłam.

Potrząsnęła głową. Czarnogranatowe włosy miała splecione w warkocz, upięty na czubku głowy i ozdobiony purpurowymi kwiatami; nawet nie znałam ich nazwy.

- Już nie... Nie mogę mieć dziecka.

Wciąż wzruszała mnie i wciąż przerażała.

- Frido, widziałam więcej blizn u kobiet niż u mężczyzn. I tu... - Dotknęłam głowy kobiety. - I tu... - Palce oparłam na piersi, ponad sercem. - I tu... - Zsunęłam dłoń na goły brzuch. - I tam...

Odsunęła się i schyliła, by dotknąć „ptasiej” stopy. Odwróciłam się i, by zająć czymś oczy, wyjrzałam przez okno, na panoramę Detroit. Była zachwycająca. Zachwycająca, pomimo kolejek bezrobotnych dotkniętych żądłem Wielkiego Kryzysu, ciszy pełnej lęku, krwi upuszczonej na asfalt protestującym przez policję i fabryk Forda, które wypływając małe samochodziki, wyglądały jak betonowe potwory z innej planety.

- Nie znam swojej matki - wyrwało mi się.

Ten świat był taki inny od tego, w którym się urodziłam, a jednocześnie ludzie byli tacy podobni. Pokolenie przychodziło za pokoleniem i cierpiało z powodu wciąż tych samych spraw.

- Będę twoją matką, jeśli chcesz - usłyszałam słowa Fridy Kahlo.

Zdażyła położyć się na hotelowej kanapie. Ułożenie jej ciała przypominało mi pozę bladej kobiety na obrazie Maneta Olimpia. To malarskie skojarzenie zachowałam jednak dla siebie, bo nie było teraz na miejscu. Teraz ani nigdy.

- Tak, Frido. Chcę - odpowiedziałam na pytanie i ułożyłam się obok kobiety.

Wolny był tylko skrawek mebla, więc objęłam ją i wtuliłam się w płaski brzuch. Drapała mnie paznokciami po głowie. Pieściła włosy, a ja po raz pierwszy od dawna uległam złudzeniu, że mogę zasnąć. Że mogę odpocząć.

Ledwie doszła do siebie po poronieniu, pokój wypełnił się farbami i sztalugami. Częściowo zajęły miejsce lalek. Nie chcę ich teraz oglądać! - rzekła. Byłam bliska tego, by powiedzieć jej wszystko o sobie, niczym wymarzonej matce. To takie złudne pragnienie. Matki są złudne; muszą takie być, skoro jednocześnie oskarżają i dają nadzieję. Cukierek za obtarte kolano, klaps za przemoczone buty.

Gryzę się w język. W odpowiedniej chwili ugryzłam się w język.

Nie byłam szczerą. W końcu powiedziałam jej, że mam uczulenie na słońce. Że poniekąd jestem więźniem takich miejsc jak to, hotelowych czterech ścian, okien zasłoniętych w dzień grubymi kotarami.

Zrozumiała, bo choć sama mogła wychodzić na słońce, to schody były dla niej nie do przebrnięcia - dlatego tak się denerwowała, kiedy nie mogła przywołać windy. Byłyśmy dwiema więźniarkami złego urodzenia. Czyżby na pewno?

- Gdybym ci powiedziała, że mogę pozbyć się twego kalectwa...

- Jak? Jak chcesz tego dokonać? Miłością? Miłość tego nie potrafi. Zresztą ty mnie nie kochasz - odrzekła.

- Pytałam tylko.

- Nie zgodziłabym się. Tak jest dobrze. Przyzwyczyłam się. Gdybym była zdrowa... Nie byłoby wtedy Fridy. Tego wszystkiego, co kryje się pod tym imieniem.

- A jeśli się mylisz?

- To straszne.

Szkicowała wtedy mój portret, za płaskim ramieniem narysowała orła. Wyglądało to, jakby ptak szeptał mi do ucha. Co szeptał?

- Dlaczego orzeł?

- Jesteś do niego podobna, Ireno. Twoja twarz, jego dziób... - Roześmiała się.

- Myślę, że się mylisz.

Wzruszyła ramionami.

- U nas takie ptaki niektórzy nazywają rybołowami. To oczywiście nieściskość.

- Kłamstwo.

Zerwała szkicownik ze sztalug i podarła go. Nic nie zostało.

- Gdybyś była moją lalką, nazywałabym cię królową. Miałabyś prawo do królewskiego orła.

Powiedziała mi, że poczuła się słabo, że bola ją „jaja” i że mam wyjść. Tak, Frida malowała wtedy mało, głównie użalała się nad sobą.

„Jestem rozpadem”. Chciałam udowodnić, że może więcej ode mnie.

- Przeczytałam w gazecie, że szykuje się zaćmienie słońca. Niepokoi mnie to. Przykro mi, że nie będę mogła zobaczyć tego zjawiska na własne oczy, za wielkie ryzyko: może nie udać mi się skryć, nim ciemność się rozwieje. Pomyśl, Frido: zaćmienie słońca, coś musi się stać!

Zdjęła z kolan deskę, do której miała przypiętą akwarelę. Zapaliła papierosa.

- Opowiem ci to.

Ucieszyła mnie. Naprawdę ucieszyła. W końcu jakaś część mnie była ciekawską dziewczynką.

Kiedy po raz kolejny zobaczyłam matkę Penny, była już bez dziewczynki. Nie wiedziałam, co mogło się z nią stać. I nie chciałam wiedzieć. Kobiecie towarzyszył jeszcze nikły aromat dziecięcego potu; ale miała także na głowie nowy, brązowy kapelusz, który głęboko naciągnęła na jedno oko. Moje tajemnicze obliczenia gdzieś się wyrównały. Dziecko za kapelusz?

- Nie potrafisz zrozumieć, jak ktoś ci każe odejść?
- Nikt mnie nie potrafi do tego zmusić - powiedziała hardo.
- Co to jest? Schizofrenia? Depresja? Ostatnie stadium syfilisu?
- Nie jestem wariatką - zaprzeczyła gwałtownie.
- Jesteś.

Poprawiła kapelusz. Do runda była przyfastrygowana róża z żółtego flauszu.

- Przyszłam, żeby sprzedać ci krew. Zhandlowałam ją już takiemu jednemu...

Poczułam uścisk w piersi i jednocześnie zaświerzyły mnie rozpulchnione dziąsła, jak osobę chorą na szkorbut.

Zrobiłam krok ku niej, ale cofnęła się niczym przerażony królik. Wyglądała gorzej niż ostatnio. Rozszerzone źrenice zmieniały jej oczy w oczy narkomanki albo niezdrowej dziwki. Jeden z nas? Tu? Zacisnęłam pięść; smak metalu w ustach. Tęsknota i nienawiść zlane w jedno.

- Nie interesuje mnie to. - Odwróciłam się i ruszyłam przed siebie.

Dogoniła mnie. Wciąż miała na nogach te ciche, tanie buty. Bawełniane pończochy zrolowały się i zmarszczyły na grubych kostkach. Wbiła się w moje ramię. Uświadomiłam sobie, że nie wie, z kim ma do czynienia. Życie i śmierć ją przerosły. Oba te zjawiska traktowała jak film z Mae West oglądany w kinoteatrze, gdzie pachniało słodkimi migdałami, a obsługa nosiła czerwone uniformy. W rzeczywistości była tylko zdradliwa ciemność, ale ta opóźniona w rozwoju kobieta nie potrafiła tego pojąć.

- Co z Penny?
- Zgubiła się. Zawsze była niegrzeczną dziewczynką.

Wyciągnęłam alabastrową dłoń i zaczęłam gładzić suchy policzek natręta. Było to tak, jakbym przebierała palcami w drobnym piachu, który swego czasu wsypano do szklanych klepsydr. Naskórek łuszczył się i przylegał do opuszków moich palców. Kurz.

Wszyscy poniekąd jesteśmy tylko kurzem, który opada na ulice, meble, ubrania.

- Podoba mi się twój kapelusz.
- Prawda?

Oderwałam sztuczną różę i rzuciłam ją gdzieś w głąb nocy.

Chwyciłam ofiarę i przeniosłam w mrok zaułka. Była tak lekka, jakby składała się tylko z wyschniętej powłoki i butów.

- Ten mężczyzna, gruby i w złotych okularach, zaczepił mnie, kiedy stałam w kolejce po zupę. Wyglądał na urzędnika. Miał nalaną twarz i bardzo się pocił, jakby miał problem z sercem. Zaprosił mnie na prawdziwą kolację, to poszłam. Bez dziewczynki. Nie pozwolił mi zabrać Patricii. W obskurnej garsonierze, gdzie mnie zaprowadził, dał mi tylko pomarańczę i banana. Banana zjadłam, pomarańczę zostawiłam na później. I tak zapomniałam jej zabrać, kiedy stamtąd wychodziłam. Pan Złote Okularki kazał mi się rozebrać, tak że w końcu zostałam tylko w pasie do pończoch. Wstydziłam się, bo było widać bliznę po cesarskim cięciu i tamte włosy. Jemu jednak się podobało. Dawno nikt na mnie tak nie patrzył. Powiedziałam, że nie chcę już mieć więcej dzieci, ale on uspokoił mnie, że to, co będziemy robić, nie ma z poczęciem nic wspólnego. Wziął brzytwę i nacinał delikatnie skórę na udach, wokół piersi i ramion. Schylał się i pił krew. - Westchnęła i opuściła powieki.

- To nie będzie bolało. - Łagodnie przechyliłam jej głowę i wbiłam się w dogodnie odsłoniętą szyję.

Serce kobiety gwałtownie zatrzepotało, ale zaraz się uspokoiło. Puls zwolnił. Piłam matkę Penny. Smakowała zwyczajnie, krew jednak sprawiała, że odzyskiwałam siły. Pamiętałam o swoim dziedzictwie. Byłam wampirem. Kiedy czułam, że mało brakowało, abym przeholowała i wyssała ofiarę do cna, przerwałam, z niemałym trudem.

Oblizalam wargi. Tej kobiecie nie podaruję śmierci. Odsunęłam się, a ona opadła na kolana, potem zakołysała się i przewróciła na lewy bok. Nogi miała podkurczone do brzucha. Osłabiona, straciła przytomność. Zostawiłam ją w jakiejś głuchej bramie i odeszłam. Zerwał się deszczyk i wiatr, który zacinał kroplami po chłodnej twarzy.

To jest mój ulubiony obraz Fridy Kahlo, a po raz pierwszy zobaczyłam go całkiem niedawno. Nosi tytuł Jelonek. Kolory są na nim jakby wyblakłe, zieleń lasu, brąz futerka, błękit nieba - wszystkie dążą do szarości, z wyjątkiem czerwieni. Na pierwszym planie, na łące pośród drzew „skacze” jeleń. Jego ciało zatrzymują w locie pierzaste strzały, które grotami otwierają tułów zwierzęcia, to tu, to tam. Piers, grzbiet, zad. Drzewa za umierającym jeleniem rozsuwają się i widać spokojne morze. Nie ono jest jednak najważniejsze. Clou obrazu stanowi to, że jeleń jest chimerą człowieka i zwierzęcia: ma głowę Kahlo.

DETROIT, 1932

Oto amerykańska kręgielnia, jakich wiele; tym dziwniejsze, że kiedy tam przychodzę z żołnierzkiem, którego poderwałam, rozlega się pieśń. Śpiewa Meksykanka - ani stara, ani młoda, ani ładna, ani brzydka. Po prostu śniada Meksykanka. Słowa idą jakoś tak: Dzisiaj się upiję Dziecię mego serca Jutro będzie nowy dzień Przekonasz się, że mam rację.

Jestem zasłuchana, zawsze kręcił mnie folklor. Mój towarzysz zaczyna, gmerać pod sukienką, co jest dość przyjemne... Dostrzegam Fridę, która mimo swego „diabelskiego kopyta” gra w kręgle. Rozpędza się na śliskiej podłodze i bach! - pchnięta kula toczy się, kręgle rozbijają. Prymitywna maszyna ustawia następne. Bach!

Frida puszcza po ziemi łysą czaszkę.

Ciepłe palce żołnierza doprowadzają mnie do orgazmu. Chce mi się pić!

Esta noche m'emborrachó Nina de mi corazón Mañana sera otro dia y verdn que tengo razón.

Zastukałam do drzwi. Otworzyła mi niemal od razu. Nie pytałam, czy Diego jest. Oczywiście, nie było go.

- Opowiedz mi - poprosiłam.

I położyłam się na kanapie, niby szykując do snu, który i tak nie nadejdzie. Miałam usłyszeć bajkę. Najprawdziwszą na świecie.

- Zaćmienie nie jest piękne. Nie lepsze niż w pochmurny dzień, kiedy widać cały ten interes.

- Frido... - zaczęłam. - Ostatnio widuję cię w miejscach zupełnie niepasujących do twojej osoby. Jakbyś miała bliźniaczkę. Zdrową Fridę, jeszcze bardziej przerażającą niż ty.

Roześmiała się. Wyglądała na zadowoloną, a przecież była kiepską aktorką - w graniu przeszkadzały jej prochy, które łykała, i koniak, który piła. Rozmawiając ze mną, musiała być szczęśliwa niczym mała dziewczynka.

- Ireño, wiesz, jak u nas nazywają śmierć?

- La Pelona. Łysa.

- Też, też. Ale przede wszystkim mówią o niej: Ciotka małych dziewczynek. Możesz ją przywołać, kiedy samotne dziecko zbyt często przegląda się w lustrze, szukając towarzystwa tego, co jest za srebrem. Rozumiesz mnie?

- Tak.

Pomyślałam o swoim braku odbicia. Co to znaczyło? Że sama jestem śmiercią? Że nie mam przyjaciół? A może najprostsze: ja nie umrę?

- Zaprzyjaźniłam się z La Peloną. Kiedy jestem w szpitalu, objeżdża na rowerze moje cierniowe łoże. Kiedy jestem smutna, tańczy za mnie.

- Nie słyszałam jeszcze czegoś tak dziwnego.

- Nie chwale się tym, odkąd nawet Wielki Rivera mi nie uwierzył, ale spójrz... - Pchnęła drzwi prowadzące do drugiej sypialni.

Zajrzałam przez próg. Na łóżku, świeżo pościelonym, siedziała druga Frida. Była w zielonej, tehuańskiej sukience, przepasana czerwonym szalem. Spięta włosy. Ręce miała o parę odcieni jaśniejsze od oryginału. I nagle obróciła się.

Zobaczyłam, że ma słodką twarz. Że do połowy ściągnęła skórę z czoła i nosa, a powyżej jest cukrowa czaszka.

To była śmierć. To ją czasami widywałam zamiast Fridy.

- Kto w to uwierzy, nie będzie mógł tego znieść - powiedziałam.

Obróciłam się na pięcie i trącając Fridę w pierś, wyszłam. To było nasze ostatnie spotkanie. Nigdy więcej do niej nie wróciłam.

Wyprowadziłam się z hotelu. Chyba zbyt się bałam.

O kobietach zawsze najwięcej mogą powiedzieć ich mężczyźni - w tej magicznej chwili pomiędzy zakochaniem a obojętnością. Wtedy uważniej patrz: już z ciekawością (miłość gardzi wiedzą. Ona sama wie najlepiej!), a jeszcze z pożądaniem; raczej się nie porównują, to zaś daje wolność. I nie mają złudzeń co do kobiet, tak jak kobiety nie mają ich wobec mężczyzn, przynajmniej od momentu, kiedy przestają być bardzo młode.

- Gdybym umarł, nie poznawszy jej - powiedział Rivera o Kahlo - odszedłbym z tego świata, nie wiedząc, co to jest prawdziwa kobieta!

Diego Rivera był kurwiarzem, a Frida stworzeniem osobliwym jak jednorożec. Można im było pozazdrościć. Ja zazdroszczę.

Dwuczłonowy trolejbus powoli zbliżał się do autobusu i uderzył go w sam środek. Z wolna zaczął go pchać. Autobus odznaczał się dziwną elastycznością. Wyginał się coraz bardziej, lecz przez jakiś czas się nie rozrywał. Był to wóz z długimi ławkami po obu stronach. Pamiętam, że w pewnym momencie kolanami dotknąłem pasażera siedzącego naprzeciw mnie, ja znajdowałem się tuż obok Fridy. Gdy autobus nie mógł się już dalej wyginać, rozpadł się na tysiąc kawałków, a trolejbus sunął dalej.

Przejechał wielu ludzi.

Zostałem pod trolejbusem. Frida nie. Ale w trolejbusie złamała się metalowa barierka, przesywając Fridę na wskroś na wysokości miednicy. Gdy zdołałem wstać, wydostałem się spod trolejbusu. Nie doznałem żadnych obrażeń, miałem jedynie siniaki. Naturalnie od razu zacząłem szukać Fridy.

Stało się coś dziwnego. Frida była zupełnie naga. Siła zderzenia rozpięła jej ubranie. Któryś z pasażerów, prawdopodobnie malarz pokojowy, miał przy sobie paczkę złotej farby w proszku. Paczka rozerwała się, obsypując złotem krwawiące ciało Fridy. Gdy ludzie ją zobaczyli, krzyknęli: La bailarina, la bailarina! Widząc złoto na jej czerwonym okrwawionym ciele, pomyśleli, że jest tancerką.

Podniosłem ją - w tamtych czasach byłem silnym chłopcem - a potem z przerażeniem zauważyłem, że Frida ma w ciele kawał żelastwa. Jakiś człowiek krzyknął: „Musimy to wyjąć!”. Przykłęknął na niej i powiedział: „Wyciągnijmy to!”. Gdy wyciągał, Frida krzyczała tak głośno, że kiedy nadjeżdżała karetka, syrena wydawała się cichsza. Zanim zjawiała się pomoc, podniosłem Fridę i ułożyłem w oknie sały bilardowej. Następnie okryłem ją płaszczem. Obawiałem się, że umrze. Na miejscu wypadku już zmarło dwoje czy troje ludzi, innych śmierć zabrała później.

Fridę zawieziono do szpitala Czerwonego Krzyża, który wówczas znajdował się na ulicy San Jeronimo, kilka przecznic od miejsca wypadku.

Stan Fridy był tak poważny, że lekarze wątpili, czy zdołają ją uratować.

Obawiali się, że umrze na stole operacyjnym.

Alejandro Gómez Arias, pierwszy chłopak Fridy...

Kąpiel skończona. Wycieram się białym ręcznikiem: łono, wgłębienia pach, plecy, przestrzeń pomiędzy palcami stóp. Ostatnio mam wrażenie, że ciało stało się większe, bujniejsze... Ale to niemożliwe. Wampiry się nie zmieniają. To znaczy nie zmieniają się w sensie materialnym - moje plecy, pośladki, nawet włosy na karku mają po naście lat.

Co innego głowa.

Myśli są zalane szkarłatem.

W tekście wykorzystano fragmenty wspomnień Fridy Kahlo i jej chłopaka w tłumaczeniu Barbary Cendrowskiej.

POŁOWA NOCY (150)

Umarła - tak właśnie umarła:

Gdy oddech jej ustał w końcu, Wzięła węzełek z odzieżą I ruszyła ku słońcu Drobna figurkę u bramy Aniołowie widać wypatrzyli, Skoro po stronie śmiertelnych Nie znalazłam jej od tej chwili

Emily Dickinson

NOWY JORK, GRUDZIEŃ 1999

- Purytanie posądzili mnie o złą obmowę i praktykowanie czarów. Zbiory się nie udały, a krowy przestały dawać mleko. Zawieźli mnie na wozie do ratusza najbliższego miasteczka. Tam sędzia, który siedział akurat z wizytą u pastora, kazał mi się przyznać.

Do czego? - zapytałam go. Byłam starą panną, która mieszka na ojcowiznie z jedną kozą. Zgoda, może pomogłam paru kobietom w ich problemie, ale żeby od razu czarownica? Nie! Więc poddano mnie torturom. Tortury przybyły ze Starego Świata wraz z purytanami. Położyli mnie na płaskim kamieniu, a następne, równie płaskie i wielkie, zaczęli kłaść na moje piersi. Czułam, jak trzeszczą mi żebra, ale mogłam tylko krzyczeć, że nie jestem czarownicą. Gdy tak dokładali tego ciężaru i dokładali, coś złego zaczęło się robić z moim językiem, w ogóle nie chciał się mieścić w mojej gębie, to znaczy ustach. Jakby te głązy go wypchnęły. Było już po mnie. Umierałam. Zauważyli to, ale i tak uznali, że skoro się nie przyznałam, to muszę być tą Złą. Kat złapał obcęgi (stałe trzymał je przytroczone do pasa) za koniec mojego języka. Wysunął mi się jak u żmii, opadł wzdłuż brody i dotykał kamieni - czułam na nim piasek. Później oprawca pociągnął, wyrwał do końca ten język i nareszcie umarłam.

- Po co, Vanesso, poddałaś się regresji hipnotycznej do wcześniejszych wcieleń?

- Och, miałam okropny problem: nie potrafiłam odezwać się do męża. - Śmieje się cichutko.

Jest ładną, młodą Kreolką. Małe, złote kolczyki w kształcie słońca pobrzękują jej w uszach.

- Język stanął mi kolkiem w ustach.

- I co się okazało po regresie?

- Och, to trochę szalone! Ale i proste...

Kiwam głową w zgodnym rytmie z innymi uczestniczkami spotkania, innymi poszukiwaczkami własnych reinkarnacji.

- Okazało się, że mój mąż z dzisiejszego wcielenia był tamtym purytańskim katem.

- O!

- Właśnie tak.

- Powiedz nam, Vanesso, czy ta wiedza w czymś pomogła?

- Oczywiście, w końcu mogłam z Malcolmem normalnie porozmawiać.

Spontaniczne oklaski.

- Ale i tak się z nim rozwiodłam, w zeszłym roku.

Spontaniczne oklaski przybierają na sile.

- No dobrze, moje panie...

Gwar.

- Hej, dziewczyny! Na dzisiaj już kończymy. Do zobaczenia pojutrze. Uważajcie na siebie. Pan jest z wami. - Psychoterapeutka i specjalistka od regresingu hipnotycznego ma na imię Julia.

Trzydziestolatka irlandzkiego pochodzenia, niegdyś ładna, dziś zniszczona przez chorobę. Doktoryzuje się „z takich jak my” na Columbia University. Nasze spotkania odbywają się dwa razy w tygodniu, w poniedziałki i czwartki. Same kobiety, też w okolicach trzydziestki, raczej z dziećmi (ja dzieci mieć nie mogę), po rozwodach, próbujące szczęścia w nowych związkach. W większości dość dziane, z wyjątkiem tych przysłanych przez opiekę społeczną („niech spróbują ułożyć swoje życie od samiotki początku”).

Ach tak, przyszedł kiedyś jeden facet, ale szybko się zmył. Gość nie zrobił na nas najlepszego wrażenia, bo wyglądał jak ostatnia miernota. Zresztą jeśli już, jego zniknięcie i tak mogłoby zmartwić jedynie mnie i Julię, bo tylko my dwie ciągle jesteśmy same. Julii trzęsą się ręce i cała tonie w robocie. Ja („wyglądasz, kotku, na naście lat”) jestem tą, której przyszłemu małżeństwu i macierzyństwu kibicuje niemal cała ta dwudziestoosobowa grupa.

- Mam trzydzieści lat - mówię - a ta cera to francuskie kremy Lancôme.

- Nie przejmuj się, Madonna urodziła w wieku trzydziestu sześciu lat.

- Serio? Myślałam, że po czterdziestce.

Ostatnio przygruchały mi jakiegoś Włocha (właściciel restauracji, bynajmniej nie mafioso), kuzyna Claudii. Nic z tego nie wyszło. Zraziło go to, że nie możemy się spotykać w dzień. Wziął mnie za cali girl i był przekonany, że rankami i południami odsypiam pracę.

Cali girl, dobre sobie! Tym lepsze, że w ogóle nie sypiam, no i nie mam telefonu. A słońce po prostu mi szkodzi.

Wysypujemy się na ciemną ulicę niczym uczennice szkoły średniej. Przystają pierwsze taksówki, żółto-szare w nikłym świetle latarni. I samochody z mężczyznami, którzy zapewne liczą na małe co nieco, albo i nie (być może te parę godzin w tygodniu, które żony spędzają na samorozwoju, pozwala im na tete-a-tete z sekretarką).

- Irene, idziesz piechotą?!

To Vanessa. Obok niej stoi Rebeka, Żydówka, która swoje wcześniejsze żydowskie wcielenie zakończyła samobójstwem w twierdzy Masada, chroniąc się przed okupacją rzymską (nieco później, bo już w dwudziestym wieku doprowadziło to do zerwania jej stosunków z reformowanym judaizmem, gdyż nawet układny rabin za bardzo ją wkurzał. „Słuchaj, ja wcale nie chciałam wtedy umierać, to jakiś nauczyciel, jakiś rebe mnie namówił!”). Teraz Rebeka zachowuje się jak prawdziwa gojka i nawet zrobiła sobie tatuaż. Ma dwadzieścia trzy lata.

Po Vanessę przyjechał drugi mąż. Zabrał ze sobą dwójkę jej dzieci, które musiał powyciągać z łóżek. Stawiały pewnie opór i marudziły, że jest zimno, zamiast tęsknić za matką. „No, jutro pójdziemy na jakieś zakupy! A teraz chodźcie. Mama się ucieszy”. Widzę tę scenę we własnej głowie. Ściągnęłam ją z umysłu Malcolma 2.

- Irene, nie wygłupiaj się. Odwieziemy cię do domu.

- To miłe z waszej strony, ale naprawdę chcę zrobić sobie spacer.

- Irene, tu jest niebezpiecznie.

- Vanesso, kochanie, jeśli nie chce, to jej nie zmuszaj.

- W porządku, Van, mieszkam przecnicę stąd - kłamię beczelnie.

- Przecznice w Nowym Jorku są większe niż te w Vancouverze.

Śmieję się i macham ręką.

- Więc?

- Przeziębisz się!

- Nie.

Tego jestem pewna. Nigdy nie choruję. No, prawie nigdy, sprawy sprzed trzystu lat się nie liczą.

- Do zobaczenia w czwartek!

Rachela i dzieciaki Vanessy przesyłają mi po całusie.

Jestem wolna.

- Pierwszorzędne mieszkanie - przekonywał zarządca budynku, otwierając drzwi staroświeckiej windy, a ja poczułam się, jakbym grała w Dziecku Rosemary.

- Przepraszam, że umówiłam się z panem tak późno. - Był koniec lata, po zmroku.

- Nic nie szkodzi. Ludzie muszą pracować. Inaczej jak by płacili za czynsz? - zagulgotał.

Zaskoczyła mnie obleśność tego dźwięku, w końcu zarządca był mężczyzną w pełni sił, w świetnie skrojonym garniturze, a nie śliniącym się starcem z tupecikiem na głowie. Tak, gulgotanie zdecydowanie do niego nie pasowało.

- Oczywiście. Jakże by inaczej...

Wprowadził mnie do mieszkania.

- Siedemdziesiąta Siódma Ulica. Z okna widać - wskazał na podświetlony gmach - Muzeum Historii Naturalnej. Wie pani: Jurassic Park.

Siedemdziesiąta Siódma Ulica, ani za biedna, ani za bogata. W sam raz dla mnie.

- W Święto Dziękczynienia wypuszczają u nas balony. W kształcie zwierząt, kreskówek i takich tam. Kiedy byłem dzieckiem - rozmarzył się - pozwalano mi nie spać w wigilię tego wydarzenia, żebym mógł zobaczyć, jak przyjeżdżają ciężarówki, a potem wszystkie te przygotowania. Kiedyś uciekła dmuchana Panda...

„Zawiesił się”. Czy nie tak opisują współcześnie ten stan dekoncentracji i szarego śniegu w mózgu?

- Mieszkał pan niedaleko?

- Zaraz obok. Tam gdzie kiedyś ta pisarka, Erica Jong. Moja matka ją знаła.

- To miłe.

- A pani? Pani nie jest stąd? Pani nie jest nawet Amerykanką?

- Kanadyjką - kłamałam już tak naturalnie, że zaczynałam w to wierzyć.

Wykonał na środku największego pokoju parodię tańca derwisza.

- Świetnie. Jeśli chodzi o czynsz...

- Mogę zapłacić gotówką?

Uniósł brwi (białe), jakbym zaproponowała mu coś niestosownego w tej higienicznej epoce elektronicznego pieniądza.

- Jasne.

- Mam kota...

- Ma pani kota, to będzie pani mieszkać z kotem. - Wzruszył ramionami. I dodał jeszcze: - Ja hoduję papugi. Ptaszki, wie pani, coś zupełnie w opozycji do kotka.

- Aha!

Następnego wieczoru przeniosłam rzeczy (niewiele tego było) i zaczął się dla mnie Tylko Manhattan. Bomba!

Położyć się na środku trawnika w kształcie łyżki, który Yoko Ono ufundowała w Central Parku, by upamiętnić śmierć Johna Lennona („Ależ ja szaleję za tym domem! Jeśli będziecie chcieli kiedyś podnając, to jestem pierwsza w kolejce! Nie zapomnijcie o mnie! Ach, te dziwaczne maskarony, te stwory pełzające po murze między oknami!”). Nieco to trywialne, ale trawa pachnie nocami upajająco. Tylko że teraz mamy grudzień i wszystkie źdźbła przykryte są śniegiem.

Sznuruję mocniej czarny płaszcz, który wygląda idealnie jak szlafrok. Nie jest mi zimno, ale jak małomiasteczkowa panna, która trafiła na bal, staram się naśladować ludzi w tym, co czynią; w niezawinionym zresztą geście.

Moje serce tętni energią o większym cieple niż tysiąc płonących koszy, przy których grzeją się kloszardzi. Zimą te kosze pojawiają się zawsze i wszędzie - żadna przyjemność odrywać zamrożonego człowieka od ławki, jeśli nie ma numeru ubezpieczenia, a czasem nie pamięta, jak się nazywa. Jak nazywał się w poprzednim życiu.

- Ej, lala!

Nocni podrywacze. W tej części Manhattanu nie jest ich zbyt wielu, odwrotnie proporcjonalnie do ilości glin. Z drugiej strony to właśnie tutaj można spotkać laskę, która zaczytywała się na studiach Anais Nin i Colette, co pół roku robiła testy krwi, nim nauczyła się chodzić, łykała pigułki antykoncepcyjne, a uda wyćwiczyła aerobikiem lub tym, co teraz jest modne. I da się poderwać, bo całe dotychczasowe życie marzyła o odrobinie ryzyka. O mężczyznach, którzy nie dlatego pachną wódką, że są zalani, tylko że zapach ten potrzebny jest im do stylu.

- Kochanie!

Nic dzisiaj nie upolujesz, matole. To ja jestem łowcą, choć ostatnio na emeryturze. Odkąd burmistrzem został Rudolph Giuliani, śmieci są wywożone częściej i jest zdecydowanie mniej postrzeleń.

Ciesz się mnie to. Raz dostałam srebrną kulą wprost w lewą pierś.

Okropny ból! Szczęściem pocisk nie zdruzgotał mostka, wpadł w ciało jak w gęsi puch, piersi mam naprawdę duże. Postrzał z rewolweru musi boleć podobnie. Przeczulona wybrałam więc Manhattan, choć mój przyszły biograf być może wolałby widzieć mnie na Brooklynie albo w Bronksie. Nie, dziękuję.

Kloszardzi. A dokładnie rzecz biorąc, jeden kloszard: albo narkoman, albo profesor uniwersytetu. Sam? Dziwne, zwykle trzymają się parami, trójkami, w innych dzielnicach

całymi watahami po kilkunastu, jak dzikie koty. Kumple tego poszli pewnie po coś do jedzenia.

Odkąd chwyciły mrozy, różne religijne organizacje zaczęły rozdawać zupy i herbatę za darmo, przez całą dobę. Kłoszardowi (wygląda trochę jak zdegenerowany Święty Mikołaj w czapce pilotce ze szrotu) to obojętne, że został sam na ulicy. Jest tak zalany, że musi mu się dwoić i troić w oczach. Uśmiecha się do mnie, błyskając jednym zębem i zaczyna śpiewać God Bless America. W ręce (obowiązkowa rękawiczka bez palców) trzyma papierową torbę, z której wystaje obowiązkowa szyjka. Pociąga od czasu do czasu, a jego śpiew brzmi jak zdarta płyta.

- Znam jeszcze Sinatrę - bełkocze.

Stoi przy koszu z żarem, nachyla się nad nim, jakby chciał do niego wejść; jego policzki lśnią od potu niczym nawoskowane rajskie jabłuszka. Raj? Czy istniał kiedykolwiek? Czy kłoszard został z niego wygnany? Na jakie boskie objawienie czeka, że jeszcze z nędzy i rozpaczony nie popełnił samobójstwa? A może lubi ten stan, w którym się znalazł? Może toleruje go, bo kocha życie, tak kurczowo się go trzyma?

Biorę na siebie rolę milczącego, boskiego posłańca - kłoszard sam sobie resztę dośpiewa - podskakuję lekko na obcasach i... frunę, lecę do gwiazd. Choć celniejsze będzie stwierdzenie, że po prostu unoszę się w powietrzu. Zamierzam polecieć w kierunku swojego domu, mieszkania przy Siedemdziesiątej Siódmej Ulicy.

Do swojego gniazda.

A propos: nie zmieniam się w żadnego nietoperza, trzymam swój kształt, którym obdarzyli mnie rodzice. Kłoszard otwiera usta, ale bynajmniej nie zwiewa.

- Nieźle, dziadku, pochlałeś. - Lubię być okrutna.

Sycę się okrucieństwem, nawet kiedy jest malutkie jak cukiereczek.

Przeciera oczy, raz, drugi. Wódka ulewa się i wsiąka w gruby mankiet. Nagle zrozumiałam, że on wierzy w to, co widzi. Dla tej istoty wcale nie jestem pijackim urojeniem. Wydaje cienki pisk i wypuszcza butelkę wprost w ogień.

Tak mi przykro...

Przysięgam, że nie zrobiłam „Świętemu Mikołajowi” krzywdy. To znaczy większej od tej, która mu się przytrafiła przez nieuwagę.

Nie zabiłam go.

Dom, słodki dom!

Kot siedzi nieruchomo na środku przedpokoju, niczym staroegipska figurka. „Teodor 27”. Wychowany od małego, rudego kociaka wyrósł na niechlujnego zbója, który posikuje na ściany, bo nie mam sumienia go wykastrować.

- Jesteś głodny, malutki?

W pokątnej i pustej lodówce stoi tylko jedna, do połowy już opróżniona puszka kociej karmy. Wyjmuję ją na blat, żeby jedzenie się zagrzało. Teodor drepcze wokół niej niczym sumienny strażnik.

Dopiero teraz zdejmuję płaszcz, który zdążył już przesiąknąć topniejącym śniegiem. Jestem zmęczona i potwornie znużona. Mam ciężką głowę i szczypią mnie oczy, ale nie potrafię spać. Zafunduję sobie drobną chwilę niebytu, może orkiestra we mnie postanowi jeszcze raz zagrać.

Nad łóżkiem wiszą Marchewki Tamary Łempickiej. Kopia. Oryginały kupuje moja sąsiadka z drugiej strony Central Parku, Madonna. Mnie wystarczają kopie. Po cóż innego miałabym sięgać, skoro nawet moje istnienie jest kopią życia?

Kładę się w ubraniu - dla wielu to symbol ostatecznego upadku jednostki - i zapalam nocną lampkę, choć mogłabym sobie to darować. Lubię światło. Moje oczy, podobne do oczu kota, stworzone są do półmroku, a nie całkowitej ciemności. Teraz żarówka, wcześniej księżycowa luna... Nie jestem przesadnie wrażliwa jak na romantyczkę ani przesadnie wrażliwa jak na potwora. „Przeżyłam” w końcu rewolucję przemysłową. Sięgam po Księżnę de Cleves Marie de La Fayette, siedemnastowieczną powieść o tym, jakim ciężarem dla kobiety może być przeszłość. I jakim ciężarem dla kobiety może być sama kobiecość! Biedna Marie. Nazywaliśmy ją „le Brouillard” - Mgła. Wampiry mogą zamieniać się w mgłę, szczególnie te, którym ogromnie ciąży sam wampiryzm. Dużo czytam, ale w wyborze lektur pozostaję sentymalna: Madame de La Fayette, poezje Emily Dickinson, Wywiad z wampirem Annę Rice. Nie mogłabym zostać krytykiem literackim w „Newsweeku”.

A niech to szlag! - hałas potrafi nielicho przestraszyć. To Teodor zrzucił puszkę z blatu, biedaczek najwyraźniej myślał, że próbuję go zagłodzić. Nie rozumie mnie, nie jest cierpliwy, nie potrafiłby łapać myszy. A może się mylę? Może Teodor pojął - szybciej niż ja, ja się zapominam - że nasze egzystencje stosują inne miary czasu? Ruda świnka skończy jeść i przyjdzie do łóżka. Położy się i zaśnie, wiedząc, że czuwam nad nim i pilnuję jego kociego żywota.

Będziemy tak trwać.

Kiedy po raz pierwszy wyszłam na nocny spacer, opuszczając nowo wynajęte mieszkanie przy Siedemdziesiątej Siódmej Ulicy, przewędrowałam dziesięć ulic w dół i

spotkałam tak piękną kobietę, jakiej nie widziałam przez całe swoje „życie”. Była ładniejsza od najładniejszej damy dworu Katarzyny Medycejskiej; była ładniejsza nawet od Margot, splamionej krwią w Noc świętego Bartłomieja.

Wyglądała jak słońce okaleczone złą mocą, ściągnięte z firmamentu i wtrącone w noc, gdzie królował księżyc. Miała płowe włosy sięgające pasa i letni garnitur, który pomiał się na plecach i pośladkach. Nie uśmiechała się, nie robiła nic, tylko stała przy jakiejś bramie, w pewnej chwili cmoknęła i podbiegł do niej wielki pies. Płowy jak jej włosy. Pies zobaczył mnie i zawarczał, a potem zawył przeciągle.

- Idź sobie stąd - powiedziało do mnie Słońce. - Przeszkadzasz mi. Idź, nie jestem taka, jak myślisz.

I zaczęła przechadzać się z psem, jakby tylko wyszła z nim na prawdziwy spacer za potrzebą. Grała, dopóki nie zatrzymał się pierwszy samochód ze spoconym mężczyzną w środku. Roześmiałam się. Słońce, jak mogłaś mnie tak oszukać. Znałam takie jak ona, damy spacerujące po Paryżu ze zbyt głośnymi papugami na ramionach, kobiety w białych maseczkach, złane od stóp do głów mocnymi, pizmowymi perfumami. Wenecjanki obute w pantofle na drewnianych, zbyt wysokich platformach. A potem Słońca, które nosiły głośno tykające zegarki. Tak głośne, że ich tik-tak potrafiło wzbudzić nocne echo. Wszystkie te mroczne istoty wiedziały, kim naprawdę jestem, i to upewniało mnie, że takich jak ja jest wielu, wielu i istnieją od początku świata.

Następnego wieczoru pojechałam obejrzeć Statuę Wolności.

Stałam w granatowym mroku i patrzyłam, zadarłszy głowę, a może i uniosłam się na parę chwil, żeby dokładniej zobaczyć kolce w koronie. W końcu wróciłam do domu taksówką. Dałam taksówkarzowi suty napiwek; ciągle opowiadał mi dowcipy, a ja się naprawdę śmiałam, choć chrapliwie, jakbym miała zardzewiałe gardło. Później popełnił błąd, bo przed domem zaczął się dopytywać, gdzie pracuję. Odpowiedziałam, że nigdzie. To skąd mam pieniądze? Odpowiedziałam, że istoty takie, jak ja, zawsze mają skarby. Że jesteśmy jak smoki. zaproponował mi kawę, ale oczywiście odmówiłam. Był zły, rozczarowany i mógł narobić mi kłopotów.

Wniknęłam do jego głowy i wyczyściłam pamięć o naszym spotkaniu, ale pieniądze za kurs rzecz jasna zostawiłam. W jakimś zakamarku znalazłam zelzałe wspomnienie: był w nim chłopcem z Queens, który znów bawi się elektryczną kolejką. Łapie ślimaki i smaży je na torach, nim pociąg zdąży się na nich wykoleić. Potem płacz - ojciec, policjant, Polak z pochodzenia o nazwisku Wysocki, oddaje kolejkę do lombardu. Żonie Wandzie kupuje za pożyczone pieniądze kwiaty na urodziny i srebrny pierścionek. Rodzice taksówkarza tańczą,

obejmując się przy płycie Franka Sinatry. A że jest to nawet lepsze od tych kraks ze ślimakami, mały wybaczaj ojcu.

Zapisałam mu w pamięci, że wiozł starą śmierdzącą babę, która bez przerwy gderала o tym, jak bardzo chciała zostać aktorką. Nazywała się Louis Brooks i nie roztrząsałam, czy prawdziwa Louis Brooks by mi to wybaczyła. Równocześnie w samochodowym radiu mówili o naćpanym po uszy baletmistrzu z AIDS, który wyskoczył z okna swojego szpanerskiego mieszkania przy Piątej Alei, bo wydawało mu się, że potrafi latać. Jego zdrowi znajomi, artyści, uznali, że lepiej roztrzaskać się na chodniku i eksplodować jak supernowa niż zgasnąć pod kroplówką. Czego to ludzie nie wymyślą...

Trzeciego dnia pobytu spotkałam małą lunaticzkę. Wyglądała całkiem jak duch i nie zdziwiłabym się gdyby naprawdę nim była. Nosila na sobie wykrochmaloną białą koszulę nocną z walansienką wbijającą się w szyję (a wydawało mi się, że współczesne dzieciaki wolą spać w bawełnianych piżamach z kotem Garfieldem). Miała jasne loki sięgające ramion i mocno zaciskała blade usta. Ręce wystawiła przed siebie, jakby badając drogę. Jednakże najbardziej niesamowite było to, jak wędrowały jej gałki oczne pod błękitnymi żyłkami powiek. Co śniła? Gdzie śniła? Szła boso. Nie zatrzymałam jej. Zniknęła gdzieś za rogiem przecznicy. Zobaczyłam jeszcze, jak światło latarni wydobywa z prześwitu koszuli jej chudziutkie ciało siedmiolatki.

Jak widać, Big Apple powitało mnie z otwartymi ramionami starego grzesznika. Dałam się więc zaprosić na kubek krwi, ujęta jego wyrafinowaną fantazją drapieżnika.

Wieczorny, naprawdę długi spacer.

Uwielbiam spacerować, chodzić wzdłuż Central Parku, okrążyć go. Ze dwa razy zapuściłam się nawet na Dolny Manhattan, w okolice World Trade Center - jestem wytrzymała, ale wytrzymałość to nie wszystko, ledwo zdążyłam na Siedemdziesiątą Siódmą przed świtem. Niestety, wszelkie odległości po Przemianie pozostały dla mnie wciąż takie same. Świadomość, że coś się nie zmieniło, daje mi dużo radości.

Na Manhattanie, o którym mówią Wyspa Wieżowców, Wyspa Rosnąca w Górę, Wyspa Światła (brakuje tylko muzyki Handla) trafiają się noce, w które doskonale widać gwiazdy. Kosmos budzi we mnie egzystencjalne lęki, mówi mi, że i na mnie, na moją nieśmiertelność przyjdzie pora. Jednocześnie jest Zagadką i Rozwiązaniem.

Patrzę w gwiazdy i nie mogę oderwać wzroku, zahipnotyzowana jak gryzoń przez kobrę albo kot wzięty w reflektory samochodu. Z daleka oglądam migające koguty radiowozów, karetki przypominające spadające meteoryty. Mimo że jest głęboka noc, w miejscach, dokąd zawitała śmierć, zawsze znajdzie się paru gapiów.

Zwęszyli krew, choć trup wyniesiony na noszach z obrzeży Central Parku jest bezkrwisty. Z wyjątkiem paru skrzępłych plam na zgniecionej jak zepsuta dziecięca piłka czaszce. Na dodatek denat ma poderżnięte gardło.

- Odsunąć się! Czy ktoś coś widział?

W alejce obrysowano miejsce po ciele, a teraz, przy świetle policyjnego reflektora, śledczy rozprawiają nad ludzkim konturem.

Szeregowi funkcjonariusze rozciągają żółte taśmy, by zabezpieczyć miejsce zbrodni. Stoję blisko noszy, ale mój umysł, jak flesz, skacze trochę tu, trochę tam, gdzieś splata się z cudzą myślą, przeskakuje na przeziębionego gapia. Muszę się naprawdę skupić, by na dłużej skoncentrować myśli i wzrok na zamordowanym.

To „Święty Mikołaj”.

Kątem oka rejestruję jeszcze, jak zniesmaczony wizualnym gwałtem sanitariusz przykrywa stężałą twarz prześcieradłem.

Przeszłam przez tyle „istnień”. Chodzę na wspólne sesje regresingu, by przekonać się, czy znajdę kogoś, komu coś takiego też było podarowane. Na razie nikomu nie dałam wiary. Może wampiryzm ma mniej wspólnego z reinkarnacją, niż mi się wydawało?

Ale przynajmniej jestem żywym dowodem na to, że istnieję.

Oczywiście nie poddałam się hipnozie. Nie muszę, moje wspomnienia są dostępne jak na dłoni, bez zapór ze śmierci i kolejnych narodzin. Poza tym wątpię, żeby to w ogóle się udało. Wampiry mają silne umysły, niepodatne na sugestię. Można stwierdzić, że tylko my możemy sugerować. Śmieję się: z drugiej strony czemu by kiedyś nie spróbować?

Bo mogę zabić psychoterapeutkę?

Bo wymknie mi się, że mam upodobania godne smaków Hannibala Lectera?

Albo odkryją, że lubię teleturnieje?

Nie potrafię się zdecydować, co byłoby najstraszniejsze.

JULIA:

Żyjemy tylko raz; czy może po wielekroć? Czy poprzednie wcielenia nie odbijają się w naszej obecnej egzystencji niczym w lustrze? Czy możliwe, że w poszukiwaniu przyczyn naszych kłopotów, lęków i porażek musimy cofnąć się nie o lata, ale całe wieki?

Miałam pacjenta, pracowitego, przebojowego mężczyznę, który utyskiwał, że pieniądze absolutnie się go nie trzymają. W poprzednim życiu był mniszką, która złożyła

śluby ubóstwa w zakonie charakteryzującym się wyjątkowo surową regułą. Składana przysięga musiała więc być silniejsza niż śmierć!

Co mu poradziłam? Że w obecnym życiu można sobie pozwolić na więcej.

Znowu hałas, głośny brzęk. Niech go lichy!

Postawiłam papierową torbę na blacie. Były w niej butelki. Jedna z litrem mleka (prawdziwa szklana butelka, nie papierowy kartonik; wyobrażacie to sobie? Udało mi się pochwytać w Delikatesach Ekologicznych Świętego Graala.). Druga wysterylizowana i niechlujnie obłożona woreczkami lodu. Z ludzką krwią z czarnego rynku. Wiedzieliście, że coś takiego istnieje? Business is business. Sprzedają krew różnym dziwakom, jakby oddawali ją do banku krwi w szpitalu. A właściwie to nie tak - przyszły dawca przechodzi takie testy, na które ubezpieczeniowej opieki lekarskiej nie byłoby stać.

Obie butelki za sprawą Teodora leżą teraz rozbite na kuchennych kafelkach. Rzeczka krwi wpływa do rzeczki mleka, mącąc ją na różowo. Teodor w lekkim rozkroku stoi nad zmieszaną miksturą i ostrożnie chłepce.

Staram się wyglądać groźnie, ukarać go moim przeszywającym spojrzeniem, ale on jest kotem i gwizdże na to.

- Cholera! - Podnoszę go. - Uważaj, bo szkło powbija ci się w łapy.

Nie szukałam w Ameryce wrażeń, przygód, nowego życia. Chciałam ciszy i szerokiego horyzontu przed oczami, kiedy będę patrzeć przez okno.

Czy powinnam powiedzieć na sesji regresingu, że znałam Emily? Czarnooką pustelnicę z Amherst (w sumie byłyśmy tam obie, dwie smutne piękności w stanie Massachusetts)? Czy nie tego się właśnie oczekuje, i to nie tylko tu, w Ameryce? Że zwykli ludzie spotykają narodowych bohaterów? Mała Bett miała być kochanką Jeffersona. Luiza służącą u Lincolna. Amerykanki kochają swoich prezydentów. Susan twierdzi, że w poprzednim wcieleniu żyła jako Kleopatra VII, królowa Egiptu. Ma konkurencję. Większość amerykańskich gospodyń domowych, które miały możliwość oglądania filmu Mankiewicza, a jednocześnie wierzą w reinkarnację, odnajduje się w ramionach Antoniusza Roberta Burtona i marzy o starożytnym nosie Elizabeth Taylor. Nie potępiam tego, choć mnie to śmieszy; każdy chciałby być piękny, sławny i bogaty. Mądry niekoniecznie. Za twoją mądrość w USA pracują psychoanalitycy i prawnicy. Emily była mądra, a chciała być sławna - częsty konflikt, aczkolwiek niedorzeczny.

Ja marzę o tym, żeby wtopić się w tłum, stać się niewidzialną.

Nie wiem, czy przemawia przeze mnie godna pochwały cnota, czy atawistyczne zachowanie drapieżnika, którym jednak jestem. Nie jestem człowiekiem. Czym jest ludzka sława wobec mojej nieśmiertelności?

(566)

Konający tygrys jęczał - pić - Przemierzyłam piaski w pogoni - Ściekające ze skały krople Zebrałam - przyniosłam w dłoni - Potężne gałki zamgłiła śmierć - Lecz szukały - i mogłam dostrzec Na siatkówce obrazy wody I mnie - która ją niosę - Nie ja zawiniłam - zbyt wolno śpiesząc - I nie on zawinił - że padł martwy - Kiedy byłam od niego o krok - Ale nie żył - i to było faktem - Tak, byłam tygrysem wielkiej amerykańskiej poetki, tym większej, że niedocenionej za życia. Karmiła mnie, a ja zamykałam ją w ramionach jak te wszystkie Kleopatry z różowymi lokówkami swego Antoniusza. Kiedy Emily umarła, postanowiłam się wynieść z okolic Amherest. Pojechałam do Bostonu. Później do Filadelfii, Waszyngtonu, Nowego Orleanu (z małą przerwą na końcówkę drugiej wojny światowej, którą spędziłam w Europie). Nie było tego wcale tak wiele, a ja z pustelnicy przemieniłam się w ograniczoną turystkę. Śmierć Emily Dickinson obeszła mnie więcej, niż byłam skłonna przypuszczać. Z kotami, które odchodzą (płaczę, płaczę, płaczę) sprawa jest o tyle prostsza, że kot rodzi się i pozostaje kotem.

A w tym wypadku? Czy możliwe byłoby istnienie „Emily 27”?

Odważyłam się i przeniosłam do Nowego Jorku. To miasto przypomina mi najbardziej mój rodzinny Konstantynopol. Gwarne, przeludnione, wielkie, z zabudową pełną pomniejszych krain: Manhattan, Brooklyn, Bronx, Queens, Staten Island. Nowojorczycy to zupełnie odmienna rasa, tak jak byliśmy nią my, Grecy z Konstantynopola. Z wiekiem mój mózg zmienia się, ale zamiast wariować, przepoczwarzam się w coś doskonalszego, zaczynam słyszeć myśli, potrafię wejść w ludzki umysł, zakładam, że potrafię go zmienić, tylko nie chcę. Nowy Jork, najbardziej myślące miasto świata. Znów niczym średniowieczny Konstantynopol, gdzie wszelkie idee wykrzykiwano na każdym rogu. Lubię się w nie zanurzać i jak przystało na niedoszłą cesarzową, najbardziej odpowiadają mi te z Piątej Alei.

Moje myśli milczą. Umilkły. Nie krzyczą: ile, za ile, szybciej!

Myśli i ludzie nie chcą umierać, mają bzika na punkcie śmierci.

Jam jest śmiercią; Powstań, Łazarzu, Wśród nocnej ciszy. Zostało parę dni do Sylwestra. Stary rok odchodzi, przychodzi nowy... Le roi est mort, vive le roi!. Wigilia to upamiętnienie starożytnego święta Boga Słońca, który tej najdłuższej nocy, odradzając się, wygrywa walkę z zasnuwającą świat Ciemnością.

Ludzie wydają ostatnie tchnienia i stają się właśnie nią, Kostuchą-Ciemnością. O wampirach mówią, że to chodzące śmierci, a my nie jesteśmy ani chodzącą śmiercią, ani chodzącym życiem. W sumie brak nam tożsamości; zupełnie inaczej niż outsiderom amerykańskiej literatury. Kocham cię, Ameryko!

Jesteśmy niewygodni. Prześlizgnęliśmy się obok śmierci, a jesteśmy nią napiętnowani. Zostawiła na nas taki ślad, że w naszej obecności każdy zapomina o życiu.

- A ty, Irene, kim byłaś?

- Urodziłam się w średniowiecznym Konstantynopolu i przeznaczona byłam na bazyliśkę, cesarzową Bizancjum. Cesarz jednak zerwał kontrakt ślubny. Długo nie byłam fizycznie dojrzała do małżeństwa, a on szybko potrzebował potomka, dziedzica. Byliśmy wtedy w stanie wojny z sułtanem Mahmedem, emirem Turków, który w końcu oblężeniem odciął Konstantynopol od reszty świata. Miałam na imię Irena. Byłam dziewczyną z oblężonego miasta. Mój ojciec był megaduksiem, wodzem, żołnierzem, kapitanem: w najlepszych czasach dowodził pięcioma cesarskimi dromonami, potężnymi okrętami wojennymi. W wyniku spisku politycznego został odsunięty od władzy. Przejął ją najemnik, genueńczyk Giovanni. Kochałam Giovanniego, ale on wykorzystał mnie i próbował jedynie zgwałcić. Zresztą zgwałcono mnie ostatniej nocy oblężenia; tak poznałam mężczyzn. Miałam piętnaście lat. Moja matka, Serbka, opuściła ojca i w ostatniej chwili umknęła na wyspę Moreę. Porzuciła mnie, mojego brata bliźniaka Teodora i drugiego braciszka, pięcioletniego Teodozjusza. Ojciec wziął więc sobie kochankę Marę, branke, która sprowadziła zagładę na nasz dom. Była zaginioną rodzicielką Mahmeda, Pana Słońca.

Nie wiem, co się z nią stało, kiedy przełamano obronę miasta.

Megaduks zginął na murach z Teodorem. Teodozjusza znaleziono zatłuczonego. Ja chciałam żyć, dostać się na jakiś statek. Zabito mnie w porcie. Był maj 1453 roku.

Tyle mogę im opowiedzieć. Nic o „Czarnym Darze”. Nic o wampiryzmie Mary i Teodozjusza. Nic więcej o mojej matce.

Słuchały z otwartymi ustami, a teraz szybko je pozamykały, żebym nie zobaczyła, jakie wrażenie zrobiła na nich moja historia.

Żadna się nie przyzna, że to była najlepsza opowieść.

- Irene, jakie uczucia czy odczucia przyniosłaś ze sobą do dzisiejszego życia z przeszłej egzystencji w Konstantynopolu? - Julia zaczyna pocierać suche ręce, rodzi się potworny, cierpki dźwięk.

- Nie lubię genueńczyków.

Śmiechy, ale już życzliwe. Wydaje im się, że rozładowałam atmosferę.

Niedoczekanie: potrafię być podła.

- Domyślałam się tego. Ale czy jest coś jeszcze?

Udaję, że zaczynam głęboko, ciężko oddychać (wyćwiczyłam sobie mięśnie szkieletowe). Splatam palce jak do modlitwy, chowam w nich usta.

Raptem prostuję się i mówię:

- Nie lubię ludzi.

Cisza. Kobitki (czemu przychodzą tu same kobitki?) próbują dojść do siebie, bo jak można ich nie lubić? Podnoszę się i wychodzę. Płaszcz zdjęty z wieszaka wkładam przed gmachem. Właściwie po co mi to było?

Broda zalana krwią zakrzepła na kształt współczesnej rzeźby. Krew przykleiła też kolejne warstwy ubrania do zapadniętego, posiniaczonego torsu.

Jak wygląda śnieg?

Zamordowano kolejnego kloszarda, ale minie trochę czasu, nim zachłysną się tym gazety.

(Oblężony Konstantynopol, 1453)

Oprawczyni odwraca się ku mnie: widzę gorejące czarnym ogniem oczy, rozdęte nozdrza. Widzę usta i zęby... Nie, kły. Kły, które rozchylają jej czerwone, rozkoszne wargi, spijające co wieczór siły mego ojca.

- Wapierz... - mamroczę.

- I co? - Podnoszę się z głębokiego fotela.

Kolana ostatni raz przy brodzie. Oczy mnie pieką.

Julia podchodzi do ciemnego okna, w którym jak w lustrze odbija się jej zapadnięta twarz. Julia ma anoreksję, z którą nie chce się pogodzić i której nie próbuje zaleczyć. Jarzeniówki trzeszczą pod sufitem.

- Nic - mówi. - Nic nie powiedziałaś.

- Nie weszłam w trans? - Jakoś mnie to nie dziwi.

- Nie bardzo - mamrocze.

Przypała papierosa, wychudzone dłonie drżą jak u kogoś, kto przed chwilą wyszedł cudem z katastrofy kolejowej.

- Boże, ale musi ci być zimno - wrywa mi się, kiedy pomyślę o jej szkieletowym, pozbawionym grama tłuszczu ciele.

- Co? - kaszle.

- Nie powinniśmy o tym porozmawiać? O sesji?

- Nie było żadnej sesji! - mówi twardo. I dodaje: - Irene, chciałabym zostać sama.

Boso przechodzę do korytarza po płaszcz, indywidualne sesje regresingu zawsze odbywają się w domu psychoterapeuty. O mieszkaniu Julii nic nie da się powiedzieć. Nie jest nijakie, raczej jakby należało do nikogo. Właśnie tak.

- Może powtórzmy sesję w przyszłym tygodniu?

- Może.

Chce już zamknąć za mną drzwi. Na klamce wisi świąteczna maskotka renifera. A więc jednak?

- Irene, naprawdę myślałam, że jesteś Kanadyjką. - To czyste stwierdzenie, nie pytanie.

Kim jestem?

- Podziwiam twoją wcześniejszą terapeutkę.

Nasze oczy się spotykają. Z papierosa Julii popiół opada jak śnieg i tworzy dziwny, jakby niepodlegający prawom grawitacji kopczyk.

- Ach tak.

Wychodzę na klatkę schodową. Za plecami słyszę trzask zamykanej zasuw.

Brakuje mi snów. Sny... Co za niepowetowana strata. Ale czy to nie sny świadczą o człowieczeństwie? Ja nie śnię nawet na jawie.

Pustka. Bezsensowność, przy której tylko wampiry nie wariują. Kiedy przychodzi mój czas, gdy moje znużenie osiąga apogeum, znajduję sobie cichy punkt, pólsiedzę i czekam, aż to zdenerwowanie, ta depresja nadmiaru rzeczywistości minie i znowu poczuję się jak nowo narodzona.

Taki stan utrzymuje się zwykle tyle, ile u zdrowego, dorosłego człowieka trwa sen. Ale jaki jest jałowy, nie ma w nim sennych kochanków, krajobrazów z dzieciństwa, trawy, której zapach pamiętasz i w której możesz odpocząć. Żadnych wizyt ukochanych zmarłych. Nic. Ciężka strata, nie do wybaczenia, nie do otrząśnięcia.

Mój duch na zawsze pozostanie uwięziony w ciele.

Obserwuję za to Teodora, kiedy śni. Jak stroszy wąsy, jak drgają jego małe łapki, kiedy gdzieś w kocich marzeniach goni mysz.

Moje ciało pamięta sen. Tak jak i pamięta krew Emily. Przeszłość.

Kropka. Sen jest krwią. Krwią o bogatym bukiecie, jak wino. Energia, nadzieja i podniecenie. Kiedy otrząsam się ze znużenia, mój umysł jest niezborny. W wędrówce po nim pomagają mi pewne książki, wspierają pewne wspomnienia. Jak nieudany seans wywoływania duchów - żaden duszek się nie pojawił, żaden nie zastukał.

Emily mawiała, że pokazałam jej wolność, jej, starej panie zamkniętej w ogrodzie domu ojca, srogiego sędziego. Wybierałyśmy się na oglądanie ciem zamiast motyli. Ale Emily myliła się. Było całkiem odwrotnie, oderwałam ją od zdrowego snu, bo byłam zazdrosna. Mój świat nie mógł równać się z jej światem geniusza.

Umarła, nie zorientowawszy się. Jestem Panią Kłamstwa.

Moją nogę przeszywa impuls elektryczny, trzęsie jak udkiem zaby w szkolnej pracowni fizyki. To znak, że dochodzę do siebie.

Koniec z szarym szumem w głowie. Teodor ziewa.

Emily pisze. Nachylam się nad jej białą szyją, a ona odwraca głowę.

W czarnych oczach odbija się płomień świecy.

- Ach, to ty. To musiałas być ty. Pozwól, że coś ci przeczytam... To będzie dla ciebie, Irene.

JOE: Może to być najwspanialsza praca na świecie, może też być najgorsza. Niczego nie da się porównać z ratowaniem życia. To praca, która wciąga jak narkotyk, dzięki niej ciągle jestem na haju. Widziałem, jak umierali ludzie, byłem świadkiem wielu tragedii, a tego nie da się wymazać z pamięci. (Joe Connelly jest sanitariuszem nocnej zmiany nowojorskiego pogotowia).

(Oblężony Konstantynopol, 1453)

Coś w spojrzeniu Mary mówi mi, że wychowała już dziecko. Teodozjusz jest zawieszony dobre cztery metry nad ziemią - wygląda, jakby stapał po granatowym niebie.

Wąpierz obserwuje go z zadowoleniem.

- Matka mówiła, że aby latać, zamieniacie się w nietoperze.

- W nietoperze?!

Stoję za nią i mówię tak cicho, aby nikt nas nie usłyszał:

- Czy naprawdę nigdy nie umieracie?

- Nigdy? - Nawet nie domyślam się wyrazu jej twarzy. - No przecież ja umarłam, nawet dawno temu. Przed wieloma laty.

- Zabili cię?

- Któż chciałby mnie zabijać! Umarłam, rodząc dziecko. Ono oczywiście przeżyło. A ja... chciałam mieć je na oku.

Musiał się wyczołgać ze stacji metra, jest zbyt lekko ubrany i śmierdzi smarem. Oczy ma obwiedzione krwawym konturem, razi go światło latarni, pod którą umiera. Ulgę przyniósłby mu mój cień. Ale po co ulga? Czy cierpienie nie jest dowodem na to, że jeszcze żyje? Coś próbuje belkotać; jestem pełna podziwu, jak kloszardowi się to udaje z tak rozharatany gardłem. Rozoranym, jakby ktoś ciął nożem, nie mógł trafić, odrywał rękę i znowu chlastał...

Przykucam, ślinię palec i wcieram w różową smugę krwawy odcisk wąskiego palca.

- Grrr...

Pochyliłam się nad umierającym. Jego pięty tańczą na chodniku. Jest w sandałach, już wcześniej musiał odmrozić sobie wszystkie paluchy.

- Mamo... - Wreszcie rozpoznaję, kogo wzywa kloszard.

Kręcę głową.

Jego czy raptem uciekają w głąb czaszki. Białka matowieją, przestają odbijać światło latarni. Łza lśni na grzbiecie nosa. Wypadła z prawego czy z lewego oka? Kto zgadnie, temu spełni się życzenie.

Podnoszę się z kucek.

W nowojorskim metrze koczuje pięć tysięcy bezdomnych i każdy miał matkę.

Kitty zaciska usta. Są wąskie, więc teraz jakby w ogóle znikły z jej twarzy. Nie zdaje sobie sprawy, że jej blade palce drapią oparcie krzesła.

Powoli wraca.

- Mój mąż umarł, a ja mam urodzić pogrobowca. Nie jestem biedną wdową, w dodatku opiekuje się mną rodzina Henryka, ale wszystko to za mało. Za mało! Mieszkam w Amsterdamie w czasach, kiedy największą walutą jest cebulka tulipana, w czasach, kiedy buduje się domy z wysokimi, stromymi schodami. We Francji panuje Ludwik XIV - mówi jakby mimochodem i wbija we mnie wzrok.

Szczeka mi drętwieje; ale to nic, nic, Kitty jest córką francuskich emigrantów i tak naprawdę nazywa się Monique. Nie znosi tego imienia, nie znosi dziadka, który ma stragan w Lyonie, mieście za siedmioma górami, za siedmioma rzekami. Monique do wszystkiego przydaje miarę francuską.

- Jestem nieszczęśliwa, jakbym tonęła w nieszczęściu. I jeszcze ten strach. Wiecie, czego się boję? Boję się, że nauczę się żyć bez Henryka, a przecież kiedy za niego wychodziłam, wydał mi się nikim. Nikt. Nie pamiętam już nawet, jak wyglądał. Umarł na skręt kiszek, miał lat dwadzieścia i pół. Brzuch, który noszę, sterczy przede mną i działa jak flaga... Nie, nie to chciałam powiedzieć, ale zrozumiałyście. Kiedy dziecko się urodzi, wszystko się skończy, a nie zacznie. Tylko matka Henryka może wygadywać, że te urodziny to nowy początek dla jej syna. Kiedy dziecko zapłacze, przepłoszy ducha. Ja będę musiała zająć się niemowlęciem. Z biegiem lat coraz rzadziej będę chodzić na cmentarz. Może nawet wyjdę po raz drugi za mąż? To okropne. Czuję się niegodziwa. O wielkości straty mówi tylko rozpacz; a jeśli rozpacz umyka, to strata przestaje być stratą.

Stoję na szczycie schodów, podest jest wąski, ocieram się napiętymi plecami o drzwi składziku. I nagle hop, skaczę w dół jak poławiacz pereł... Ciężki brzuch uderza o krawędź stopnia, spadam na złamanie karku, a brzuch odbija się od kolejnych schodów jak piłka. Ból i białe światło pod zaciśniętymi powiekami. Boże, ja nie chcę jedynie stracić dziecka, chcę się zabić. Ciemność... Korytarz stał się moim kościołem.

Milczymy, a Rebeka blednie. Właśnie dowiedziała się, że jest w ciąży.

- I? - Julia podnosi się z krzesła.

Kitty przełyka głośno ślinę.

- Myślę, że powinnyście wiedzieć, że ja nie mogę mieć dzieci. Bardzo się staramy z Kevinem, ale nam to nie wychodzi.

Chrząknięcia.

- I? - Julia nachyla się nad Kitty.

- Myślę, że to dzieje się przez tamtą historię. Taka karma.

Chrząknięcia jeszcze głośniejsze niż poprzednio. W Nowym Jorku łatwiej uwierzyć w UFO niż w to, że będziemy płacić za grzechy. Grzechy swoje i przodków. Ja w karmiczną sprawiedliwość nie wierzę. Dla mnie istnieje tylko chaos.

- A ty, Julio? Dlaczego nigdy nie opowiedziałś o swoich doznaniach z poprzednich wcieleń? - pyta nagle Kitty.

Doszła już do siebie po tej spowiedzi i nie jest już tak upiornie blada. To nasza owieczka. Prawie widzę, jak srebrny błysk przeskoczył między ścianami.

Julia nabiera powietrza.

- Oczywiście, że wam nie powiem, do cholery. Jestem waszą psychoterapeutką, a nie koleżanką!

- O rany - mówi Rebeka. - Takiej reakcji spodziewałam się raczej po Irene.

- Dziękuję bardzo. - Kłaniam się jej nisko.

To smutne, ale nie potrafię przypomnieć sobie ich twarzy; co nie oznacza, że przychodzą do mnie jako bezkrwiste widma. Nie - każdą częścią swego ciała, umysłu wyczuwam ich. Jakby stali się przyjazną mocą, energią, najlepszą emocją, jaką mi ofiarowali przed katastrofą. Nadal mi dużo ofiarowują.

Noszę ich ze sobą.

Ojciec.

Matka.

Mały Teodozjusz.

Brat bliźniak Teodor.

Nawet ona, kochanka mojego ojca, wampirzyca Mara.

Najsilniejsze wspomnienia zwykle przychodzą przed świętami. Te bardziej melancholijne przed Bożym Narodzeniem, przed Nowym Rokiem zaś - te najmocniejsze. Kto by pomyślał... Zwykle staram się zajmować terażniejszością - a przynajmniej tak się łudzę - pomimo sesji regresingu, sentymentalnych lektur i Teodora Dwudziestego Siódmego.

Tęsknię za nimi. Wciąż i wciąż.

Jestem piętnastoletnią dziewczynką skrzywdzoną przez wojnę.

Jestem samotna, ale nie staram się tego zmienić, bo samotność jest nieuniknionym następstwem, a moja egzystencja tę stratę determinuje.

W amerykańskiej krainie baśni Boże Narodzenie trwa tylko dwa dni. Prezenty spod choinki można „po wszystkim” oddać do sklepu.

Obserwuję Mikołaja z logo na plecach, jakby był długopisem reklamowym jakiejś firmy; roziskrzone twarze dzieci odbijające się w sklepowych bombkach, ten stan monotonnej wrzawy, jaką powodują świąteczne zakupy ze sklepowymi promocjami. Wszystko w pewnym stopniu wnika we mnie, przebija na chwilę pancierz codziennego pragmatyzmu właśnie i powoduje, że powraca od dawna nieprzeżywana chęć na... piernik? Na świeże, zielone oliwki?

I na ulotną chwilę wspomnienie smaku oliwek staje się silniejsze od widmowego smaku krwi.

Zniknął Teodor! Jeszcze wczoraj czułam jego oddech na swoich palcach, a dzisiaj starego kocura po prostu nie ma. Jakby wyparował.

To straszne.

Musiał mnie przechytryć i szmyrgnąć pod nogami, kiedy otwierałam drzwi na mroczny korytarz. Nie wiedziałam, że coś żywego jest zdolne to zrobić. Boję się o niego. Boję się, kiedy myślę o Wielkiej Wędrówce Teodora. Pewnie zaswędziały go te ocalone jadra i zniknął skuszony podniecającym zapachem kociej pani.

Chciałabym się pomodlić, żeby Teodor odnalazł drogę do domu, a jeśli nawet nie, to żeby moje rude dzieciątko przetrwało w złym świecie, ale nie mam do kogo. Jedyne, co mi daje nadzieję, to śmieci. Manhattan, nawet za panowania Rudolpha Giulianiego, to wyspa rozwleczonych kubłów i wyrzucanych na wiatr odpadków z restauracji.

Proszę, och, proszę...

(OBLEŻONY KONSTANTYNOPOL, 1453)

Chyba ostatni raz w życiu odnajduję w sobie tyle siły. Wyciągam ramiona i rzucam się w wodę. Słyszę krzyk, pewnie teraz mnie zauważono. Budzę w sobie dzikość. W szalonym jak na mnie tempie prują fale. Jestem lekka, jestem wolna, jestem w euforii. Nawet celnie wystrzelony bełt, który przeszywa mi plecy i wtrąca pod wodę, nie jest w stanie zabić tych obudzonych nadziei.

Niestychanie powoli i spokojnie wypływam na powierzchnię - sięgają po mnie jej cudowne, bezpieczne ramiona...

Nie uratowałam go. Nie jestem aniołem stróżem.

Czekałam, aż drżącą ręką poderżnie mu gardło.

- Julia... - powiedziałam tylko.

Chuda, biała ręka. Para buchająca z ust. Błysk noża zgaszony pierwszą krwią. Góra, dół, góra, dół. Krzyk grzęźnie w gardle, zmienia się w upiorne bulgotanie.

Julia odtrąca broniące się ręce: skąd ma tyle siły w tym swoim zagłodzonym ciele?

Kloszard obraca się jak postać z horrorów. Kolos na glinianych nogach, Afroamerykanin z wielką twarzą, dwa metry wzrostu, urodzony wręcz do NBA.

Zabił go brak szalika i wiara we własną krzepę.

-Julia! - wołam, a on wali się jak długi w śnieg.

Obraca się w moją stronę.

- To ty. To musiałaś być ty.

- Julia - powtarzam.

I rozkładałam ramiona, by mogła się w nie wtulić. Taka zakrwawiona, o malutkich, drżących rękach dziecka.

- Wiesz, dlaczego to robię?

- Z powodu poprzedniego życia?

Kiwa głową, osuwa się na kolana.

- Umarłam jako mała dziewczynka. Mała dziewczynka, której głowa pełna była snów i marzeń. Mała dziewczynka, która lunatykowała. Mieszkaliśmy całkiem niedaleko stąd. Wojna dopiero co się skończyła, a ojciec lekarz wrócił zdrowy i cały. Matka nie posiadała się z radości. Mogła mieć z dwadzieścia pięć lat. a ojciec był jej rówieśnikiem, wychowywali się razem. Ja miałam siedem. Tamtej nocy poszli na koncert, trzymając się za ręce. Zostawili ze mną służącą, starą babę, która śmierdziała tanim bourbonem (czy tego nie czuli?) i której rosły włosy na brodzie, przez co wyglądała jak Baba Jaga. Zamiast mnie pilnować, usnęła. Wszyscy wiedzieli, że lunatykuje.

„Rosy, kochanie, to przejdzie z pierwszą miesiączką”. Coś się kończy, coś się zaczyna. Tak, miałam na imię Rosy i złote włosy do ramion jak księżniczka. Nie wiem, jak udało mi się pokonać zamki, przemknąć obok portiera. Dlaczego nikt mnie nie zatrzymał? Obudziłam się w Central Parku, bosa, alejki były już nagrzane od słońca.

„Mamo, tato?”

Jaka ładna dziewczynka. Jaka ładna laleczka”.

Muśnięto moje włosy i poczułam kwaśny smród, gorszy nawet od alkoholowego oddechu służącej. Mężczyźni, cała trójka, byli bezdomni. I byli pijani. Ja jednak czułam, że całkiem świadomie chcą mi zrobić krzywdę. I zrobili. Ich cienie nade mną, ich ciała nade mną... Ostatniego ugryzłam w palec, więc skręcił mi kark, jak ukręca się szyję gęsi. Nim odeszłam w ciemność, oglądałam ich z góry. Ich i siebie: biedną, małą Rosy, która wyglądała jak zepsuta lalka. Musiałam być wszystkim, czego nienawidzili. Za gwałt i za morderstwo dostaliby oczywiście krzesło elektryczne, ale nikt nigdy ich nie złapał. Otrzeпали kolana i odeszli.

Już jako Julia sprawdziłam mikrofilmy z tamtego okresu. I nic.

Pochowana i oplakana; matka była w kolejnej ciąży. Ojca wyjałowiła z rozpacznej wojny. Chciał żyć, ponad wszystko, ponad mnie. Nie naciskali, kiedy śledztwo utknęło w martwym punkcie. Śledztwo od początku źle prowadzone. Następnego dnia wydarzyła się rzecz, która była ważniejsza od poszukiwania morderców Rosy. 28 lipca 1945 roku o Empire State Building rozbił się bombowiec B-25.

Czternaście ofiar śmiertelnych, dwudziestu sześciu rannych. Była sobota, a pułkownik William Smith leciał na pułapie dwa razy niższym niż dopuszczalny.

Milczę.

- Kiedyś - kiedy byłam już umarła, a nie byłam jeszcze Julią - zdawało mi się, że widzę rodziców. Poszłam za nimi. Byli starzy, ale śmiali się.

Cisza.

- Wiesz, co wniosłam z tamtej egzystencji do dzisiejszego życia? Że sprawiedliwość karmiczna nie istnieje. A ja chciałam, żeby było inaczej.

Zaczyna płakać.

- Chodźmy stąd, nim ktoś nas zobaczy. - Biorę ją za rękę.

- Zadzwoń na policję. Poczekam...

- To nie jest zbyt dobry pomysł, nie sądzisz?

- Ja już i tak nie potrafię z tym żyć.

Wiem, myślę sobie. Wszystko wiem, Julio.

Przytulam swoje ciepłe czoło do jej spoconego i zimnego, by łatwiej przeniknąć, szybciej znaleźć się w środku. Otwieram po kolei wszystkie pokoje wspomnień, ale w żadnym z nich nie ma ani nigdy nie było Rosy.

Julia traci przytomność.

Zanoszę ją do domu. Obmywam z krwi i kładę do łóżka. Zdejmuję pluszowego renifera z klamki i wciskam w poduszkę obok głowy Julii, która mamrocze coś i odpycha zabawkę. Trudno, nie mam teraz czasu być niańką.

Kłoszarda topię pod lodem jeziora w Central Parku.

Jestem znużona.

(OBŁĘŻONY KONSTANTYNOPOL, 1453)

Jak już nadmieniłam, mam dwóch braci. Młodszemu, Teodozjuszowi, wyraźnie brakuje matki. Kiedy na niego patrzę, wciąż widzę ogromne, wilgotne jak u cielaka oczy. Teodozjusz ma pięć lat i niezbyt wiele rozumie. Co innego ten drugi. Sama walczę z obłądem swojego bliźniaka.

Choroba Teodora, mojego prześlicznego Teodora, przyszła tak niedawno. Rozkład, jaki poczyniła w jego głowie, przekonuje mnie, iż kryła się od dawna. Może od zawsze.

- Zrób coś! Zrób! - Dopada mnie ze swym szaleństwem.

Milczę.

- Nie potrafię! Nie umiem się jej przeciwstawić! - Zamyka czaszkę w dłoniach i naciska. Naciska tak silnie, że boje się, iż ją zgruchocze.

- Módl się. Stał się miejsce cud. Matka Boża jest pośród nas. Ona cię wysłucha.

Nie słyszy mnie.

- To wiedźma! Wiedźma! - Zanosi się urywanym szlochem.

- Nie - mówię. - Nie, Teodorze. Ona nie jest wiedźmą. To Zło. Ojciec przywiózł zło do naszego domu.

Klub „Dracula” powstał tuż po premierze filmu nowojorczyka Francisa Forda Coppoli o tym samym tytule. I trzymał się. Można rzec, że podtrzymywała go świeża krew, która wciąż się tam dostarczała na własnych nogach. Też tam chodziłam i myślę, że z czystej przekory chodziłyby tam wszystkie wampiry z Nowego Jorku.

W zasadzie sylwester - z wyjątkiem tych dziwacznych republikańskich balów - jest świętem ludzi młodych. Starzy siedzą i oglądają telewizję. Specjalnie też dla młodych wcześniej się zaczyna.

Pierwsi są studenci. Już uporali się ze świątecznymi odwiedzinami u bliższej i dalszej rodziny, a zimowa przerwa edukacyjna wciąż trwa - żyć nie umierać! Albo „żyj szybko, umrzyj młodo, zostaw piękne zwłoki”.

Moje piękne ciała i świeże krwiobiegi.

Przy barze siedzi atrakcyjny młody mężczyzna. Skórę ma bladą, jest jasnym szatynem. Pije coś, a głowa chodzi mu prawie jak u sowy. Do tego cały drży z mistycznego oczekiwania. Cały otwarty na nową przygodę, włożył nowe spodnie i założył się, że ma slipki Calvina Kleina.

Stworzyłam własną teorię dotyczącą ludzi siedzących przy barze, w większości to gadatliwi łotrzykowie ze skłonnościami do neurozy. Interesujące raczej dla piętnastolatek, ale czy ja na swój sposób nie mam piętnastu lat? Postanowiłam uczynić z tego szatyna wybrańca i oblubieńca.

Oczy ma już nieźle zamglone, ale potrafi ręką wpić się w moje udo i jednocześnie nie spaść z barowego stolka.

- O bogini.

Ścisła mocniej, a potem zaczyna głaskać. Przytrzymuję jego chłodne, młode palce.

- Jutro.

Przekrzywia głowę jak psiak, któremu coś wpadło do ucha.

- I od razu na trzy dni.

- Nie bardzo panią rozumiem?

Jestem jego prywatną kusicielką, jego europejskim Mefistofeilesem.

- Niestety, nie powtórzę. Aha, i nikt nie może wiedzieć.

- Trzydniowa... randka? - Układa klocki po swojemu.

- Nazwij to Gra.

- Ach tak. - Patrzy na mnie uważniej. - Jesteś stuknięta?

Śmieję się.

- Hej, przepraszam! To jednak dość zaskakująca propozycja. - Język ma gładki, wypieszczony na uniwersytecie. - Trzeciego dnia będzie noc sylwestrowa - zauważa nagle błyskotliwie.

- Mówiłam, że to Gra.

- Miałem go spędzić z przyjaciółmi.

- Z dziewczyną?

Krzywi się.

- Moja babka kazała mi unikać takich kobiet jak pani. Kobiet ze złego snu.

- A kim była ta mądra kobieta, jeśli wolno spytać?

- Znaną malarką. Jej prace wiszą w Museum of Modern Art.

Przysięgłabym, że barman próbuje nas podsłuchiwać (pewnie myśli, że sprzedaje narkotyki), ale niemożliwe, żeby mu się udało.

Nachylam się ku chłopakowi i szepczę mu truciznę wprost do ucha.

W tle dudni głośna muzyka, której w ogóle nie znam i nie potrafię jej sklasyfikować ani po wokaliście, ani po gatunku.

- Jutro o tej samej porze, tutaj. - Wydaje mu się, że to jego propozycja.

- Dobrze - zgadzam się i gdybym nie była bladolicym wampirem, spłonęłabym rumieńcem.

- Świetnie. A teraz? Czego się napijesz?

- Muszę już iść. - Europejski Mefistofeles zamienia się w europejskiego Kopciuszka.

- Hej, jak masz na imię? Ja jestem Paul.

- Irene.

Znikam. To mój pierwszy sylwester w Nowym Jorku i spędzę go w domu. Telewizor zepsuł mi się na amen jeszcze podczas przeprowadzki, a nie zadbałam o kupno nowego. Nijak nie obejrzę świetlistej kuli, zrzucanej o północy z wieżowca „New York Timesa” na Times Square. Niezmiennie od 1904 roku...

Ufam chłopakowi. Ufam jego młodości, to wiek z tendencją do zakazanych przygód, o utopijnej hardości. Do tego dochodzi stricte amerykańska wiara w Dobrą Gwiazdę, całymi pokoleniami gorąco krzewiona przez WASP-ów, do jakich niewątpliwie należy Paul. White Anglo-Saxon Protestant z dobrego domu.

W całonocnym supermarkecie robię zakupy niezbędne na przyjęcie w moim domu człowieka. Na kuchennym blacie układam krakersy, masło orzechowe, puszkę czerwonej fasoli, puszkę ananasa, pakowany próżniowo bekon, próżniowy chleb, chipsy i cukierki, trzy sześciopaki piwa, szampana, ręczniki papierowe i papier toaletowy - dwie rolki oraz paczkę prezerwatyw. Nie kupiłam sztucznych ogni.

Moja ręka drży, kiedy na samym dnie papierowej torby znajduje puszkę tuńczyka. Marzę o tym, żeby Teodor wpadł teraz na bufet i rozrzucił na boki tę całą masę cholesterolowego gówna, ale nic takiego oczywiście się nie dzieje.

„Czas na Grę” - mówi mi kuchenny zegar: „Ząbek czy kielek?”.

Paul czeka na mnie przy barze. Gestem daję mu znać, że od razu wychodzimy. Co? Już? Nie wygląda na zachwyconego. Z jednej strony chciałby mnie mieć, z drugiej dobrze się tu bawi. Te wszystkie kolorowe drinki, kolorowe światła, kolorowe dziewczyny. Paul należy do pokolenia, które zawsze pragnie zjeść omlet, nie rozbijając jajek.

- Myślałem, że tu jeszcze trochę zostaniemy.

- Nie.

- Proszę, Irene? - Uśmiech ma weselszy od bąbelków szampana.

- Idziesz?

- No tak, oczywiście...

Wychodzimy na zaśnieżone ulice, jedynie uliczny asfalt lśni od wody, ale płatki śniegu wciąż padają i nie chcą dać za wygraną.

Paul próbuje mnie pocałować, lecz go odpycham.

- Jednak jesteś szurnięta, wiesz? - mówi.

- I to cię bierze.

Śmiejemy się jak dzieci na lodowisku.

- Nikomu nie mówiłeś?

- Skąd - zarzeka się.

Jasne, jedynie mamusi i trójce najbliższych kumpli, dla których jestem panią Robinson z Absolwenta.

- Hej, gdzie ty zniknęłaś?!

Stałam się mgłą.

- Idź za moim głosem, to cię zaprowadzę.

- Słyszę cię, a nie widzę. Niezła sztuczka. Czy nie lepiej zawiązać mi oczy i wziąć za rękę?

- Naprawdę wolałbyś?

- Mmm, delikatna aksamitka ocierająca się o czoło i grzbiet nosa. Twoja lekko spocona dłoń w mojej... A to całe nawoływanie jest takie bezhumanoidalne!

Milczę i idziemy, idziemy, idziemy.

- Hej, możemy wejść gdzieś na chwilę? Trochę wypilem, a tu jest za zimno, żeby zaryzykować wyjęcie ptaka.

- Jeszcze przecznica i będziemy w domu - mówię.

Wchodzimy do mieszkania, a pęcherz Paula wydaje się mocniejszy, niż mi sugerowano, albo Paul ma jeszcze na tyle duży kredyt czasu, żeby od razu przycisnąć mnie do ściany i całować. Znacznie dłużej, niż przewidywał kodeks Williama Haysa.

- Zmarzełeś?

- Ty jesteś gorąca jak piec.

Odpycham go delikatnie.

- Łazienka jest za tamtymi drzwiami.

Odrywa się, ale wraca, by pocałować moje czoło, jakbym była tym, kim nie jestem. Za kogo on mnie bierze?

- Musisz być bardzo samotna - szepcze współczująco.

Cholera, odwykłam od miłości i jestem wstydliva. Mam koc podciągnięty pod szyję, dla pewności dociskam go spiczastym podbródkiem. Inna sprawa z Paulem, siedzi po turecku, nagi, swobodny i rozgląda się. Znam już te dziwne gesty, jakby nie potrafił wędrować oczami, a musiał całą głową. Paula intrygują Marchewki Tamary Łempickiej wiszące nad łóżkiem. Mówi, że są śmieszne, że nie pasują do mnie. A co niby miałyby pasować? Mona Lisa? Uśmiecham się na samą myśl.

- Nie chciałaś mieć oryginału?

Wie, że patrzy na reprodukcję. Marchewki ułożone w prostokątnym wiklinowym koszyku. Bardzo marchewkowe.

- Nie.

- Dlaczego?

- To za długa historia.

- Opowiedz mi. Mam czas.

- Nie.

Zachmurza się i nieruchomieje. Jakiś freudysta mógłby napisać, że przypominam Paulowi matkę. Staram się nie parsknąć śmiechem.

Pochyla się i rozkazuje:

- Pocałuj mnie.

Jak dobrze czasem nie być samą.

- Niewinne marchewki, niewinne jak ty... - Paul zaczyna mnie łaskotać.

Syknełam, ale staram się za bardzo nie szamotać. Jestem bardzo silna, syberyjska tygrysica to przy mnie niedołączny kocur. Wystarczyłby jeden nieodpowiedzialny ruch...

Na szczęście Paul przestaje. Przybiera pozę myśliciela. Dobry w tym jest.

- Nie sądziłem, że są takie... apetyczne.

Już go nie słucham. Za to on nieustannie chce słuchać mnie!

Ciekawość aż do obrzydzenia. Ciekawość, która skrapla się wymiotami w moim gardle. Ludzka ciekawość. Wampiry nie są ciekawe, mają czas. Wiedza w końcu do nich sama przyjdzie, chyba że trafią na domorosłego Van Helsinga. Czyż nie zadawałby tych samych pytań co Paul?

- Czemu nic nie jesz?

- Wiesz, że jesteś strasznie blada? Dlaczego twoje usta są takie czerwone? Przecież widzę, że ich nie malujesz.

- Karmię się energią ze słońca - odpowiadam.

- Bzdura, mało realne. - Krzywi się.

Czy gdybym mu powiedziała, kim jestem, uznałby to za równie interesujące jak marchewki? Czy wziąłby mnie za postać z gry komputerowej, superlaskę biegającą po mrocznych labiryntach w skórzanych spodniach, które wbijają się między pośladki?

- I dlaczego nie pozwalasz mi zajrzeć do twojej lodówki?

Hm...

Spod koca wystaje bezbronna stopa. Nawet pod tym kątem widzę rude nastroszone włosy porastające duży paluch. Mam ochotę klęknąć przy łóżku, wysunąć kły, a potem z całej siły, z czystej złośliwości wgryźć się w nogę. Jestem sfrustrowana i znudzona Paulem. Znudził mnie i wkurzył. Człowiek: skarpetki, slipy i włosy pod pachami... Wampirom trudniej niż ludziom przyznać się do klęski. Większy egocentryzm. Robię dobrą minę do złej gry, jakbym co najmniej była żoną Paula, a nie nieznajomą, która zaprosiła go na noc, bo potrzebowała rozrywki... Paul narzeka najedzenie, narzeka na popsuty telewizor i tęskni za zewnętrznym światem.

Trzy dni, a on już dostaje klaustrofobii.

Młodość go roznosi. Myślałam, że te trzy dni będą miały wartość dla mnie i dla niego. Liczyłam, że wystarczą rozmowy i uniesienia.

Myliłam się, zbyt wielka różnica gatunkowa.

Kręcił się po kuchni, aż kopnął nogą w aluminiową miskę Teodora, wepchniętą pod śniadaniowy stolik. Brwi mu się uniosły, jakby miały zamiar odlecieć z twarzy.

- Miałam kota.

- Wyrzuć to. Hodujesz bakterie.

Wiem.

Chłopak się budzi. Unosi głowę, przydługie włosy szorują po poduszce. Patrzy na mnie jak na wielką łąkość, wielki prezent, gwiazdkę z nieba. Różnię się od jego pachnących mydłem koleżanek w puchatych, jasnych swetrach. Pociąga go moje doświadczenie, starość, która kryje się w mych oczach.

- Paul - wypowiadam to imię niczym smakosz nazwę ulubionej potrawy.

- Paul - powtarza za mną, modelując ślad mojego akcentu.

Parskam jak kot.

- Miałaś mnie obudzić. - Mówi to tonem rozkapryszonego dziecka, któremu obiecano rozrywkę.

- Obudziłby cię hałas.

- Już jest głośno.

- To jeszcze nic.

- Ale mnie zmęczyłaś. - Wierzga nogami, rozkopując koce.

Mam ochotę go przykryć.

Mam ochotę...

- Odrobisz, jesteś młody.

- Babciu, czemu nie rozchylisz żaluzji?

Właśnie, dlaczego nie? Uliczny gwar natęża się. W nocne niebo uderza pojedyncza raca, potem druga, trzecia i następne, ale nie jest to jeszcze spełnienie, na które czeka świat. Spełnienie dające nadzieję na przyszłość, jeśli przewycięży się ten pierwotny lęk, który niczym pajak kroczy po plecach.

- Chodź do mnie. - Paul uderza otwartą dłońią w miejsce obok siebie.

Ten nakazująco-zawłaszczający gest, który musiał podpatrzeć u jakiegoś starszego mężczyzny. Może na starym filmie? Jego pokolenie równouprawnienia płci nie ma o takim „wstępie” pojęcia.

Uśmiecham się pod nosem i idę posłusznie. Kładę głowę na gładkiej klatce piersiowej, która podnosi się i opada w rytmicznym, zdrowym oddechu. Słyszę wyraźnie, jak tętni krew w szyi, i instynktownie rozchylam usta.

Czy można walczyć ze swoją naturą?

- Kiedy byłem berbeciem, wyliczyłem, że w roku 2000 skończę trzydzieści dwa lata. Potem ktoś mi powiedział, że pomyliłem się o całe dziesięć lat i będę miał dwadzieścia dwa. Dopiero dwadzieścia dwa! Poczulem się wspaniale i... - Przerzywa, kiedy wielki zegar uderzył po raz pierwszy.

- JEDEN! - zaskandował tłum na ulicach.

Całkiem niedawno dowiedziałam się, że Hiszpanie jedzą po jednym winogronie na każde uderzenie sylwestrowego zegara. Nie wydało mi się to osobliwe, tylko piękne. A później szampan.

- DWA!

- Juhuuu! - Paul drze się jak kowboj na rodeo. - Dwadzieścia dwa lata i Nowe Tysiąclecie.

Drażni mnie, jak większość myli się w kwestii czasu. Czy czas nie powinien być dla ludzi najważniejszy?

- Nowy wiek zacznie się za rok od tej nocy, w dwa tysiące pierwszym...

- TRZY!

Paul mnie nie słucha.

Jest sylwester i kończy się 1999 rok po Narodzeniu Chrystusa.

Paul ma dwadzieścia dwa lata, a ja pięćset sześćdziesiąt jeden.

Minęło pięćset czterdzieści sześć lat od zdobycia Konstantynopola i mojej Przemiany. Dla Greków z „Nowego Rzymu” byłby 7508 rok od Stworzenia Świata.

- CZTERY!

- O w mordę! - wrywa się Paulowi. - Nie ma szampana!

- Jest, stoi w lodówce. - Przytrzymuję chłopaka. - Przyniosę.

- PIĘĆ!

- Nie zdążysz!

Puszczam do niego oko. Bardziej interesujący powinien być mój nagi tyłek - co za czasy!

- SZEŚĆ!

Wyjmuję z lodówki dom perignon. Natychmiast skrapla się na nim para.

- SIEDEM!

Butelki z konserwowaną krwią stoją obok siebie w zgrabnych rzędach. Butelki i jedna puszka tuńczyka.

Teodorze... Czuję tylko smutek.

- OSIEM!

- Irene!!!

- DZIEWIĘĆ!

- Już jestem, głuptasie, czemu tak wrzeszczysz? - Próbuję go rozluźnić i nadmuchać mu w pępek, ale mi umyka.

- DZIESIĘĆ!

Przechylam się kusząco.

- JEDENAŚCIE!

- Czemu odstawiłaś butelkę na parapet?!

Kołyszę biodrami, kiedy się do niego zbliżam. Paul przełyka ślinę. Widzę, że zaczyna się wczuwać w noworoczną niespodziankę.

- Przed szampanem trzeba zjeść winogrona. - Zamykam go w wybitnie intymnym uścisku.

- DWANAŚCIE!

Tysiąc czterysta trzy lata temu Prorok uciekł do Medyny.

Hałas jest ogłuszający. Niebo płonie. Prości nowojorczyki prześcignęli nawet pirotechników Jego Królewskiej Mości Ludwika Króla-Słońce, który naprawdę lubił się zabawiać sztucznymi ogniami w Wersalu.

Biedny Ludwik, biedny Paul...

Świat śpieszył się do tej nocy, tej godziny, a teraz, jakby wynagradzając ten pośpiech, zamarł na parę chwil. Zatrzymał czas. Kły same wysunęły się z dziąseł. Teraz działał tylko instynkt, szybki jak myśl. Krew zalewa moje usta, gardło, nawet tchawicę. Trwaj chwilo, bo jesteś piękna... Drzę, a przez moje wargi przepływa istna transmisja Życia.

„Budzi się dzień” - czy tak właśnie mawiają? Zapomniałam opuścić żaluzje, i to właśnie przez to idiotyczne niedbalstwo orientuję się, że niebo jest zachmurzone ołowianymi chmurami, które jak filtr zatrzymują promienie słońca.

Postanawiam zaryzykować i wyjść na spacer. Miasto po sylwestrowych zapasach stoi opustoszałe i w miarę ciche, nie licząc odgłosów brygad czyszczących.

Myję zęby. Zapach mężczyzny zbladł na tyle, że w tej sekundzie mogę sobie odpuścić prysznic. Zadziwiające, jak osoby z kacem potrafią wcześniej zwlec się z łóżek w poszukiwaniu zimna i tlenu.

Pudruję się, i otulam na czarno. Czarne okulary dopełniają dzieła. Może poznam jakiegoś Paula? Już na schodach zaczynają zgrzytać mi pod obcasami okruchy szkła. Otwieram drzwi wejściowe, z chmur pada lepki śnieg, jakby niebo się otwarło i sypnęło manną.

Strzygę uszami.

Miau!

Spoglądam w dół: rudy kocur zawzięcie ociera się o moje nogi, przednimi łapami ufnie wspina się na kolana. Człowieczy sylwester musiał go niełicho przestraszyć.

Biorę kota na rękę.

Nie wykręca nawet łba, kiedy całuję go po pysku, wie, że tak ma być.

- No chodź. Czeka smaczny tuńczyk. - Odwracam się na pięcie i wracam do holu. Spacer będzie musiał poczekać.

(478)

Nie miałam czasu na nienawiść - Grób stał mi na przeszkodzie - Nie wystarczyło życia, by Żywić do końca myśli wrogie - I kochać też nie miałam czasu - Ale że trzeba mieć zajęcie - Tej odrobinie trudu przecież Musiałam go poświęcić.

W tekście wykorzystano fragmenty poezji Emily Dickinson w tłumaczeniu Ludmiły Marjańskiej oraz fragment Dziecka Rosemary Iry Levina w tłumaczeniu Bogdana Barana.

KOLOR KSIĘŻYCA

Czyi muszę patrzeć na czaszkę w pierścieniu, mając tę samą w obręczy mej twarzy?

John Donne, Devotions

Koparka pracowała na pół gwizdka, obok w gotowości stali mężczyźni ze szpadlami.

- Ostrożnie, Mirko! Ostrożnie!!! - krzyczała. Karin.

Ręce oparła na biodrach. Rozchyłała usta, dmuchała sobie prosto w nos, zdenerwowana. Było bardzo gorąco.

- Nic tu nie ma - odkrzyknął Mirko z wnętrza kabiny, okrutnie kalecząc angielski.

- Wejź głębiej!

- Nic nie ma. Nic nie ma, szefowo.

Ziemia usuwała się spod gąsienic. Gliniaste grudy odrywały się i spadały do dołu.

- Tam! Tam! - Szarpnęłam Karin za ramię.

Zatoczyła się do tyłu.

- Maszyna stop!

Ucichł warkot silnika. Cisza. Mirko zeskoczył na twarde grunty.

- I co, znalazłem coś? - Kiwnął na robotników.

Z brunatnej ściany zwałowiska wystawał kawałek zgniłego koca.

- Odkopcie.

Odkopali. Jednak szkielet, którego się spodziewali, nie należał do człowieka. Karin, dłońmi w jednorazowych rękawiczkach i z maską na twarzy odsunęła wełniany całun. Ktoś, nim pochował psa, wyprostował i związał linkami zwierzęce kończyny tak, by leżąca sylwetka najbardziej przypominała ludzką. Żółte kły zamykały się na zmumifikowanym truchle nietoperza.

- Po co wsadzili mu to do gardła? - spytałam Karin.

Mirko kucnął obok nas. Brał w palce okruchy gliniastej ziemi, toczył kulkę, miażdżył...

- Posłali psa na Tamtą Stronę, żeby zwilkołaczał i połknął wapiersza.

- Jebem ti maiku - zaklęła po świńsku Karin.

WCZEŚNIEJ NOWY JORK, 2004

Znów byłam w objęciach siostry Nocy. Z Central Parku dobiegały odgłosy koncertu pod gołym niebem. Zespół Metropolitan Opera wystawiał „Rigoletta”: Kobieta zmienną jest jak piórko na wietrze, niestała w nastrojach i zamysłach.

Związek Śmieciarzy Miasta Nowy Jork dokładnie oczyścił teren wolnej sceny oraz widownię; pewnie rozsądniej byłoby to zrobić już po operze. Zresztą, co mnie to obchodziło? Co w ogóle obchodził mnie świat? Bardzo, bardzo obchodził. Westchnęłam. Księżycy i gwiazd nie było widać. Chodziłam po tęczyowych ulicach, pełnych odblasków neonów. Traktowałam je z ambiwalencją: niekiedy podobały mi się światła - tak jak małej dziewczynce, która wybrała się z rodzicami na nocny spacer. Małe rączki zaciśnięte na bezpiecznych, dorosłych palcach. Oczy pełne motyli.

Innym razem drażniły mnie.

Nosiłam ekstrawaganckie, lekko przydymione okulary. Czarną chustkę na włosach, czarny jedwabny garnitur, niby jakiś zakonny strój. Mijałam ducha staruszki Garbo. Płacząc się pod nogami miasta, za rybackim kapeluszem i „muszymi oczami” kryła starość, która gwieździe nie uchodzi. Niepokój żywej kobiety, a nie diwy. Oglądałam się za zjawami staruszków z Buena Vista Social Club, którzy klekocząc sztucznymi zębami, obgadywali w soczystej hiszpańszczyźnie moją dzielnicę. Przystanęli przed wystawą sklepu sprzedającego gumowo-plastikowe karykatury nieśmiertelnych. Marilyn Monroe, John F. Kennedy, John Wayne, Ronald Reagan.

„Ja ich skądś znam! I tego... I tę też!!!”. Kubańczycy śmiali się, wydziwiali, ale po cichu pragnęli, by ktoś im taką postać ulepił.

Dla każdego portret Dorianą Greya.

Szłam dalej. Po pieszczotę wiatru, po spokój. Wampiry, tak jak i ludzie, karmią się złudzeniami. Sycąca wszystko krew jest największa fatamorganą z wielkich. Władza. Miłość. Pieniądze.

Grzech.

Witryna sklepu z telewizorami, każdym bez wyjątku, w tych gorących dniach nastawionym na CNN, migotała.

Marę zobaczyłam pośród zwykłych ludzi o szarych twarzach.

Zadrzałam, ale po chwili się uspokoila. W końcu nie byłam już dziewczątkiem, przetrwałam tyle wieków. Marze, niewiele starszej, też to się udało. Poczułam, że tracę smak swojej wyjątkowości. Z drugiej strony, czyż obie nie byłyśmy potężnymi wampirzycami? Aż

strach brał pytać, czy któraś może od którejś czegoś się nauczyć? Kto będzie tańczył na czyim grobie?

Poruszając bezgłośnie ustami, odczytałam w dole ekranu nazwę miejscowości. Nie zważając na to, że wypycham ulubione spodnie, wcisnęłam pięści w kieszenie. Gwizdałam pod nosem *la donna e mobile qual piuma al vento, muta d'accento e dispensiero*.

Wróciłam do domu. Nie tak dawno kupiłam w antykwariacie piękny, osiemnastowieczny klęcznik. Nie zważając na kota garnącego się do stóp i przymilającego o jedzenie, zabrałam się do modlitwy. Kochany Teodorze, pokutuj za duchową strawę!

Zamiauczał długo i przenikliwie. Nie znam zwierząt bardziej praktycznych niż koty. Skrzyżowałam palce.

Ojcze Nasz, Który jesteś w Niebie,
Święć się imię Twoje,
Przyjdź Królestwo Twoje,
Bądź wola Twoja,
Daj nam naszego chleba powszedniego,
I odpuść nam nasze winy,
Jako i my...

Nie! Nie mogłam! Wcale nie chciałam tego powiedzieć. Zebrałam się z brokatowej poduszki, ruszyłam do telefonu. Kot obraził się na amen.

Zadzwoiłam do Arthura Wilsona z Muzeum Brooklyńskiego.

- Irena?

- Skąd wiedziałeś, że to ja?

- Tylko ty dzwonicz o tej porze.

- Naprawdę?

- No. - Słyszałam, jak kciukami trze zaspane oczy.

- Arturze, chciałabym cię prosić o przysługę. Właściwie to dwie. Mówiłeś kiedyś, że twoja przyjaciółka...

Bładym świtem próbowałam wcisnąć wściekle wrywającego się kota do koszyka. Zwierzak zapierał się pazurami, każda z łap jakby naraz uzyskała odrębnego ducha, szuflując w innym kierunku.

- Nie mogę cię ze sobą zabrać, Teodorze! Nie dam rady załatwić ONZ-owskiego paszportu dla kocura. Wilson się tobą wspaniale zajmie.

Nie zważając na syki, zamknęłam klapę, za którą kryła się ognista, kocia nienawiść.

- Oczywiście, jeśli wolisz spędzić te dni z dziećmi Vanessy...

Desperacko zielone spojrzenie kota mówiło, że nie zasłużyłam sobie na niego; wolałby być chihuahua Madonny.

Zabrzmiał dzwonek u drzwi.

- Arthur przyszedł. - Klasnęłam.

WIEŚ POLJE, BOŚNIA, 2004

Wyskoczyłam z obdrapanego dżipa SFOR-u. Skinieniem głowy podziękowałam żołnierzowi za podwiezienie na teren wykopalisk. Szefowa już na mnie czekała, wysoka, mocno zbudowana kobieta po czterdziestce.

- Jestem Karin - powiedziała, jedną ręką ściskając mi dłoń, gdy tymczasem druga przeczesywała białego, spoconego języka.

Walkiria, pomyślałam.

Zaprowadziła mnie pod kolorowy plażowy parasol, który wyglądał nedorzeczenie pośród garbów wojskowych namiotów i kopców ziemi.

- Jesteś przyjaciółką Arthura?

- Nie powiedział ci? - Uśmiechnęła się nieznacznie, nalewając sobie z termosu piekielnie gorącej kawy. Chciała poczęstować, ale odmówiłam. - Jestem jego macochą.

- Och.

- „Och” - zakpiła. - Nie kochamy się, ale mamy wobec siebie pewne zobowiązania.

- Rozumiem.

- A ja nie. Arthur mówił, że przyjechałaś zbierać materiały do książki. Czy to będzie powieść?

- W pewnym sensie.

- Żurnaliści są tu parę tygodni, patrzą po wierzchu, a potem wracają do siebie, by swoją głupotę sprzedawać za ekspertyzę.

Glupan!

- Ty też nie jesteś stąd.

- Byłam nieprzyjemna? Przepraszam. Masz tak samo jasną skórę jak ja, przyniosę ci kapelusz, bo jeszcze jesteś gotowa zemdleć, Ireno.

Poderwała się gwałtownie, zniknęła we wnętrzu swojego namiotu, do którego autorytatywnie przylegał ten kawałek wysnionej plaży. Wykopaliska toczyły się w połowie wzgórza. Niżej, przytulona do jego podstawy, leżała wioska. Nieotynkowane domy złożone z

pustaków jak z dziecięcych klocków. Nowe i stare, ceglane, potrzaskane moździerzowymi nabojami 60 mm, straszły jak widma.

Ośloniłam oczy ręką, spojrzałam w górę. Na stoku pasły się stada owiec. Inne, niż widziałam dotąd: miały krótsze pyszczki i skołtunione, czarno-szare runo. Były drobne. Drobne owce... Ich spokoju strzegły ze szczytu wzgórza ruiny starożytnego klasztoru.

- Ten będzie ci pasował. - Karin przyniosła czarny słomkowy kapelusz z ogromnym rondem. „Bennetton”, głosiła zielona wszywka wewnątrz. Karin powiodła za moim wzrokiem.

- Malownicze... Opactwo z czternastego wieku. Odradzam spacer. Od początku wojny jest zaminowane. Nie rosyjskimi TMB, ale przeciwpiechotnymi. Wystarczy nacisnąć z siłą dziewięciu kilogramów, żeby szukać swoich butów.

- Owcom to nie przeszkadza?

- Widać nie. Byłaś już na stanowiskach?

Pokręciłam głową.

- OK. Nie musisz pracować, ale postaraj się niczego nie zepsuć.

Niektóre słowa często się powtarzały, ale nie rozumiałem ich znaczenia. Sięgnąłem po zabrany z Londynu słownik, odnalazłem angielskie odpowiedniki i dech mi zaparło. Stwierdziłem bowiem, że ludzie ci mieli językami takie paskudztwa, jak diabeł, piekło, strzyga, wilkołak. Te dwa ostatnie terminy oznaczały mniej więcej to samo - upiora czy wampira.

- Płaci nam Bośniacka Komisja Poszukiwań Zaginionych - powiedziała antropolog, kiedy zjeżdżaliśmy do Polje.

Tylko tam była łaźnia z prawdziwego zdarzenia, a nam lepiła się do skóry nieprzyjemna maź, piasek połączony z potem i filtrem słonecznym.

- Jak oni mogą wciąż żyć koło siebie? Po tej całej wojnie?

- Muzułmanów nie zostało aż tak wielu... - Zamilkła. - Udowodnili sobie nawzajem, że ten kraj ani nie powiększy się, ani nie zmniejszy. Pięknie to sobie udowodnili. Który to raz? - Potrząsnęła głową. - Może są pośród nich mordercy i ofiary, ale to nadal sąsiedzi.

- Co ich trzyma razem?

- Strach. Ale, Ireno, wojna już się skończyła.

Na środku wsi zobaczyłyśmy zgromadzenie, Karin gwałtownie zahamowała. Ludzie wygrażali sobie pięściami, część się modliła. Tupali, ale obie nacje jakby rozdzielała biała linia bezpieczeństwa.

Przypominało mi to początek meczu piłki nożnej na trybunach.

- To jest pokój?

Gestem nakazała mi zostać i milczeć.

Wróciła po dobrym kwadransie. Obserwowałam jak odchodzi, a za jej plecami tłumek rozbija się na jednostki.

- Znalaziono parę owiec z rozdartymi gardłami. Śmierć ta sama, ale owce innych religii. Nie ma jednoznacznych winnych, krew wzajemnie oskarża.

- To nie mogły być wilki.

- Nie, tu już nie ma wilków. Wojska je wystrzelały. Jedynym, kto mógłby pogodzić teraz wieśniaków, jest wampir. - Roześmiała się, a mnie przeniknął dreszcz. - Jedźmy wziąć kąpiel, bo oszaleję od tego brudu. Prysznic tego nie zmyje.

...wziął wodę i umył ręce wobec tłumu...

Mirko, wciąż i niestrudzenie, niby wiejski burek biegnący za suką, próbował mnie podrywać. Otoczenie najwyraźniej nie przeszkadzało jego amatorom, albo zdołał się przyzwyczaić.

- Mirko, lepiej mi powiedz, kto to jest? - Wskazałam na starszą kobietę, która codziennie przychodziła na wykopaliska.

Karmiła robotników, innych częstowała słodyczami. Nosiła grube okulary z oprawką sklejoną plastrem. Nigdy nikt jej nie widział z odkrytą głową. Miała chustkę w kwiaty.

- To Liljana - odpowiedział, pochylając się ku mnie i niby przypadkiem muskając pierś. - Czeka na córkę.

- A gdzie ta córka? Jest antropologiem?

Spojrzał kwaśno.

- Gdzieś tu leży. Mirjan miała na imię. Chłopak, którego rzuciła, był w serbskich szwadronach śmierci - powiedział płasko.

Wolałabym już, żeby mówił tak, jakby coś tłumaczył albo był wściekły.

Kobieta z trudem kucnęła przy wykopie. Nie chciała przeszkadzać, nie mogła odejść, więc piekła ciasta dla robotników.

Młodych Muzułmanów zabrano późnym popołudniem; bez wstydu, prosto z domów. Bliskim zapowiedziano, że jeśli wyjdą za nimi, dostaną kolbą karabinową po głowie.

„Co Będzie z Mirjan? Z Ibrahimem? Z Azmirem? Z Elvirą?”.

„Nie pytać! Nie wiedzieć! Pójdą do obozów przejściowych, na wymianę serbską z muzułmańską stroną!”.

Strzały, blisko, gdzieś na Wzgórzu Klasztornym.

Ponad dziesięć lat później BKPZ zapłaciło anonimowemu informatorowi z Pojle (Cesta viel!) za wskazanie mogił. Pod osłoną ciemności miał położyć zgniecioną puszkę coca-coli...

Karin z ekipą odczytała symbol. Wpuścili w grunt sondy - nic.

Następne pieniądze, następna puszka - tutaj Mirko wykopał szkielet zwilkołączonego psa.

- Masz rysy podobne do ludzi stąd - powiedziała Karin przy jakiejś okazji. - A czasem, gdy słyszysz ich niektóre słowa, twoja twarz przybiera taki grymas... - Zrobiła nieokreślony ruch swą dużą dłonią. - Wydaje mi się, że rozumiesz serbski.

...miękką nuta kołysanki, przeganiająca mrok dziecięcej, dusznej bezsenności; tak niesprawiedliwej, niezawinionej... ...pieczenie startego upadkiem kolana... „Boli, skarbie? Daj, podmucham.

Już wszystko dobrze”...Na wpół zapomniane głoski jak opatrunek dla duszy uwięzionej w ciele, na wieki wieków...

- Moja matka była Serbką. Nie znałam jej.

- Coś jednak zapamiętałaś?

- Że podobno miałam matkę; tak mi mówili.

- A ojciec?

- Grek. Grek ze Wschodu.

- Rozumiem teraz twoje czarne włosy, twoje oczy.

- Oczy mam zielone.

- Chciałabyś, skarbie.

Wyciągnęłam się na ziemi, a księżyc nadał kolor moim policzkom. Koncentrowałam się. Szukałam. Słuchałam. Gdyby tylko natrafić na kroplę zakrzepłej, zamordowanej krwi! Wyrzuciłam ręce za głowę, szurając, opuściłam je do tułowia. Poruszałam się po czarnym piasku jak dziecko na śniegu, ciałem pragnące wyczarować Śnieżnego Anioła. To taka bezkrwawa zabawa. Okupiona igiełkami lodu we włosach i pod ubraniem.

Zabici z Pojle zostali ukryci pod ziemią. O, krwinko, gdzie?

Nagle poczułam przejmujący ból w miednicy. I w lewej piersi.

Znalazłam ich.

Położyłam puszkę z coca-colą; tym razem pełną.

Odruchowo podniosłem wzrok nieco wyżej i... zobaczyłem stojące nad moją kanapą trzy młode kobiety - sądząc po strojach - szlachcianki.

W pierwszej chwili myślałem, że śnię, ponieważ - chociaż blask księżyca był bardzo jasny - ich ciała nie rzucały żadnego cienia. Wpatrując się we mnie, szeptały coś między sobą. Dwie z nich miały długie, kruczoczarne włosy, orle nosy, jak hrabia i duże oczy czerwono-półświecące w blasku księżyca. Trzecia była blondynką o oczach lśniących niczym jasne szafiry.

Wszystkie trzy szczyrzyły do mnie błyszczące, białe i ostre zęby. Zęby niczym perły jaśniały zza pełnych, rubinowych warg rozchylonych w jak gdyby namiętym półśmiechu. Ogarnęła mnie śmiertelna zgroza, ale jednocześnie i dziwne pragnienie - ba, dzika żądza! Chryste Panie! Przecież ja pragnąłem, żeby mnie tymi rubinowymi, pożądliwymi ustami całowały!

Pomagałam Karin pracować włosy zdjęte z wykopanych czerepów. Byłam rozkojarzona. Fiolki krwi, pobranej od żywych mieszkańców Polje do porównawczych badań DNA, jeszcze szeptały do mnie.

Zza drzwi małej lodówki brzmiały jak żalosne poszczekiwanie psich szczeniąt.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że Arthur cię pożąda?

Ten Arthur? Arthur Wilson szczerze otwarty na mój głos; od czasu do czasu - pikantnie cyniczny; dżentelmen w każdym calu? Stuprocentowy Anglik w Nowym Jorku (przysięgłabym, że w swej krwi nosi skazę porfirii, którą przejął z genami króla Jerzego III)?

Mój przyjaciel?

- Nie jesteś dla niego.

- A to dlaczego?

Odpowiedziała kwestią z ulubionego filmu swego pasierba:

- „Małżeństwo jest tylko wtedy szczęśliwe, kiedy łączą się ze sobą ludzie podobni”.

Pauza.

- Dlaczego strzelali im w miednicę?

- Żeby nie mogli uciekać.

Zagubiona owieczka podeszła do mnie z własnej woli, bo pachniałam człowiekiem; jej opiekunem i katem. Polizała, łaszcząc się. Nie odpędziłam jej.

Przegryzłam gardło, aż poczułam strumień gorącej krwi na podniebieniu. Ale to nie wystarczyło, rozdarłam owczy brzuch.

Zostawiłam na widocznym miejscu, by pasterz szybko ją znalazł.

Pamiętam swoją pierwszą krew po Przemianie. Wśliznęliśmy się z Marą do kajuty, w której był tylko jeden marynarz; może odsypiał wachtę, może zwichnięta noga skutecznie oddzielała go od zadań załogi (chyba był chory, bo nazajutrz bez zdziwienia powitano jego martwe ciało).

- Zabij go - powiedziała Mara. - Zabij go i pij!

- Ale jakże ja mogę to zrobić - zaprotestowałam. - Przecież to jest człowiek!

Przeniknęła przez zamknięte drzwi, pozostawiając mnie samą z Przeznaczeniem.

Tymczasem marynarz się zbudził. Zamrugął, jakby chciał przepłoszyć senną zjawę, za którą mnie brał. Nie mogłam zniknąć.

- Skąd tu się wzięłaś, maleńka? - zapytał i ciężko usiadł na ciasnej koi.

- Nie wiem.

Zabiłam, choć był dwa razy większy ode mnie; powaliły go pasja i strach. Straszliwy grzech, wciąż i wciąż do powtarzania. Grzech śmiertelny.

- Dlaczego to robisz? - spytałam.

- Bo się rozwodzę.

Byłyśmy w baraku przemianowanym na kostnicę. Karin, klęcząc, układała kości w szkielety na brezencie przyciśniętym ceglaną resztówką. Jego brzegi furkotały nieprzyjemnie za sprawą stojących obok wentylatorów, przyłączonych do benzynowych prądnic.

- Robię to, bo na mnie wypadło. Bo ktoś to musi robić. Bo jestem w tym najlepsza. Czy kiedy byłaś dzieckiem, bawiłaś się w puzzle...?

- Przerwała nagle.

Czekałam.

Uniosła głowę, jej spojrzenie, jakby rozpaczliwie pragnące się czegoś złapać, przeleciało po blaszanym, gładkim suficie. Na chwilę zacisnęła usta.

- Jeśli ktoś, kogo kochasz, zaginąłby, to wolałabyś w końcu odnaleźć jego martwe ciało czy pozostać z pustymi rękoma, łudząc się, że gdzieś żyje? Wiedząc, że nigdy niczego się nie dowiesz. Nigdy go już nie spotkasz.

- To drugie.

Z westchnieniem usiadła na piętach, położyła obrócone wewnętrzną stroną ręce na udach.

- Ludzie pragną śmierci zaginionych. Niepewność ich zabija. Jest ciało, jest grób, jest żałoba; w końcu przychodzi spokój. Czy potrafisz ich zrozumieć, Ireno?

Niepewnie kiwnęłam głową.

- Ja pomagam odnaleźć bliskim ciszę - odetchnęła - chronologię... A teraz wybacz, bo jutro ma przyjść Liljana, obejrzeć swoje dziecko. - Wróciła do składania szkieletu.

O poranku następnego dnia zorientowano się, że drzwi do ossuarium zostały wyłamane. Kości rozrzucone, plandeki i folie podarte. Niektóre czaszki rozbito uderzeniem cegły albo kamienia. Możliwe, że bezlitosnym ciosem pięści.

- To wapieryz - powiedzieli Serbowie.

- To ghul - orzekli Muzułmanie.

Z odrętwienia wyrwał mnie dochodzący od strony podwórza rozpaczliwy krzyk. Podeszedłem do zakratowanego okna i zobaczyłem stojącą przed bramą wieśniaczkę. Była cała roztrzęsiona. Jedną rękę trzymała na sercu, jakby ją skrajnie wyczerpał długi bieg. Gdy zobaczyła moją twarz, zawołała błagalnie, ale i groźnie:

- Potworze! Oddaj moje dziecko!

Podniosłam brezentową płachtę i weszłam do namiotu Karin. W środku pachniało płynem konserwującym i kremem do twarzy. Jedna substancja podobna do drugiej, bardziej niż należałoby przypuszczać. Zatrzymać rozkład! Zachować młodość! Oswoić Los.

Podeszłam do składanego stolika. Na blacie obok papierów ze szkicami wykopów i gazet leżał naszyjnik ze sztucznych pereł. Emalia schodziła z poszczególnych koralików, żyłka, na którą je nawleczono, odbarwiona była przez rdzę i glinę. Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz; ale czy to dotyczy pereł?

- Dostałam je od Liljany. Należały do Mirjan. - Karin od razu przeszła do porządku nad tym, że zastała mnie myszkującą w jej namiocie. Jakby w ogóle odwykła od intymności, a ideę własności ograniczała do użycia tego lub innego pochopnie porządkującego zaimka. - Mam baklavę. Chcesz kawałek?

- Nie. - Słodkie ciasto nie było już dla mnie.

- Liljana zaprosiła nas na uroczystość przedpogrzebowego czuwania.

- Karin, idź sama.

- Jak sobie życzysz. Gdybyś zmieniła zdanie, wiesz jak znaleźć muzułmański dom w Pojle.

- Czy mogłabym zostać jeszcze trochę w tym namiocie? - Irysowy zapach kremu. Nie miała nic przeciwko dziwacznej prośbie.

- Baklava jest w szafce, jakbyś zgłodniała. Nóż i plastikowe talerze także.

A jednak za nią poszłam. Śledziłam Karin. Zapadł zmierzch, nikt nie odróżniłby Ireny od niespokojnego cienia. Znalazłam dom Liljany. Przycisnęłam twarz do wciąż nagrzanego muru, przez okno zajrzałam... w serca innych.

Meble uprzątnięto pod ściany. Na środku pokoju, na kozłach ustawiono prostą, jasną trumnę. Była normalnych rozmiarów - z przyzwyczajenia, nie z konieczności. Maskowała wiele pustki, tyleż pytań. Wieko przycięło białe prześcieradło, używane jako całun.

Kobiety kręciły się, gadały z ożywieniem. Również Karin. Zamiast spodni miała na sobie pożyczoną, długą spódnicę. Rozejrzałam się dokładnie i już wiedziałam, dlaczego ją włożyła. On kręcił się najczęściej - co rozumie się samo przez się - po męskiej części domu. Tutaj zachodził po baklavę i zaintonować modły kobietom. Słyszałam o takich jak on, kiedy byłam dziewczynką; myślałam, że dawno już przeszli do legendy. Naiwna Irenka. Wołano na nich różnie: „zabójcy wampirów”, „sabatino”, „czerwoni derwisze”.

Najbardziej przeraziło mnie, że Muzułmanie nazywali ich Shish, składając w jednowyrazowy twór z bronią, której używali „czerwoni derwisze”. Shish jest metalowym prętem z cienkim ostrzem, służącym do zatapiania w sercach nieumarłych. Wszystkich nieumarłych, co do joty.

„Polje”, taką nazwę odczytałam w rogu ekranu telewizora, nastawionego na CNN. Gdzieś, kiedyś... Nowy Jork wydał mi się tak odległy, jakby w ogóle już nie istniał. Przybyłam do Polje, by hałasować i gwałcić krew wokół gniazda Mary. By ją go pozbawić. Kryła się w ruinach opactwa; w końcu poszłam tam. Och, tak, musiała czuć moją obecność, tak jak i ja słyszałam szept powietrza roztrącanego jej nieumarłym ciałem. Musiała wiedzieć, że kordon się zaciska.

Wzdłuż na wpół zrujnowanej, kamiennej drogi do klasztoru zamocowano żółte taśmy, ograniczające strefę zaminowań. Błysnął i zniknął błędny ogień. Swoim szóstym zmysłem wyczuwałam miejsca spoczynku min; dzieliłam tę umiejętność z tutejszymi owcami; wieśniacy byli jej pozbawieni.

Światło księżyca malowniczo oświetlało starożytno, wyszczerbione mury, tak że wyglądały jak stworzone w hollywoodzkim studiu. Krzyknęłam, a głos poniósł się echem, odbijany od szorstkich kamieni niczym dziecięca piłka.

- Potrafiłaś latać i chodzić po wodzie. Od Przemiany mogłaś przebywać na słońcu. Wyszła ku mnie, chuda jak szkielet, w ubraniach przypominających łachmany.

- Jak mogłaś mnie opuścić! - ryknęłam i rzuciłam się na nią. Wbiłam kły w napiętą niby fortepianowa struna szyję (wrażenie przebijania pergaminu), ale Mara nawet nie próbowała się bronić. A jej krew była zgniła!

- Jak...?! - Wypuściłam ją, plując wokół czarną posoką.

W tym momencie opuściła mnie chęć dokonania zemsty.

- Cursum perficio - powiedziała Mara. - Tutaj kończę swoją podróż.

- Jak to możliwe?! I dlaczego właśnie tu?!

- Bo to Ziemia Niczyja.

Patrzyła na mnie bez śladu zainteresowania; ona rzeczywiście już umarła.

- Uciekaj stąd - zaprotestowałam przeciwko temu gwałtownie, a w swym tonie nie usłyszałam fałszu. - Uciekaj jeszcze tej nocy! Sprowadzili Sisha.

- Słyszałam go. Ciebie też. Gdybyś zabijała ludzi, poszłoby to szybciej. Nie mogłaś się zdecydować?

La donna e mobile...

- Zostawiłaś mnie zupełnie samą. I głupią - powiedziałam żałośnie.

- Ale to już minęło.

- Jak śmiesz tak mówić!

Dotknęła mnie, jej kości poruszające się pod luźną skórą zmroziły mnie. Wyglądało na to, że ktoś - albo coś - stał jej wewnątrz na popiół. Przez księżycy w mych oczach zajrzała do umysłu.

- Ireno. Twoja matka żyje.

- Co... Co?

- Jest jednym z nas. A teraz naprawdę cię zostawiam...

- Mara! Mara! Maaaraaa!!!

Srebrzysta poświata oraz mgła.

Dotarła do mnie wiedza, jak ją zabili.

Rankiem procesja złożona z mieszkańców Polje wspięła się ostrożnie na Wzgórze Klasztorne. Przewodził im Shish. Znaleźli Marę przytuloną do obnażonych fundamentów, orzącą paznokciami w burej ziemi, z korzonkami chwastów owiniętych jak pierścienie wokół palców.

Shish wbił jej metalowy pręt w pierś. Następnie odrąbał głowę, włożył czerep pomiędzy zziębnięte kobiece stopy. Reszty dokonały ogień i wiatr.

Człowiek wie, że jest stworzony z błota, jednak uporczywie sprzeciwia się. Podaje różne powody, a wspomniawszy na swój początek, woła: Któż potrafi ożywić kości spróchniałe?

Odpowiedz im, że Ten, który stworzył, Ten i ożywi; On zna budowę całego stworzenia.

On wszystko może, bo jest Twórcą Mądrym, kiedy chce, aby coś się stało, mówi: Stań się i staje się.

Chwała Temu, który w swym ręku trzyma rządy całego świata!
Wszyscy ludzie staną przed nim!

W tekście wykorzystano fragmenty Draculi Brama Stokera w tłumaczeniu Grzegorza Kuli, Przemięło z wiatrem Margaret Mitchell w tłumaczeniu Celinie Wieniewskiej oraz Koranu w tłumaczeniu Józefa Bielawskiego.